



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

АДАМ ПРЗОРЗТА

DEMONY
ZEMSTY
BERIA



Spis treści

Karta tytułowa

Cykl Wojenny Adama Przechrztzy

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Zwroty i ciekawostki

Karta redakcyjna

Okładka

ADAM PRZECHRZTA



DEMONY ZEMSTY BERIA

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Cykl Wojenny Adama Przechrztzy

1. Demony Leningradu
2. Demony wojny, cz. 1
3. Demony wojny, cz. 2
4. Demony czasu pokoju
5. Demony zemsty. Abakumow
6. Demony zemsty. Beria

Rozdział pierwszy



Ze snu wyrwało mnie poczucie zagrożenia. Obudziłem się z bijącym jak oszalałe sercem, przez dłuższą chwilę usiłowałem wrócić do rzeczywistości, wreszcie zaczęły docierać do mnie dźwięki. Najpierw usłyszałem walenie w drzwi, później łomotowi zawtórowały gardłowe męskie głosy kontrapunktowane przez trzask repetowanej broni.

Zwlokłem się z łóżka, spojrzałem na zegar – dochodziła druga w nocy. Ki czort? Sąsiadów miałem spokojnych, co nie znaczy, że miłych: gdyby zgromadzić wszystkie donosy, jakie na mnie nasmarowali, wygrałbym dzielnicowy konkurs zbierania makulatury.

Narzuciłem szlafrok i poczłapałem do drzwi; przechodząc obok biurka, odruchowo wysunąłem szufladę i sięgnąłem po tokariewa, ale po namyśle odłożyłem pistolet. Bo i na co mógł mi się przydać? Pewnie Żora Malinin tłukł swoją babę, stąd i zamieszanie. A bo to pierwszy raz? Tyle że do tej pory dyscyplinował żonę w dzień i bez wielkiego szumu. Ot, gad! Może dostał premię i wystarczyło mu na drugą flaszkę? No, już ja mu wyjaśnię, że nie należy zakłócać nocnej ciszy!

Rozmyślenia przerwał mi potężny huk, zaraz potem kolejny. Zakląłem pod nosem i wypadłem na korytarz, zbiegłem piętro niżej. Pod mieszkaniem Malininów stało kilku uzbrojonych po zęby milicjantów, jeden leżał na posadzce w kałuży krwi. Pokażna dziura w drzwiach nie pozostawiała wątpliwości, że gospodarz lokalu nie jest w najlepszym humorze. Nie siląc się na delikatność, złapałem rannego za kołnierz munduru i odciągnąłem na bok. Wyglądało, że dostał breneką. Tylko skąd u Malinina broń? Może polował? Myśliwy, kurwa jego mać!

Pobieżnie zbadałem ranę pod obojczykiem, rozdarłem nieszczęśnikowi koszulę i założyłem prowizoryczny opatrunek.

– Co tu się dzieje?! – rzuciłem gniewnie.

Młody milicjant zamierzył się na mnie kolbą karabinu, ale inny, z oznaczeniami sierżanta na pagonach, powstrzymał go gwałtownym gestem.

– Spokój! – warknął. – To pułkownik Razumowski!

– Prze...przepraszam – wymamrotał błady na twarzy młodzik.

Chłopak wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Wejdz piętro wyżej, mam telefon, mieszkanie numer osiem. Zadzwoń po karetkę – poleciłem szorstko. – Tylko nie zarzygaj mi dywanu! Co się dzieje? – powtórzyłem, patrząc na plecy pędzącego do góry młodzieńca.

– Malinin – odparł z obrzydzeniem sierżant. – Wywalili go z pracy i pije od tygodnia, dziś zabrakło mu forsy, więc wpadł w szal. Sąsiedzi usłyszeli krzyki. Kiedy przyjechaliśmy, ten gnojek się zabarykadował i zaczął strzelać przez drzwi. No i cały czas wrzeszczy, żeby mu przynieść wódkę.

– Co z jego żoną i córką? – spytałem niespokojnie.

– Nie wiadomo.

– A mówiłem sto razy tej idiotce, żeby złożyła skargę na męża! Ech, baby!

– Baby! – przytaknął sierżant z westchnieniem. – Lokatorka z dołu, niejaka Worobiowa, twierdzi, że słyszała wcześniej dwa strzały, dlatego do nas zadzwoniła...

Zakląłem ponownie. Ira Worobiowa była złośliwą suczką i autorką przynajmniej połowy pisanych na mnie donosów, ale słuch miała doskonały i nigdy nie odważyłaby się wezwać milicji z błahego powodu. Trzeba sprawdzić, co z rodziną Malinina, tylko jak? Pierwszy, który spróbuje sforsować drzwi, skończy jak ten wykrwawiający się w kącie nieszczęśnik.

– Czy któryś z was ma wódkę? – spytałem.

– Wódkę? – wymamrotał sierżant, suchy, żyłasty mężczyzna z sumiastym wąsem. – O tej porze? No i jesteśmy na służbie.

– Przejdźcie się po mieszkaniach – poleciłem. – Potrzebuję wódki. A tego tu – wskazałem rannego – znieście na parter. Tylko ostrożnie!

Po chwili zostałem sam, milicjanci rzucili się wypełniać polecenia. Przyłożyłem ucho do drzwi, ale usłyszałem jedynie chrapliwy, nieregularny oddech: Malinin musiał być naprany do nieprzytomności, jednak żeby nacisnąć spust, nie trzeba wiele siły.

Gwałtowny tupot zmusił mnie do odwrócenia głowy, młody milicjant nie tylko odzyskał kolory, lecz wydawało się, że krew tryśnie mu z twarzy. Żeby mi tylko nie dostał apopleksji, pomyślałem. Słaba teraz młodzież, nie to, co dawniej.

– Karetka już jedzie – zameldował głośno.

Nieznacznym ruchem głowy nakazałem mu schować się za ścianą. W samą porę, bo w drzwiach pojawiła się kolejna dziura.

– Wódki! – wrzasnął Malinin.

Czekałem, aż wystrzeli po raz drugi, wtedy mógłbym spróbować szczęścia, ale trzasnęła tylko łamana strzelba. A to gnojek! Zanim zdążyłem zareagować, załadował brakujący nabój. Znaczy ma

dwururkę. Prawdopodobnie. Bo zdarzały się konstrukcje z trzema i czterema lufami, a pomyłka tu i teraz mogła mnie drogo kosztować.

– Mam wódkę! – wysapał sierżant. – Właściwie to bimber, ale...

– Dawaj! – przerwałem mu niecierpliwie. – Dopilnuj, żeby karetka zabrała rannego.

– Co chcecie zrobić? – spytał niepewnie.

– Pójdę z nim pogadać, a cóż by innego?

– Zabije was!

– Zobaczymy – rzuciłem krótko. – Tylko nie róbcie żadnych głupstw!

Pchnąłem drzwi.

– Żora, nie strzelaj, to ja, Razumowski! – zawołałem. – Mam wódkę.

– Włącz! – polecił Malinin, wychylając się zza węgła.

Ostrożnie przekroczyłem próg mieszkania. Spotniała, opuchnięta twarz mężczyzny świadczyła, że pije nie pierwszy dzień, w przekrwionych oczach dostrzegłem błysk szaleństwa. Biała gorączka jak nic.

Mieszkanie Malininów było dwupokojowe, wszedłem do salonu, przestąpiłem zwłoki. Dziewczynka leżała na wznak, z rozrzuconymi na boki ramionami, dostała prosto w pierś. Miała dziewięć lat, a może osiem? Nie znałem jej dobrze, czasem na schodach widziałem drobne, nieśmiałe stworzonko na chudych nóżkach. Luda Malinina umarła od strzału w plecy, ślady krwi na dywanie wskazywały, że próbowała się czołgać. Nie trzeba było geniusza, żeby pojąć, co się stało: kiedy Żorik chwycił za broń, obie próbowały uciec, Luda zasłoniła córkę własnym ciałem i zapłaciła za to życiem. Mała musiała się odwrócić, może chciała prosić ojca o litość? Ale Georgij Konstantinowicz nie był w nastroju do słuchania czyichkolwiek błagań...

– Dawaj! – warknął Malinin, popierając rozkaz wymownym ruchem lufy.

Podniosłem butelkę nad głowę.

– Najpierw oddasz giwerę. Z ręki do ręki. Spróbujesz strzelić, będziesz chleptał wódkę z podłogi.

Malinin oblizal wyschnięte wargi, przełknął ślinę, widać było, że nie ma ochoty dać mi broni, ale pragnienie go męczyło, a wódeczka-mateńka wabiła, och, jak wabiła!

– Zabiję! – zawył.

– Spróbuj – odparłem zimno, podnosząc butelkę jeszcze wyżej.

W oczach Żory zamigotały złe ogniki, rozstawił szeroko nogi, podał mi strzelbę, jednocześnie wyciągnął rękę po wódkę. Zapewne zamierzał wyrwać mi flaszkę i w ostatniej chwili odskoczyć, nie wypuszczając dubeltówki z dłoni.

Oddałem mu butelkę, a kiedy sprężył się do skoku, podstawilem nogę i brutalnym chwytem odebrałem broń. Zerknąłem na spluwę, nasza

produkcja z Izewska. Załadowana brenekami, a jakże!

– Saszka, no co ty? – wymamrotał, kiedy przystawiłem mu lufę pod brodę.

– Dlaczego je zabiłeś? – spytałem miękko.

– Diabeł podkusił! – odparł prędko. – I wódka. To wszystko wódka! Kochałem je! – zapłakał.

Bez słowa wyjąłem mu z ręki butelkę – nawet padając, zatroszczył się o nią, gadzina! – odkorkowałem zębami, pociągnąłem długi łyk.

– Masz rację – powiedziałem. – Wszystkiemu winna wódka.

I nacisnąłem spust. Zdawało się, że czaszka Malinina eksplodowała, tapetę na przeciwległej ścianie pokryły bryzgi krwi i mózgu.

– Towarzyszu pułkowniku!

Rumor za moimi plecami oznajmił przybycie posiłków. No, cokolwiek by powiedzieć, chłopcy nie stchórzyli, żadne z nich orły, ale i nie tchórze, warto zapamiętać.

– Nic wam nie jest? – spytał zaniepokojony sierżant.

Podszedłem do dziewczynki, delikatnie zamknąłem jej oczy. Nie pamiętałem nawet, jak miała na imię. Janka? A może Julka?

– Wszystko w porządku – powiedziałem ospale.

– Co z nim? – Młody milicjant wskazał zwłoki Malinina.

– A co ma być? Zastrzelił się chłop, rozumiesz: wyrzuty sumienia. Próbowałem mu wyrwać strzelbę, ale nie dałem rady.

– Broń leży obok – zauważył z lekkim wahaniem.

– W chwili śmierci mięśnie wiotczeją, a odrzut sprawia, że broń niemal nigdy nie zostaje w ręku samobójcy – wyjaśniłem.

– Ale...

– Spokój, młody! – zgasił go sierżant. – Ciebie tu nie było. Samobójstwo to samobójstwo, tak wpiszemy w protokole – zadecydował. – Będzie o jednego chuja mniej – dodał ciszej.

– Gdybym był wam jutro potrzebny, znajdziecie mnie na Pietrowce – poinformowałem. – Co z tym rannym?

– Z Waską Tkaczowem? Lekarz powiedział, że jutro się okaże. Jeśli przeżyje noc.

Skinąłem głową; wyszedłszy na korytarz, musiałem przytrzymać się poręczy, zniecka dopadła mnie jakaś słabość, ściany zawirowały przed oczyma.

– To tylko nerwy – wymamrotałem. – Tylko nerwy...

Odwróciłem się, słysząc szmer za plecami: na schodach stała Ira Worobiowa. Potargane włosy i niedbale zawiązany szlafrok świadczyły, że wybiegła z mieszkania w pośpiechu.

– Co z Julią? – spytała bez tchu.

W chwilę później na jej twarzy pojawił się wyraz lęklivej rezygnacji. Na co dzień nie rozmawialiśmy ze sobą z oczywistych względów, jednak

prawdziwa, niekłamana rozpacz w oczach kobiety sprawiła, że zatrzymałem się w pół ruchu.

– On je obie... – odparłem głucho.

Ujrzałem tylko uciekające źrenice, gdybym na moment odwrócił wzrok, nie zdążyłbym jej złapać.

Stęknąłem z wysiłku – sąsiadka ważyła dobre siedemdziesiąt kilogramów, po czym ruszyłem na dół, bo nie miałem zamiaru cucić jej u siebie. Poza wszystkim innym, czort wie co zrobi, kiedy tylko odwróce głowę?

Nacisnąłem łokciem kłamkę, w chałupie Worobiowej siedziały trzy inne baby. Znałem je wszystkie z widzenia, ale żadna nie mieszkała w mojej kamienicy, znaczy wieści już się rozeszły.

– Zajmijcie się nią – poprosiłem. – Zemdlą.

Położyłem nieprzytomną na kanapie, z bolesnym westchnieniem rozprostowałem kręgosłup. Choć od kilku lat ćwiczyłem regularnie, nie udało mi się wrócić do kondycji sprzed otrucia. Pieprzony Abakumow! Jedyna pociecha, że siedzi w więzieniu i nigdy z niego nie wyjdzie, chyba że na własny pogrzeb.

– Co z Julką i Ludą? – spytała szybko staruszka otulona grubym, kraciastym pledem.

Wymownie pokręciłem głową.

– Aresztowaliście Malinina? Bo chyba nie uciekł?

– Nie uciekł.

– Będzie teraz rąbał tajgę przez dwadzieścia lat – rzuciła mściwie inna.

Ponownie zaprzeczyłem gestem.

– Nie będzie – powiedziałem. – Popęłił samobójstwo.

– On?! – parsknęła gniewnie rozłożysta matrona pod sześćdziesiątkę.

– Ta gnida? Nigdy w to nie uwierzę, że sam... – Urwała, wpatrując się we mnie z otwartymi ustami.

– A jednak – mruknąłem. – *Czużaja dusza potiomki.*

Ira Worobiowa uniosła powieki, więc pożegnałem się zdawkowo i wyszedłem, nie miałem ochoty na dalszą rozmowę. Może dam radę jeszcze się przespać? Nie dałem. Do samego rana majaczyła mi zastygła w wyrazie przerażenia, zabiedzona buzia małej sąsiadki.



Wysiadłem na przystanku niedaleko Pietrowki, postawiłem kołnierz palta – początek marca był chłodny. Zimny północny wiatr ganiał po niebie kłębiaste chmury, zanosilo się na deszcz. Choć przysługiwał mi

służbowy samochód, od czasu do czasu rezygnowałem z luksusu, aby przejść się po ulicach albo przejechać którymś z przepelnionych tramwajów: mimo układu z *blatnymi* wolałem kontrolować sytuację. A nuż jakiś urka spróbuje naruszyć porozumienie, jakie zawarłem z Cichym? W naszej stolicy obrotnych chłopaków nie brakuje, a takie inicjatywy najlepiej dusić w zarodku.

Dyżurny powitał mnie przyjaznym skinieniem głowy – na Pietrowce wszyscy wiedzieli, że nie lubię służbowej gimnastyki – i wymownie wskazał palcem w górę.

– Macie gościa – powiedział.

– Kto zacz?

– A kto go tam wie? – Wzruszył ramionami. – Jakiś dziwny, ni to wojsko, ni to partia. Nie pokazał żadnych dokumentów, przyprowadził go sam generał Maksimow.

Westchnąłem w duchu i podziękowałem za informację. Maksimow od roku był szefem MUR-u, jeśli osobiście konwojował gościa, znaczy sprawa była ważna, dobrze, jeśli nie śmierdząca. Zapewne nowa robota dla wydziału pościgowego. Oby tylko rzecz nie dotyczyła polityki, takie sprawy były śmiertelnie niebezpieczne, a nie ma co ukrywać, czasy mieliśmy niespokojne. Towarzysz Stalin ostatni raz pokazał się publicznie kilka miesięcy temu i od tej pory prasa publikowała jedynie zdawkowe, suche komunikaty, w których zapewniała o świetnym zdrowiu i intensywnej aktywności genseka. Tyle że nikt w to nie wierzył...

Uniosłem brwi, widząc na korytarzu przed moim gabinetem Dimę Bugrowskiego. Poeta Bugrowski cieszył się opinią jednego z najlepszych śledczych MUR-u, a dzięki koneksjom ojca był też znakomicie poinformowany. Jeśli ktoś coś wiedział na temat tajemniczego gościa, to jedynie on.

– Co tam? – rzuciłem, witając się z Dimą uściskiem dłoni.

– Kłopoty – odpowiedział z posępną miną. – Przyszedł taki jeden z bezpieki.

– I co z tego? A bo to pierwszy? Pewnie jakiś zek uciekł im z etapu albo...

– Nie – gładko wszedł mi w słowo. – Nie zek i nie z etapu. To grubsza sprawa. Polityczna.

– Gadaj, co wiesz!

– Słyszeliście o gruzińskiej mafii?

Przytaknąłem. Gruzicką mafią nazywano najbliższych współpracowników Berii: Goglidze, Canawę, Mierkułowa, Włodzimirskiego i kilku innych.

– To jeden z nich.

– Czego chce?

– Chodzą słuchy, że Stalin długo już nie pożyje. – Bugrowski ściszył głos. – Szykują się zmiany: po śmierci genseka Beria chce połączyć Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego z MSW i stworzyć superresort pod swoim kierownictwem. Jeśli mu się uda, jego władza nie będzie miała sobie równych. Oczywiście będzie potrzebował zaufanych ludzi, tyle że to nie takie proste...

– A to dlaczego?

– Partyjna góra nienawidzi go jak wściekłego psa, nie odważą się na otwartą konfrontację, no a przynajmniej nie od razu. Ale jeśli tylko będą mieli jakiś pretekst, żeby go osłabić, na pewno nie przepuszczą okazji. Podobno któryś z nich wkręcił swojego człowieka w najbliższe otoczenie Berii, a ten zdobył dokumenty kompromitujące niektórych „Gruzinów”. Ludzie Berii próbowali go sami dorwać, ale nie dali rady, więc przyszli do nas.

– Ten bezpieczeniak naprawdę myśli, że pomożę Berii? – spytałem z niedowierzaniem.

– Możecie nie mieć wyboru – stwierdził ponuro chłopak.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, w drzwiach gabinetu stanął Maksimow. Jego mina wyraźnie wskazywała, że nie jest zachwycony moim widokiem.

– Saszka! – warknął. – Wreszcie!

Ograniczyłem się do ciężkiego westchnienia, nie spóźniłem się nawet o minutę, lecz szef ma zawsze rację, prawda?

– Właż! – zaprosił mnie szerokim gestem.

Cóż było robić? Wszedłem. Za moim biurkiem siedział szczupły mężczyzna o twarzy łasicy i wyblakłych, niebieskich oczach. Grube, niepasujące do reszty fizjonomii wargi nieznajomego wygięte były w aroganckim grymasie, w palcach nerwowo obracał pióro.

– Razumowski! – zawołał. – Ile mam na was czekać?!

Podszedłem do niego bez słowa, spojrzałem wymownie na fotel. Bezpieczeniak wzdrygnął się wyraźnie, widać nie był przyzwyczajony do konfrontacji, po chwili wstał z ociąganiem.

– Tak lepiej – powiedziałem cicho. – A jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie takim tonem, przez najbliższy miesiąc będziesz mógł jeść jedynie kaszkę na mleku.

Zapadłe policzki łasicowatego pokryły się apoplektyczną czerwienią, myślałem, że wybuchnie gniewem albo odwoła się do Maksimowa, ale tylko obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem. Mróz przeszedł mi po kościach, to był wzrok bestii, bestii przyzwyczajonej do bezkarności i spełniania najbardziej zwyrodniałych pragnień.

W odpowiedzi uśmiechnąłem się samymi kącikami ust. Przekaz był jasny. Jeśli to bezpieczeniak, musiał znać moją biografię i wiedzieć, że nie raz i nie dwa wchodzili mi w drogę naprawdę poważni ludzie. I gdzie

oni teraz? Ano na przepisowej głębokości: dwa metry poniżej poziomu ziemi albo jak Abakumow – w drodze na cmentarz. Tak to, towarzyszu!

Nieznajomy cofnął się o krok, odchrząknął.

– Pułkownik Tagilin – przedstawił się formalnie. – Ja do was z prośbą, pułkowniku Razumowski.

Usiadłem, wskazałem mu krzesło dla interesantów. Maksimow już wcześniej przycupnął na skraju biurka. Na szczęście solidny, przedrewolucyjny mebel wytrzymał: generał nie należał do najszczuplejszych.

– Sprawa dotyczy kradzieży dokumentów – zagał bez wstępu Tagilin.
– Udało nam się ustalić, kim jest złodziej, jednak kiedy uciekł do Moskwy, straciliśmy trop.

– Uciekł skąd? – spytałem.

Mężczyzna długo milczał, najwyraźniej zastanawiając się, czy odpowiedzieć na moje pytanie.

– Z Tbilisi – wyrzucił z siebie w końcu.

Gwizdnąłem w duchu: z Tbilisi do Moskwy kawał drogi, jeśli безпеca go nie złapała, gość musiał być naprawdę dobry. Czego jednak szukał w Gruzji? Czyżby rzeczywiście odkrył jakieś sekrety ludzi Berii? Niektórzy właśnie tam zaczęli karierę. A może chodziło o samego Ławrentija Pawłowicza? Ciekawe...

– Tu – kontynuował Tagilin – jest wszystko, co wam potrzebne, żeby go złapać.

Zwykła tekturowa teczka bez żadnych oznaczeń zawierała jedynie kilka kartek z podstawowymi informacjami, dołączono do nich plik zdjęć przedstawiających poszukiwanego.

Przejrzałem pobieżnie dokumenty, nie doczytałem się żadnych rewelacji. Z fotografii patrzył na mnie niepozorny mężczyzna o przeredzonych włosach, jednak w jego wzroku było coś twardego. Zainteresowało mnie kolejne zdjęcie zrobione w kawiarni, na pierwszym planie znalazły się dłonie nieznajomego. Szczupłe, o długich palcach i masywnych, oszpeconych naroślami kostkach. A więc takie buty... Coś takiego wymagało długich lat ćwiczeń, na pograniczu masochizmu, no i rzecz jasna określonej wiedzy. Znaczący nasz nieznajomy to profesjonalista najwyższej klasy, nic dziwnego, że umknął bezpiece, zapewne zostawiając na trasie ucieczki kilka trupów co bardziej zadufanych w sobie czekistów.

Spojrzałem na Maksimowa, ale ten nieznacznym ruchem głowy dał znać, że pozostawia wszystko mojej decyzji. Obecny szef MUR-u nie był tytanem intelektu, doskonale jednak rozumiał, że posiadam daleko większą władzę, niż wynikałoby to z pełnionej funkcji.

– Nie mam nic przeciwko, żeby pomóc bratniej służbie – powiedziałem z szerokim uśmiechem. – Jednak muszę mieć zgodę

przełożonych, jestem pewien, że to formalność, za to...

– Z tym chyba nie będzie problemu – Tagilin przerwał mi bezceremonialnie. – Generale? – zwrócił się do Maksimowa.

– Miałem na myśli generała Poliakowa – sprostowałem łagodnie. – To właśnie jemu podlega MUR, a co za tym idzie i mój wydział. Generał Poliakow zaznaczył stanowczo, aby informować go o wszystkim, co mogłoby wpłynąć na nasze dochodzenia, bo część z nich kontroluje Komitet Centralny, a bywa, że i Biuro Polityczne. Niektórzy ścigani przez nas przestępcy to wrogowie państwa.

Tagilin zagryzł usta, najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że Beria nie cieszy się popularnością wśród partyjnych elit.

– Ośmielicie się odmówić wykonania rozkazu towarzysza Berii?!

– Nigdy w życiu! Po prostu poczekam na potwierdzenie przełożonych.

Tagilin zerwał się z miejsca i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Oj, Saszka, Saszka – westchnął Maksimow. – W co ty się znowu pakujesz?

– A co mam zrobić? – odburknąłem. – Wykonywać polecenia piesków Berii i nastawić przeciwko sobie grupę Chruszczowa i chuj wie kogo jeszcze? I po co? Bo przecież wiem, że Ławrentij Pawłowicz pošle mnie do piachu, kiedy tylko będzie mógł.

Maksimow skrzywił się niechętnie, ale nie zaprzeczył.

– Polityka! – parsknął z pogardą. – Ciekawe, czy dożyję czasów, kiedy będziemy mogli zajmować się po prostu swoją robotą?

– Zapomnij! – roześmiałem się, odzyskując dobry humor. – Politycy to kurwy, państwo to burdel, a my pilnujemy w nim porządku, co stawia nas na pozycji alfonsów.

Generał pokręcił głową z dezaprobatą, jednak w jego oczach nie zobaczyłem prawdziwego gniewu.

– Matolek! I proszę pamiętać, don Alfonso, że ma pan zaległości w papierach – dodał cierpko. – Jeszcze dziś chcę mieć raport na swoim biurku!

Poczekalem, aż wyjdzie, po czym wystawiłem ostrożnie głowę na korytarz.

– Dima! – syknąłem.

Poeta Bugrowski pojawił się niczym dzinn z butelki.

– Masz?! – rzuciłem nerwowo.

Chłopak bez słowa podał mi kilka kartek. Wszyscy wiedzieli, że raporty pisze mi Bugrowski – ja nie miałem do tego ani cierpliwości, ani talentu – lecz z ostatnim zalegałem ponad dwa tygodnie, bo poeta podłapał grypę i leżał w łóżku z czterdziestostopniową gorączką.

– To wszystko? – zapytał. – Bo chciałbym dziś odwiedzić Tatianę.

Machnąłem przyzwalająco ręką, jednocześnie przeglądając raport. Nie żebym wątpił w zdolności Bugrowskiego, ale było o czym pisać: dwa

rozbite samochody, zniszczony kiosk z gazetami, kilkoro rannych przechodniów i postrzelana jak sito reklama „Moskowskiej Prawdy”. Nasz ostatni klient zaszalał na całego.

– Naprawdę mogę? – spytał niedowierzająco Dima.

– Naprawdę – potwierdziłem. – Ale za trzy godziny masz być z powrotem, na wypadek gdyby Tagilin naciskał, musimy sprawiać wrażenie bardzo zapracowanych. Na jutro chcę mieć plan czynności operacyjnych w celu ujęcia... – Urwałem, szukając wzrokiem akt najnowszej sprawy.

– Mameda Czugajewa – podpowiedział Bugrowski.

– Kto zacz? I komu się naraził, że pościg powierzono akurat nam? To nie jest zwykła sprawa kryminalna, prawda?

Bugrowski spojrzał niespokojnie na zegarek, więc stuknąłem go w głowę. Jego miłość, skądinąd uzdolniona aktorka, występowała dziś na deskach MChAT-u w sztuce Czechowa, stąd niepokój chłopaka. Jak znałem życie, pewnie już zarezerwował stolik w jednej z lepszych restauracji stolicy. Panienka Tatiana miała spore wymagania, na szczęście Dimę było stać, aby je zaspokajać. Jak wszyscy moi ludzie miał dodatkowe dochody, wielokrotnie przekraczające skromną milicyjną pensję.

– No?! – ponagliłem.

Wiedziałem, że Dima dysponuje fotograficzną pamięcią, jeśli raz przeczytał akta, potrafi mi streścić, co najważniejsze. Nie miałem ochoty przedzierać się przez stertę makulatury. Nie dziś. Ciągle miałem przed oczyma twarz małej Julki.

– To urzędnik średniego szczebla – zaczął posłusznie. – Pracował w administracji w Alma-Acie, zajmował się wydobywaniem ropy naftowej i uranu. Kiedy oskarżono go o przekręty finansowe, zniknął bez śladu. Kontrola wykazała, że sprzedawał na lewo nie tylko ropę, ale i uran.

– Komu?

– Chińczykom.

– Żartujesz?!

– Nic a nic! Nawiasem mówiąc, dochodzeniem zainteresowany jest Komitet Centralny. Jutro ma do nas przyjechać specjalny wysłannik KC.

Zakląłem pod nosem, sprawa śmierdziała na kilometr, ale co robić? Znowu przyjdzie nam wyciągać kasztany z ognia dla „przewodniej siły narodu”, jak żurnaliści nazywali partię. Chuj by to strzelił!

– Przecież to sprawa dla służb specjalnych! – warknąłem.

– Bezpieka i GRU siedzą w tym po uszy – przyznał. – Ale to nie nasz kłopot, nam kazali tylko znaleźć Czugajewa. Podobno prysnął do Moskwy – dodał na widok mojej miny.

Ech, jakby gnojek nie mógł zaszyć się we Władywostoku albo Leningradzie.

– *Komandir*? Będę wam jeszcze potrzebny? – spytał Bugrowski.

No tak, co tam Czugajew czy Komitet Centralny przy pani Tani? Z drugiej strony, można chłopaka zrozumieć: żaden aparatczyk z KC nie zapewni mu takich wrażeń jak Tatiana.

– Zgiń, przypadnij, siło nieczysta! – przyzwoliłem.

Bugrowski wypadł za drzwi, zanim dokończyłem zdanie. Ech, młodość... I niech mu tam, wiedziałem, że w razie potrzeby chłopak da z siebie wszystko.

Rozparłem się wygodnie w fotelu, odruchowo rozmasowałem ramiona, zawsze mi tężały, kiedy myślałem o Chińczykach. Wbrew obiegowym opiniom nasza przyjaźń z Chinami nie była najwyższej próby. Z jednej strony Mao był nam wdzięczny, gdyby nie „bratnia pomoc”, nigdy nie zdobyłby władzy, z drugiej, miał niebagatelne ambicje i drażniło go traktowanie Chin jako słabszego partnera, żeby nie powiedzieć – wasala. Już po podpisaniu traktatu o przyjaźni, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, okazało się, że układ korzystny jest głównie dla nas: prawie wszystkie pożyczki, jakich udzieliliśmy Chinom, miały być przeznaczone na zakup rosyjskiego uzbrojenia, a Mao zobowiązał się do otwarcia dla naszych produktów rynków Mandżurii i Sinciangu. Sprawę zaogniła wojna koreańska: Stalin zmusił Chiny do wysłania na front dwustu pięćdziesięciu tysięcy „ochotników”, co znacząco poprawiło sytuację komunistów, jednak wbrew obietnicom nie zapewnił operującym w Korei wojskom wsparcia lotniczego, a jedynie rozlokował samoloty na północnym wschodzie Chin, aby zapewnić osłonę wybrzeży. Zmusiło to Chińczyków do samotnej walki z siłami ONZ. Od tej pory rozgoryczony zdradą Mao wzywał nieustannie do podniesienia potencjału wojskowego ChRL. Czyżby doszedł do wniosku, że może to zrobić na koszt nierzetelnego sojusznika? Kto wie? Bo o tym, że pewne rzeczy robił bez wiedzy, a nawet wbrew woli Stalina wiedziałem lepiej niż inni.

Ponure rozmyślanie przerwało mi pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknąłem.

– Można? Nie przeszkadzam wam? – zapytał ostrożnie poznany w nocy milicjant. – Sierżant Kirpanow melduje się...

Przerwałem mu nonszalanckim machnięciem dłoni.

– Siadaj! – burknąłem. – I gadaj, w czym rzecz. Mam mało czasu.

– Przyniosłem wam protokół do podpisania. Rozumiecie: formalności.

Przebiegłem wzrokiem dokument, daleko mu było do poziomu raportów Bugrowskiego, ale nie znalazłem większych błędów, złożyłem więc zamaszty podpis.

– Coś jeszcze? Jak tam ten wasz Tkaczow?

– Kiepsko – odparł milicjant z rezygnacją. – Chyba źle go pozszywali, bo dostał jakiegoś krwotoku, po południu mają go znowu operować.

– Gdzie leży? Pewnie w naszym szpitalu?

– A gdzie by indziej?

Zabębniłem palcami w blat. Nasz resortowy szpital nie cieszył się dobrą opinią, kilka lat wcześniej personel zdziesiątkowały aresztowania, od tej pory kierowali nim ludzie cieszący się pełną aprobatą partii, za to niemający wielkiego pojęcia o medycynie.

Podniosłem słuchawkę telefonu, wybrałem znajomy numer.

– Z Nadieżdą Somową – rzuciłem krótko.

– Nadieżda Konstantinowna operuje – odparł nieznany mi kobiecy głos.

– Pułkownik Razumowski – przedstawiłem się krótko. – Poproście ją, żeby do mnie zadzwoniła, gdy skończy. To pilne.

Od czasu starcia z Abakumowem widywałem się z Nadią tylko sporadycznie, wolałem, żeby nikt jej ze mną nie kojarzył, jednak nie wątpiłem, że spełni moją prośbę. Cóż, nasza znajomość miała też kontekst pozamedyczny...

– Co robicie? – w głosie Kirpanowa usłyszałem nadzieję.

– Przenoszę twojego podwładnego do Sklif. Może tam mu pomogą?

– Dziękuję!

– Nie dziękuj przed czasem, jeśli w resortowym schrzaniłi robotę, może nie dożyć tych przenosin. Sam wiesz, jakich mamy lekarzy.

– Wiem – przytaknął niewesoło. – Może dałoby się coś z tym zrobić? Bo ostatnio więcej naszych ginie pod nożami tych rzeźników niż na służbie. Tylko w ciągu ostatniego roku w szpitalu zmarło trzech chłopaków z mojego komisariatu. Jeden z nich zgłosił się tam na badania. No i zbadali go, gnoje.

– Naprawdę jest tak źle?

– Myślicie, że żartuję? Doszło do tego, że ludzie boją się zwykłego prześwietlenia. Jeśli chcecie, na jutro dostarczę wam nazwiska ofiar naszych medyków.

Podrapałem się po głowie: resortowego szpitala nie odwiedzałem od lat. MUR miał własnego lekarza i gabinet z pełnym wyposażeniem, wszystkie okresowe badania robiono na miejscu. Oczywiście dochodziły do mnie skargi, nie sądziłem jednak, że sytuacja jest aż tak poważna.

– Nie na jutro, a za tydzień – odparłem po namyśle. – Za to chcę mieć dane z całej Moskwy. Dasz radę załatwić to dyskretnie?

– Zrobi się – obiecał. – Wszyscy nasi mi pomogą.

– Tylko pamiętaj – ostrzegłem – morda w kubeł! Bo czort wie co wymyślą łapiduchy, kiedy zorientują się, że ktoś im robi koło pióra.

– Myślicie, że mają aż takie plecy?

Spojrzałem na sierżanta z politowaniem.

– Poprzedni dyrektor szpitala był członkiem Akademii Nauk.

– Był?

– Teraz rąbie tajgę, o ile żyje. Jeśli nie chcesz... – zacząłem, widząc minę milicjanta.

– Nie, nie! Zajmę się tym.

Wzdrygnąłem się na ostry dźwięk telefonu, ech, nerwy już nie te.

– Słucham! – rzuciłem sucho.

– I ja cię kocham – powiedziała ochryplym ze zmęczenia głosem Nadia. – Co się stało?

Wyjaśniłem jej sprawę w kilku zdaniach, pomijając wszelkie kwestie osobiste ze względu na obecność Kirpanowa.

– Za godzinę twój Tkaczow będzie już w Sklifie – poinformowałem sierżanta, odkładając słuchawkę. – Moja znajoma zajmie się nim osobiście.

Milicjant odmeldował się regulaminowo i zostałem znowu sam. Podszedłem do okna, burzowe chmury zasnuły niebo, gwałtowne podmuchy wiatru szarpały okryciami przechodniów, zrywały z głów kapelusze. W sumie nic dziwnego w marcu.

Wyjąłem z biurka butelkę koniaku, nałamię do kieliszka na dwa palce. W zasadzie nie piłem alkoholu w pracy, ale dziś był parszywy dzień. Wychyliłem za lepsze jutro.



Ciężarówkę zauważyłem z odległości kilkuset metrów, stała tuż przy bramie, częściowo blokując wyjście. Ki czort? Na wszelki wypadek przełożyłem tokariewa z podramiennej kabury do kieszeni płaszcza, dotknąłem spustu. Jakby co, będę strzelał przez kieszeń. Lepiej dmuchać na zimne, mimo układu z Cichym zdarzało mi się wysłać za kraty nieprzestrzegających zasad *blatnych* albo urków na gościnnych występach. Na pewno niejeden chciałby mi podziękować...

Podszedłem ostrożnie do wozu, cofnąłem się, ustępując drogi robotnikom wynoszącym sporej wielkości drzewko cytrynowe. Czyżby Worobiowa sprzedawała swoją dumę i radość?

Zajrzałem na pakę, była zapełniona dziwną zbieraniną mebli, obrazów i wyraźnie zeszlowiecznych bibelotów. Wyglądało, że moja ulubiona sąsiadka postanowiła się wyprowadzić.

– Dołóżcie się? – spytał ktoś za moimi plecami.

No tak, o wilku mowa: towarzyszka Worobiowa stała w bramie, dlatego jej nie zauważyłem. Podobnie jak kilku innych znajomych bab.

– Dołożę?

– Na pogrzeb. Nie chcemy, żeby Julkę i Ludę spalili w krematorium.

Przytaknąłem z roztargnieniem. Kremacja była droższa niż

tradycyjny pogrzeb, dlatego mimo wysiłków propagandy dążącej do wykorzenia „religijnych zabobonów” mało kto korzystał z tej opcji. Jednak zakupione swego czasu w Niemczech nowoczesne piece krematoryjne trzeba było jakoś wykorzystywać, dlatego poddawano kremacji ciała bezdomnych i zmarłych, którzy nie mieli krewnych gotowych zorganizować zwykły pochówek.

– Wykupienie miejsca na cmentarzu i wykopanie grobów to niewielki wydatek – kontynuowała Worobiowa. – Ale trumny, transport, pomniki to inna rzecz. Dlatego się składamy.

– Chcecie orkiestrę? – spytałem niepewnie.

– Dobrze by było – mruknęła któraś z kobiet. – Ale za co?

– Ile by to kosztowało?

– Na razie wystarczy dwieście, może trzysta rubli, później trzeba będzie dopłacić przynajmniej drugie tyle.

– Załatwcie wszystko, opłacę rachunki. I zabierzcie z powrotem swoje graty. – Z niesmakiem wskazałem na ciężarówkę.

– A orkiestra? – rzuciła bez tchu przysadzista babina pod sześćdziesiątkę.

– Niech będzie i orkiestra.

Idąc do mieszkania, czułem na plecach spojrzenia sąsiadek. No, teraz dopiero posypią się donosy, informujące odpowiednie organy o moim podejrzanym bogactwie! A i chuj z tym! Niech piszą, suczki.

Zanim otworzyłem drzwi, sprawdziłem odruchowo, czy wszystko jest na swoim miejscu. Było. Zarówno cienka, stalowoszara nitka przyklejona do zamka, jak i złożony z kilku pozornie przypadkowych kresek znak tuż przy ościeżnicy. Wyglądający jak efekt dziecięcej zabawy symbol był przekazem dla *blatnych* i znaczył mniej więcej tyle co: „Nie ruszaj tej chaty!”. Wiedziałem, że jeśli znajdę się w poważnym konflikcie z Cichym, ta sama niewidzialna ręka, która go namalowała, sprawi, że zniknie bez śladu.

Zdjąłem buty, przebrałem się i na bosaka pomaszerowałem do lodówki. Niestety, nie miałem kiedy jej zaopatrzyć i wewnątrz wypełniało głównie światło. Z westchnieniem rezygnacji otworzyłem konserwę, sięgnąłem po nieco czerstwe już bułki. Nie żebym narzekał, bywało, że jadłem dużo skromniejsze posiłki, ale człowiek szybko przyzwyczaja się do luksusu.

Nastawiłem wodę na herbatę, wsypałem do kubka mieszaninę iwaneczaju i chińskiej czarnej herbaty; od czasu pobytu w Listwiance taka najbardziej mi smakowała. Przygotowywanie kolacji przerwał mi dzwonek. A to kto? O tej porze nikt mnie nie odwiedzał, może któraś z sąsiadek postanowiła omówić detale pogrzebu?

Kobieta nosiła wytworne palto, kapelusz z elegancką woalką skrywał jej twarz. Ubrania na pewno nie wyprodukowano w Rosji, a widoczna

w postawie mojego gościa rzadko spotykana dystynkcja sugerowała, że nie reprezentuje miejscowej organizacji partyjnej. Zresztą agitatorzy nigdy nie chodzili w pojedynkę.

– Słucham? – spytałem, stając w progu.

– Może wpuścisz mnie do środka? – zasugerowała cierpkim tonem, podwijając woalkę.

Bez słowa usunąłem się z przejścia; Lidia Zosimowna Siwers, żywa legenda *wojenno-razwiedki*, i jak głosiła fama, była kochanka generała Wołkowa, nigdy nie traciła czasu na towarzyskie konwenanse, jeśli mnie odwiedziła, musiała mieć powód. Kurewsko ważny powód. Poczulem mróz wzdłuż kręgosłupa.

Zaprosiłem ją do stołu, poczęstowałem herbatą.

– Zupełnie niezła – pochwaliła z roztargnieniem, kosztując aromatycznego napoju.

Podsunałem jej ciasteczka, odmówiła ruchem głowy.

– Musimy porozmawiać – oznajmiła.

Przełknąłem z trudem ślinę: twarz Lidii Zosimowny przypominała wyciętą w kamieniu rzeźbę, oczy przybrały odcień stali.

– Słucham...

– Musisz dopilnować, żeby dokumenty zdobyte przez Iwanowa trafiły do Paryża – powiedziała.

Przez moment nie kojarzyłem nazwiska, potem przypomniałem sobie, że to jeden z pseudonimów operacyjnych poszukiwanego przez bezpiekę zbiega.

– Zwariowaliście! Nie dotknę tej sprawy nawet bosakiem! Niech go ściga Tagilin.

– Nie masz wyboru, oni cię zmuszą.

– Akurat! Niech spróbują!

– Nie będą próbowali, tylko to zrobią – odparła zmęczonym głosem. – I proszę cię, nie krzycz, głowa mnie boli.

– Grupa Chruszczowa nigdy nie pozwoli na wzmocnienie pozycji Berii – stwierdziłem stanowczo. – Wiedzą, co to dla nich oznacza. Być może te skradzione papiery to jedyna szansa na pokonanie albo choćby osłabienie Ławrentija Pawłowicza.

– Owszem – przytaknęła. – Lecz nie w taki sposób, jak myślisz.

– To może mnie oświećcie?

– Nie ma mowy, i tak ryzykuję, rozmawiając z tobą.

– Za to ja niczym nie ryzykuję! – warknąłem ze złością.

Lidia Zosimowna przez jakiś czas obracała w dłoniach filiżankę, jakby chciała się ogrzać, wreszcie odstawiła naczynie.

– Nie potrafisz nawet wyobrazić sobie stawki w tej grze – powiedziała ze znużeniem. – Od dawna byłeś elementem większego planu, ale...

– Pionkiem! – wtrąciłem gniewnie.

– Pionkiem – przyznała. – Ale przez lata stałeś się dla mnie kimś dużo ważniejszym, wiele razy pomagałam ci, mimo że, teoretycznie, można, a nawet trzeba było spisać cię na straty. Lecz nie potrafiłam się na to zdobyć.

Spojrzałem na Lidię Zosimownę z niedowierzaniem, wyglądało, że mówi szczerze. Nie jestem rzecz jasna nieomylny, ale jeśli setki i tysiące razy musisz oddzielać prawdę od fałszu, w końcu wyrabiasz sobie instynkt, intuicję niemal tak niezawodną jak wykrywacz kłamstw. Siwers nie kłamała.

– Jednak teraz to inna rzecz – odezwała się po krótkiej przerwie. – Jeśli będzie trzeba, poświęcę twoje życie, swoje i tysiąca innych ludzi.

– Co jest dla was tak ważne, że tak łatwo szafujecie moim i swoim losem?

– Nie łatwo, wierz mi, że nie łatwo...

Czekałem na wyjaśnienia, ale kobieta jedynie uśmiechnęła się smutno.

– Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy – powiedziała, wstając.

Odprowadziłem ją do drzwi, później podszedłem do okna, zadziałał instynkt. Lidia Zosimowna wsiadła do obdrapanej pociągi, lecz pozornie przypadkowy ruch wokół Siwers wskazywał, że ubezpiecza ją przynajmniej kilka osób. Co dziwne, żadna z nich nie wyglądała na agenta *wojennej rozwiadki*, a tym bardziej bezpieki. Zauważyłem trzech mężczyzn i młodą dziewczynę; mimo że nie wyróżniali się z tłumu i zachowywali jak profesjonaliści, coś sprawiało wrażenie, wręcz sugerowało, że nie są u siebie. Obcy wywiad? Bzdura! Jednak jeśli wykluczyć tę ewentualność, to kim byli?

Wróciłem do stołu, nalałem sobie wódki. Nie żeby się upić, czasem odrobina alkoholu pozwalała mi oderwać się od codziennych kłopotów i uspokoić nerwy, a co za tym idzie, lepiej zanalizować problem. Jednak nie dzisiaj. Dziś czułem nieprzyjemny ucisk w okolicy brzucha, tak jakbym połknął ołowianą kulę, a gonitwa myśli uniemożliwiała chłodne podejście do sprawy. Cóż, trzeba będzie poczekać, dopóki sytuacja się nie unormuje. O ile się unormuje.

Leżąc już w łóżku, wciąż czułem niepokój, nie ulegało wątpliwości, że cokolwiek bym postanowił, narobię sobie znowu wrogów. Jeśli rozpocznę pościg za Iwanowem, podpadnę grupie Chruszczowa. Jeżeli złapię Iwanowa i oddam bezpiece dokumenty, które ukradł, narażę się Lidii Zosimownie, a gdybym nic nie zrobił, Beria rozduśi mnie jak pluskwę. Pewnie Tagilin już mu doniósł, że usiłuję wykręcić się z całej afery. Szlag by to trafił!

Zasnąłem dopiero nad ranem.



Wychyłałem z głębokiego snu zaalarmowany hałasem – ktoś walił w moje drzwi, jakby chciał rozbić je w drzazgi.

– Kto tam?! – warknąłem.

Łup! Łup! Łup!

Najwyraźniej nie zrobiłem wrażenia na wandalu, co więcej, podobne hałasy dochodziły z góry i z dołu, co sugerowało, że dobijano się nie tylko do mojego mieszkania. Bezpieka? Wątpliwe, czekał po prostu wyważyliby drzwi.

Zakląłem wściekle i sięgnąłem po broń.

– Kto tam? – powtórzyłem.

– Włączcie radio! Natychmiast włączcie radio! – usłyszałem podszyty histerią głos Worobiowej.

Podszedłem do aparatu i przekręciłem gałkę, odbiornik zatrzeszczał, po chwili przez radiowy szum przebił się głos spikera:

– Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, Rada Ministrów ZSRR i Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z głębokim żalem zawiadamiają partię i wszystkich ludzi pracy Związku Radzieckiego, że piątego marca o dziewiętej pięćdziesiąt wieczorem po ciężkiej chorobie zmarł przewodniczący Rady Ministrów Związku Radzieckiego i Sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Józef Wissarionowicz Stalin.

Nogi ugięły się pode mną, usiadłem na podłodze, z oddali dochodziły jakieś krzyki i kobiecy płacz. Nie żałowałem Stalina, ale jego śmierć otwierała nowy rozdział w historii mojego kraju, a może i świata. Nadchodził czas przemian, rozpoczynała się walka o władzę. A największą szansę na zwycięstwo miał nienawidzący mnie Beria. Jeżeli uda mu się zająć miejsce Stalina, będę miał szczęście, jeśli zdążę strzelić sobie w łeb. Bo istniały gorsze opcje. Dużo gorsze opcje...

Rozdział drugi



Wezwano mnie do gabinetu Maksimowa – najwyraźniej Tagilin uznał, że najlepiej będzie załatwić sprawę oficjalnie, a przy okazji upokorzyć i generała. Wiedział doskonale, że tym razem nikt mu się nie sprzeciwi. Ot, małe radości małych ludzi.

Zameldowałem się regulaminowo, wbiłem wzrok w ścianę. Z lewej spoglądał na mnie surowo Stalin, z prawej widniał profil „Żelaznego Feliksa”. Generał Maksimow nie podnosił oczu, tak jakby dostrzegął coś interesującego na dywanie. To zdecydowanie nie był mój dzień.

– Towarzyszu Razumowski, partia powierzyła wam dochodzenie szczególnej wagi – powiedział wypranym z emocji głosem. – Szczegóły wyjaśni wam pułkownik Tagilin.

– Może u mnie? – zaproponowałem.

Maksimow przyzwalająco skinął głową, wyszedłem więc na korytarz, za plecami usłyszałem pospieszne kroki.

– Gdzie tak pędzicie, Razumowski? – spytał z niezadowoleniem Tagilin. – Muszę wam przekazać rozkazy towarzysza Berii.

Otworzyłem drzwi i zaprosiłem bezpieczeniaka gestem do swojego gabinetu.

– Słucham – powiedziałem, zajmując miejsce za biurkiem.

Tagilin skrzywił się niechętnie, najwyraźniej doszedł do wniosku, że zaoferuję mu swój fotel, może przeproszę za wcześniejsze zachowanie. Nie doczekasz się gnoju, pomyślałem.

– Wiecie, o co chodzi – odezwał się burkliwie. – Musicie dorwać Iwanowa i zabrać mu dokumenty. Daję wam na to tydzień – dodał ze złośliwym uśmiechem.

Wyciągnąłem papierosa, zapaliłem, nie częstując bezpieczeniaka, z namysłem wydmuchnąłem dym w stronę sufitu. W normalnej sytuacji pewnie wykonałbym jakiś pojednawczy gest, nie jestem samobójcą, ale mój los był już przesądzony, wyczytałem to w oczach Tagilina. Kiedy tylko wykonam polecenie Berii, pójdę pod ścianę, w tej sytuacji nie było sensu się podlizywać.

– Dajecie mi tydzień? – spytałem łagodnie. – Wy, osobiście? Nie

wiedziałem, że towarzysz Beria pozwolił wam decydować w tej sprawie, odniosłem wrażenie, że jesteście tylko posłańcem, nikim więcej.

Trafiłem. Na policzkach Tagilina wykwitły czerwone plamy. Jeśli sprawa była tak ważna, że zainteresowany nią był sam Ławrentij Pawłowicz, liczył się tylko rezultat, a skoro безпеca nie była w stanie dorwać Iwanowa, do czasu załatwienia sprawy byłem nietykalny. Co innego później.

– Siedem dni to zdecydowanie za mało, w tej sytuacji muszę zameldować towarzyszowi Berii, że nie jestem w stanie wykonać zadania – kontynuowałem.

Nie spiesząc się, sięgnąłem do telefonu, ale bezpieczniak okazał się szybszy i przycisnął dłonią słuchawkę.

– No dobrze, nie ma żadnego nieprzekraczalnego terminu – przyznał, dysząc ciężko.

– Coś jeszcze? – rzuciłem z pozorną bez troską.

– O tak! Jest jeszcze coś – odparł, nagle odzyskując dobry humor. – Ponieważ Biuro Polityczne uznało, że schwytanie tego, jak mu tam? Czugajewa jest ważne dla obronności państwa, będziecie prowadzili oba śledztwa jednocześnie. To chyba nic trudnego dla waszego wydziału? Podobno jest najlepszy.

– To prawda – przytaknąłem, starając się nie okazywać przepelniającej mnie złości. – To właśnie dlatego prosicie mnie o pomoc.

– Wiesz, że zabiję cię osobiście?

– Spróbujesz – sprostowałem.

Zanim zdobył się na odpowiedź, wydmuchnąłem mu dym prosto w twarz. Wychodząc, trzasnął drzwiami z taką siłą, że zakołysały się portrety na ścianach. Cóż, i tak nie zostalibyśmy przyjaciółmi...

Nie minęła minuta, kiedy w progu pojawił się Bugrowski. Poeta rozejrzał się ostrożnie i przysiadł ciężko na krześle.

– Mówiłem, że was zmuszą – powiedział ponuro. – Co teraz?

– Będziemy szukać Czugajewa i Iwanowa.

– Obu naraz?!

Przytaknąłem ruchem głowy.

– Zwariowali, nie damy rady!

Wzruszyłem ramionami – Bugrowski nie był głupi, wiedział, że nie mamy wyjścia.

– Od czego zaczniemy?

– Jeszcze dziś pogadam z Cichym, potem zobaczymy.

– Myślicie, że któryś z nich ukrywa się wśród urków?

– Wątpię, to nie ten typ ludzi, ale *blatni* mają oczy tam, gdzie nie sięga wzrok milicji, a nawet tajnych służb. Kto wie czy nie wpadną na jakiś ślad?

– Możliwe – zgodził się bez przekonania Bugrowski. – A poza tym?

Sięgnąłem po teczkę Czugajewa i podsunąłem poecie wymownym gestem.

– Ja zajmę się Iwanowem, ty naszym przedsiębiorczym Kazachem – wyjaśniłem, widząc zaskoczenie na twarzy chłopaka.

– Jego matka urodziła się w Moskwie, Kazachem był tylko ojciec – poprawił mnie z roztargnieniem.

– Nieważne! – Machnąłem ręką. – Zajmij się nim.

– Powierzacie mi samodzielne śledztwo takiej wagi? – spytał niedowierzająco.

– Przecież się nie rozdwoję – mruknąłem. – Brakuje ci jeszcze doświadczenia, ale myślę, że dasz sobie radę. Jedna uwaga: nie waz się działać w pojedynkę! Jeśli pomagają mu Chińczycy... – Zawiesiłem wymownie głos.

– To co? – zmarszczył brwi Bugrowski. – Przecież to tylko...

Przerwałem mu kuksańcem. Solidnym kuksańcem.

– *Komandir!* – zaprotestował.

Bez słowa zdjęłem marynarkę i podwinąłem rękawy koszuli, demonstrując szramy na przedramionach. Wyglądały jak sinoczerwone węże.

– To pamiątka po spotkaniu z agentami Qingbao – wyjaśniłem sucho.

– Qingbao? – powtórzył, od razu bezbłędnie wymawiając słowo.

– Wywiad. Chińczycy pisali traktaty na ten temat, kiedy nasi przodkowie skakali jeszcze po drzewach. Sam wyraz składa się z dwóch znaków: „Qing”, co można przetłumaczyć jako „realne fakty” albo „sytuacja”, i „bao”. Ten drugi symbol pochodzi od bardzo starego piktogramu, oznaczającego osobę powaloną na kolana, z unieruchomionymi rękoma, zmuszoną do składania zeznań. Jeśli wejdiesz w drogę chińskim agentom, sam znajdziesz się w takiej sytuacji. A wierz mi, to nic przyjemnego.

– Przecież jesteście sojusznikami? Jak wy...

Powstrzymałem go stanowczym gestem.

– Dość gadania! – uciałem. – Do roboty!

Kiedy wyszedł, długo jeszcze masowałem stare blizny. Ech, szlag by to! Czas zmienić nastrój, zanim zabiorę się do poszukiwań Iwanowa, bo nie będzie łatwo.

Podniosłem słuchawkę i zamówiłem stolik w restauracji „Sowiecka”.



Wysiadłem z tramwaju, rozejrzałem się dyskretnie, udając, że sprawdzam, która godzina. Odruch. Bezsensowny w tym miejscu i tych

okolicznościach. Obecnie nikt na mnie nie polował – dopóki nie złapię Iwanowa, byłem bezpieczny, zatroszczy się o to sam Ławrentij Pawłowicz. Prawda, że później sytuacja może zmienić się radykalnie.

Zauważyłem go niemal od razu; na pierwszy rzut oka było widać, że nie stanowi żadnego zagrożenia: ot, drobny staruszek ubrany w wytworne niegdyś, a dziś wyraźnie wyświechtane palto. Sam nie wiem, co zwróciło moją uwagę. Jego postawa? Sposób, w jaki trzymał głowę? A może tęskny wzrok skierowany w stronę wejścia do restauracji? Przy tym wszystkim nie wyglądał na pijaka czy kogoś, kto nie ma co jeść.

– Pomóc wam w czymś, towarzyszu? – spytałem.

– Dziękuję, nie trzeba – odparł, nie odrywając oczu od wejścia.

Wzruszyłem ramionami i pomaszerowałem w stronę knajpy, miałem dość własnych zmartwień, cudze mi niepotrzebne.

– Przepraszam – usłyszałem po chwili. – Idzie pan do „Jaru”?

– Jakiego, do licha, „Jaru”? Chcę po prostu coś przekąsić. I wypić – dodałem po namyśle.

– Ta restauracja kiedyś tak się nazywała – wyjaśnił. – Dawno temu.

– Może pójdzie pan ze mną, zapraszam – zaproponowałem kierowany niezrozumiałym impulsem. – Opowie mi pan o dawnych czasach.

Staruszek zawahał się na moment, po chwili skłonił z wdzięcznością. Zauważyłem, że formę „pan” potraktował jako coś oczywistego, najwyraźniej nie przepadał za proletariackim „wy”. Ciekawe...

Przepuściłem go w drzwiach, po czym weszliśmy do holu, oddaliśmy okrycia szatniarzowi. Nieznajomy miał na sobie elegancki garnitur o staromodnym kroju, z brustaszy wystawała ozdobna poszetka, na palcu mężczyzny zauważyłem masywny złoty sygnet.

– August Woroncowa – przedstawił się, podając mi rękę.

– Razumowski. – Odwzajemniłem uścisk.

Miałem stałą rezerwację, usiedliśmy więc od razu przy stoliku i mój towarzysz przywołał kelnera uniesieniem dłoni. Jak zauważyłem, zrobił to odruchowo, tak jakby powtarzał gest wykonywany setki razy.

– Proszę się nie krępować – powiedziałem, napotkawszy niepewny wzrok Woroncowa.

– Galaretę z byczych ogonów sobie darujemy – powiedział z lekkim niesmakiem, studiując menu. – Poproszę boeuf Strogonow, barszcz staromoskiewski, sałatkę z krewetek tygrysich, do tego przydałyby się zakąski...

– Zdaję się na pański gust – powiedziałem.

– W takim razie czerwony kawior i solone grzybki.

– Dla mnie kotlet kijowski i zupa rybna – szybko uzupełniłem zamówienie. – Obiecał pan opowiedzieć o historii tej restauracji –

przypomniałem, kiedy zostaliśmy sami.

– Oczywiście – uśmiechnął się Woroncow. – Z przyjemnością. Kiedyś byłem tu stałym gościem. Wie pan, skąd pochodzi nazwa „Jar”?

Zaprzeciłem ruchem głowy.

– W tysiąc osiemset dwudziestym szóstym Francuz Tranquille Yard stworzył restaurację na moście Kuznieckim. Tu, gdzie siedzimy, „Jar” pojawił się dziesięć lat później. Początkowo był to niewielki, drewniany budynek. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym lokal kupił niejaki Aksjonow, później przejął go były oficjant Aleksiej Sudakow. Ten ostatni właściwie zbudował go od nowa, od tego czasu niewiele się tu zmieniło.

Rozejrzałem się, jakbym przyszedł tu pierwszy raz, rzeczywiście wystrój był zdecydowanie przedrewolucyjny: złożone plafony, gabinety dla gości pragnących pobiesiadować w samotności lub w wąskim gronie, kryształowe żyrandole...

– Sudakow kazał tu zbudować lożę dla rodziny imperatora, choć ten nigdy nie odwiedził „Jaru”, ale bywało tu wiele innych sławnych osobistości: Sawwa Morozow, Czechow, Gorki, Szaliapin, Balmont, a nawet Rasputin – kontynuował Woroncow.

Tymczasem przy naszym stoliku wyrosło jak spod ziemi dwóch kelnerów, pojawiły się zamówione dania i wódka. Rozlałem alkohol, uniosłem szkło.

– Za stare, dobre czasy – powiedziałem z uśmiechem.

Woroncow zaaprobował toast z wyzywającym błyskiem w oku.

– Mam siedemdziesiąt pięć lat – powiedział pozornie bez związku. – Niewiele mi już zostało.

– Nie jestem kapusiem – odparłem obojętnie. – Z mojej strony nic panu nie grozi, o ile nie zacznie pan strzelać do portretów wodzów rewolucji. Wtedy musiałbym zareagować, pracuję w milicji – wyjaśniłem, wskazując wzrokiem ogromnych rozmiarów podobiznę Stalina.

Mięśnie na policzkach Woroncowa zagrały, nie zdążyłem jednak odczytać emocji, mój towarzysz odgonił je gestem, jakby zrywał z twarzy pajęczynę.

– Tym lepiej – mruknął.

Przez jakiś czas delektowaliśmy się jedzeniem, z rzadka sięgając po kieliszki z wódką.

– Pewnie ciekawi pana, co tu robię? – spytał Woroncow po kolejnym toaście.

– Odrobinę – przyznałem.

– To coś w rodzaju podróży sentymentalnej, odwiedzam miejsca, które znam z czasów młodości, takie, w których zachowały się okruchy dawnych wspomnień.

- Ale dlaczego nie wszedł pan do „Sow”... „Jaru”?
- Nie stać mnie. Zresztą tu wpuszczają tylko aparatczyków, nową elitę intelektualną i hokeistów – odparł, łagodząc wypowiedź uśmiechem.
- Nie stać?
- Ach, ma pan na myśli ten sygnet? To pamiątka rodowa, nigdy bym go nie sprzedał.
- A poza tym lokalem? Zostało coś jeszcze z dawnej Moskwy?
- Owszem, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.
- Oświeci mnie pan?
- Dlaczego nie? Jestem panu coś winien za poczęstunek i możliwość odwiedzenia starych kątów.
- Słucham – zachęciłem.
- A pan ma jakieś skojarzenia?
- *Gastronom* numer jeden? – rzuciłem niepewnie.
- Tak, to dawny dom towarowy Jelisiejewa – przytaknął.
- Znał go pan?
- Owszem – odparł jakby nigdy nic. – Należeliśmy do tego samego klubu, poznałem go w tysiąc dziewięćset piętnastym, kiedy formalnie otrzymał dziedziczne szlachectwo. Wcześniej, jako kupiec, nie miał wstępu do szlacheckich klubów. Nie żeby mu na tym zależało, to był człowiek czynu, obojętny wobec dworskiego blichtru.
- A pan?
- Och, nie byłem nikim nadzwyczajnym, choć moja rodzina posiada tytuł szlachecki od siedemnastego wieku.
- Czym się pan zajmował?
- Zarządzałem rodzinnym majątkiem, mieliśmy posiadłość pod Żytomierzem.
- Znał pan okoliczną szlachtę? – spytałem szybko.
- Tyle o ile. Dlaczego pan pyta?
- Interesuje mnie pewna rodzina, mieli posiadłość na Ukrainie niedaleko pańskiej.
- Jak się nazywali?
- Powiedziałem mu. Milczał długo, wreszcie pokręcił głową.
- Nie – odparł stanowczo. – Za wysokie progi. Słyszałem o nich, ale jeśli widziałem, to tylko z daleka. Co prawda ani hrabia, ani jego syn nie byli snobami, lecz w tym środowisku panowała dość ścisła hierarchia. Były też inne niuanse.
- Tak?
- Polacy zawsze trzymali się nieco na uboczu, choć ta akurat rodzina nie dystansowała się specjalnie od rosyjskich ziemian. O ile pamiętam, syn hrabiego ożenił się z Rosjanką.
- Jak się nazywała?

- Proszę wybaczyć, upłynęło już tyle czasu. – Bezradnie rozłożył ręce.
- Na pewno była arystokratką, ale szczegóły zatarły mi się w pamięci.
- Gdyby pan sobie przypomniał...
- Mam nadzieję, że to nie zainteresowanie zawodowe?
- W żadnym wypadku!
- W takim razie nie rozumiem, dlaczego zajmują pana takie detale?
- Z powodów osobistych – odparłem sucho.

Woroncow nie zarzucił mi kłamstwa, jednak zacięty wyraz twarzy sugerował, że jeśli go nie przekonam, nasza rozmowa skończy się tu i teraz.

– No dobrze – westchnąłem. – Pamięta pan, jak wyglądał hrabia i jego syn?

– Nie, niespecjalnie, choć pewnie rozpoznałbym ich na fotografii.

Wyciągnąłem z zanadrza dwa zdjęcia, jedno przedstawiało mojego dziadka i pochodziło z imperialnego herbarza wydanego w tysiąc dziewięćset trzecim roku, drugie zrobiłem ojcu kilka lat przed śmiercią.

– Poznaje pan? – spytałem.

Woroncow odsunął fotografie na odległość wyciągniętej ręki, widać dolegała mu starcza nadwzroczność.

– Tak – przyznał. – To oni. I co z tego? Nadal nie rozwiewa to moich wątpliwości.

– Niech mi się pan przyjrzy – zaproponowałem.

Starzec spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami, w chwilę później jego oczy rozszerzyły się w zdumieniu.

– Niemożliwe – wymamrotał. – Jest pan synem...

Powstrzymałem go stanowczym gestem, ruchem głowy wskazałem kręcących się wokół kelnerów.

– Wolałbym to zachować w tajemnicy – oznajmiłem cierpko. – Jak pan wie, szlacheckie pochodzenie to obecnie żaden powód do dumy.

– Raczej arystokratyczne niż szlacheckie – poprawił mnie pedantycznie.

– Tym bardziej! – warknąłem.

– Naprawdę nie pamiętam nazwiska pańskiej matki – zapewnił. – Lecz to nietrudno sprawdzić, ślub pańskich rodziców był szeroko komentowany w prasie, wystarczy przejrzeć kilka roczników.

Skłąłem się w myśli za głupotę. Woroncow miał rację, parę wieczorów w bibliotece i poznałbym nazwisko matki. Inna sprawa, że nie miałem zbyt wiele czasu na takie zabawy, ostatnio każdą wolną chwilę zajmowała mi nauka chińskiego: postanowiłem przeczytać zapiski Doskonałych w oryginale. Kto wie? Może znajdę tam jakieś wskazówki, jak wrócić do pełnego zdrowia? Sun zneutralizował co prawda truciznę, jaką poczęstowała mnie podwładna Abakumowa, nadal jednak odczuwałem osłabienie.

– Zajmę się tym – powiedziałem. – Dziękuję za towarzystwo i opowieść.

Poprosiłem o rachunek i zapłaciłem, nie zapominając o napiwku dla kelnera. Mimo nazwy restauracji zwyczaj w niej panujące były zdecydowanie niesowieckie.



Niebo nad miastem rozpogodziło się, zniknęły chmury. Nieśmiałe promienie wiosennego słońca ozłociły dachy błyszczące po niedawnym deszczu, rozpiąłem więc płaszcz i odruchowo sprawdziłem, czy łatwo sięgnąć do podramiennej kabury.

Młoda dziewczyna w zawadiacko przekrzywionym berecie stanęła przed rozlaną na szerokość chodnika kałużą, najwyraźniej zastanawiając się, czy ją przeskoczyć, czy zaryzykować zmoczenie butów. Postąpiłem krok naprzód, wyciągnąłem zachęcająco rękę. Wskoczyła mi w ramiona, a kiedy przeniosłem ją na drugą stronę, podziękowała powłóczyстым spojrzaniem.

– Ja też tak chcę – powiedziała drobna staruszka, mrugając do mnie figlarnie.

Skłoniłem się z rewerencją, po czym spełniłem jej prośbę. Była lekka jak dmuchawiec i pachniała werbeną.

– Łobuz z ciebie, chłopcze. – Pogroziła mi żartobliwie palcem. – Ale dziękuję, dobre czterdzieści lat nie zdarzyła mi się taka okazja.

Pomaszerowałem dalej z uśmiechem, skręciłem w ulicę Czernyszewskiego. Tym razem Cichy zatrzymał się w obdrapanej dziewiętnastowiecznej kamienicy, tuż obok baru piwnego. Zapewne chłopakom Tichonowa podobało się sąsiedztwo, stary złodziej niemal nie pił alkoholu.

Wyminąłem kilku zataczających się pijaczków, pchnąłem drzwi obskurnego lokalu. Wnętrze knajpy przywitało mnie odorem zwiertzałego piwa, papierosowego dymu i męskiego potu, kobiet na sali nie było. Zamówiłem małe jasne i przysiadłem w kącie, wciśnięty między rosochaty wieszak a kulawy, pamiętający lepsze czasy stolik. Pokrywająca meble gruba warstwa tłustego kurzu świadczyła, że miejscowi nie są fanatykami higieny – podejrzewałem, że ostatni raz sprzątano tu przed rewolucją.

Ostrożnie odsunąłem talerz z resztkami suszonej ryby, który pozostawił tu wcześniejszy gość, i pociągnąłem łyk z obtłuczonego kufła. Tak jak podejrzewałem, piwo smakowało obrzydliwie.

Przez jakiś czas obserwowałem dyskretnie stałych bywalców, ledwie

widocznych przez kłęby papierosowego dymu. Choć klienci nie żalowali gardeł, a bywało, że w ruch szły i pięści, nie wychwyciłem żadnego specjalnego zagrożenia. Ot, knajpa jak knajpa. Bywają lepsze, bywają i gorsze.

Z kuflem w garści zacząłem przedzierać się do okna, wreszcie przysiadłem się do potężnego mężczyzny w pasiastej marynarskiej koszulce. Nie zaprotestował, spał z głową w talerzu z sałatką śledziową.

Wyjrzałem na ulicę. Instykt mnie nie mylił: przy kamienicy, w której miałem spotkać się z Cichym, kręciło się kilku podejrzanych typów. Zmarszczyłem brwi. Ki czort? Beria? Nieprawdopodobne, nawet gdyby mi nie ufał w kwestii złapania Iwanowa, kazałby śledzić mnie, a nie starego złodzieja. A za mną nikt nie łąził, sprawdzałem to kilkakrotnie. Tagilin? Również wątpliwe. Po lekcji, jakiej mu udzieliłem, będzie siedział cicho, oedrże mnie ze skóry dopiero, jak załatwię sprawę. Coś było nie tak.

Uniosłem kufel, zasłaniając twarz; umoczyłem usta w piwie, a raczej w tym, co tu uchodziło za piwo, ponownie zerknąłem przez szybę. Ludzie na ulicy nawet się nie kryli, tak jakby było im obojętne, czy ktoś ich zauważy. Wariactwo... W dodatku ucharakteryzowani byli na *blatnych*, co w tej akurat okolicy nie dziwiło, jednak służby specjalne nigdy nie wrzucały wszystkich jajek do jednego koszyka. A środki transportu? Nie zauważyłem ani jednego samochodu osobowego, a zaparkowana po drugiej stronie ulicy ciężarówka raczej nie spełniała wymogów, jakie regulaminy stawiały przed wozem służącym „do pościgu lub ewakuacji”. Co się dzieje?

Wyszedłem z knajpy i udając, że się zataczam, pomaszerowałem w stronę najbliższej budki telefonicznej. Zanim pójde zobaczyć się z Cichym, lepiej upewnić się, że wszystko gra.

Telefon odebrał sam Tichonow, a nie jeden z jego przybocznych, tak jakby stary złodziej czuwał przy aparacie.

– Co to za ludzie wokół kamienicy? – spytałem, nie tracąc czasu na wymianę uprzejmości.

– Można powiedzieć, że konkurencja – wychrypiał.

– Jaka, do licha, konkurencja?! Mieliśmy porozmawiać, pamiętasz?

– Obawiam się, że rozmawiać będziesz z moim następcą, za jakieś pół roku, kiedy wszystko się uspokoi – odparł z ledwo zauważalnym odcieniem rezygnacji. – Do Moskwy przybyła prężna grupa z Odessy, część moskiewskich *blatnych* przeszła na ich stronę. To oczywiście wbrew zasadom, ale zwycięzców się nie osądza. Prędzej czy później *schodka* zaakceptuje nową władzę.

– A ty? Jakie masz szanse?

– Teraz? Żadnych. Jeden z moich mnie zdradził, jestem w pułapce.

– Rozumiem, że nie wszyscy cię opuścili?

– Nie wszyscy. Już podzwoniłem po ludziach, ale zanim przyjadą, minie kilka godzin. Do tego czasu będę już martwy.

– To chyba dałoby się załatwić – powiedziałem ostrożnie. – Masz tu gdzieś w pobliżu samochód?

– Tak, dwie ulice dalej. A co?

– Więc wystarczyłoby, żebym skasował paru urków i zrobił ci przejście w tym kordonie?

– Teoretycznie tak. Ale ich jest tu co najmniej piętnastu, a ja mam przy sobie tylko dwóch ludzi, w tym rannego. No i nie wiem, dlaczego miałbyś to robić.

– Nie mogę czekać pół roku i wolę gadać z tobą, stary pierdzielu, niż nawiązywać nowe stosunki towarzyskie. Rozumiesz, nie lubię zmian – odparłem niecierpliwie. – A teraz do rzeczy: szykuj się do wyjścia.

– Nie dasz im rady – powiedział stary złodziej. – Jest ich zbyt wielu.

– Wystarczy, że pozbędę się ekipy pilnującej wyjścia. Zanim reszta się zorientuje, będziemy daleko. No i nie zamierzam się z nimi boksować według reguł markiza Queensberry.

– Daj spokój, jaki sens ginąć w cudzej wojnie?

– Nie zginę – zapewniłem. – Znasz ten psalm? „Chociaż idę doliną cienia i śmierci, niczego się nie boję...” Amerykańscy żołnierze zmienili zakończenie: „bo to właśnie ja jestem najgorszym skurwysynem w tej dolinie”. Czekał na sygnał. – Rozłączyłem się.

Wróciłem do baru, zamówiłem kolejne jasne i poprosiłem o coś mocniejszego. Tłusty, niedbale ogolony barman bez słowa sięgnął pod ladę i wyciągnął na wpół opróżnioną butelkę stolicznej, po czym uczynił gest, jakby chciał mi wzmocnić piwo. Zasłoniłem kufel dłonią, położyłem na ladzie dziesięć rubli i zgarnąłem butelkę. Nie zaprotestował, najwyraźniej rozumiał, że niektórzy klienci nie chcą mieszać dobrej wódki z kiepskim piwem.

Łyknąłem solidnie, po czym poczłapałem do wyjścia, w przelocie pozwoliłem się potrącić drobnemu, łyseму kurdupłowi. Kolidacja spowodowała, że oblałem sobie marynarkę alkoholem. Odepchnąłem gniewnie łysola i wyszedłem na ulicę, nie wypuszczając z ręki flaszki. Nie wyróżniałem się specjalnie wśród przechodniów: nadchodził wieczór i strudzony lud roboczy ścigał do knajpy na zasłużony odpoczynek, choć niektórzy woleli kupić coś na wynos. Ci stali po bramach albo okupowali kilka okolicznych ławek. Na szczęście nigdzie nie było tłoku, więc *blatnych* pilnujących kamienicy Cichego widziałem jak na dłoni.

Jeszcze raz policzyłem urków: jeden pod oknami, dwóch w bramie. I chuj wie ilu na podwórku czy po drugiej stronie budynku. Taaak, sytuacja nie była łatwa, jeden błąd i będę miał na karku parunastu bandziorów. Tokariew przyjemnie obciążał mi kaburę, choć lepiej

byłoby obejść się bez strzelaniny. Trupami nikt się nie będzie przejmował, nie ta okolica, ale broń palna to inna rzecz, w takich przypadkach prowadzono śledztwo solidnie i do końca – władza wszędzie węszyła imperialistycznych agentów.

Podszedłem do spacerującego pod oknami urki i nie siląc się na subtelności, z całej siły uderzyłem go kantem dłoni w szyję. Zwalił się na bruk jak rażony gromem. Cóż, zdziwiłbym się, gdyby przeżył, potrafiłem takim ciosem rozbić dwie cegły albo grubą deskę.

Odciągnąłem go pod mur i cisnąłem obok butelkę. Na pierwszy rzut oka jeszcze jeden pijaczyna.

Z bandziorami w bramie poszło mi gorzej. Jednego zaszedłem od tyłu, uderzyłem kolaniem w dolną część kręgosłupa, po czym skręciłem mu kark, jednak drugi nie dał się zaskoczyć i musiałem użyć noża. Dobrze, że miałem ciemną marynarkę i nadchodził zmrok.

Rozejrzałem się – nie zauważyłem nikogo podejrzanego, tylko jakaś starucha wieszala pranie.

Gwizdnąłem ostro, trzasnęły drzwi i przez podwórze przemknął niepozorny, podobny do łasicy facet. W chwilę później pojawił się Cichy, podtrzymujący pod ramię osiłka z obwiązaną zakrwawionym bandażem głową.

– Znikajcie! – rzuciłem ostro.

Zanim dokończyłem, zza schnących prześcieradeł wybiegło dwóch urków, tupot wielu nóg świadczył, że mają kumpli. Szlag!

Pierwszego powitałem uderzeniem podstawą dłoni w podbródek, trzask łamanego kręgosłupa upewnił mnie, że już się nie podniesie. Drugi pchnął mnie nożem w brzuch. Zrobiłem unik i przejechałem mu własnym ostrzem po nadgarstku, powaliłem podcięciem, po czym poderżnąłem gardło.

Kolejni napastnicy znaleźli się już przy mnie, ledwo zdążyłem wyjąć pistolet. Wystrzeliłem wszystkie naboje z taką szybkością, że zabrzmiało to jak seria, błyskawicznie zmieniłem magazynek. Jeden jeszcze się ruszał, dobiłem go strzałem w głowę. Nie potrzebowałem świadków.

Wiedziałem, że zaraz zwali się tu tłum ciekawskich, zanurkowałem więc w bramę i obiegłem kamienicę, dalej ruszyłem spokojnym krokiem. Dopiero po kilku minutach usłyszałem odległe krzyki, cóż, większość miejscowych miała drobne kłopoty z zachowaniem równowagi, gdzie im tam do pościgu?

Mimo że udało mi się uciec, nie byłem zadowolony, bo następstwa mojej interwencji mogły być poważne. Jeśli zajście zbada lokalna milicja, meldunki trafią do MUR-u i bezpieki, takie procedury. To już nie te czasy, kiedy każdy obszczymurek miał broń. Teoretycznie do czasu schwywania Iwanowa znajdowałem się pod ochroną Berii, wołałem jednak nie sprawdzać, na ile tolerancyjny jest Ławrentij Pawłowicz.

Trzeba było coś zrobić, i to szybko.



Ledwo przekręciłem klucz w zamku, drzwi sąsiedniego mieszkania uchyliły się lekko i na korytarz wyjrzała Natasza Pokrowska.

– Możemy porozmawiać, Saszka? – spytała. – To ważne.

Zaprosiłem ją niechętnym gestem. Od czasu kiedy wydała mnie w ręce generała Wołkowa, moje stosunki z sąsiadką były mocno skomplikowane, do tego byłem zmęczony i brudny, chciałem się wykąpać i zrzucić zakrwawione łachy, jednak Natasza nigdy nie zawracała mi głowy bez powodu.

– Co się stało? – burknąłem.

– Tu są rachunki za trumny i całą resztę. – Położyła na stole plik paragonów. – Jutro pogrzeb. Przyjdiesz?

– Nie – odparłem twardo. – Jak obiecałem, biorę na siebie wszystkie koszty, ale nie mam zamiaru włączyć się po cmentarzach.

Natasza przygryzła wargi, lecz nie zaprotestowała, wiedziała, że nie znoszę pogrzebów. Zbyt wiele razy służyłem pożegnalnych salw i chrobotu sypanej na trumnę ziemi. Zbyt wiele...

– Dzwonił Cichy – poinformowała po trwającej kilka sekund ciszy. – Z podziękowaniem i zapewnieniem, że w ciągu dwóch, góra trzech dni zaprowadzi w Moskwie porządek.

Mruknąłem z aprobatą, bo ostatnie, czego mi było trzeba, to problemy z *błatnymi*. Do tego musiałem skorzystać z pomocy Tichonowa. Jeśli nie zdobędę dokumentów, na których zależy Berii, ten bez wahania wyśle mnie do piachu. Inna sprawa, że nawet kiedy je znajdę, robi to samo, tylko nieco później.

– To wszystko?

– Tak, będę informowała cię na bieżąco.

Poczekalem, aż Natasza wyjdzie, po czym zrzuciłem brudne łachy i wszedłem pod prysznic. Woda była chłodna, mimo że odkręciłem tylko kurek z gorącą, za to przynajmniej zmyłem z siebie pot i krew. Narzuciłem na siebie szlafrok i zadzwoniłem do Bugrowskiego.

– Wpadłeś na jakiś trop? – spytałem po krótkim powitaniu.

– *Komandir* – jęknął chłopak – wiecie, która godzina?

– Słucham! – ponagliłem.

– Czujajew nie ma w Moskwie żadnych kumpli ani krewnych, sprawdzałem! Pewnie zamelinował się u kogoś zupełnie niezwiązanego z rodziną czy działalnością zawodową. Jeżeli to przypadkowa znajomość, a na to wygląda, nigdy go nie znajdziemy.

– Ale?

– Nie rozumiem?

– Dima, matołku – powiedziałem ze znużeniem. – Znam cię jak zły szeląg, słyszę po głosie, że jesteś zmęczony, ale nie zrezygnowany, znaczy wpadłeś na jakiś pomysł. Gadajże wreszcie!

– Cóż, nie zaprzeczam, że mój geniusz dedukcyjny...

– Dima!

– No dobrze – zaśmiał się Bugrowski. – Już mówię. Czugajew ma pewną słabość, jest rzecz, bez której nie może żyć.

– Baby? Wódka?

– Beszbarmak.

– Co takiego?!

– Przecież mówię: beszbarmak.

Westchnąłem ciężko i przysiadłem na kanapie, spodziewając się, że nasza rozmowa trochę potrwa. Przez najbliższe parę minut poeta będzie się puszył, a dopiero kiedy uzna, że zrobił sobie odpowiednie *entrée*, powie mi, o co chodzi. Oczywiście mogłem przerwać to przedstawienie jednym rozkazem, ale mądry dowódca pozostawia podwładnym trochę swobody, dzięki temu ci czują się docenieni. Przy tym wszystkim wiedziałem, że Bugrowski nie rzuca słów na wiatr: jeżeli twierdzi, że coś odkrył, znaczy tak jest.

Siedziałem przy aparacie, tłumiąc ziewanie, stopniowo głos poety zanikał, by wreszcie zamienić się w ledwo słyszalny szum. Z pólśnu wybiła mnie cisza.

– Nie słuchacie, *komandir* – odezwał się z wyrzutem Bugrowski.

– Miałem ciężki dzień – wyjaśniłem. – A teraz do rzeczy. Co to jest ten cały beszbarmak?

– Coś w rodzaju gulaszu z koniny. Najlepszy robi się ze zrebąt.

– I co w związku z tym?

– Mówiłem, że Czugajew nie może bez tego żyć. W Moskwie są tylko trzy restauracje serwujące prawdziwy beszbarmak, w tym dwie naprawdę dobre. Wysłałem tam już ludzi ze zdjęciami Czugajewa. Jeśli się pojawi, nasi go zwiną.

– Dobra robota – pochwaliłem. – Dwie poprawki: wyślij ekipę i do tej kiepskiej knajpy. I powiedz, żeby tylko go śledzili. Sam zajmę się naszym Kazachem, bo gość może mieć wsparcie Chińczyków, nie potrzeba nam kolejnych trupów.

– Wątpię, żeby się nim przejmowali.

– Lepiej na zimne dmuchać – odparłem sentencjonalnie.

Sam też wątpiłem, żeby zbiegiem interesował się nadal chiński wywiad. Tacy ludzie jak Czugajew okazywali się użyteczni tylko do momentu zakończenia akcji, później traktowano ich jak zużytą prezerwatywę, często wręcz likwidowano, jednak kto wie? Lepiej

uważać. Blizny przypominały mi, że już raz nie doceniłem Chińczyków.

– Jak sobie życzycie – odpowiedział chłopak posłusznie.

– I jeszcze jedno: chcę cię zobaczyć u siebie góra za godzinę. Gdybym zasnął, to mnie obudzisz.

Cisza w słuchawce była miarą zdziwienia Bugrowskiego, żadnych protestów, żadnych pytań.

– Tak jest! – rzucił słuźbiście.

Odłożyłem słuchawkę i jeszcze raz pogratulowałem sobie, że wziąłem Bugrowskiego do swojego zespołu. Chłopak bił na głowę inteligencją wszystkich innych śledczych MUR-u, no i był całkowicie lojalny. Jeśli ktoś ma mi pomóc posprzątać bałagan, jakiego narobiłem na Czernyszewskiego, to tylko mój poeta.



Obudził mnie odgłos otwieranych drzwi i ostrożne kroki. Wygramoliłem się z łóżka i narzuciłem na siebie szlafrok, po czym poczłapałem do kuchni, gdzie gospodarował już Bugrowski.

– Kawy, *komandir*? – zaproponował.

– Poproszę.

Po chwili stała przede mną filiżanka aromatycznego, czarnego jak smoła płynu. Skosztowałem, kawa była zadziwiająco smaczna.

– Znakomita – pochwaliłem. – Gdzieś ty się tego nauczyłeś?

– Mama mi pokazała. – Chłopak wzruszył ramionami.

Rumieniec świadczył, że to wyznanie sporo go kosztowało.

– Wstydzisz się tego? – spytałem ze zdziwieniem. – Oddałbym parę lat życia, żeby zobaczyć moją matkę, porozmawiać z nią, dotknąć...

– No nie – zaprzeczył bez przekonania. – Dlaczego mnie wezwaliście, *komandir*? Czyżby chodziło o tę jatkę na Czernyszewskiego? – dorzucił, odzyskując dobry humor.

– Skąd ten pomysł?

– To nic trudnego, po prostu kazałem położyć sobie na biurku wszystkie meldunki za ostatnią dobę. No i szukałem czegoś, co można by z wami powiązać, na przykład góry trupów.

– A jeśli to nie ja?

– To znaczy, że w mieście pojawił się maniackalny morderca niełubiący *blatnych* – odgryzł się chłopak. – Co tam się stało? – spytał już poważnie. – Generał Maksimow mało nie dostał zawału.

– Ratowałem Cichego, grupa urków z Odessy chciała przejąć władzę w Moskwie.

– *Prosti, proszczaj Odessa – mama, mnie nie zabyt twój czudnyj wid* –

zanucił Bugrowski.

Pogroziłem mu pięścią.

– Przejmiesz śledztwo i zamkniesz tę sprawę – poleciłem.

– Zamknę? Jak? Ośmiu zabitych, a ślady wskazują, że to robota profesjonalistów. Albo jednego profesjonalisty – dokończył ciszej. – Uderzenie w tętnicę szyjną, skręcony kark, podwójne strzały w klatkę piersiową, jeden obok drugiego, tak blisko, że można je przykryć biletem tramwajowym. Wnioski są dość oczywiste. Zaszaleliście, *komandir*.

– To nie takie trudne. Nie strzelałem ze służbowej broni, więc jak znajdują zwłoki urki z tym właśnie pistoletem, nikt nie powinien mieć wątpliwości, że to sprawca.

– A skąd te zwłoki?

– Każę dostarczyć Cichemu. Ta ekipa z Odessy liczyła przynajmniej kilkanaście osób, teraz ludzie Tichonowa pewnie ścigają niedobitków. Poproszę, żeby włożyli w łapę jednemu z nich moją spluwę.

– Sprytne! – powiedział z uznaniem Bugrowski. – Może też zacznę nosić przy sobie lewą broń?

– Tobie to niepotrzebne – uciałem. – A teraz znikaj, mam jeszcze sprawy do załatwienia.

Chłopak spojrział na mnie z wyrzutem, wstał jednak posłusznie, zgarniając uprzednio przygotowane kanapki. Cóż, nie da się ukryć, że przy wszystkich swoich zaletach poeta miał problemy z opanowaniem apetytu. Poczekalem, aż wyjdzie na ulicę, i dopiero wtedy zapukałem do drzwi Nataszy. Nie żebym mu nie ufał, ale po czorta ma wiedzieć coś, co nie jest mu do niczego potrzebne?

Sąsiadka otworzyła mi ubrana w szlafrok, najwyraźniej nie spodziewała się już dzisiaj gości. Przywitałem się zdawkowo i wszedłem do mieszkania, bo sprawa, z którą przyszedłem, wymagała dyskrecji.

Za stołem w salonie siedział szesnasto-, może siedemnastoletni młodzieniec, w jego twarzy było coś znajomego.

– Lońka? – spytałem niepewnie.

– Dobry wieczór, wujku – rozpromienił się chłopak.

Podąłem mu rękę, potarłosłem za kark.

– Wyrosłeś – zauważyłem.

– Duży nie znaczy mądry – zauważył cierpko Natasza, kiedy weszła do pokoju. – Siadaj, Saszka, częstuj się – zaprosiła. – Właśnie jedliśmy kolację.

Dopiero teraz zauważyłem, że stół zastawiony jest wiktuałami – zapewne Lońka wrócił z internatu i matka chciała go odkarmić. Już kilka lat wcześniej Natasza wysłała syna do szkoły w Riazaniu, w Moskwie chłopak nieustannie wdawał się w bójki, bo inne dzieciaki wypominały mu ojca zdrajcę i matkę kryminalistkę.

Zanim zdążyłem sięgnąć po kawior, Natasza podała szampana

i wyczarowała skądś dwa kieliszki. Ruchem głowy wskazałem Lońkę, więc dostawiła trzeci, prawda, że niechętnie. Otworzyłem butelkę, rozlałem alkohol.

– Za spotkanie! – Wzniosłem szkło.

– Za spotkanie! – zawtórował mi Lońka.

Natasza skosztowała trunku z uśmiechem, po czym pocałowała mnie pachnącymi szampanem wargami. Spojrzałem na nią ze zdziwieniem: upiła się czy co? Od dawna unikaliśmy wszelkiej poufałości, i nie bez powodu – do dzisiaj nie byłem pewien, dlaczego darowałem jej życie. Czyżby chciała popisać się przed synem? Ale po co?

– Chciałbym porozmawiać z tobą, wujku – powiedział chłopak z roziskrzonym wzrokiem. – Poważnie porozmawiać.

Westchnąłem w duchu, pewnie kolejny kandydat na stróża komunistycznej praworządności. Milicjanci nie zarabiali zbyt wiele, ale też do zawodu przyciągała chętnych nie kasa, a władza.

– Jutro – odparłem stanowczo. – Dziś jestem zbyt zmęczony, miałem ciężki dzień.

– Oczywiście – zgodził się od razu. – Chyba pójdę spać – oznajmił, ziewając. – Jechałem pół dnia na stojąco, bo pociąg był zapchany do niemożliwości.

Lońka pocałował matkę i zniknął w swoim pokoju.

– Co to ma znaczyć? – spytałem szeptem.

– Wszystko ci wytłumaczę, ale lepiej u ciebie – odparła cicho Natasza.

– Bo on pewnie podsłuchuje pod drzwiami.

Skinąłem głową, chłopak bynajmniej nie wyglądał na wyczerpanego, pewnie realizował jakiś sobie tylko znany plan. Ech, gdybym wierzył w Boga, pomyślałbym, że ktoś tam na górze bardzo mnie nie lubi: Iwanow, Czugajew, kłopoty z *blatnymi*, Beria i jego przydupasy, a teraz jeszcze Lońka. W dodatku nie mogłem posłać sąsiadki w diabły, była mi potrzebna.

– Jeśli chcesz, to dam ci trochę zupy – powiedziała głośno.

– Chętnie.

Natasza wyszła do kuchni, po chwili wróciła z garnkiem w rękę.

– Grzybowa – poinformowała z uśmiechem.

Czyżby podejrzewała, że Lońka nie tylko nas podsłuchuje, ale i podgląda? Dojadłem kanapkę z kawiozem – byłem naprawdę głodny – i krzywiąc się lekko, wstałem z za stołu. Dopiero teraz czułem skutki walki z urkami, naciągnięte mięśnie i ścięgna sprawiały, że poruszałem się jak sześćdziesięciolatek. Niespecjalnie sprawny sześćdziesięciolatek.

Kiedy weszliśmy do mojego mieszkania, Natasza bez słowa postawiła zupę na ogniu. Nie sprzeciwiałem się, burczało mi w brzuchu. Jak zwykle po walce, kiedy opadnie bitewna adrenalina, czuję potworny głód.

– Co z Lońką? – spytałem.

– Martwię się o niego, ostatnio dziwnie się zachowuje.

Z trudem stłumiłem cisnącą się na usta odpowiedź. Natasza nie była głupia i sama wiedziała, że nie jestem specjalistą w dziedzinie wychowania podrostków.

– W jego pokoju znalazłam kilka książek wydanych przed rewolucją: zasady bon tonu, tabela rang, musztra wojskowa...

– Przedrewolucyjna musztra wojskowa?

– Tak. Do tego biografie sławnych dowódców i jakieś dziwne, na wpół religijne broszurki na temat męczeństwa cara i jego rodziny.

Zmarszczyłem brwi, śmierć cara i jego rodziny raczej nie była ulubionym tematem rozmów w państwie robotników i chłopów, do tego ta literatura... Czyżby Lońka zwąchał się z jakąś organizacją monarchistyczną? Niepodobieństwo, безпеka dawno wszystkie wytepiła. Co pozostawało? Prowokacja tejże безпеki skierowana przeciwko naiwnym dzieciakom. Szlag!

– Boję się – powiedziała Natasza.

Sięgnęła po chochelkę, naalała zupy, ukroiła kilka kromek chleba.

– I słusznie – przytaknałem, pochylając się nad talerzem.

– Myślisz, że to безпеka?

– A któż by inny? Nawet gdyby gdzieś jeszcze działała grupa białych oficerów, nie dopuściliby do siebie kogoś takiego jak Lońka na odległość armatniego strzału. To prowokacja, ktoś chce stworzyć monarchistyczną siatkę, a później aresztować wszystkich uczestników. Pewnie безпеka przedstawi to jako wielki sukces w walce z białym podziemiem.

– Możesz mu pomóc?

– Nie mam pojęcia, spróbuję – obiecałem.

Natasza splotła palce z taką siłą, że aż pobiełały, ale nie kontynuowała tematu. Sama wiedziała, że wszystko zależy od tego, co do tej pory zrobił jej syn: jeśli Lońka dał się wciągnąć w jakieś antypaństwowe działania, nic go nie uratuje. Jeżeli dopiero zaczęli go werbować, może uda mi się go ochronić. Z naciskiem na „może”. Cóż, nigdy nie byłem ulubieńcem безпеki i niewykluczone, że moja protekcja bardziej by mu zaszkodziła, niż pomogła. Ech, dzieciaki! Zawsze muszą w coś się wplątać.

– Chciałeś czegoś ode mnie? – spytała po chwili milczenia.

– Tokariew, biurko w sypialni, górna szuflada – odparłem zwięźle, nie przerywając jedzenia.

Zupa bardzo mi smakowała, Pokrowska znakomicie gotowała.

– Ostrożnie, naładowany! – dodałem ostrzegawczo.

– Co mam z nim zrobić?

– Oddać Cichemu. Niech położy go przy zwłokach jednego z chłopaków z Odessy i narobi szumu w okolicy, tak żeby trupa znaleźli

teraz, a nie po tygodniu.

– Dobrze, Saszka.

– Dziękuję za zupę – rzuciłem, zanim wyszła.

Odpowiedziała mi promiennym uśmiechem, lecz jej oczy pozostały czujne i nieco smutne.

Pozmywałem i poszedłem spać. Potrzebowałem odpoczynku, rano musiałem pojawić się w pracy, miałem nadzieję, że kolejny dzień będzie spokojniejszy od dzisiejszego.



Wbiegłem po schodach i nieco zdyszany zatrzymałem się przed gabinetem Maksimowa. Generał życzył sobie widzieć pułkownika Razumowskiego. Nie trzeba było proroka, żeby odgadnąć, w czym rzecz: wszystkie gazety donosiły o zajściu na Czernyszewskiego, choć – na szczęście! – żadna nie podawała liczby zabitych.

Zapukałem, po czym, nie czekając na zaproszenie, wszedłem i zameldowałem się regulaminowo.

– Skończ z tą gimnastyką, Saszka, i siadaj – polecił zmęczonym głosem Maksimow.

Podkrążone oczy i wymięty mundur świadczyły, że generał nie spał tej nocy.

– Co się dzieje? – rzucił, unosząc do ust filiżankę kawy. – Nowa wojna wśród *błatnych*? Ty, zdaje się, miałeś ich kontrolować?

– Zamów kawę i dla mnie – poprosiłem.

Maksimow sapnął gniewnie, ale wydał polecenie przez telefon i po chwili stał przede mną napełniony po brzegi kubek. Poczekalem, aż sekretarka wyjdzie, i pociągnąłem spory łyk.

– Tego było mi trzeba – westchnąłem. – Kontroluję – powiedziałem, ponaglony wzrokiem generała. – Jeszcze wczoraj kazałem zająć się tym Bugrowskiemu i pogadałem... z kim należało.

Maksimow niechętnie odnosił się do kontaktów z *błatnymi*, choć jako pragmatyk rozumiał, że to konieczne.

– No i co?

– Mogę? – Wskazałem ruchem głowy telefon.

Otrzymawszy przyzwalające skinienie, sięgnąłem po słuchawkę i połączyłem się z dyżurką.

– Bugrowskiego do gabinetu szefa! – poleciłem krótko.

– On naprawdę da sobie radę? – spytał niespokojnie Maksimow. – Siedem trupów to nie byle co. Wczoraj dzwonili do mnie z Komitetu Centralnego, podobno sam Beria jest zainteresowany wynikami

śledztwa – dokończył ciszej.

– Osiem trupów – poprawiłem. – I nie martw się o Bugrowskiego, cała sprawa jest już na finiszu.

– Naprawdę? Co tam się stało?

– Nic specjalnego, bandyci z Odessy na gościnnych występach – odparłem obojętnie. – To była mocna ekipa, ale miejscowi dali sobie radę, jednak podejrzewam, że trupów może być więcej, ta grupa liczyła kilkunastu urków.

Maksimow poczerwieniał, najwyraźniej informacja nie poprawiła mu humoru, ale zanim zdążył coś powiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – warknął generał.

– Porucznik Bugrowski melduje się...

– Raportuj! – przerwałem Dimie bezceremonialnie.

– Mamy jeszcze siedem trupów – powiedział niepewnie chłopak. – Na ulicy Gorkiego, w tym jeden z pistoletem. Wysłałem broń do laboratorium, choć podejrzewam, że to ta sama, z której zastrzelono urków na Czernyszewskiego.

– Znaczy nie będzie więcej zabójstw? – upewnił się Maksimow. – Mogę poinformować górę o zakończeniu śledztwa?

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem.

– Dzięki Bogu! – westchnął.

– Towarzyszu generale, jako przewodniczący zakładowej organizacji partyjnej nie powinniście demoralizować młodzieży, sugerując, jakoby istniały jakieś byty wyższe – powiedziałem z udanym zgorszeniem w głosie. – Obecny tu porucznik Bugrowski mógł ponieść niepowetowaną szkodę, jego wrażliwa psychika...

– Wynocha! – Maksimow chwycił masywny kałamarz. – Bo zaraz kto inny poniesie niepowetowaną szkodę!

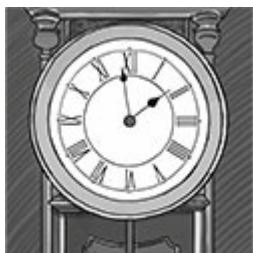
Wymknęliśmy się z gabinetu, chichocząc jak para uczniów. Skierowałem się do stołówki – znowu byłem głodny, ale Bugrowski zastąpił mi drogę.

– Mamy go, *komandir!* – zawołał tryumfalnie. – Dziś wieczór Czugajew zjawi się po swoją porcję koniny!

– Dobra robota! – pochwaliłem, starając się nie pokazać przepelniającej mnie ulgi.

Zawsze to jedna sprawa z głowy, o ile rzecz jasna uda nam się złapać amatora kucyków.

Rozdział trzeci



Restauracja „Saksauł” mieściła się na parterze zaniedbanego piętrowego budynku, jednak widać było, że nieźle prosperuje: jedynie kilka stolików pozostawało wolnych, a kelnerzy ledwo mogli nadążyć z obsługą gości. Siedzieliśmy wraz z Dimą Bugrowskim w rozklekotanej ciężarówce, obaj ubrani w robocze kombinezony, reszta ekipy czaiła się na pace. Ze względu na możliwość starcia z Chińczykami wziąłem ze sobą paru ludzi. Po doświadczeniach z Qingbao wolałem przesadzić, niż nie docenić przeciwnika.

– Idzie! – zameldował Bugrowski.

Zerknąłem dyskretnie zza gazety, od razu rozpoznałem Czugajewa. Kazach co prawda zapuścił brodę, ale jak to często bywa u Azjatów, nie mógł się poszczycić bujnym owłosieniem i rzadka bródka wcale nie maskowała rysów twarzy.

– Teraz? – spytał Bugrowski.

– Nie! Poczekamy.

Chłopak zgodnie skinął głową.

– Jak się nażre, łatwiej będzie go wziąć – zauważył.

Tymczasem Czugajew usiadł przy narożnym stoliku, ze swojego miejsca mógł obserwować drzwi i całą salę, a dzięki oknom także część ulicy.

– Cwaniak – mruknął poeta.

– Wątpię, raczej ktoś nauczył go podstaw, ale to wszystko – zaprzeczyłem.

– Chińczycy?

– Najprawdopodobniej. W końcu nasz kontrwywiad też nie zasypia gruszek w popiele, jednak nie dali rady go złapać, a całą aferę wykryli dopiero po fakcie.

– Jakoś nie widać tu żadnych skośnookich.

– I dobrze. W takim razie weźmiemy go bez problemu.

– Jestem głodny – powiedział z pretensją w głosie Bugrowski. – Może coś byśmy zamówili? Przecież on nas nie zna.

– Naprawdę chcesz zjeść małego konika? – rzuciłem kpiąco. – Nie żal

ci?

– Oni na pewno mają i inne dania.

– Jasne, z baraniny.

– Dobrze przyrządzona baranina nie jest zła.

– Ty się urodziłeś głodny i umrzesz głodny – westchnąłem. –
Poczekamy w wozie.

Chłopak naburmuszył się i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Nie miałem nic przeciwko temu, musiałem spokojnie rozważyć wszystkie za i przeciw. Skoncentrowany na żarciu Czugajew nie rozglądał się na boki, może lepiej byłoby rozpocząć akcję teraz, zanim wyjdzie z kulinarnego transu? Z drugiej strony, jeśli się naje, a widać było, że sobie nie żałuje, łatwiej będzie go schwytać. Odłożyłem gazetę, zanim jednak zdążyłem zrobić coś więcej, jeden z przechodniów stanął przy wejściu do knajpy, zwrócony twarzą do ciężarówki. Poczulem, jak wzdłuż kręgosłupa pełźnie mi coś zimnego, z trudem przełknąłem ślinę.

– *Komandir?* – rozległ się zaniepokojony głos Bugrowskiego. – Wyglądacie, jakbyście mieli zemdleć.

– Zostajesz w wozie – powiedziałem. – Nie wychodź, cokolwiek by się działo!

– Ale...

Złapałem Dimę za ramię, ścisnąłem boleśnie.

– To rozkaz! – powiedziałem z naciskiem. – Ten tam jest w stanie cię zabić, nie przerywając czyszczenia paznokci. – Wskazałem mężczyznę u wejścia do restauracji.

– To tylko jeden Chińczyk – odparł chłopak, masując ramię. – On jest z Qingbao?

– Nie. Z Qingbao mielibyśmy szansę, z nim nie.

– *Komandir!*

Wysiadłem z auta, pod pachą czułem ciężar tokariewa, tym razem służbowego – akcja była oficjalna – ale nawet nie sięgnąłem po broń. Często zastanawiałem się, czy jeszcze spotkam kiedyś Suna. No i spotkałem...

Chińczyk powitał mnie uściskiem dłoni, po czym bez słowa wszedł do restauracji. Co było robić? Ruszyłem za nim.

Usiedliśmy tuż przy oknie, naprzeciwko Czugajewa, Sun zamówił ajran.

– Tylko to nadaje się tu do picia, chyba że chciałbyś spróbować kumysu – wyjaśnił.

Skosztowałem ostrożnie pianistego napoju, nie był taki zły, kolejne łyki nawet mi smakowały.

– Co teraz? – spytałem. – Pracujesz dla Qingbao?

– Nie pracuję. To oni czasem pracują dla mnie.

– Chronisz Czugajewa?

– Po prostu chciałem z tobą porozmawiać, a biorąc pod uwagę, czym się zajmujesz, pomyślałem, że najprędzej cię spotkam, śledząc tego Kazacha.

– A Qingbao? On już ich nie interesuje?

– Ależ interesuje! Chcieli go zabić, tak na wszelki wypadek, ale im nie pozwoliłem.

– Nie pozwoliłeś? I usłuchali?

Sun wzruszył ramionami i uniósł kufel. Zauważyłem na jego przegubie srebrną bransoletę, postarałem się zapamiętać wyryte na niej znaki. Ki czort? Chińczyk nie wyglądał mi na amatora tego typu ozdóbek. Chyba że to pamiątka po zmarłej wnuczce.

– Do rzeczy – powiedział, obciągając rękaw marynarki. – Możesz wziąć sobie Czugajewa choćby zaraz, nie będę ci przeszkadzał. Natomiast mam dla ciebie pewną propozycję.

– Tak?

– Wolałbym to omówić w innym miejscu, tu jest za dużo uszu.

– U mnie?

– Może być.

Podaliśmy mu adres, umówiliśmy się na rano następnego dnia. Sun odsunął niedopity kufel, położył na stole zwitek banknotów i zniknął.

Podszedłem do Czugajewa, złapałem go za kołnierz, i nie zważając na opór, wywlokłem na ulicę. Protestującemu kelnerowi pokazałem milicyjną legitymację.

Zabębniłem pięścią w burtę ciężarówki, a kiedy jeden z moich ludzi wyjrzał, żeby zobaczyć, co się dzieje, solidnym kopniakiem posłałem Czugajewa w jego ramiona. Bez ochrony chińskich agentów Kazach nie przedstawiał żadnego zagrożenia: ot, jeszcze jeden niezgrabny grubas, jakich wielu.

– Wracamy – poleciłem Bugrowskiemu, gramoląc się do kabiny. – Już po wszystkim.

Chłopak nie zapytał o Suna, rozumiał, że nie usłyszy ode mnie ani słowa o Chińczyku, choć jeszcze długo czułem na sobie jego spojrzenie. Zapewne doszedł do wniosku, że sam wyjaśni, kim jest mój tajemniczy rozmówca i dlaczego tak się go boję. Bogiem a prawdą, i ja chciałbym wiedzieć, kim jest Sun. Obiecałem sobie, że kiedy tylko wrócę do domu, skopiuję zapamiętane znaki i zabiorę się do tłumaczenia. Nie znam się na biżuterii, a moja znajomość chińskiego nie wychodzi poza podstawy tego języka, lecz bransoletka budziła mój niepokój. Mimo że zrobiona ze srebra, nie wyglądała na ozdobkę, a archaiczne ideogramy miały jakiś związek z wojskowością. Instykt mówił mi, że mimo rozlicznych kłopotów powinienem zainteresować się Sunem na równi z poszukiwaniem zaginionych dokumentów dla Berii. Nie byłem pewien, który z nich stanowi dla mnie większe zagrożenie.



Zapisałem znaki z bransolety Suna, jednak mimo wykorzystania słowników nadal nie mogłem przetłumaczyć napisu. Rozpoznałem słowo „armia”, ale reszta nie przypominała współczesnych ideogramów. W tej sytuacji miałem dwa wyjścia: albo szukać specjalisty na jednym z moskiewskich uniwersytetów, albo skorzystać z wiedzy pewnej znajomej mi ekspertki. Ta co prawda od dawna nie pracowała naukowo, lecz zapewne potrafiłaby zaspokoić moją ciekawość. Był tylko jeden problem – kiedy ostatnio się widzieliśmy, poprosiła, żebym więcej jej nie odwiedzał. Z drugiej strony, kogo obchodziło zdanie jakiejś podstarzałej intelektualistki, która za własną głupotę odsiedziała dziesięć lat w łagrze? Przecież nie poskarży się partii?

Wsunąłem kartkę do kieszeni marynarki, narzuciłem płaszcz, zanim jednak zdążyłem włożyć buty, coś zachrobotło w zamku. Wycelowałem w drzwi, po chwili opuściłem broń, bo używano klucza, a nie wytrychu.

– Co za entuzjazm – mruknęła Nadieżda na widok tokariewa.

– Odruch – wyjaśniłem, chowając pistolet.

Nadia była jedyną osobą, która miała klucze od mojego mieszkania.

– Napijesz się czegoś? A może zrobić ci parę kanapek? – zaproponowałem.

W kraju powszechnej proletariackiej szczęśliwości nawet lekarze chodzili głodni. Szczególnie ci uczciwi.

– Nie, jadłam obiad. Ale jeśli miałbyś coś mocniejszego...

Zmarszczyłem brwi, Nadia niemal nigdy nie piła alkoholu. Czyżby coś się stało?

Nalałem koniaku na dwa palce, po namyśle dostawiłem drugi kieliszek. Może i mnie się przyda?

Dziewczyna usiadła w fotelu, założyła nogę na nogę, ukazując obleczoną w nylon smukłą łydkę, lecz w zachowaniu Nadii nie było cienia kokieterii.

– Ten twój pacjent zmarł – poinformowała. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy, operował go sam Watutin, ale w resortowym tak spaprali sprawę... – Rozłożyła bezradnie ręce.

Zakląłem bezsilnie. Nadia była jednym z najlepszych diagnostów Sklifi, jeśli więc mówiła, że w naszym szpitalu zawalili robotę, znaczy to już nie plotki, a fakt. I co z tym fantem zrobić? Nie kierowało mną wyłącznie współczucie czy troska o podwładnych, sam też mogłem wylądować w resortowym.

– Przykro mi – powiedziała.

Dopiero teraz zauważyłem, jaka jest zmęczona. Przed przyjściem do mnie musiała się wykąpać i przebrać, ale oczy miała zaczerwienione

z niewyspania.

– Powinnaś odpocząć – powiedziałem.

– Powinnam – przyznała.

Dokończyła koniak i podniosła się z fotela.

– Już się zbieram.

Otoczyłem Nadię ramionami, pocałowałem za uchem.

– Zostań – poprosiłem. – Przenocuję cię.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł.

Zamknąłem jej usta pocałunkiem, rozpiąłem sukienkę i stanik, po chwili stała przede mną tylko w pończoszках.

– Nie mogę myśleć, gdy mnie dotykasz – zaprotestowała słabo.

– Nie myśl.

Odpowiedziała pieszczotą, przez najbliższą godzinę żadne z nas nie myślało zbyt wiele.



Nadieżda zamruczała rozkosznie i położyła na moim udzie drugą stopę. Nacisnąłem kilka punktów na pięcie, rozmasowałem podbicie.

– I łydkę – poprosiła. – Masz cudowne dłonie.

Odchrząknąłem z rozbawieniem, przypuszczałem, że całkiem sporo osób byłoby innego zdania, ale nie było sensu rozmawiać o tym z Nadią. Sam zresztą wolałbym masować zgrabne damskie stopy, niż łamać kręgosłupy lub ręce, jednak nie zawsze dostajemy to, czego chcemy.

– Nie miałaś wcześniej tych blizn – zauważyła, dotykając mojego przedramienia.

– Przeszkadzają ci?

Zamiast odpowiedzieć, pocałowała wyjątkowo paskudną szramę.

– To musiało boleć? – rzuciła pytająco.

– Było, minęło – stwierdziłem obojętnie.

– Co zrobisz z tym waszym szpitalem?

– Na razie nic. Za wysokie progi. Wiesz, że poprzednią ekipę wysłali do łagru?

Przytaknęła z ponurą miną.

– Zdecydował o tym jeden z ludzi Berii – kontynuowałem. – Jeśli spróbuję protestować albo nie daj Boże zarzucić coś konowalóm z resortowego, bezpieczeństwa zje mnie żywcem. A i tak nie jestem ich ulubieńcem.

– Na razie? – zaakcentowała.

– To tylko element układanki, są dużo ważniejsze sprawy. Ale jeśli kostki zaczną się przewracać, pomyślę i o naszym resortowym szpitalu.

Kto wie? Może nawet dam radę wyciągnąć z łagru prawdziwych lekarzy?

Nadia popatrzyła na mnie z troską i usiadła. Kiedy sięgnąłem do jej piersi, trzepnęła mnie po palcach.

– Więc liczysz na efekt domina? I kto ma zapoczątkować tę reakcję?

– Czy to ważne?

– Rozumiem, że odpowiedź by mi się nie spodobała?

– Raczej nie.

Nadieżda zagryzła wargi, lecz nie kontynuowała tematu. Mądra dziewczyna! Bo i co mógłbym jej powiedzieć? Że kiedy zabiję Berię, będziemy żyli długo i szczęśliwie? Niejeden chciałby widzieć Ławrentija Pawłowicza w mogile, tylko że jak na razie Beria ma się świetnie jak nigdy, a jego wrogowie wręcz przeciwnie.

– Co zrobimy? – spytała.

– Nic specjalnego, zaraz coś zjemy i pójdziemy spać, a rano wyrzucę cię z łóżka o szóstej, bo mam sprawę do załatwienia.

– I nie zobaczymy się wcześniej niż za pół roku? – dokończyła z goryczą.

Pogłaskałem ją, tym razem pozwoliła mi się dotknąć.

– Przecież wiesz, dlaczego nie mogę się z tobą za często spotykać.

– Wiem – przytaknęła. – Ale nie jest mi z tego powodu ani trochę lżej.

Swego czasu opowiedziałem jej o Lizie i o tym, co spotyka kobiety, na których mi zależy. Z nich wszystkich żyły tylko Natasza i Inga von Bredow, choć tej drugiej pewnie niewiele już zostało. Jeśli Beria przejmie władzę w państwie, prędzej czy później wyrówna rachunki...

– Dostyc tych smętnych myśli! – skarciłem Nadię stanowczo. – Lepiej powiedz, co chcesz na kolację?

– A co mam do wyboru?

– Nie doceniasz mnie – stwierdziłem z wyrzutem. – Masz do czynienia z najlepszym kucharzem Dziesiątej Kompanii Desantowej, wybitnym specjalistą w zakresie przyrządzania gulaszu z kocięgo mięsa.

– Wołałabym coś mniej wyrafinowanego, jestem prostą dziewczyną. Może jajecznicą?

– Cóż, to oczywiste marnowanie mojego talentu, ale jeśli dama sobie życzy, zniżę się do poziomu zakładowej stołówki – oznajmiłem wyniośle.

– Dama sobie życzy, wołałabym się nie porzygać w czasie operacji. – Szturchnęła mnie bosą stopą.

Złapałem Nadię za kark, przełożyłem przez kolano i wlepiłem kilka zartobliwych klapsów. Pisnęła zaskoczona, ale zaraz potem zepchnęła mnie na podłogę. Potoczyliśmy się po dywanie, ostatecznie zadziałało mordercze szkolenie żołnierza *wojennoj razwiedki* i znalazłem się na górze. Później zrobiłem nam jajecznicę. Prawdę mówiąc, dużo później.



Dzwonek usłyszałem dokładnie o szóstej trzydzieści, pogratulowałem sobie w duchu, że kwadrans wcześniej zdążyłem wyprawić Nadię do pracy. Wołałem, żeby Sun nie wiedział o mojej zażyłości z lekarką.

Chińczyk wyglądał na wypoczętego, zapewne w odróżnieniu ode mnie spędził noc samotnie.

Poczęstowałem gościa herbatą i cierpliwie czekałem, aż powie mi, o co chodzi. Zdawałem sobie sprawę, że poganianie go nie ma najmniejszego sensu.

– Jak się czujesz? – spytał niespodziewanie.

– Nieźle – odparłem, starając się nie okazać zdziwienia.

Wątpiłem, żeby stan mojego zdrowia interesował Chińczyka, skąd więc ta ciekawość?

– W porównaniu ze stanem sprzed otrucia – doprecyzował.

– Nie najlepiej – przyznałem. – Jestem słabszy, wolniejszy, mniej odporny.

Sun pokiwał głową, jakbym właśnie potwierdził jego domysły.

– Dlaczego pytasz?

– Zastanawiałem się, ile czasu zajmie ci powrót do sił.

– I jak uważasz?

– W takim tempie jakieś dziesięć, może piętnaście lat. O ile doczekasz, bo w twojej branży trzeba być twardym.

Zmierzyłem go niechętnym spojrzeniem, nie lubiłem, kiedy ktoś mówił mi, jakie mam szanse na przeżycie. Sam wiedziałem, że nie za wielkie.

– Ale można to zmienić – kontynuował.

– Niby jak?! – parsknąłem ze złością. – Wykonuję wszystkie ćwiczenia, jakie mi zaleciłeś!

– I dobrze, jednak jest też droga na skróty...

Zacisnąłem zęby, teraz już wiadomo, dlaczego Sun chciał się ze mną spotkać.

– Po pierwsze, nie bardzo wierzę w te hokus-pokus. Po drugie, musiałbym wiedzieć, czego chcesz w zamian? Są rzeczy, których nie zrobię za żadną cenę.

Chińczyk uśmiechnął się pobłaźliwie, nie wyglądało, żeby moje zastrzeżenia zrobiły na nim wrażenie.

– Nie oferuję ci kota w worku – zapewnił. – Istnieją medykamenty oczyszczające kanały energetyczne w ludzkim ciele. To rzadka i niemal zupełnie zapomniana wiedza, a sporządzenie takiego lekarstwa jest skrajnie trudne i trwa minimum pięćdziesiąt lat. Ci nieliczni, którzy potrafią coś takiego zrobić, trudzą się nad tym całe życie i przekazują

dwie, trzy pigułki swojemu następcy.

– Jeśli to działa jak ten środek, który mi wtedy podałeś, to raczej nie skorzystam.

– Nie, one nie powodują bólu, co najwyżej biegunkę i wymioty, bo ciało intensywnie się oczyszcza.

– Rozumiem, że masz coś takiego?

– Owszem. Mam dwie pigułki Skrzydlatego Tygrysa.

– Słucham?!

– Przepraszam – roześmiał się Sun. – To dosłowne tłumaczenie. W Chinach uważa się, że mistrz sztuk walki podobny jest do tygrysa, a kiedy przejdzie na jeszcze wyższy poziom, jest jak tygrys, któremu wyrosły skrzydła: potężny i niepokonany. Jeśli się dogadamy, dam ci jedną pigułkę, jej skutki odczujesz w ciągu kilku dni. Myślę, że staniesz się równie silny, a może i silniejszy niż przed otruciem. Drugą otrzymasz po akcji, oszczędzisz sobie w ten sposób kilkudziesięciu lat ćwiczeń.

– A gdzie haczyk? Co będę musiał zrobić?

– Zniszczyć jedno z tajnych laboratoriów Berii. Dawniej należało do Abakumowa, towarzysz Beria przejął je, kiedy tamten został aresztowany.

– Zwariowałaś! Wiesz, jak ochrania się tego typu obiekty?! Nie dałbym rady nawet z kompanią czołgów!

– Bez przesady, naliczyłem wszystkiego dziesięciu wartowników, mam wrażenie, że to bardziej prywatne niż resortowe przedsięwzięcie.

– Niech zgadnę: to właśnie tam wytwarzają tę dziwną chińską truciznę?

– Tak. I nie tylko. Także rozmaite mieszanki narkotyków.

Zamarłem. Czyżby Sun wiedział, że na rozkaz Abakumowa zaatakował mnie nafaszerowany narkotykami urka? Tylko skąd? Cała sprawa nie wyszła poza ścisłe kierownictwo MUR-u. No, a przynajmniej tak mi się zdawało...

– Abakumow, a teraz Beria wykorzystują to laboratorium do produkcji rzadkich preparatów na własny, nie resortowy użytek. Jak kiedyś Jagoda.

Skinąłem głową: jeden z poprzedników Berii na stanowisku szefa bezpieczeństwa, Gienrich Jagoda, był z zawodu farmaceutą, a z zamiłowania trucicielem. Niewykluczone, że Abakumow, a może i Beria stosowali egzotyczne trucizny przeciwko ludziom, których nie mogli zabić otwarcie. Tylko co to obchodzi Suna?

– Pewnie zastanawiasz się, co mi do tego? – kontynuował.

– A jakże! Powiedziałeś, że nie masz żadnych związków z chińskim wywiadem, a teraz chcesz się mieszać w naszą politykę!

– Nie mówiłem niczego o związkach – sprostował łagodnie. – Oświadczyłem jedynie, że nie wykonuję ich rozkazów. Bo nie wykonuję.

A zniszczenie tego laboratorium nie ma nic wspólnego z polityką, chcę ich po prostu pozbawić dostępu do trucizny Dziesięciu Tysięcy Demonów. Tylko tyle. Są sekrety, które nie powinny wychodzić na jaw.

– I za tę niemal samobójczą misję oferujesz mi pigułki, które mają oczyścić moje czakry? – rzuciłem z przekąsem.

– Kanały energetyczne – poprawił spokojnie. – Dokładnie tak. Jeśli będę z ciebie zadowolony, dorzucę jeszcze naukę *qinggong*.

Odchrząknąłem niepewnie, manuskrypt Doskonałych wspominał jedynie o „sztuce lekkości”, nie szcędząc zachwyków tajemnym technikom *qinggong*. Jej adepci mogli podobno „spocząć na cienkiej gałęzi drzewa lekko jak motyl”, wyskoczyć w górę na wysokość kilku metrów lub nawet „wzlecieć jak jaskółka”, wreszcie chodzić po trawie i śniegu, nie pozostawiając śladów.

– Po czorta mi to? – spytałem, wzruszając ramionami.

– Razumowski, Razumowski... – westchnął Sun.

– A można bardziej szczegółowo?

– To umiejętność czynienia ciała lekkim – odpowiedział. – Wyobraź sobie, że twoja ręka, noga czy całe ciało ważą o połowę mniej niż w rzeczywistości. Jak myślisz, jakie będą tego skutki? Dodam, że siła mięśni pozostanie bez zmian.

– Zwiększona szybkość?

– Tak. Będziesz szybszy niż większość ludzi. Co więcej, twoje ciosy będą potężniejsze, pamiętasz jeszcze podstawy fizyki? Siła zależy od masy i prędkości. A ty będziesz bardzo szybki. Żaden piesek Berii nie będzie w stanie rzucić ci wyzwania.

– Dlaczego sam nie zniszczysz tego laboratorium?

– Nie mogę. To część umowy, która cię nie dotyczy. Wreszcie nie znam odpowiednich procedur i zabezpieczeń, no i trudno by mi było podawać się za inspektora czy innego urzędnika uprawnionego do wizyty w laboratorium. Jeśli wartownicy zobaczą Chińczyka, od razu otworzą ogień.

– Czyżby ktoś ich poinstruował, że mają szczególnie uważać na Chińczyków?

– Być może – przyznał. – Lecz to nie twój problem, tobie pozwolą podejść, przedstawić dokumenty.

– Jakie, kurwa, dokumenty?! Choćbym stanął na głowie, w pięć minut stwierdzą, że to lipa!

– Więcej ci nie trzeba, nie masz infiltrować tego laboratorium, tylko rozwalić je w diabły. No i koniecznie zabić cały personel.

– Może jeszcze namalować na ścianie: „Śmierć komunistom!”?

– To nie taki głupi pomysł, dobrze by było podsunąć bezpiecze jakiś mylny trop, bo przecież będą szukali sprawców, już Beria się o to zatroszczy – odparł niefrasobliwie Sun.

Spojrzałem na niego ze złością, ale Chińczyk odpowiedział łagodnym, lekko kpiącym uśmiechem.

– Możesz odmówić, a ja i tak zniszczę laboratorium, nawet bez ciebie, tyle że ominie cię nagroda – powiedział.

– To nie herbatka u cioci! – warknąłem. – Żeby to zrobić, trzeba by zdobyć lewe dokumenty, plan budynku, broń, być może znaleźć godnych zaufania pomocników – wyliczałem.

– I żadna z tych rzeczy nie przekracza twoich możliwości. Dlatego ci to zaproponowałem.

Wyciągnąłem srebrną papierośnicę po ojcu, zapaliłem, nie częstując rozmówcy, zaciągnąłem się głęboko. Nie miałem specjalnej ochoty na papierosa, musiałem się jednak zastanowić. Najłatwiej byłoby odrzucić propozycję Chińczyka, ale Sun już nie raz pokazał, że nie rzuca słów na wiatr. Może rzeczywiście potrafi mnie wyleczyć? W dodatku ta druga pigułka, no i nauka *qinggong*... Z drugiej strony było oczywiste, że Beria robi wszystko, co w jego mocy, żeby złapać sprawcę napadu na laboratorium. Przejął je po Abakumowie i miał daleko idące plany odnośnie do wytwarzanych tam trucizn. Mimo że udało mu się stworzyć superresort, wiadomo było, że konkurenci nie oddadzą mu dobrowolnie władzy, ale gdyby któryś zmarł albo choćby ciężko zachorował, akcje Ławrentija Pawłowicza poszłyby w górę. Nie ma mowy, żeby darował zniszczenie prywatnej fabryki trucizn. Po cholere mi się w to mieszać? Inna sprawa, że u Berii i tak miałem przerąbane, wiedziałem, że zabije mnie przy pierwszej okazji, to znaczy kiedy tylko zgarnie schedę po Stalinie.

– Zgoda – przerwałem wreszcie milczenie. – Ale to ja zadecyduję, kiedy i jak zniszczę laboratorium.

– Oczywiście. Trzy miesiące ci wystarczą?

– W zupełności.

Wiedziałem, że jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, Beria do końca roku przejmie władzę.

– W takim razie mamy umowę. Proszę, to pierwsza pigułka.

Sun położył na stole flakonik z cienkiego, niemal przezroczystego nefrytu. Odkorkowałem go, wytrząsałem na dłoń lekarstwo. Okrągła tabletką miała wielkość ziarnka bobu i złoty kolor. Nie jestem znawcą, lecz potrafię rozpoznać złoto, pigułka wyglądała, jakby ktoś posypał ją drobkami prawdziwego kruszcu.

– Mam to połknąć? – upewniłem się.

– Tylko jeśli chcesz odzyskać siły.

No cóż, raz kozie śmierć... Wrzuciłem specyfik do ust, popiłem herbatą. Miał nieprzyjemny, metaliczny posmak, ale poza tym nie odczułem żadnych sensacji. Być może przyjdzie jeszcze na to czas.

– Gdzie jest to laboratorium? – spytałem.

– Na Tagańskiej, numer dwadzieścia cztery. Oficjalnie mieszczą się tam jakieś magazyny.

– Byłeś tam? Jak to wygląda?

– To niewielki, jednopiętrowy budynek, na oko z dziewiętnastego wieku. Na parterze kraty, na pierwszym piętrze, a może wysokim parterze też kraty. Na zewnątrz nikogo nie widać, ale wewnątrz przy wejściu zawsze ktoś czuwa. Wartownicy na pewno są uzbrojeni, ale nie znam detali. To wszystko – dodał, wzruszając ramionami.

– Nie jest tego dużo...

– Co robić? I tak musisz sam wszystko sprawdzić.

– Jak będziemy się kontaktować?

– Nie będziemy – uciął Sun. – Znajdę cię, kiedy wypełnisz zadanie. Aha, nie musisz już obawiać się Qingbao, kazałem im, żeby zostawili cię w spokoju.

Zanim zdobyłem się na odpowiedź, Sun pożegnał mnie skinieniem głowy i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Cóż, kolejna robótka dla pułkownika Razumowskiego, jedna mniej, jedna więcej...



Kiedy tylko pojawiłem się w pracy, natychmiast poprosiłem dyżurnego o meldunki z ostatniej doby. Nie tęskniłem za robotą, ale jeśli miałem zniszczyć laboratorium, musiałem obejrzeć okolicę, to zaś najlepiej było zrobić pod pretekstem prowadzenia śledztwa, tyle że jak na złość ostatnio tagańska dzielnica była dość spokojna. Co prawda złożono kilka skarg na kradzieże kieszonkowe, gdybym jednak zajął się takimi drobiazgami, natychmiast zwróciłbym na siebie uwagę. Trzeba było znaleźć coś poważniejszego, tylko jak? Czas naglił. Po namyśle wydobyłem z sejfu pudełko pralinek i pomaszerowałem do gabinetu Luby Uspienskiej, powszechnie nazywanej ciotką Lubą.

W teorii Luba Antonowna Uspienska była tylko sprzątaczką, ale szanowali ją wszyscy, nie wyłączając generała Maksimowa. Podobno w latach dwudziestych była pierwszą kobietą na stanowisku dowódczym, a jej kariera rozwijała się błyskotliwie aż do czystki w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym. Aresztowano wówczas całą rodzinę Lubow Antonowny: męża, rodziców i dwoje dzieci, ją samą zaś torturowano, usiłując zmusić do przyznania, że współdziałała z „trockistowsko-zinowjewowskim centrum terrorystycznym”. W katowni bezpieczeństwa Luba Antonowna spędziła dwa lata. Kiedy ją w końcu zwolniono i zrehabilitowano, zrezygnowała ze stanowiska i wystąpiła z partii. Nie opuściła MUR-u i choć pracowała tu już tylko

jako sprzątaczką, wszyscy liczyli się z jej zdaniem, a niejeden śledczy konsultował się z „ciocią Lubą” przy okazji jakiegoś wyjątkowo skomplikowanego dochodzenia.

Pokój, w którym rezydowała Uspienska, oznaczony był na planie budynku jako „pomieszczenie gospodarcze numer jedenaście”, lecz urządzono go z przepychem godnym arystokratycznej rezydencji. Plotka głosiła, że wyposażenie dostarczyli wdzięczni za konsultacje oficerowie. Sama ciotka Luba żyła w skromniutkim jednopokojowym mieszkanku, pełnym starych fotografii. Te ostatnie były jedynym, co jej pozostało po rodzinie – oficjalnie bezpieka poinformowała ją, że dzieci zmarły na błonicę, a rodzice i mąż zginęli w trakcie próby ucieczki.

Z racji swojej nieoficjalnej działalności ciotka Luba znała wszystkie lokalne plotki. Był tylko jeden problem – czasem piła przez kilka dni bez przerwy, a wtedy dało się z nią porozmawiać jedynie na temat zmywania podłóg i czyszczenia kibli...

Stałem pod drzwiami i zapukałem, czekając cierpliwie na zaproszenie. Luba Uspienska była bardzo drażliwa na tym punkcie, kiedyś widziałem, jak opieprzyła samego Poliakowa tylko dlatego, że wszedł, zanim go zawołała. Co prawda zawsze traktowała mnie przyjaźnie, byliśmy nawet po imieniu, wolałem jednak nie nadużywać jej cierpliwości.

– Proszę!

Westchnąłem ciężko, bo głos ciotki Luby wskazywał, że nawet jeśli nie jeszcze jest pijana, to na najlepszej drodze, aby zalać się w trupa. Biednemu zawsze wiatr w oczy...

– Dzień dobry – powiedziałem.

Czoło Luby Uspienskiej znaczyły długie poziome zmarszczki, a oczy były podpuchnięte, choć jej twarz nosiła wciąż ślady dawnej urody. Kobieta siedziała w bujanym fotelu, z nogami opartymi o stół, spod sukienki widać było drobne stopy i zadziwiająco kształtne łydki.

– Siadaj, Saszka. – Wskazała mi wygodne, obite skórą siedzisko.

Bez słowa podałem jej prezent.

– W samą porę – zawołała, otwierając praliny. – Przyda mi się zakąska.

– Może byś trochę zwolniła tempo? – poprosiłem cierpko. – Potrzebuję porady.

– Niemożliwe! Czyżby ktoś uderzył cię w głowę? – zachichotała. – Obawiam się, że nie będę w stanie ci pomóc, nie jestem aż taka dobra – stwierdziła już poważnie.

– Chodzi mi o informację, a nie pomoc w śledztwie – sprostowałem.

– W takim razie słucham.

– Czy ktoś pracuje nad jakimś przestępstwem w rejonie Taganki? Chodzi mi o coś poważnego.

– Bo ja wiem? – powiedziała niezdecydowanie. – Chyba nie. Pół roku temu zabili tam francuskiego dyplomatę, ale sprawców dawno złapał Żora Tkaczenko. Pamiętasz?

– Może jakaś kradzież albo włamanie? – podsunąłem. – Cokolwiek.

– Nie, chyba że chcesz łapać Burą Kotkę. – Sięgnęła po butelkę.

Łagodnym gestem przytrzymałem jej dłoń.

– Jeszcze chwilkę – poprosiłem. – Co za Bura Kotka? Coś kojarzę, choć piąte przez dziesiąte.

– Lubię cię, Razumowski, ale nie waż się mi przeszkadzać! – wymamrotała. – Kiedy przychodzą, to muszę pić.

– Kto przychodzi?

– Moje dzieci. Biegną do mnie, żeby się przytulić, ale kiedy chcę je objąć, czekałszy wykręcają mi ręce i je zabierają. Słyszę, jak krzyczą, a ja nie mogę nic zrobić. Jak w trzydziestym szóstym...

Nalałem Lubie na dwa palce, podsunąłem szklankę.

– Bura Kotka – ponagliłem. – Rozumiem, że to ta nieuchwytna włamywaczka?

– Co o niej słyszałeś?

– W zasadzie tylko tyle, że od paru lat nie mogą jej złapać.

– Sama wiem niewiele więcej, pierwszą kradzież zarejestrowano w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym i od razu sprawa trafiła do nas, bo okradła sekretarza miejskiej organizacji partyjnej.

– Jak go obrobiła?

– Weszła do chałupy przez okno, a w zasadzie lufcik, jak kot, stąd pseudonim. Widziano ją tylko raz. Pewien pijany generał wrócił wcześniej z zabawy, twierdził później, że zobaczył wyjątkowo dużego kota zeskakującego z balkonu pierwszego piętra.

– Oczywiście musiał być nawalony – stwierdziłem z rezygnacją. – Kurwa, co za kraj! Wiesz, że niemal połowa świadków przestępstw jest pijana? No i potem wypytuj takiego o detale...

– Współczuję – burknęła nieprzyjaźnie. – A teraz musisz dyskutować z alkoholiczką.

Podsunęła mi szklankę, nalałem jej więc odrobinę. Miałem nadzieję, że jeszcze przez chwilę będzie na tyle przytomna, żeby odpowiedzieć na moje pytania.

– Sprawa wylądowała w archiwum? – rzuciłem domyślnie.

– Wyobraź sobie, że nie. Bura Kotka dba o to, żeby o niej nie zapomniano, od czasu do czasu wypływa nowa spektakularna kradzież, więc Maksimow przydziela dochodzenie komuś, kto mu podpadł. Ostatnio dostała je Nina Rusłanowa.

– A czym mu podpadła?

Mimo dość kontrowersyjnych preferencji seksualnych – chodziły słuchy, że używa kajdanek nie tylko w celach służbowych – Rusłanowa

była kompetentnym oficerem dochodzeniowym, jednym z najlepszych w Moskwie. Specjalizowała się właśnie we włamaniach.

– Zawaliła swoje śledztwo. Jakiś czas temu dostała nowego zastępcę, a ten zaproponował jej randkę na swoich zasadach. Nie zgodziła się, więc kiedy brali melinę, „spóźnił się” o minutę czy dwie. Przez ten czas *blatni* połamali jej ręce i żebra, a poszukiwany uciekł.

– Zaraz! To taki przystojny byczek? Jak mu tam? Danczenko?

– Diaczenko – poprawiła. – Tak, to on.

– Więc Nina szuka teraz Burej Kotki?

– Tak.

– Nie próbowała protestować?

– Próbowała. Jeszcze jak próbowała! Ale wiesz, jak u nas traktuje się słabostki, którym hołduje Nina. A Diaczenko zeznał, że przełożona oczernia go z zazdrości. Rzecz była prawdopodobna, bo to znany lowelas, więc Maksimow uwierzył jemu, a nie Rusłanowej.

– Na ile dobry jest ten Diaczenko?

– Jako śledczy? To zero. Okrągłutkie zero. No, a jako człowiek... – parsknęła pogardliwie. – A tak w ogóle dlaczego się tym interesujesz?

– Chcę przeprowadzić własne dochodzenie i potrzebuję parawanu – odparłem po namyśle.

– W tamtej okolicy?

– Właśnie.

– Cóż, nie sądzę, żeby Nina miała coś przeciwko, dziewczucha zrobi wszystko, żeby wygrzebać się z gówna, w które wpakował ją Diaczenko. Aczkolwiek... – Czknęła, zakrywając usta dłonią.

– Tak?

– Rozczarowałbyś mnie, gdybyś wykorzystał sytuację.

– Wiesz, jeszcze jestem w stanie zorganizować sobie chętną kobietę. A i wiek już nie ten, kiedy goni się za dziewczętami.

– Czyżby jakieś problemy z hydrauliką? – rzuciła kpiąco. – Jakoś mi nie wyglądasz na takiego.

Przewróciłem oczyma, jednak nie skomentowałem, zamiast tego ponownie uzupełniłem zawartość szklanki.

– Mimo wszystko nie przesadzaj z pićm – poprosiłem, wychodząc.

Nie miałem ochoty dalej rozmawiać z Lubą, i nie, nie chodziło o pićm! Od czasu śmierci Lizy wszelkie przejawy „socjalistycznej praworządności”, z jakimi spotykałem się na co dzień, traktowałem bardzo osobiście. Represje, tortury, wykorzystywanie władzy, znęcanie się nad dziećmi „wrogów ludu”, powszechne w koloniach karnych gwałty na kobietach, które miały nieszczęście wyjść za mąż za niewłaściwego człowieka, to wszystko burzyło mi krew.

– Miękniesz, Razumowski – mruknąłem pod nosem.

Kiedy wyszedłem zza załomu korytarza, poczułem zapach

pieczonego mięsa, zaburczało mi w brzuchu, skierowałem się więc do stołówki. Pora była zdecydowanie obiadowa.

Kapitan Rusłanową zauważyłem bez trudu: siedziała sama przy narożnym stoliku, mimo że w stołówce, jak zwykle o tej porze, brakowało miejsc. Najwyraźniej Diaczenko przeforsował swoją wersję, bo Rusłanową traktowano, jakby była zadżumiona. Cóż, może uda mi się zmienić ten stan rzeczy?

Skinąłem dłonią na Bugrowskiego i nakazałem mu gestem przynieść mi obiad – ranga ma swoje przywileje – po czym przysiadłem się do Niny. Dziewczyna nie wyglądała najlepiej, przygarbiona, ze wzrokiem wbitym w talerz, sprawiała wrażenie, jakby dopiero co wyszła ze szpitala po ciężkiej chorobie.

– Pomyliliście chyba stolik, towarzyszu Razumowski – rzuciła ospale.
– Jak was zobaczę ze mną, zaczną plotkować.

– Nie lubię tłoku – odparłem spokojnie.

W zwyczaju było, żeby pracownicy MUR-u od kapitana wzwyż mówili sobie po imieniu, jednak z jakichś powodów nikt z młodszych oficerów nie odważył się na to w stosunku do mnie.

– W czym mogę wam pomóc? Bo chyba nie przysłiście kopać leżącego? A może przysłał was Maksimow, żebym dla dobra służby zwolniła się z MUR-u? – spytała z goryczą. – Nie macie pojęcia, ilu byłych przyjaciół dało mi do zrozumienia, że najlepiej bym zrobiła, zmieniając pracę.

– Porozmawiamy i o tym, ale najpierw coś zjedz.

– Myślicie że jestem głodna?!

– Jedz! – poleciłem ostro. – Nie pomożesz mi, jeśli zemdlejesz z głodu!

Nina spojrzała na mnie ze zdumieniem, w chwilę później jej oczy rozbłysły nadzieją. Zanim zdążyła coś powiedzieć, do stolika podszedł Bugrowski z wyładowaną po brzegi tacą.

– Wasz obiad, *komandir!* – oznajmił energicznie. – Mogę się przysiąść?

Przyzwoliłem z uśmiechem. Zuch chłopak! Widząc mnie w towarzystwie Rusłanowej, od razu zrozumiał, co chcę zrobić. Na Pietrowce z pogardą traktowano ludzi wykorzystujących zależności służbowe, podobnie jak i kłamców. Nasza obecność przy stole Niny była oczywistą deklaracją, że jej wierzymy: chlebem dzielono się tylko z przyjaciółmi.

– Co chcecie robić? – kontynuował.

– Złapać Burą Kotkę – odparłem. – Z tą tu zapłakaną dziewczynką. – Wskazałem ruchem głowy Rusłanową.

Nie przesadziłem, po twarzy Rusłanowej spływały nieocierane łzy.

– Ambitny plan! – oznajmił z ożywieniem Bugrowski. – Mogę w czymś pomóc?

Pytanie było retoryczne, chłopak wiedział, że nie pozwolę mu siedzieć bezczynnie, ale fakt, iż zgłosił się na ochotnika, świadczył o zainteresowaniu. I nic dziwnego, Bura Kotka była legendą, w przypadku sukcesu legendą staną się śledczy, którzy ją złapali, a poeta Bugrowski nigdy nie był obojętny na sławę.

– Owszem. Na jutro chcę mieć spis osób, które okradła. Kompletny spis, nie tylko oficjalne zgłoszenia – podkreśliłem.

Dima posłusznie przytaknął. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że wielu partyjnych bonzów wolało ścierpieć kradzież, niż oficjalnie zgłaszać utratę przedmiotów, których w żaden sposób nie mogli legalnie posiadać. No, a przynajmniej nie zgłaszali tego milicji. Partyjna góra dawno stworzyła coś w rodzaju własnej służby bezpieczeństwa, która zajmowała się takimi sprawami. Nieoficjalnie. Pozycja ojca Bugrowskiego, który sam był prominentnym członkiem partii, gwarantowała, że na jutro będę miał dużo więcej informacji, niż mógłbym zdobyć oficjalnymi kanałami.

– Dlaczego mi pomagacie? – spytała Nina z odcieniem nieufności w głosie.

– No właśnie, dlaczego jej pomagamy, *komandir*? – powtórzył Bugrowski.

Skosztowałem zupy, dziś podawano rosół.

– Bo Diaczenko ją wrobił – odparłem obojętnie. – Poza tym mam w tym swój interes.

– Jaki? – zainteresował się chłopak.

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

Rusłanowa zareagowała uśmiechem, zapewne pomyślała, że chcę zbyć chłopaka, ale Dima spoważniał. Poznał mnie wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że nigdy nie kłamię bez powodu, a nawet jeśli muszę to zrobić, staram się jak najmniej odchodzić od prawdy. Bynajmniej nie z powodów moralnych: każdy żołnierz *wojennoy razwiedki* wiedział, że dobre kłamstwo musi zawierać jak największą dozę prawdy. Po latach spędzonych za linią frontu stawało się to życiowym nawykiem.

– A co ja mam robić? – odezwała się Nina.

– Przygotujesz dla mnie na jutro dwie rzeczy: raport na temat dotychczasowych działań śledczych i analizę, dlaczego nic nie dały. Tylko weź pod uwagę, że nie chodzi mi o papierki, a realne fakty.

– *Tak toczno!* – wyskandowała, markując salut.

Dokończyłem obiad ze świadomością, że coraz więcej osób zwraca na nas uwagę. Diaczenko był tylko porucznikiem bez specjalnych osiągnięć, mógł oczernić Rusłanową, bo dziewczyna cieszyła się dwuznaczną reputacją. Jednak w konfrontacji ze mną czy Dimą nie miał żadnych szans. Cóż, jedna sprawa z głowy, żebym tylko swoje problemy rozwiązywał z podobną łatwością...



Tym razem spotkałem się z Cichym w gruzińskiej restauracji na Pułkowej. Stary złodziej nie był zachwycony wytwornym lokalem, zapewne wolałby jakąś zapluta knajpę na peryferiach, jednak po odparciu ataku bandytów z Odessy musiał udowodnić, że nadal rządzi podziemną Moskwą. Tu zauważą go wszyscy zainteresowani, no i dowiedzie, że nie boi się pokazywać publicznie.

Tichonow zaczął od podziękowań, prawda, że oszczędnych, ale nie liczyłem na nic więcej, tak czy owak słowo *wora w zakonie* miało swoją wagę.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał, kiedy skończyliśmy gęstą, gulaszową zupę.

Położyłem na stole krótką charakterystykę i zdjęcie Iwanowa.

– Zależy mi tylko na informacji – powiedziałem. – To sprawa polityczna, więc trzymajcie się od niego z daleka, i ostrzeż swoich ludzi, ponieważ ten facet jest śmiertelnie niebezpieczny.

Cichy spojrział na fotografię, przytaknął krótko.

– À propos polityki, co teraz będzie? – zainteresował się. – Po śmierci Wąsatego? Co sądzisz o Berii? Te amnestie niejednego zdziwiły.

Uśmiechnąłem się kpiąco: amnestia ogłoszona przez Berię spowodowała zwolnienie z łagrów setek tysięcy, a może nawet milionów więźniów. Byli wśród nich niepełnoletni, starcy i ciężarne kobiety, ale też mnóstwo kryminalistów.

– Masz na myśli „dały nadzieję”? – odparłem urągliwie. – Zapomnij! Beria to gad, po prostu stosuje receptę Stalina. Jeśli dojdzie do władzy, jeszcze zatęsknicie za Wąsatym – dorzuciłem z ironią.

– Jaką receptę?

– Nawet w takim kraju jak Rosja nie można stosować terroru wprost i nieustannie, dlatego Stalin co jakiś czas dymisjonował i rozstrzeliwał kolejnego szefa bezpieki, zwalając na niego wszystkie winy. Schemat był prosty i w zasadzie stosowany od czasów Iwana Groźnego: dobry car i źli bojarzy. Mimo że nie była to pierwsza amnestia, gazety pisały o zwolnieniach z więzień i łagrów, a ludzie się cieszyli, bo do domów wracali ich bliscy. Rehabilitowano masowo skazanych za niewinność, prawda, że sporą część pośmiertnie, i przez jakiś czas wszystko było dobrze. A później zaczynały się kolejne aresztowania, często do łagrów wracali ci wcześniej zwolnieni, jednak ludzie, zamiast oskarżać Stalina, myśleli, że znowu winna jest bezpieka, a dobry wódz po prostu nie wie, co czekać robią za jego plecami.

– Myślisz, że teraz będzie podobnie?

– Jestem pewien. Może słyszałeś o oczyszczaniu organów

bezpieczeństwa z funkcjonariuszy naruszających normy socjalistycznej praworządności?

– Owszem. I wiem, że ze stanowisk polecili ci naprawdę winni.

– W bezpieczeństwie nie ma i nigdy nie było niewinnych – odburknąłem. – A zastanawiałeś się, kto ich zastąpił? Na wszelki wypadek podpowiem: ludzie Berii, także z łapami po łokcie we krwi. To taka huśtawka, najpierw będzie lepiej, później wróci stare. Beria już zaczął krytykować Stalina, na razie jeszcze półgębkiem, podobno nawet ukuto specjalny termin: „kult jednostki”.

– Przecież nie bez powodu?

– Owszem, jednak to tylko pretekst. Stalin miał status półboga, przejąć władzę po kimś takim nie jest łatwo. Generalnie istnieją dwa warianty. Następca kreuje się na najlepszego ucznia i kontynuatora myśli poprzednika albo przedstawia go w złym świetle, obiecując, że naprawi błędy tyрана... Beria jest ambitny, ani mu w głowie przebywać do śmierci w cieniu Stalina! Wracając do amnestii, one mają tylko podsycić chaos, żeby ułatwić przejście władzy przez Ławrentija Pawłowicza. Chaos w polityce wewnętrznej, zagranicznej, a nawet w świecie *błatnych*. Jak myślisz, skąd wzięła się ta ekipa z Odessy? Czy aby przynajmniej część z nich nie wróciła właśnie z łagrów?

Choć Tichonow nawet nie mrugnął okiem, wyczułem instynktownie, że trafiłem w sedno.

– Założę się, że Beria ma w zanadrzu jeszcze wiele propozycji zmierzających do poprawy położenia ludu pracującego, propozycji nie do przyjęcia dla reszty partyjnych bonzów – kontynuowałem. – Dla ludzi, którzy, zupełnym przypadkiem! są jego konkurentami w walce o schedę po Stalinie. Dlatego kiedy tamci zaczną je krytykować, nikt się nie zdziwi, że do akcji wkroczy odnowiona bezpieka i aresztuje szkodników, nie patrząc na stanowiska i pełnione przez nich funkcje. Kiedy Ławrentij Pawłowicz już koronuje się na cara, zacznie przykręcać śrubę, bo z oczywistych względów nie może pozwolić, żeby ludzie zaczęli mu patrzeć na ręce czy rozliczać z obietnic albo popełnionych zbrodni. Ot, i wszystko!

– A co, jeśli władzę przejmie konkurencja?

Sięgnąłem po ciężkie gruzińskie wino, wypilem łąpczywie kilka łyków. Od dyskusji o polityce zaschło mi w gardle.

– Będzie lepiej. Trochę. Oni po prostu dokończą to, co zaczął Beria: oplują Stalina i przedstawiają się jako zbawcy narodu. Przypuszczam, że złagodzą terror, być może nieco polepszy się ogólna sytuacja w kraju i w państwach ościennych, ale nie oczekuj rewolucji. Wątpię też, żeby zaczęli jakąś wielką nagonkę na *błatnych*, bo nie doceniają waszej siły i wpływów. W odróżnieniu od Ławrentija Pawłowicza...

– A on docenia?

– Beria was wykończy – odparłem rzeczowo. – Nie przebijając w środkach. Oni obaj z Abakumowem mieli identyczne poglądy na tę kwestię, a jego metody chyba pamiętasz? Ale nawet jeśli zwycięży któryś z konkurentów Berii: Malenkow, Chruszczow czy Bułganin, jeśli pokażecie swoją siłę, to będzie wasz koniec.

– Nie rozumiem?

– Nikt nie będzie tolerował państwa w państwie – stwierdziłem z naciskiem. – Żaden czerwony władca.

– To ostrzeżenie? Mówisz, jakby ci zależało na przetrwaniu *blatnego* świata?

– Zależało? Niespecjalnie. Po prostu wolę się dogadywać z tobą niż z jakimś wariatem, który cię zastąpi, kiedy przestaną obowiązywać wasze *poniatija*. A w ogóle co cię tak naszło na politykę?

Tichonow przez chwilę obracał w dłoni kieliszek, wreszcie umoczył usta w winie, najwyraźniej potrzebował czasu, aby się zastanowić nad odpowiedzią.

– Niedługo odbędzie się *schodka* – poinformował w końcu. – Ogólnokrajowa. Będziemy rozmawiali, co robić w obecnej sytuacji.

– Siedźcie na dupie – poradziłem.

– Jestem pewien, że *schodniak* weźmie twoje zdanie pod uwagę – zażartował.

Wzruszyłem ramionami – nie moje małpy, nie mój cyrk, choć oczywiście wolałbym, żeby półświatkiem nadal rządzili tradycjoniści w rodzaju Cichego. Bywało, że *blatni* nie przestrzegali własnych zasad, ale zdarzało się to rzadko: bandycką sprawiedliwość wymierzano sprawnie i szybko. Z milicyjnej praktyki wiedziałem, że żaden szanujący się kieszonkowiec nie ukradnie staruszce emerytury ani nie wyciągnie portmonetki kobiecie z dzieckiem, a gwałciciel będzie miał szczęście, jeśli pierwsi dopadną go milicjanci. No, względne szczęście, bo przecież prędzej czy później wyląduje w więzieniu, a tam przyjdzie mu za wszystko zapłacić. Z procentem. To był brutalny świat, jednak bandyckie zasady wyznaczały pewne granice tej brutalności, jeśli zabraknie *worow w zakonie*, nie będzie już żadnych granic...

– No dobrze, zostawmy to – powiedziałem. – Mam pytanie z innej parafii: co wiesz o Burej Kotce?

Tichonow spojrzał na mnie z niedowierzaniem, po czym pokręcił głową.

– Zwariowałaś? Jestem ci coś winien, ale nigdy nie będę donosił na swoich. Zapamiętaj i zapisz.

Westchnąłem w duchu, warto było spróbować. Znacząca Kotka to złodziejka. Żadna tam amatorka, tylko profesjonalistka, w dodatku *prawilna*, inaczej Cichy nie byłby tak pryncypialny. Cóż, zawsze to coś.



Kilkakrotnie przejechałem pędzlem po kostce mydła i zacząłem rozrabiać pianę w starej filizance bez ucha. Mimo że od pewnego czasu oferowano w sklepach różnego typu maszynki do golenia, nie byłem entuzjastą żyletek – kilka pierwszych prób użycia nowego sprzętu skończyło się skaleczeniami. Najwyraźniej nasze żyletki sprawowały się gorzej od kapitalistycznych. Bo na przykład angielskie ostrza były znakomite, tylko gdzie je dostać?

Świeżo wyostrzona brzytwa z miłym dla ucha chrzęstem likwidowała zarost. Zakląłem cicho, usłyszawszy dzwonek. Ki czort? Toż nie ma jeszcze siódmej rano!

Z pianą na twarzy poczłapałem do drzwi, zerknąłem przez wizjer. Na korytarzu stał, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, mój sąsiad Łońka. Wpuściłem chłopaka i wróciłem do łazienki, żeby dokończyć golenie.

– Przepraszam, wujku, że tak wcześnie, ale mama wyszła po zakupy, a wolałem to załatwić, kiedy jej nie będzie.

– Słucham! – burknąłem niezbyt uprzejmie.

– Co sądzisz o białych? – spytał z roziskrzonym wzrokiem.

– Jakich, do licha, białych?!

– No wiesz, zwolennikach monarchii.

– Przeszli do niebytu – odparłem zwięźle.

– Nie do końca – stwierdził tryumfalnie. – Nawiązałem kontakt z taką organizacją, dowodzi nią były kamerger!

Roześmiałem się kpiąco i zanuciłem:

*Wied' ja institutka, ja docz kamergera,
ja czionnaja mol, ja lietuczaja mysz,
wino i mężczyzny – moja atmosfera,
prijut emigrantow – swobodnyj Pariż!*

– Naprawdę wierzysz w te brednie? – rzuciłem pogardliwie. – Teraz każdy biały, albo podający się za białego, to co najmniej były pułkownik, kamerger lub tajny radca.

– Ale on jest prawdziwy, wujku!

– Załóżmy na chwilę, że to prawda, po cholere ci kontakty z białymi?

– Chcę walczyć z komunizmem!

Westchnąłem ciężko i opłukałem twarz z resztek piany, osuszyłem ręcznikiem. Najchętniej przyrznąłbym Łońce w mordę, ale gdybym wybił mu parę zębów, Natasza pewnie nie byłaby zachwycona. Do tego

dzieciak aż kipiał entuzjazmem, nie było w nim złej woli, tylko przerażająca naiwność młodości. Czy ja też tak zachowywałem się w jego wieku?

– Usiądź – poprosiłem.

Zaparzyłem herbaty, rozlałem do kubków, zachęciłem Lońkę, żeby się poczęstował.

– Skąd pewność, że to nie prowokacja? – spytałem.

Chłopak skinął głową, jakby uznał moje wątpliwości za naturalne.

– Wiesz, wujku, oni ich za dobrze nie szkolą, tych prowokatorów – powiedział.

– Ciekawe, skąd ten wniosek?!

– W Riazaniu był taki jeden, chciał zrobić z nas współpracowników Związku Walki o Wyzwolenie Narodów Rosji.

Zakrztusiłem się, o mało nie rozlewając herbaty: nazwa organizacji znana była tylko nielicznym: nasza prasa pomijała działalność ZWWNR, jako że ta sprowadzała się głównie do propagandy. Wniosek? Chłopak nie zmyśla.

– I czym to się skończyło?

– Utopiliśmy go w rzece – odparł po chwili wahania.

– My?

– Ja i moi przyjaciele. Nie jestem taki głupi, wujku – skomentował moją minę. – Nigdy nie naraziłbym mamy czy ciebie, naprawdę sprawdziłem tego kamergera.

Obrzuciłem Lońkę ukradkowym spojrzeniem, sposób, w jaki trzymał kubek, świadczył, że jest zdenerwowany, ale nie wyglądało, żeby kłamał. Znaczący zapamiętał wydarzenia z dzieciństwa i wyciągnął wnioski. Zabić człowieka, szczególnie pierwszy raz, to nie byle co. No, no, może chłopak rzeczywiście nie jest taki naiwny, jak mi się wydawało?

– To stąd te książki?

– Mama je znalazła? – zachichotał. – Tak też myślałem, że znajdzie. I poleci z tym do ciebie...

Trzepnąłem go po karku, Lońka odsunął się nieco i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Znaczący nie zamienił się w agresywnego psychopatę...

– Narażasz mnie i mamę przez sam fakt, że skontaktowałeś się z kimś takim – powiedziałem poważnie. – Niezależnie od tego, czy ten twój kamerger jest dobrze wyszkolonym prowokatorem, czy autentycznym białym arystokratą. Bo nawet jeśli wziąć pod uwagę ten drugi wariant, bezpieka prędzej czy później go namierzy.

– Jesteśmy ostrożni – zapewnił żarliwie. – A ja chcę walczyć z czerwonymi! Za to, co zrobili mamie.

– A twoja matka chce żyć spokojnie! – zripostowałem. – Jak myślisz, co jest ważniejsze?

Chłopak zacisnął usta, choć widać było, że się zastanawia.

– Rozmawiałaś z nią kiedyś o tym? – spytałem łagodnie.

Pokręcił przecząco głową.

– Porozmawiaj – poradziłem. – I jeszcze jedno: obiecaj mi, że na razie nawet nie zbliżysz się do tego kamergera. Nie mam teraz czasu, żeby się tym zajmować.

– Obiecuję, wujku – odparł natychmiast.

Uniosłem brwi, odpowiedź padła zbyt szybko.

– Matka opowiadała ci o pobycie w łagrze?

– Oczywiście – przytaknął.

– A o tym, jak ją zgwałcili i dostała sto uderzeń nahajką w krocze?

Łońka pobladł jak ściana, przez jakiś czas otwierał i zamykał usta niczym ryba wyciągnięta z wody.

– Ile masz lat?

– Szesnaście, prawie siedemnaście.

– No to nie jesteś już dzieckiem – stwierdziłem sucho, po czym opowiedziałem mu, co spotkało jego matkę w łagrze.

Chłopak słuchał jak zahipnotyzowany, po jego twarzy spływały grube krople potu.

– Teraz już wiesz, czego boi się twoja matka – zakończyłem szorstko.

– Jeśli padnie na ciebie choćby najmniejsze podejrzenie, będzie pierwsza w kolejce do przesłuchania, a, wierz mi! jakby co, śledczy nie będą się patyczkować.

– Rozumiem, wujku – zapewnił. – Nie będę się z nim kontaktował.

Odprawiłem dzieciaka ruchem dłoni, musiałem zbierać się do pracy. Łońka wstał z krzesła i ruszył do drzwi powoli i niezbornie, jakby miał na karku siedemdziesiątkę. Cóż, nawet jeśli prawda nas wyzwoli, nikt nie powiedział, że uszczęśliwi. Tak czy owak, zażegnałem niebezpieczeństwo, niechby i chwilowo. Z biegiem czasu nauczyłem się cenić nawet takie drobne sukcesy.

Rozdział czwarty



Nina Rusłanowa zameldowała się w moim gabinecie z samego rana, w minutę po niej przybył Bugrowski. Poczęstowałem oboje kawą. Dima przyjął to jako coś oczywistego, za to Nina była wyraźnie zaskoczona, zapewne nieczęsto miała okazję pijać prawdziwą kawę.

– Co ustaliłeś? – spytałem chłopaka.

– Mielicie nosa, *komandir* – pochwalił. – Większości włamań w ogóle nie zgłoszono, Kotka okradała właściwie tylko prominentów.

– Da się z nimi pogadać?

– Nie za bardzo – skrzywił się Dima. – Personalia ustaliłem poprzez kontakty ojca. Jeżeli zaczniemy ich przesłuchiwać, wyda się, że ojciec nam pomagał, a wolałbym tego unikać.

Postukałem palcami w blat: ojciec Bugrowskiego był co prawda generałem, lecz wielu partyjnych bonzów przewyższało go władzą i znaczeniem, nie miało sensu robić mu kłopotów. Poza tym kto wie co i komu Kotka ukradła, całkiem możliwe, że problem nie tylko w pieniądzech i że możemy natrafić na jakąś polityczną aferę.

– Masz rację – mruknąłem. – Opuścimy to sobie. Zresztą wątpię, żeby któryś z nich coś pamiętał, Kotka działa na pewniaka, to profesjonalistka.

– Dziękuję – powiedział z ulgą Bugrowski.

– Nina? – zwróciłem się do milczącej do tej pory dziewczyny. – Jakies przemyślenia, propozycje?

– Skąd wiecie, że to profesjonalistka? – odpowiedziała pytaniem. – To wniosek na podstawie jej *modus operandi* czy coś więcej?

Odchrząknąłem z uznaniem, najwyraźniej pani kapitan rzeczywiście znała się na rzeczy i błyskawicznie wyławiała nawet drobne niuanse sprawy, a na pewno uważnie słuchała.

– Coś więcej – wyjaśniłem zwięźle.

– To wszystko, co nam powiecie?

– Dokładnie. Szczegóły nie mają znaczenia, to złodziejka, *blatna*.

– Ktoś musi jej przekazywać informacje – stwierdziła Nina. – To nie były włamania na ślepo, zawsze wiedziała, kiedy nikogo nie będzie

w domu i co warto kraść. Nie było ani jednego przypadku, żeby odeszła z pustymi rękoma, zawsze wracała z cennym łupem.

– Domownicy, służba? – rzuciłem pytająco.

– Raczej nie, a przynajmniej nie z tych zgłoszonych włamań – odparła z namysłem. – Maglowałam ich na wszystkie strony, wątpię, żeby któremuś udało się mnie okłamać.

– I nic? Żadnych sekretów, wstydliwych tajemniczek? – zakpił Bugrowski.

– Mnóstwo sekretów i wstydliwych tajemniczek, ale nic przydatnego dla nas.

– Co z tego wynika? – spytałem.

Dima podrapał się po nosie, a Rusłanowa bezradnie rozłożyła ręce.

– Może coś ich łączy? – powiedział niezdecydowanie Bugrowski. – Tych wszystkich bogaczy. Bo część z nich to osoby powiązane ze starym reżimem, które zachowały resztki majątku, a część nowobogaccy, przeważnie partyjni oficjele.

– Gratuluję! – odparłem z przekąsem. – Teraz tylko musisz wyjaśnić, co mogło łączyć sekretarza miejscowej organizacji partyjnej albo innego urzędnika z przedrewolucyjnym arystokratą.

– Przecież ci arystokraci mogli mieć kontakty z partyjną elitą! Ba! Musieli mieć! Inaczej dawno ktoś by ich pozbawił nawet resztek majątku.

– Coś w tym jest – przyznałem niechętnie. – Choć tak czy owak, trochę to naciągane. To nie był jeden wielki klub towarzyski.

– Nie zgadzam się z Dimą – poparła mnie Rusłanowa. – Wśród okradzionych byli zdecydowani wrogowie komunizmu. Rozumiecie, nie mówili tego wprost, ale to było widać. Żaden z nich nie utrzymywałby stosunków towarzyskich z „bolszewikami”.

– W takim razie co ich łączyło? – spytał Bugrowski.

– Kto – poprawiła dziewczyna. – I jeszcze jedno: Bura Kotka przelazła przez lufcik o wymiarach czterdzieści na dwadzieścia centymetrów. To jakaś metafizyka.

– Albo zmyłka – zripostował Dima. – Może wyszła przez okno albo i drzwiami, wystarczyło dorobić klucz, i specjalnie zostawiła otwarty lufcik?

– Ten generał widział, jak zeskakiwała z balkonu, tam był otwarty tylko lufcik.

– Jeśli chcesz wierzyć facetowi, który ledwo trzymał się na nogach z przepicia.

– Tylko głupek uważa, że...

– Spokój, dzieciaki! – przerwałem stanowczo. – Jesteśmy po tej samej stronie, nie wolno używać łopatek, sypać piaskiem w oczy ani wzywać na pomoc mamusi. Ty, Nina, zajmiesz się wariantami metafizycznymi,

a Dima poszuka wyjaśnień na gruncie materializmu dialektycznego, ja chwilowo mam ważniejsze sprawy.

– Jakie sprawy? Może w czymś pomóc? – ożywiła się Rusłanowa.

– Jeśli będę potrzebował pomocy, to poproszę. A teraz...

Zanim dokończyłem zdanie, w drzwiach pojawił się Maksimow. Jego mina wskazywała, że nie przyszedł pogawędzić o pogodzie.

– Towarzyszu Razumowski, chcę was widzieć w swoim gabinecie za pięć minut – polecił przez zaciśnięte zęby.

– A to co znowu? – spytał Bugrowski, kiedy generał zniknął. – Czym mu zdążyliście podpaść, *komandir*? Chyba że znowu sobie... potrenowaliście? – Spojrzał na mnie podejrzliwie.

Pogroziłem mu pięścią, po czym pomaszerowałem do gabinetu Maksimowa. Mimo pospiesznego rachunku sumienia nie mogłem przypomnieć sobie, czym mogłem go zdenerwować. Chyba że pojawił się jakiś świadek ostatniej strzelaniny.

Zapukałem energicznie i nie czekając na zaproszenie, nacisnąłem klamkę. Generał Maksimow siedział za masywnym biurkiem, przed nim prężył się na baczność barczysty, wysoki mężczyzna w mundurze porucznika. Kiedy wszedłem, odmeldował się regulaminowo i opuścił gabinet. Jego twarz wydała mi się znajoma, ale nie mogłem skojarzyć, skąd go znam.

Przez chwilę stałem w niezręcznej ciszy, wreszcie Maksimow wskazał mi fotel.

– O co chodzi? – spytałem.

– Sam powinieneś wiedzieć najlepiej! Widok mojego poprzedniego gościa niczego ci nie zasugerował?

– Tego porucznika? Nie mam zielonego pojęcia – powiedziałem. – Znaczy znam go, ale... Zaraz! Czy to aby nie ten, jak mu tam? Dimczenko?

– Diaczenko! – warknął Maksimow. – We własnej osobie.

– Przyszedł na skargę? – zdziwiłem się.

– Nie, ja go wezwałem.

– W czym rzecz? – powtórzyłem.

– Kiedy ty i ten twój Bugrowski wywołaliście falę plotek, miziając się publicznie z Rusłanową, pogadałem z paroma osobami i doszedłem do wniosku, że ten gnój nie tylko mnie okłamał, ale też usiłował wrobić Ninę. A ja dałem się podpuścić jak ostatni głupek – dodał ciszej.

Westchnąłem z ulgą, tym razem nie chodziło o grzechy pułkownika Razumowskiego, a jedynie drobne błędy kierownictwa.

Podszedłem do bibliotecznego regału i z za opasłego tomu wyciągnąłem butelkę koniaku, po krótkich poszukiwaniach znalazłem dwie szklanki.

– Nie nadają się do tego – wyznał Maksimow. – Ani ty, ani Poliakov

nie nabralibyście się na brednie tego dupka. To ty powinieneś siedzieć na moim miejscu!

– Uchowaj Boże! – wykrzyknąłem z nieudawanym przestraczem. – Nigdy w życiu!

Rozlałem alkohol, wymownym gestem uniosłem szkło. Generał skrzywił się, ale za moim przykładem opróżnił szklanekę.

– Masz na głowie cały MUR, nie jedną Rusłanową – powiedziałem uspokajająco. – A panienska Nina nie jest niewiniątkiem. Owszem, trochę jej się oberwało, ale przeżyje, to twarda dziewczucha.

– Zastanawiam się, co zrobić z Diaczenką? Najchętniej bym go wywalił na zbity pysk, ale ma jakieś układy z bezpieczeńką i miejską organizacją partyjną. Nie wiem, czy jest sens iść z nimi na noże.

Dolałem koniaku, z namysłem zakręciłem butelkę.

– Daj mu spokój – powiedziałem. – Sam to załatwię.

– Ciekawe jak. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, za co został ukarany!

– Dowiedzą się – zapewniłem. – Czy to nie on wygrał w ostatnich zawodach sambo?

– Owszem, jest naprawdę dobry. Wygrywa regularnie, odkąd Poliakov przestał startować. Chcesz poprosić generała, żeby go stłukł? Raczej nie wypada.

– Nie, ja wystartuję.

– Ty chyba jeszcze nie odzyskałeś pełni sił? – odparł dyplomatycznie Maksimow.

– Po prostu zgłoś mnie do zawodów – powiedziałem zniecierpliwiony.

– Dam sobie radę z tym główniarzem.

– No, jak uważasz – wzruszył ramionami Maksimow.

Wracając do swojego gabinetu, pomyślałem, że najwyższy czas wznowić regularne treningi, byłoby głupio, gdyby Diaczenko spuścił mi łomot...



Mimo że dzień był chłodny, ławki na skwerku niedaleko mojej kamienicy obsiedli miejscowi pijacy, po alejkach ganiały się dzieciaki, gdzieś widać było biegaczy. Kilku starszych mężczyzn mnie pozdrowiło, pozostali odwracali wzrok, w okolicy wszyscy wiedzieli, gdzie pracuję.

Natasza Pokrowska siedziała samotnie, nie niepokojona przez nikogo, jakby otaczała ją niewidzialna bariera odpychająca postronnych. Zauważywszy mnie, dziewczyna bez słowa wskazała miejsce obok siebie.

– Coś się stało? – spytałem.

– Nie, po prostu wołałam, żeby Lońka nie widział, jak do ciebie latam. I mam wiadomość od Cichego: ciemno i głucho. Podobno będziesz wiedział, o co chodzi.

W jej głosie nie wychwyciłem nawet cienia zainteresowania, więzienie i łagry skutecznie wyleczyły ją z niezdrowej ciekawości.

– Zupełnie nic? – rzuciłem z niedowierzaniem.

– Zupełnie – potwierdziła. – Tichonow był zakłopotany, chyba miał nadzieję na inny wynik, ale niczego nie udało mu się ustalić. Jeśli wypłynie coś nowego, obiecał, że cię poinformuje.

Zagryzłem wargi, moskiewscy bandyci byli moją główną nadzieją, choć prawdę mówiąc, od początku podejrzewałem, że sprawa będzie trudna. Jeśli bezpieka nie wpadła na trop Iwanowa, logiczne, iż facet zagrzebał się naprawdę głęboko. Ech, chuj by to strzelił! Większość poszukiwanych, jak choćby Czugajew, miała jakieś słabości, przez które łatwo było ich dorwać. Jednak jeśli ktoś się nie bał, a co za tym idzie, nie wykonywał nerwowych ruchów i nie hołdował najbardziej rozpowszechnionym słabościom w rodzaju żarcia, chłańska i bab, można go było szukać latami. Tylko że ja nie miałem tyle czasu.

– Mogę w czymś pomóc?

– Nie – odparłem zdecydowanie. – Nie tym razem.

– Co z Lońką?

– Trochę go przyhamowałem, na razie nie mogę zrobić nic więcej.

Pokiwała głową ze zrozumieniem, łagrowe życie szybko uczy, że nie należy spodziewać się cudów.

– Przyjemnie dzisiaj – powiedziała, przymykając oczy.

Zamiast odpowiedzieć, poprawiłem kołnierz płaszcza. Błede kwietniowe słońce nie dawało ciepła, a chłodny wiatr poruszał gałęziami drzew.

– Zimno ci?

– Trochę – przyznałem.

– Jest piętnaście stopni, naprawdę dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – odburknąłem. – Informuj mnie, jakby co.

Zamiast pójść prosto do domu, postanowiłem nieco pospacerować, miałem nadzieję, że odrobina ruchu pozwoli mi się rozgrzać. Nie pozwoliła. Wyglądało, że będę musiał poczekać, aż podziała pigułka, którą dostałem od Suna. O ile podziała. Szlag!



Nina Rusłanowa nie pytała, dlaczego spacerujemy po dzielnicy, w której

Bura Kotka obrobiła kilka chałup. Zapewne kładła to na karb nadzwyczajnych metod śledczych pułkownika Razumowskiego albo po prostu była wdzięczna za interwencję w sprawie Diaczenki i okazywała to, nie protestując przeciwko bezsensownemu włączeniu się po ulicach. Biorąc pod uwagę, że należała do najlepszych śledczych MUR-u, w grę wchodziła raczej ta druga opcja. Prawda, że wnioskując po sytuacji w stołowie, miała za co dziękować: teraz porucznik Diaczenko siedział sam przy stoliku.

Tramwaj zatrzymał się, wypluwając z wnętrza zmęczonych, wracających z pracy ludzi, przystanęliśmy na chwilę, aby przepuścić pasażerów. Korzystając z okazji, dopiąłem płaszcz, znowu było mi zimno.

– Chodźmy jeszcze na Tagańską – zaproponowałem.

– Dobrze, ale może wezmę was pod rękę? Będziemy wyglądać bardziej... zwyczajnie.

Podąłem Rusłanowej ramię, przejrzałem się w szybie wystawowej. Rzeczywiście, teraz sprawialiśmy wrażenie przeciętnej pary w średnim wieku. No, ściślej mówiąc, ja wyglądałem jak facet w średnim wieku, który poderwał sporo młodszą dziewczynę.

– Szukamy czegoś szczególnego? – rzuciła niewinnie Nina.

– Nie, muszę po prostu rozejrzeć się po okolicy, inaczej wyobraźnia mi nie działa – wyjaśniłem.

Moja towarzyszka odchrząknęła dyplomatycznie, lecz nie podjęła dyskusji. Zauważyłem, że wolną ręką poprawia kołnierz palta.

– Zimno ci? – spytałem.

– No nie jest najcieplej, mamy początek kwietnia.

– Jeszcze pół godziny – powiedziałem pocieszająco.

Budynek wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Sun: niewielki, z wysokim parterem, suteroną i kratami we wszystkich oknach. Na zewnątrz nie dostrzegłem żadnych wartowników, ale drgnięcie firany, kiedy przechodziliśmy mimo, sugerowało, że ktoś bacznie obserwuje ulicę. Nie będzie lekko...

– To tylko magazyn – odezwała się cierpko Rusłanowa. – Wątpię, żeby Burą Kotkę interesowały części maszyn rolniczych.

– Skąd wiesz, co tu trzymają?

– To mój teren, muszę się orientować, gdzie co jest. Kiedyś okradli miejscową spółdzielnię, rozumiecie, w biały dzień, z bronią w rękę, więc obeszałem wszystkie okoliczne budynki, szukając świadków.

– Byłaś w tym magazynie? – spytałem szybko. – Osobiście?

– Tak. Przesłuchałam personel.

– I jak tam jest?

– A o co konkretnie wam chodzi?

– Zabezpieczenia, strażnicy, ilu ludzi tam się kręci? –

doprecyzowałem niecierpliwie.

Rusłanowa obrzuciła mnie zaciekawionym spojrzeniem, ale po chwili zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Strażników było dwóch – odparła z namysłem. – Przynajmniej z bronią na widoku. Co do personelu, to wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, ale wszyscy wyglądali zadziwiająco młodo, ani jednego staruszka, paru sprawiało wrażenie inteligentów, reszta pracowników fizycznych. I jeszcze jedno: kilka pomieszczeń było zaplombowanych.

– Nie wpuścili cię tam?

– Nie wpuścili, a ja nie nalegałam, w końcu przyszłam tam w poszukiwaniu świadków, a nie robić rewizję.

– Niech zgadnę: byli tak zapracowani, że niczego nie widzieli?

– Owszem. A dlaczego ten magazyn tak was interesuje?

– Nieważne. Zapomnij o tym! – powiedziałem szorstko.

– Już zapomniałam. Jednak gdybyście chcieli się tam rozejrzeć, mogłabym wam to zorganizować.

– A to w jaki sposób?

– Mój przyjaciel Paszka Litwinow jest tu dzielnicowym. Od czasu do czasu chodzi po domach, sprawdza stan instalacji przeciwpożarowych i takie tam. Mogę go poprosić, żeby was wziął ze sobą i skontrolował Tagańską.

Skinąłem głową, pomysł był na pewno lepszy niż łażenie wokół budynku, bo któryś ze strażników mógł w końcu zwrócić uwagę na parę dziwnych spacerowiczów.

– Załatw to na jutro – poleciłem. – Tylko niech ten dzielnicowy nie zadaje pytań, lepiej, jeśli będzie jak najmniej wiedział o tej sprawie. To ostatnie dotyczy też ciebie.

– Nawet nie wiem, co to za sprawa – odezwała się z wyrzutem Nina.

– Śmierdząca. Polityczna – odparłem lakonicznie. – I co? Dalej chcesz mi pomagać?

– W razie kłopotów...

– W razie kłopotów zwalicie wszystko na mnie – przerwałem dziewczynie stanowczo.

Rusłanowa przytaknęła, choć niezbyt entuzjastycznie. Doskonale wiedziała, że jeśli trafi w łapy bezpieki, nikt nie będzie się przejmował, czy i na ile była winna i wtajemniczona w moje plany, śledczym wystarczy, że mi pomogła.

– W takim razie do jutra? Bo chyba nie ma sensu się tu dalej kręcić?

– Do jutra. – Pożegnałem ją pełnym rewerencji ukłonem.

Odpowiedziała ostrożnym uśmiechem, po chwili wmieszała się w tłum przechodniów.

Wróciłem na przystanek i wsiadłem do tramwaju, miałem jeszcze kilka spraw do załatwienia. Spraw niezwiązanych z bieżącym

śledztwem czy robotą dla Suna, ale mogących przynieść w przyszłości wymierne korzyści.



Elena Szewieliewa mieszkała na Kotielniczeskoj, w monumentalnej, wielopiętrowej budowlu przeznaczony dla prominentów. Niedawno sam jej załatwiłem dwupokojowe mieszkanie w „stalince”, nie mogąc patrzeć, jak tuła się po hotelach robotniczych zasiedlonych przez alkoholików i wszelkiej maści degeneratów.

Zadzwoiłem do drzwi, gospodyni otworzyła mi niemal natychmiast, w dłoni trzymała stalowy korkociąg. Ciekawe, czy to ostrożność, czy trafiłem na początek imprezy?

– *Komandir!* – pisnęła z entuzjazmem, po czym rzuciła mi się na szyję.

W mieszkaniu było tylko kilka mebli: stół, łóżko, jakaś szafa, widać, że gospodyni się nie przelewa. W sumie nic dziwnego, przedstawiciele „twórczej inteligencji” opływali w dostatki tylko, jeśli popierali linię partii, a Elena niespecjalnie chciała malować w stylu socrealizmu.

– Jesteś sama? – spytałem.

– Jak palec – odparła wesoło.

Znaczy nie impreza, a ostrożność. Widać panienska Szewieliewa jeszcze pamięta, co wbijano jej do głowy na szkoleniu.

– Wy towarzysko czy w jakiejś sprawie?

– I tak, i tak.

– Napijcie się czegoś?

– Herbaty.

– Momencik, zaraz przygotuję.

Przeszliśmy do kuchni, po raz kolejny zauważyłem, że w pomieszczeniu niemal nie ma mebli, tylko kuchenka i stary, kulawy kredens. Trzeba będzie coś z tym zrobić, bo głupie dziewczysko umrze z głodu...

– Malujesz coś? – rzuciłem neutralnym tonem.

Spojrzała na mnie ostro, potem wzruszyła ramionami.

– Niespecjalnie – przyznała. – Trochę rysuję. Dla siebie.

– Mogę zobaczyć?

– Oczywiście, tylko zaparzę herbatę. A tak w ogóle po co wam jestem potrzebna?

– Chcę, żebyś coś narysowała. Teraz, na poczekaniu. To ważna sprawa, oczywiście zapłacę.

– Nie wezmę od was pieniędzy!

– Nie kłóć się ze mną, głupia kozo! Zresztą to nie moje pieniądze,

a fundusz na wydatki operacyjne – skłamałem.

- Co mam narysować?
- Bransoletkę. Ściśle według mojego opisu.
- Od kiedy interesujecie się biżuterią?
- To część śledztwa, potrzebuję rysunku na wczoraj.
- Zobaczmy, co się da zrobić.

Po chwili usiedliśmy za stołem w salonie. Elena wyczarowała skądś blok rysunkowy i komplet ołówków. Podałem jej kartkę, na której naszkicowałem z pamięci bransoletę Suna.

– Tak to mniej więcej wyglądało – powiedziałem.

– Zobaczmy: masywna bransoletka typu otwartego, obie końcówki ozdobione symbolami...

– Smoczycy głów – dopowiedziałem szybko. – Skopiuj też te ideogramy.

– Złota czy srebrna?

– Srebrna.

– Jak wyglądały te smoki?

– Żebym ja to wiedział – westchnąłem. – Nie jestem w stanie ich opisać, widziałem je tylko parę sekund. Może dałbym radę, gdybym zobaczył coś podobnego?

Elena wyciągnęła z szafy angielskojęzyczny album o chińskiej sztuce i zachęciła mnie gestem do przejrzenia fotografii, a sama zabrała się do szkicowania.

Przejrzałem książkę, ale nie znalazłem podobnych smoków, wreszcie z westchnieniem odłożyłem opasłe tomisko.

– I co? – spytała dziewczyna. – Znaleźliście?

– Nie – odburknąłem zirytowany.

– A wiecie chociaż, co znaczą te hieroglify?

– Jeden. Ma coś wspólnego z wojną albo armią.

– To może spróbujemy inaczej.

Elena w kilka minut naszkicowała głowę smoka z rozwartą gniewnie paszczą.

– Coś w tym rodzaju – powiedziałem niezdecydowanie. – One dość groźnie wyglądały, to nie były takie sobie ozdóbki, miały przerażać.

– Czekajcie, gdzieś miałam te notatki...

Panienska Szewieliewa podeszła znowu do szafy i grzebała w niej dłuższą chwilę.

– Mam! – zawołała tryumfalnie. – To głowa smoka z rękojeści chińskiego miecza, z czasów dynastii Han.

– Podobne, bardzo podobne – powiedziałem z aprobatą.

Rysunek przedstawiał pokrytego łuskami mitycznego stwora, całość wyrażała brutalną siłę i okrucieństwo.

– W takim razie pijcie herbatę i nie przeszkadzajcie – poleciała

z nieświadomą arogancją w głosie.

Nie poczułem się obrażony, wiedziałem, że rysując, dziewczyna wpada w rodzaj transu. Dłonie Eleny poruszały się płynnie, jakby odprawiały jakiś skomplikowany rytuał, lewa obracała szkicownik pod różnymi kątami, prawa nieustannie coś kreśliła. Na twarzy Szewieliewej zastygł grymas niemal erotycznego uniesienia.

Kiedy nachyliłem się, żeby zobaczyć efekt, dziewczyna odpędziła mnie groźnym warknięciem.

– Zaczekajcie chwilę!

Co było robić? Podszedłem do okna, żeby nie rozpraszać towarzyski artystki, i przez dobry kwadrans obserwowałem ruch uliczny. Nie żeby było czym się ekscytować...

– Już! – powiedziała Elena. – Teraz możecie się gapić.

– Wielkie dzięki! – odparłem z przekąsem.

Bransoleta wyszła znakomicie: smocze głowy wyglądały równie groźnie, jak zapamiętałem, a ideogramy były doskonale widoczne.

– Masz talent – mruknąłem. – I dziękuję.

Sięgnąłem do kieszeni, położyłem na stole paczkę sturublowych banknotów.

– Zwariowaliście! Ten szkic nie jest tyle wart! Zarabiam mniej przez pół roku.

– Widać za mało się cenisz – zripostowałem. – I dość o tym, lepiej pokaż te swoje prace.

– To bardziej zabawa niż prawdziwa robota.

– To znaczy?

– Kazali mi rysować murarzy dla lokalnej gazety. Rozumiecie, w jakim stylu? No więc odmówiłem. Wtedy zwołali zebranie i kazali mi przeprowadzić samokrytykę.

– I co?

– Przeprowadziłam – odparła ponuro. – No, a później sobie ulżyłam...

Elena podała mi tekturową teczkę z rumieńcem zażenowania na policzkach. Rozwiązałem tasiemki i parsknąłem śmiechem na widok zbioru mistrzowskich karykatur. Dziewczynie udało się uchwycić nie tylko rysy twarzy, ale i cechy portretowanych. Niezbyt pozytywne cechy: lubieżność, obżarstwo, chciwość...

– Znakomita robota – pochwaliłem. – Jeśli nie chcesz uprawiać sztuki na poważnie, to może zajmij się karykaturami? Gazety cały czas poszukują zdolnych grafików.

– Pomysł niegłupi – przyznała. – Jest tylko jeden problem: jeśli ktoś nie ma znajomości, nie dopcha się do naczelnego, a sekretarz redakcji z miejsca odrzuci moją propozycję, bo etatowy grafik to jego znajomek albo po prostu będzie chciał łapówkę.

– Może ja spróbuję? – zaproponowałem. – Niczego nie mogę ci

obietcać, ale pokażę twoje rysunki paru znajomym, a nuż któremuś się spodoba?

– Dziękuję. Nie wiem co...

Powstrzymałem ją uniesieniem dłoni, nie miałem ochoty wysłuchiwać podziękowań. Nie od niej. Panienska Szewieliewa nie raz i nie dwa ratowała mi skórę.

– W takim razie wezmę tę teczkę. Jeszcze jedno, mogłabyś narysować karykaturę z fotografii?

– Wątpię, to nie portret. Żeby stworzyć dobrą karykaturę, trzeba znać człowieka.

Opowiedziałem jej o Diaczence. Tak jak się spodziewałem, oczy Eleny rozbłysły gniewem.

– Spróbuję – obiecała.

Na Pietrowce mieliśmy tablice z karykaturami, jednak nikt nie przejmował się specjalnie „dziełami” miejscowych artystów amatorów. I nie bez powodu, na przykład Poliakowa poznałem tylko po pagonach. Jednak co innego kiedy zajmie się tym zawodowiec, przypuszczałem, że towarzysz Diaczenko nie będzie zachwycony swoją podobizną.



Margarita de Virion wyglądała młodziej niż przy naszym ostatnim spotkaniu, najwyraźniej odpoczynek jej służył. Wiedziałem, że mimo obozowej przeszłości całkiem nieźle żyje z tłumaczeń i konsultacji: pani de Virion była sinologiem.

– Prosiłam, żeby pan tu więcej nie przychodził – powiedziała, ignorując moje powitanie.

– Będziemy rozmawiać w progu?

– W ogóle nie będziemy rozmawiać – oznajmiła. – Do widzenia.

Włożyłem nogę w drzwi i chwyciłem kobietę za nadgarstek.

– Proszę tylko o konsultację, oficjalnie i za opłatą.

Przez chwilę zastanawiała się, co robić, najchętniej pewnie rzuciłaby mnie ze schodów, w końcu jej twarz zastygła w grymasie rezygnacji. Przypomniała sobie, kim jestem i co z tego wynika. Widać było, że nie chce mieć ze mną nic do czynienia, ale jeszcze bardziej nie chciała wrócić do łagru.

– Słucham, ma pan pięć minut – rzuciła ostro, kiedy weszliśmy do pokoju.

Bez słowa wyciągnąłem rysunek bransolety, położyłem na stole. Wpatrywała się w kartkę przez kilka minut, wreszcie wzruszyła ramionami.

– Co pan chce wiedzieć? – spytała.

– Wszystko – odparłem lakonicznie.

– Takie bransolety nosili dawniej oficerowie chińskiej armii w celach identyfikacji. Setki lat temu – doprecyzowała. – To bardzo stary rodzaj pisma, napis głosi: „Generał Sun Li, dowódca awangardy armii...”, dalej brakuje jeszcze jednego lub dwóch znaków.

– Kiedy wykonano tę rzecz?

– Trudno powiedzieć, takie bransolety zaczęto stosować jeszcze w epoce Trzech Królestw.

– To znaczy? Proszę pamiętać, że jestem laikiem.

– W trzecim wieku naszej ery. Wyszły z mody jakieś czterysta lat temu, może dawniej, nie jestem ekspertem w kwestii militariów.

– Kto mógłby dzisiaj nosić coś takiego?

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Może jakiś zwariowany kolekcjoner? Jeśli to wszystko...

– Kiedy zaczęto stosować ten rodzaj pisma? – przerwałem de Virion bezceremonialnie.

– Trudno powiedzieć, najpopularniejsze było chyba od szóstego do trzynastego wieku, ale to nie znaczy, że nie stosowano go wcześniej ani później. To dość skomplikowana sprawa: Chińczycy czcili tradycję i chętnie sugerowali, że dany przedmiot jest starszy niż w rzeczywistości, uwielbiali też popisywać się znajomością dawnych obyczajów, stylów kaligrafii czy kronik.

Musiałem mieć niewyraźną minę, bo kącki ust Margarity de Virion drgnęły w powstrzymanym uśmiechu.

– A dlaczego pan o to pyta? Czyżby zainteresował się pan kulturą Chin?

– Tłumaczę pewien tekst ze starochińskiego – odparłem z roztargnieniem. – Człowiek z bransoletą jest w jakiś sposób z nim związany.

– Pan? Ze starochińskiego? – roześmiała się serdecznie.

Patrząc kobiecie prosto w oczy, wyrecytowałem z pamięci kilkanaście wersów księgi Doskonałych. W oryginale. Wzdrygnęła się, jakbym smagnął ją batem.

– I rozumie pan to, co czyta? – spytała niepewnie.

– Tyle o ile. Tekst jest dość hermetyczny, jego autor czy też autorzy używają określeń z zakresu chińskiej filozofii, alchemii wewnętrznej i innych, dość ezoterycznych praktyk, jednak miałem możliwość wyjaśnienia pewnych kwestii u ludzi znających się na rzeczy.

– Czyżby? – odparła z niedowierzaniem. – O ile dobrze zrozumiałam, ten traktat dotyczy dawno zapomnianej sztuki kultuwacji nieśmiertelności. Fizycznej nieśmiertelności. Słyszałam o takich tekstach. Ten, wnioskując po cytacie, powstał jakieś półtora tysiąca lat

temu. Ludzie, którzy mogli go objaśnić, dawno obrócili się w proch!

– Może nie do końca? – zaprotestowałem łagodnie. – Ale nie chciałbym zabierać pani czasu próżną gadaniną, i tak nadużyłem pani cierpliwości. Dziękuję za konsultację.

Wyciągnąłem z portfela sto dolarów, położyłem na stole, zanim jednak podniosłem się z krzesła, gospodyni złapała mnie za rękę.

– Niech pan poczeka! – wykrzyknęła.

Spojrzałem na nią z łagodnym zdumieniem, cofnęła dłoń jak oparzona.

– Przepraszam – wymamrotała. – Niech pan mnie wysłucha! Proszę tylko o parę minut!

Odchrząknąłem z rozbawieniem, bo najwyraźniej sytuacja się odwróciła. Tylko dlaczego? Co łączyło Margaritę de Virion z traktatem Doskonałych? Choć Bogiem a prawdą nie wiedziałem nawet, co łączyło ją z major Wierchońską. Najwyższy czas wyjaśnić tę kwestię.

– Dlaczego Liza zostawiła u pani list dla mnie? – rzuciłem ostro. – Dlaczego pani zaufała?

Kobieta splótła palce jak do modlitwy, zacisnęła, aż pobieleły.

– Byłam najlepszą przyjaciółką jej matki – odezwała się. – A Liza mi pomagała, kiedy wypuścili mnie z łagru, nie mogłam jej odmówić.

Skinąłem głową, było wiele spraw, o które chciałem spytać, ale nie teraz, kiedy walczyłem o przeżycie. Być może w przyszłości, o ile będę miał jakąś przyszłość. Bo wiele osób starało się ze wszystkich sił, żeby mnie jej pozbawić...

– Dlaczego zainteresował panią ten traktat? – zdecydowanie zmieniłem temat.

W oczach pani de Virion pojawiła się ulga, widać wolą rozmawiać o tekstach Doskonałych niż o Lizie. Cóż, ja także...

– Swego czasu specjalizowałam się w tłumaczeniu i interpretacji chińskich tekstów ezoterycznych, najbardziej interesowała mnie kwestia fizycznej nieśmiertelności. Oczywiście jako badaczka – dodała szybko. – W łagrze ciężko zachorowałam, w dodatku któraś ze współwięźniarek ukradła mi ciepły sweter, a sam pan wie, że w podobnej sytuacji nie ma co liczyć na jakąkolwiek pomoc.

Przytaknąłem. Jak i wszyscy obywatele naszego szczęśliwego państwa wiedziałem, jak jest w łagrach. Bogu dzięki, nie z osobistego doświadczenia.

– Nieważne. – Machnęła ręką. – Było, minęło. Kiedy leżałam na pryczy, plując krwią, zaczęłam praktykować jedno z ćwiczeń alchemii wewnętrznej, które miało leczyć „dziesięć tysięcy chorób”. Nie! Nie liczyłam na cud, po prostu chciałam zasnąć i więcej się nie obudzić. Ta metoda miała wywoływać coś w rodzaju sennego transu. W efekcie wyzdrowiałam. Od tej pory cały czas myślę o tych traktatach. Rzecz

jasna, nie chodzi mi o to, żeby żyć wiecznie. Chińczycy zawsze przesadzali, opisując skutki takich praktyk, jednak chciałabym pogłębić to, co osiągnęłam.

– To znaczy co?

– Błogość, zapomnienie – odparła z rozmarzeniem.

– Ćwicz pani regularnie?

– O tak! Dzięki temu na całe godziny zapominam o wszystkim, co mnie spotkało i jeszcze może spotkać. Nie czuję strachu przed nikim i niczym.

Przyznałam jej rację nieartykułowanym pomrukiem: niejeden chciałby zapomnieć o swojej sytuacji życiowej czy strachu, choćby na parę godzin.

– A skąd u pana takie zainteresowania? I przepraszam za powitanie, powinnam wiedzieć, że Lizka nie zakochałaby się w jakimś miłym aparatczyku.

Zacisnąłem zęby, nie chciałem rozmawiać o major Wierchońskiej ani o uczuciach, jakie mnie z nią łączyły. Nie jestem specjalnie sentymentalny, jednak mimo że rozliczyłem się ze wszystkimi, którzy przyczynili się do śmierci Lizy, nadal wyrzucałem sobie, że nie dałem rady jej ochronić.

– To długa i nudna historia – przerwałem wreszcie niezręczną ciszę.

– Mimo to chętnie bym jej wysłuchała. Mogłabym też pomóc panu w tłumaczeniu.

Po namyśle przedstawiłem kobiecie nieco okrojona i ocenzurowaną wersję moich kontaktów z Doskonałymi i Sunem. Pani de Virion słuchała mnie z roziskrzonymi oczyma, co chwila zadawała pytania. Przesiedziałem u niej do wieczora, a kiedy wychodziłem, byliśmy już po imieniu. Cóż, może nie wyjaśniłem, skąd u Chińczyka wzięła się nietypowa bransoletka, za to zyskałem przyjaciółkę...



Porucznik Litwinow, krępy trzydziestolatek o sympatycznej, choć z gruba ciosanej twarzy, bez słowa podał mi plik oficjalnie wyglądających dokumentów. Miałem na sobie mundur z dystynkcjami sierżanta, co powinno zapewnić mi anonimowość. Nikt nie zwraca uwagi na młodszych stopniem, a z tego, co mówiła Nina, Litwinow przeprowadzał rutynowe kontrole i w magazynie na Tagańskiej.

– Zaczynamy – powiedziałem, poprawiając czapkę.

Litwinow skinął głową i ruszył przodem. Porucznik nie zapytał, dlaczego chcę zwiedzić magazyn; wystarczyło, że Nina poprosiła go

o przysługę, a pułkownik z MUR-u będzie mu wdzięczny.

Drzwi wejściowe wyglądały zwyczajnie, ale kiedy wartownik wpuścił nas do środka, zauważyłem, że są dużo grubsze niż przeciętnie. Musiałem założyć, że między warstwami drewna znajdowała się stalowa płyta. Szlag!

– Kontrola przeciwpożarowa – oznajmił Litwinow znużonym głosem. – Saszka, pokaż towarzyszowi postanowienie Rajkomu.

Podąłem strażnikowi ozdobiony licznymi pieczętkami papier, ziewnąłem ostentacyjnie.

– Przechodźcie, towarzysze, zajmie się wami nasz *zawchoz*.

Choć oczekujący w korytarzu mężczyzna odziany był w przybrudzoną marynarkę, nie wyglądał na kierownika gospodarczego. Sprężyste ruchy, zimny, wszystkowiedzący wzrok i odciski na dłoniach sugerowały, że zajmuje się raczej kwestiami bezpieczeństwa. Kiedy zobaczyłem, jak chodzi, nie miałem wątpliwości: to agent operacyjny.

Człowiek trafiony pociskiem z broni palnej co prawda nie nakrywa się nogami, jak na filmach, ale często traci równowagę i pada, a jeśli tak się stanie, przeważnie jest to jego ostatni błąd. Dlatego zarówno *wojennaja razwiedka*, jak i bezpieka uczą swoich agentów chodzić w taki sposób, żeby nawet w sytuacji niespodziewanego ataku zachowali równowagę. Żaden zawodowiec nie nosi też nigdy zapiętej marynarki, dzięki temu może szybkim skrzętem biodra odchylić połą i sięgnąć po broń, a także trzymać prawą rękę zawsze blisko ciała. Dokładnie tak, jak nasz nowo poznany *zawchoz*...

– Borys Krynicki – przedstawił się lakonicznie. – Co tym razem? – spytał z wymuszonym uśmiechem.

– To, co zwykle – odparł spokojnie Litwinow. – Gaśnice i wyjście ewakuacyjne.

– Gaśnice mamy w porządku – zapewnił Krynicki.

– A wyjście ewakuacyjne? Podczas ostatniej wizyty zwróciłem wam uwagę, żebyście stworzyli drogę ewakuacji na wypadek pożaru. Z osobnym wyjściem.

– Cóż, to obiekt specjalnego przeznaczenia – odezwał się pojednawczym tonem *zawchoz*. – Chroniony, jak sami widzicie. I jako taki nie podlega zwykłym przepisom przeciwpożarowym.

– Słyszałeś, Saszka? Mają tu specmagazyn. Z tajnymi częściami do traktorów – powiedział Litwinow z przekąsem. – Cóż, zanotujemy.

– Co chcecie notować?

– Że nie spełniacie przepisów przeciwpożarowych. Bo nie spełniacie, mimo że dałem wam prawie pół roku na załatwienie sprawy.

Na twarzy Krynickiego zagrały mięśnie, ale zdołał się opanować. Wiedziałem, o czym myśli: mógł się nas pozbyć, wystarczyłoby, żeby

machnął nam przed oczyma legitymacją безпеki, jednak jeśli obiekt był tajny, równało się to dekonspiracji. Bo w takiej sytuacji Litwinow musiałby zawiadomić swoich przełożonych, Rajkom i czort wie kogo jeszcze, że budynek na Tagańskiej dwadzieścia cztery należy wyłączyć ze spisu kontrolowanych. A wówczas towarzysz Krynicki musiałby się tłumaczyć przed swoim naczalstwem, kto wie czy nie przed samym Berią? Ot, dylemat...

– No nie możemy! – wybuchnął. – Naprawdę nie możemy! Może poszukamy jakiegoś kompromisu?

Litwinow spojrział na niego sceptycznie, lecz nie odrzucił od razu propozycji.

– Jak myślisz, Saszka? – scedował na mnie odpowiedź.

– Bo ja wiem? – Udałem namysł. – Gdy zaczniemy się na nich skarżyć, utoniemy w papierach i pewnie przez kwartał będziemy musieli ich kontrolować. Z drugiej strony nie możemy im tak całkiem odpuścić, pamiętasz ten pożar z zeszłego roku? Na skwerze Kalinina? Wywalili pół komendy dzielnicowej i paru strażaków za to, że nie dopilnowali. A tamci ich zwodzili przez rok, że mają kłopoty z remontem i przebudową.

– Też racja – przyznał frasobliwie Litwinow.

– Przejdźmy do mnie – zaprosił pospiesznie Krynicki. – Porozmawiamy spokojnie.

Uniosłem brwi, widząc gabinet *zawchoza*: wygodne fotele, biurko, telefon. W normalnych magazynach telefon znajdował się tylko u stróża.

– Herbaty? A może coś mocniejszego?

– Jesteśmy na służbie – odmówił stanowczo Litwinow. – A teraz do rzeczy: w jaki sposób możecie zabezpieczyć ewakuację?

– Dodatkowe drzwi odpadają – stwierdził Krynicki. – Kiedyś były, ale kazali zamurować.

– W takim razie będziemy musieli napisać raport – westchnął z rezygnacją Litwinow. – Nie ma rady.

– Poczekaj! – Powstrzymałem go gestem. – A może chociaż okno? – zwróciłem się do Krynickiego.

– Okno?

– Zdejmiecie kraty w jednym z okien i oznaczycie je na planie budynku jako wyjście ewakuacyjne. Jakby co, wasi ludzie będą mieli którądy uciekać, a my najwyżej dostaniemy naganę za to, że nie sprawdziliśmy planu z rzeczywistością.

– Okno bez krat? Wykluczone! – wybuchnął. – A jak coś ukradną? Kto będzie za to odpowiadał?

– Przecież nie macie tu samych pomieszczeń magazynowych – powiedziałem cierpliwie. – Zdejmijcie kraty w oknie dyżurki, trzymajcie tam pluton ludzi pod bronią i ustawcie pułapki na niedźwiedzie. To

wasza sprawa. Sami widzicie, że idziemy wam na rękę. Jeśli wam to nie odpowiada, po prostu zgłosimy, że nie macie wyjścia ewakuacyjnego, i tyle. Nie będziemy dla was ryzykować pracy, wybijcie to sobie z głowy!

– Już dobrze, dobrze! Zrobimy, jak chcecie. Na kiedy potrzebny wam nowy plan budynku?

– Jak najszybciej – odparł Litwinow. – Dacie radę do końca tygodnia?

– Damy – odburknął Krynicki. – To co, idziemy sprawdzić te gaśnice?

– Idziemy! – potwierdziłem, wyjmując notes.

Kolejną godzinę spędziliśmy na spisywaniu numerów gaśnic i sprawdzaniu, kiedy ostatnio je legalizowano. Cóż, służba nie drużba...



Kolejna narada w moim gabinecie przebiegała w smętnej atmosferze: i Nina, i poeta Bugrowski nie poczynili żadnych postępów w poszukiwaniach Burej Kotki.

– Rozumiem, że ani podejście metafizyczne, ani materialistyczne nie dało rezultatów? – podsumowałem złośliwie.

– Nie znęcajcie się, *komandir* – poprosił Dima. – Ostatni tydzień spędziłem w bibliotekach i archiwach, rozmawiałem nawet z emerytowanym włamywaczem. Gość stwierdził stanowczo, że nikt nie przejdzie się przez taki lufcik. Baba musiała mieć klucz, a co za tym idzie, dostęp do zamka albo oryginału, żeby zrobić odcisk. No i ktoś musiał jej powiedzieć, którą chatę warto obrobić. Problem w tym, że nikt z domowników okradzionych nie znał innych poszkodowanych. A nadawać Kotce te chałupy musiała jedna konkretna osoba, mająca kontakt z nimi wszystkimi.

– Nina?

– Nie mam nic do dodania! – odpaliła gniewnie dziewczyna. – Przetrzepałam całą swoją agenturę, nikt nic nie wie. Oczywiście legendy o Kotce chodzą od dawna, ale nikt z *blatnych* nie widział jej na własne oczy. Byłam nawet... – Urwała gwałtownie.

– Tak? – zachęciłem.

– Będziecie się śmiali.

– Najprawdopodobniej – przyznałem. – Niemniej dokończ raport.

– No, w cyrku... Pytałam o numery ze znikaniem i tym podobne.

– I co ci powiedzieli? – spytał Dima z autentycznym zainteresowaniem.

– Że coś takiego jest niemożliwe bez kupy rekwizytów, odpowiedniego oświetlenia i tak dalej, jednym słowem: nie nasz przypadek.

Skinąłem z roztargnieniem głową, do tej pory nie zastanawiałem się specjalnie nad sprawą Burej Kotki, miałem większe kłopoty, lecz teraz, kiedy Nina wspomniała o cyrku, coś mnie tknęło.

– No dobrze – powiedziałem. – A jeśli założyć, że wszystko, co wiemy o Kotce, to prawda?

– W jakim sensie? – Bugrowski zmarszczył brwi.

– W dosłownym. Że ona rzeczywiście przelazła przez ten lufcik, bez żadnego klucza i dostępu do zamka. I pijak naprawdę mógł ją wziąć za dużego kota.

– Żartujecie, *komandir*?

– Ani trochę.

Dima wstał bez słowa i lunatycznym krokiem podszedł do okna.

– Lufcik, lufcik – wymamrotał. – Dlaczego ja nie przecisnę się przez lufcik?

Zanim zdążyłem zaprotestować, wskoczył na parapet i obejrzał dokładnie okno.

– Jestem za duży – stwierdził wreszcie.

– Brawo, Sherlocku! – pogratulowała mu ironicznie Nina.

Zwinąłem w rulon leżące na biurku dokumenty i trzepnąłem dziewczynę po ręce.

– Nie przeszkadzaj mi! – poleciłem.

Nina wydeła buntowniczo wargi, ale zaczęła przyglądać się Bugrowskiemu z większym zainteresowaniem.

– Może to dziecko? – odezwał się niepewnie Dima. – Małe dziecko przelazłoby przez lufcik.

– Jasne! I skoczyło z pierwszego piętra! Poza tym Kotka działa już dobre parę lat, dzieciaczek zdążyłby urosnąć!

– A jeśli ona nie rośnie? – rzucił zniechęca Bugrowski. – Idiotka! – krzyknął nagle. – I ja kretyn! Przecież to było oczywiste od samego początku!

– Co było oczywiste? Wszystkie dzieci rosną! Zaraz! Karlica! Myślicie, że to karlica? – zwróciła się do mnie Nina.

– To tylko luźny pomysł – przyznałem. – Być może błędny, choć nie zawadzi sprawdzić. Nie zdziwiłbym się, jeśli występowałyby w cyrku. Bo to nie może być zwykła karlica, musi posiadać specyficzne umiejętności.

– Karlica akrobatka? – domyślił się Bugrowski.

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem.

– Albo karzeł – doprecyzowała Nina. – Ta cała gadanina, że to kobieta, może być zmyłką.

– Prawda – przyznałem.

– Znajdziemy ją raz-dwa! – ucieszył się chłopak. – Ilu karłów może występować w moskiewskich cyrkach?

– Poza tym większość cyrków cały czas jest w ruchu, można

porównać terminy występów z datami włamań – uzupełniłem. – Jeśli mamy rację, znajdziecie ją bez trudu. Tylko uwaga: żadnych aresztowań!

– A to dlaczego? – zdziwił się Bugrowski.

– Bo tak! – odparłem stanowczo. – Wszyscy zrozumieli?

Oboje udzielili odpowiedzi twierdzącej, choć z wyraźnym ociąganiem, zapewne podejrzewali, że zamierzam zgarnąć całą chwałę z aresztowania Kotki. Cóż, w normalnej sytuacji mogliby mieć rację, tyle że obecnie grałem o wyższe stawki. Prawdę mówiąc, dużo wyższe...



Do kasyna wszedłem drzwiami dla dostawców. Mimo że lokal był moją własnością, pojawiałem się tam rzadko i prawie nigdy w strefie dla klientów. Kasyno (a raczej burdel połączony z kasynem) odwiedzali głównie prominenci, co stwarzało znakomitą okazję do zbierania informacji. Co prawda na terenie Moskwy działało kilka innych domów gry podobnego typu i klasy, jednak tamte nastawiały się wyłącznie na zysk, a dla mnie wpływy finansowe były tylko wisienką na torcie. Prawda, że całkiem sporą wisienką...

Bella czekała na mnie w korytarzu, mimo że miała swój gabinet: kilka lat temu powierzyłem jej zarządzanie bardziej rozrywkową częścią biznesu. Hazardem zajmował się emerytowany oficer *wojennej rozwiadki*, Paszka Zwiercow.

– Dzień dobry, Aleksandrze Nikołajewiczu – powiedziała z szacunkiem.

Westchnąłem bezradnie, zanim odpowiedziałem na powitanie. Już dawno proponowałem jej przejście na ty, ale Izabella Mienżyńska była nieugięta. Odkąd wysłałem ją na operację plastyczną, kiedy brutalny alfons pociął jej twarz, traktowała mnie jak półboga, i nic nie mogło zmienić tego nastawienia.

– Jak interesy? – spytałem.

– Wszystko w porządku – zapewniła. – Pozwólcie do mnie.

Wbrew temu, co można by sądzić o kokocie, no dobrze – byłem kokocie, gabinet Belli urządzony został w surowym, niemal ascetycznym stylu. W pomieszczeniu dominowało zastawione segregatorami mahoniowe biurko, wzdłuż ścian ustawiono regały z dokumentami, jedynym luksusem był ręcznie tkany dywan z Aubusson.

Bella usadziła mnie w fotelu (wygodniejszym niż siedzisko gospodyni) i poczęstowała własnoręcznie zaparzoną herbatą. To stanowiło część rytuału. Jak zwykle w takiej chwili po raz kolejny

pogratulowałem sobie pomysłu, aby wysłać ją do szwajcarskiej kliniki: od kiedy pracowała dla mnie, Bella nie raz i nie dwa udowodniła, że jest lojalna.

– Wszystkie dziewczyny są w obiegu, żadnych kłopotów zdrowotnych – zameldowała.

Odchrząknąłem z zadowoleniem, od dawna uczyliśmy klientów, że nie opłaca się zarażać naszych... pracownic. Winny karany był czasową banicją i ponosił konsekwencje finansowe, niezależnie od stanowiska. Od jakiegoś roku nasza działalność pedagogiczna zaczynała przynosić efekty.

– To dobrze – pochwaliłem. – Kto z wielkich tego świata odwiedził nas w tym tygodniu?

– Trzech hokeistów Dynamo Moskwa, minister Leszczenko, bezpieczniacy od stopnia dyrektora departamentu w górę, kilku arystokratów – odparła bez emocji.

I ona, i ja dawno przestaliśmy się ekscytować pozycją społeczną gości. Swego czasu regularnie odwiedzał nas Wasilij Stalin.

– Wyglądacie na zmęczonego – zauważyła. – I zmartwionego.

– Szukam pewnego człowieka. To ważna sprawa, problem w tym, że nie mogę go znaleźć. To wszystko, co o nim wiadomo. – Podsunąłem Belli tekturową teczkę z danymi i zdjęciem Iwanowa.

– To jego prawdziwe nazwisko? – spytała po chwili.

Zaprzeciłem gestem.

– Jak bardzo jest wam potrzebny?

– Dlaczego pytasz? Przecież powiedziałem przed chwilą.

– Widzicie, są pewne niuanse...

– Tak?

– Wielu klientów ma dość specyficzne upodobania, upodobania, których na co dzień nie zaspokajamy, jednak jeśli będzie trzeba, dziewczęta mogą się poświęcić. W podobnych okolicznościach ci ludzie stają się dużo bardziej wylewni niż zazwyczaj – wyjaśniła.

– O jakie upodobania chodzi?

– Zadawanie bólu i kilka innych w tym guście. Nie! Żaden z nich nie przekroczy granicy, wiedzą, czym by się to skończyło, niemniej nie jest to coś, co dziewczyny chciałyby robić.

– To już same musicie zdecydować – odparłem sucho. – Jeśli go nie złapię w ciągu miesiąca czy dwóch, będziecie miały nowego pracodawcę.

– W takim razie nie ma o czym mówić, wydam odpowiednie polecenia.

– Posłuchają? Przecież nie będziesz w stanie ich kontrolować?

– Posłuchają. Dziewczyny was szanują – zapewniła.

Starąłem się zachować pokerową twarz, ale chyba niezupełnie mi się

to udało, bo Izabella Mienżyńska parsknęła gniewnie.

– One doceniają, co dla nich robicie, gdzie indziej zarazona dziewczyna ląduje na ulicy, tylko u nas leczy się ją na koszt zakładu. I kto poza wami wyciągałby je z więzienia?

Rzeczywiście, zdarzyło mi się pomóc paru panienkom, inna sprawa, że przy moim stanowisku nie było to specjalnie trudne.

– Nie wierzę, że gdziekolwiek na świecie istnieje grupa pracowników, w której wszyscy są lojalni wobec szefa. Jakkolwiek by ten szef był dobry – powiedziałem.

Bella odrzuciła mój protest lekceważącym machnięciem dłoni, lecz widziałem, że jest zmieszana. Coś było na rzeczy.

– Gadaj! – rzuciłem ostro. – To nie czas na tajemnice!

– Cóż, macie rację i nie macie... Jak powiedziałam, obecnie wszystkie dziewczyny są wobec was absolutnie lojalne – powiedziała, akcentując słowo „obecnie”.

– Rozumiem, że nie zawsze tak było?

– Jak pamiętacie, kiedy zaczynaliśmy, dobór personelu był dość przypadkowy.

Pamiętałem. Jeden z owych „przypadkowych”, nieświętej pamięci Wadim Kazbekow, pociął jej twarz.

– Wala Drogina podkradała różne drobiazgi, więc musieliśmy się jej pozbyć – kontynuowała. – A Marfa Nesterenko...

– Tak? – ponagliłem, słysząc wahanie w głosie Belli.

– Zwerbował ją taki jeden z bezpieki.

Zakląłem pod nosem. Jak mogłem być takim idiotą? Jeśli nawet Beria nie wiedział, że jestem właścicielem kasyna, to na pewno sam fakt, że je czasem odwiedzam, nie był dla niego nijaką tajemnicą. Jego ludzie śledzili mnie latami i choćbym był nie wiadomo jak ostrożny, raz czy dwa mogło dopisać im szczęście. Najgorsze, że nie wiedziałem, co zdążyła wypaplać panienska Marfa.

– Ona nic mu nie powiedziała – odparła Bella, jakby w odpowiedzi na moje myśli. – Nie zdążyła. Zaraz na pierwszym spotkaniu ten bezpieczeniak sypnął jej groszem, więc zwierzyła się ze swojego szczęścia przyjaciółce, a ta powiedziała mnie.

– I co?

– Poprosiłam Paszkę, żeby załatwił sprawę. Uznaliśmy, że nie ma sensu zawracać wam głowy takimi drobiazgami.

– Wpadła pod samochód?

– Owszem – skomentowała Bella z kamienną twarzą. – Pod ciężarówkę.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zwiększyć jej pensji, po namyśle jednak odrzuciłem ten pomysł. Nigdy nie obraziłbym Paszki, proponując mu kasę za lojalność, a miałem przecucie, że Bella

zareagowałyby podobnie. Zresztą oboje zarabiali całkiem przyzwoicie, nie oszczędzałem na personelu.

– Dziękuję – powiedziałem. – Razem z Paszką naprawiliście mój błąd.

Mienżyńska skwitowała moje słowa lekkim skinieniem, lecz widziałem, że jest zadowolona.

– Gdybym się czegoś dowiedziała o tym Iwanowie, jak mam się z wami skontaktować? – zdecydowanie zmieniła temat.

– Dzwon o każdej porze dnia i nocy, a jeśli nie odbiorę, Paszka będzie wiedział, jak mnie znaleźć.

– Odprowadzę was do wyjścia – zaproponowała, widząc, że wstaje z fotela.

– Do sali bankietowej – sprostowałem. – Skoro Beria i tak wie, że tu zaglądam, byłoby podejrzane, gdybym od czasu do czasu nie pojawił się publicznie.

– Co chcecie zrobić?

– To, co wszyscy. Przepuszczę trochę pieniędzy i zjem obiad. W twoim towarzystwie, jeśli nie masz nic przeciwko – dodałem z udaną nieśmiałością.

Posiłek upłynął mi przyjemnie, Bella okazała się miłą, bezpretensjonalną towarzyszką. Z rozbawieniem zauważyłem, że śledziło mnie sporo ciekawskich, a nawet zazdrosnych oczu: pani Mienżyńska rzadko zasiadała publicznie do stołu i bardzo starannie wybierała towarzystwo. Bella należała do najpiękniejszych kobiet w lokalu, a fakt, że nie spoufalala się z klientami jak reszta damskiego personelu, tylko zwiększała zainteresowanie gości. Jedynie ledwie widoczne, a teraz zamaskowane makijażem, cieniutkie jak pajęczyna blizny na skroniach świadczyły, że przeszła operację plastyczną.

– Dlaczego tak mi się przyglądacie, Aleksandrze Nikołajewiczu? – spytała w pewnej chwili.

– Bo jesteś ładna, mądra i lojalna, prawdziwy skarb! – odparłem, napełniając kieliszki szampanem. – Twoje zdrowie!

Odpowiedziała uśmiechem, zadzwięczało szkło. Przez uderzenie serca poczułem, jak opadają ze mnie codzienne troski. Przez uderzenie serca...



Kiedy tylko weszli do mojego gabinetu, od razu wiedziałem, że przynoszą dobre wieści: Nina Rusłanowa podskakiwała z radości niczym mała dziewczynka, a poeta Bugrowski wyglądał jak fakir, który za chwilę zademonstruje lewitację.

- Mamy ją, *komandir!* – wykrzyknęła Nina. – Mamy ją!
- Nazywa się Julia Bondaruk i rzeczywiście jest karlicą – uzupełnił Bugrowski. – Od sześciu lat występuje w Starym Cyrku na Kwiatowym Bulwarze. Wszystkie znane nam daty kradzieży zgadzają się z terminami występów panienki Julii w Moskwie.
- Dobra robota! – pochwaliłem.
- Pomysł był wasz – przypomniał z nietypową dla siebie skromnością.
- Pewnie chcecie ją osobiście aresztować?
- Chcę być przy tym obecny, ale samego aresztowania dokonacie wy. Tylko weźcie paru ludzi do pomocy.
- A to dlaczego? – zdziwił się Dima. – Ona nie wygląda na niebezpieczną.
- Bo to akrobatka, głąbie! – oświeciła go kapitan Rusłanowa. – Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby nam uciekła?
- Tym bardziej na oczach setek albo i tysięcy ludzi – poparłem dziewczynę.
- Chcecie ją zgarnąć po występie? – zaniepokoił się Bugrowski. – Nie lepiej poczekać, aż wróci do domu? Mieszka niedaleko cyrku, na...
- Chcę obejrzeć jej występ – przerwałem mu bezceremonialnie. – Poza tym sam pomysł: nie wiemy, na ile jest dobra. Co, jeśli nas zauważy? Będziesz ją gonił po dachach? Bo na pewno ma opracowaną drogę ucieczki. A ty – poklepałem poetę złośliwie po brzuchu – zdecydowanie nie jesteś akrobatą.
- Przecież tam będą tłumy – skrzywił się niechętnie Dima, ignorując przytyk do swojej tuszy.
- Dlatego mówię, żebyś wziął paru ludzi, poza tym przydadzą nam się świadkowie z MUR-u.
- Po cholere?
- Żeby opowiedzieli na Pietrowce, jaki z ciebie znakomity śledczy! – warknąłem zniecierpliwiony.
- A ja? – odezwała się zaniepokojona Nina.
- I z ciebie – uspokoiłem dziewczynę. – Jak powiedziałem, aresztujecie ją we dwójkę.
- Dlaczego oddajecie nam zwycięstwo, *komandir?* – spytała.
- Bo mnie ono do niczego niepotrzebne. Poza tym i tak wszyscy będą wiedzieli, że dowodziłem akcją.
- W cyrku raczej nas nie zauważy w tym tłumie – rozważał na głos Dima. – To plus. Ale później może się zrobić nieprzyjemnie. Bo tam pewnie też ma opracowaną jakąś drogę ucieczki – dodał, popatrując na mnie z ironią.
- Weźmiemy ją w garderobie – zdecydowałem. – Skoro jest taka dobra, powinna mieć własną.
- Ma. Od paru lat jest jedną z gwiazd Starego Cyrku – poinformowała

Nina.

– Kiedy najbliższy występ?

– Pojutrze wieczorem.

– Zdobądź plan budynku i upewnij się, że w jej garderobie nie ma tajnego przejścia ani jakiegś zapadni – poleciłem chłopakowi. – Ty, Nina, dobierzesz ludzi.

– Obława jak na tygrysa ludojada – zauważył Dima.

– Lepiej przesadzić, niż nie dopilnować – odparłem. – Jeśli nam się uda, wszystkie stołeczne gazety będą o tym pisały, ale jeśli złodziejka-karlica zwieje dzielnym pracownikom MUR-u, śmiać się z nas będzie cała Rosja. A głowy i pagony polecą jak gruchy!

– Macie rację, *komandir* – przyznał Bugrowski. – Zajmę się tym planem.

– Nie mogę uwierzyć – wymamrotała Nina. – Po tylu latach wreszcie ją mamy.

– Wszystko się kiedyś kończy – powiedziałem sentencjonalnie. – Także złodziejski fart. Oby nam nie zabrakło szczęścia. I jeszcze jedno: nie zdradzajcie nikomu żadnych szczegółów.

Bugrowski otworzył usta, żeby zaprotestować, potem spojrzał na Ninę i pokiwał głową. Najwyraźniej podobnie jak ja doszedł do wniosku, że lepiej, aby porucznik Diaczenko nie znał detali akcji...



Zły klaun Niko zepchnął Małą Kotkę z trapezu i siedząca obok mnie może siedmioletnia dziewczynka zapiszczała z przerażenia, zasłaniając oczy. Trąciłem ją w ramię i pokazałem, jak Kotka zrywa się z ziemi i wspólnie z klaunem Leo wygania Nika z areny.

Karłowatość przeważnie skutkuje nieprawidłowymi proporcjami ciała, ale u Kotki wszystko było na swoim miejscu. Wnioskując z figury (bo na twarzy miała maskę), Kotka była zgrabną kobietką, tyle że miniaturową. No i znakomitą akrobatką, jej popisy na trapezie zapierały dech w piersiach, podobnie jak upadek z wysokości niemalże drugiego piętra. Natomiast kostium kota, prawda, że czarnego, sprawiał, że nie wiedziałem, czy śmiać się, czy zgrzytać zębami. Co za bezczelna mała bestia...

Sprzedawca lodów przeszedł mimo, zachwalając swój towar, a moja młoda sąsiadeczka odprowadziła go bezbrzeżnie smutnym wzrokiem. W normalnych okolicznościach kupiłbym jej lodowy rożek, lecz dziś priorytetem była Kotka. Siedziałem ramię w ramię z maluchami z domu dziecka, a pilnująca ich baba nie dysponowała raczej nadwyżką

intelektu. Sucha, kostyczna twarz opiekunki nie budziła zaufania, a czarne, ukryte za grubymi szklami oczy płonęły fanatyzmem. A nuż weźmie mnie za pedofila i podniesie alarm? Przecież nie będę jej machał przed nosem milicyjną legitymacją.

Fanfary zapowiedziały ostatni występ i po kwadransie ogłoszono koniec przedstawienia. Podniosłem się z miejsca i lawirując w tłumie, przecisnąłem do obłożonej przez wielbicieli garderoby Kotki. Zakląłem w duchu – szanse pomyślnego zakończenia akcji spadały z każdą minutą.

– Co robimy, *komandir*? – szepnął mi na ucho Bugrowski. – Kiedy spróbujemy ją aresztować, będziemy mieli szczęście, jeśli ujdziemy z życiem. Tu jest ze dwieście osób!

– Zdobądź mi uniform cyrkowego posługacza! – poleciłem. – Latają tu takie chłopaczki w pseudohuzarskich mundurach. Żywo!

Nie oglądając się na Dime, podszedłem do zażywnego faceta, piastującego ogromny bukiet kwiatów, i położyłem mu rękę na barku, jakbym spotkał starego znajomego. Kiedy zaczął się do mnie odwracać, wbiłem mu kciuk w szyję, a zanim upadł, zabrałem kwiaty. Nie przejmowałem się specjalnie ofiarą. A bo to jeden zemdleje w tłumie?

Rozejrzałem się: gdzie jest ten matoł Bugrowski?! Po chwili go zauważyłem, chłopak wychylił się zza rogu i machał do mnie. Ot, konspirator!

Przeszedłem do magazynu zawalonego sprzętem oraz pudłami niewiadomego przeznaczenia i błyskawicznie przebrałem się w cyrkowy uniform. Właściciel ubrania leżał nieprzytomny w rogu pomieszczenia. Co prawda marynarka była przyciasna w ramionach, a spodnie nieco za krótkie, wątpiłem jednak, żeby ktokolwiek zwracał uwagę na takie detale.

– Co dalej? – spytał Dima.

– Gdzie Nina?

– Niedaleko, czeka na mój sygnał.

– Kiedy wyjdę z tej garderoby, macie zrobić zamieszanie – powiedziałem. – Wywołajcie bójkę albo niech Nina się rozbierze, wszystko mi jedno, ta cała publika ma się wtedy gapić na was, a nie na mnie. Jasne?

– Jak słońce – przytaknął ponuro Bugrowski.

Otarłem pot z czoła, byliśmy o krok od ośmieszenia się przed całym MUR-em. Że też mi się, kurwa, zachciało świadków!

Wyszedłem na korytarz i nie szcędząc łokci, zacząłem przepychać się przez tłum.

– Przepuście, towarzysze! Ja z kwiatami dla Julii Bondaruk!

Nie było lekko, bynajmniej nie wszyscy mieli zamiar ustąpić mi miejsca, w końcu dotarłem do drzwi. Otwarłem je bez pukania

i wszedłem, zasłaniając się kwiatami.

Silne szarpnięcie zmusiło mnie do opuszczenia bukietu i oto zobaczyłem Burą Kotkę. Twarz w kształcie serca wyrażała oburzenie, zadarty nosek i długie niczym malarski ławkowiec rzęsy czyniły widok całkiem przyjemnym, ale nie przyszedłem tu, żeby podziwiać wdzięki panienki Bondaruk. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, złapałem ją za kołnierz krzyżowym uchwytem, tamując dopływ krwi do tętnic. Zwiotczała niemal natychmiast. Rozejrzałem się po garderobie, ale nie zauważyłem nic przydatnego, dopiero w szafie znalazłem spory jutowy worek. Cóż, lepsze to niż nic. Pospiesznie skrępowalem dziewczynie ręce i nogi tasiemkami od kostiumów, po czym wpakowałem ją do worka. Wyszedłem, modląc się, żeby Nina z Bugrowskim stanęli na wysokości zadania. Gdyby tłum doszedł do wniosku, że próbuję porwać artystkę, nie uratowałyby mnie nawet chóry anielskie. Zdecydowaną większość wielbicieli Kotki stanowili mężczyźni.

Moje obawy okazały się bezpodstawne. Kątem oka zauważyłem, że rozebrana do bielizny Nina robi szpagat, a potem gwiazdę, do wtóru szorstkich komend Bugrowskiego. Podejrzewam, że w tym momencie mógłbym nie tylko wynieść Burą Kotkę, ale i wyjechać z jej garderoby na różowym słoniu, nie zwracając na siebie specjalnej uwagi. Ta skierowana była wyłącznie na Ninę. Wyszedłem bocznym wyjściem, na ulicy czekał na mnie milicyjny samochód bez oznaczeń. Powitały mnie ciche wiwaty i gratulacje, w końcu przyniosłem im kota w worku...

Rozdział piąty



Czekali na mnie przed domem – towarzysz Tagilin z trzyosobową ekipą, na wypadek gdybym był na tyle niekulturalny, żeby nie skorzystać z uprzejmego zaproszenia. Nie zdziwiłem się specjalnie, wiedziałem, że prędzej czy później Beria będzie chciał się ze mną zobaczyć, bo czas mijał, a o Iwanowie słuch zaginął. Milczałem przez całą drogę, nie reagując na głupawe aluzje Tagilina do mojego godnego pożałowania, rzecz jasna, losu.

Ku mojemu zdziwieniu szofer skierował się nie do gmachu bezpieki, a w stronę willi na Kaczałowa. Beria przyjął mnie w jadalni i zmierzwiwszy ponurym spojrzeniem, nakazał raportować. Oczywiście nie było mowy, aby pułkownik Razumowski zasiadł przy jednym stole z gospodarzem, nie żebym miał na to specjalną ochotę. Składałem meldunek w pozycji na baczność, podobną przyjął też Tagilin, najwyraźniej mimo przechwałek nie cieszył się aktualnie przychylnością Ławrentija Pawłowicza.

– Więc mówicie, że Iwanow po prostu zniknął? – skonkludował Beria.

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, zmroził mi krew w żyłach, ale fakty pozostawały faktami: nie miałem nic nowego do powiedzenia.

– Tak jest – potwierdziłem.

Beria przez chwilę popijał herbatę, wreszcie ze złością odstawił szklanę.

– Myślałem, że stać was na więcej! – warknął.

– Dostałem tylko szczątkowe dane: kilka fotografii i parę stron analizy, którą można podetrzeć sobie... – Nie dokończyłem, starając się opanować wściekłość.

Postanowiłem, że jeśli Beria każe mnie aresztować, wykończę go tu i teraz. Razem z Tagilinem.

– Więc nie potraficie złapać jakiegoś amatora?

– Zawodowca – poprawiłem. – Zawodowca najwyższej klasy.

– Ciekawe, skąd ten wniosek?! Bo chyba nie z analizy „szczątkowych danych”?!
– Owszem, właśnie z niej.

– A konkretnie?

– Nie mam przy sobie tych akt...

– Tagilin!

Pułkownik Tagilin zniknął jak zdmuchnięty, po chwili wrócił z plikiem dokumentów w ręku.

– Można? – Wskazałem krzesło.

Beria potwierdził niecierpliwym gestem.

Odszukałem zdjęcie przedstawiające Iwanowa w kawiarni i bez słowa podsunąłem rozmówcy.

– Zwróćcie uwagę na kostki pięści Iwanowa – poprosiłem. – Widzicie te narośle?

– Tagilin, lupa! – zadysponował Beria, nie odwracając głowy. – Rzeczywiście – przyznał po chwili. – O czym to świadczy?

– O rygorystycznym i dość specjalistycznym treningu – wyjaśniłem. – Żaden amator tak nie ćwiczy.

– Co nas to obchodzi? – rzucił agresywnie Tagilin.

– Akurat wy powinniście wiedzieć najlepiej – odparłem złośliwie. – Przecież wasi ludzie byli zawodowcami, a ile trupów zostawił za sobą Iwanow?

Tagilin spurpurowiał, zanim jednak zdążył coś powiedzieć, Beria osadził go wzrokiem.

– Ciekawe – mruknął. – Bo jakoś nie przypominam sobie meldunków o stratach wśród naszych ludzi. Chyba że Razumowski się myli i żadnych strat nie było? Lecz jeśli tak, to dlaczego Iwanow nadal pozostaje nieuchwytny? Podobno dwa razy niemal mieliście go w ręku?

– Tak jest! – szcęknął Tagilin. – W Stawropolu i Tambowie.

– I co? Obyło się bez strat?

Twarz Tagilina z purpurowej zrobiła się biała jak prześcieradło, wargi posiniały.

– Kilku... kilku towarzyszy zmarło w szpitalu – wyszeptał. – On ich...

– Co znowu?! Głos ci odjęło?!

– On ich pobił – dokończył z wysiłkiem Tagilin.

– Rozumiem, że na śmierć?

– Tak jest. Nie meldowałem o tym od razu, bo miałem nadzieję, że...

– Won! – ryknął Beria.

Tagilin rzucił się biegiem do wyjścia, trzasnęły drzwi.

– Co planujecie? – spytał Beria, sapiąc gniewnie. – Musicie odzyskać te dokumenty!

– Potrzebuję jakiegoś punktu zaczepienia – odparłem. – Czegokolwiek.

– A konkretnie?

– Przynajmniej dwóch rzeczy: możliwości przesłuchania ludzi, którzy ścigali Iwanowa, i ogólnej charakterystyki dokumentów, które ukradł. Muszę wiedzieć, co może z nimi zrobić. Pułkownik Tagilin w zasadzie

nic mi nie powiedział.

– Nie powiedział, nie powiedział – burknął Beria. – Bo i nie miał powiedzieć! To wam do niczego niepotrzebne.

– Z całym szacunkiem, towarzyszu, ale nie mogę się z wami zgodzić. Zresztą w ogóle wydaje mi się, że oczekiwanie, iż Iwanow będzie miał te dokumenty, kiedy go złapiemy, o ile złapiemy, jest nieco na wyrost. Bo jeżeli jest takim profesjonalistą, jak sędzę, to dawno się ich pozbył.

Beria trzasnął pięścią w stół, jednak w jego oczach wychwyciłem niepewność, może nawet obawę.

– Co znaczy: pozbył?!

– To oczywiste: on sam musi się ukrywać i prawdopodobnie nie jest w stanie opuścić Moskwy, ale przecież mógł przekazać komuś te dokumenty, czy to przez kuriera, czy też zwykłą pocztą. Jestem niemal pewien, że dysponuje dobrze zakonspirowaną siatką współpracowników, inaczej dawno by już wpadł.

– To zależy, jak pilnie go szukaliście!

– Zrobiłem wszystko, co możliwe – zapewniłem. – To, że nadal pozostaje nieuchwytny, jest naprawdę dziwne. Ba! Niepokojące!

– Co macie na myśli?

– Pomijając fakt, że pułkownik Tagilin dwukrotnie pozwolił mu uciec, resort bezpieczeństwa dysponuje przecież skuteczną siecią agentów. Sami wiecie, że wszelkie próby antypaństwowej konspiracji kończą się bardzo szybko. Tymczasem wygląda na to, że resort okazał się bezsilny. Nie! To nie jest oskarżenie! – wyjaśniłem szybko, widząc reakcję Berii. – Ja też nic nie zdziałalem. To konstatacja faktu.

– A coście wy zrobili w tej sprawie?

Cóż, jeśli człowiek nie wie, co powiedzieć, najlepiej mówić prawdę...

– Kazałem szukać go *blatnym*. Rozumiecie, z racji swojego stanowiska muszę utrzymywać z nimi pewne kontakty. Oczywiście zaangażowałem też milicyjną agenturę, choć szczerze mówiąc, nie liczyłem tu na sukces. Iwanow jest zbyt sprytny, żeby nasi informatorzy na coś się przydali.

Myślałem, że Beria wybuchnie gniewem, ale tylko skinął głową.

– To rozsądne posunięcie – przyznał. – A wasi przyjaciele z *wojennoj razwiedki*? Ich też prosiliście o pomoc?

– Już dawno tam nie pracuję – zaoponowałem.

– Ale zachowaliście wpływy?

– Być może – przyznałem. – Trudno powiedzieć, sami rozumiecie, że nie mogę im niczego nakazać. Z drugiej strony, wy...

– Wolałbym załatwić to nieoficjalnie – przerwał mi Beria.

Akurat nieoficjalnie, pomyślałem. Po prostu boisz się, gnoju, że *wojennaja razwiedka* każe ci się pierdolić albo przechwyci kompromitujące cię dokumenty. W tym momencie miałem już pewność,

że nie chodzi o ludzi Berii, a o samego Ławrentija Pawłowicza. To nie był ktoś, kto martwiłby się o los swoich podwładnych. Biorąc pod uwagę sytuację, skradzione przez Iwanowa papiery musiały go mocno pogrążyć, a co za tym idzie, stanowiły potężną broń. Warto zapamiętać, może jeśli je zdobęde, kupię sobie życie? Tylko dlaczego Lidia Zosimowna nalegała, żeby dotarły do Paryża? Nie lepiej byłoby oddać je wrogom Berii?

– Zobaczą, co da się zrobić – obiecałem. – Nieoficjalnie.

– Dopilnuję, żebyście jutro otrzymali raporty z pościgu za Iwanowem – powiedział. – A pogróżkami Tagilina się nie przejmujcie, w moim otoczeniu zawsze znajdzie się miejsce dla utalentowanego człowieka – dodał z wymuszonym uśmiechem.

Jasne. A świnię nauczą się latać...



Kiedy przyjechałem na Pietrowkę, dyżurny od razu skierował mnie do gabinetu Maksimowa. Na korytarzu co chwila zatrzymywali mnie znajomi: wieści o aresztowaniu Burej Kotki już się rozeszły.

– Siadaj! – zaprosił Maksimow, ledwo stanąłem w progu.

Na biurku generała stała flaszka stolicznej i dwie szklanki, znaczy będziemy świętowali.

– Telefony urywają się od samego rana – powiedział, rozlewając alkohol. – Miejska Organizacja Partyjna, Komsomoł, ministerstwa, dzwonili nawet z Komitetu Centralnego. Wszyscy z gratulacjami. Ostatnio coś takiego zdarzyło się w czterdziestym siódmym, po rozbiciu bandy Pantalejewa. Twoje zdrowie!

Wypiliśmy, Maksimow podsunął mi słoik marynowanych grzybków i widelec.

– Przedstawiłem cię do odznaczenia – poinformował.

– A dzieciaki?

– Wypisałem wnioski o awans dla obojga.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – machnął ręką Maksimow. – Należy im się. Wszyscy dopytują, kiedy ta karlica wyląduje w Butyrkach – dodał.

– Nieprędko – odparłem. – Biorąc pod uwagę liczbę kradzieży, jakich dokonała, śledztwo potrwa z pół roku, o ile nie dłużej. Poza tym na razie lepiej trzymać ją tutaj, nawet jeśli to nie do końca zgodne z przepisami.

– A to dlaczego?

– Borys, Borys – westchnąłem. – Wiesz, ilu prominentom ta dziewucha nadepnęła na odcisk? Jeśli wyląduje w Butyrkach, nie

przeżyje tygodnia, a wtedy nasz tryumf zamieni się w gówno. Nikomu nie wytłumaczysz, że to nie nasza wina. Formalnie nic nam nie zrobią, ale ludziska pomyślą, że wysługujemy się partyjnym bonzom i kazaliśmy załatwić Kotkę. Pamiętaj, że ona nie okradała emerytów...

– Taaa... – mruknął. – Pewnie masz rację. A jeśli będą naciskać?

– Wątpię. Nikt się nie odważy, nie teraz, kiedy wszystkie gazety rozpisują się o naszym sukcesie. Ale nie od rzeczy będzie, jeśli zapewnisz poszkodowanych o naszej dyskrecji i o tym, że nie pozwolimy Kotce wchodzić w szczegóły, co i komu ukradła.

– No tak, to na pewno nie zaszkodzi. Dopisałem cię do tego turnieju sambo – zmienił nagle temat. – Tylko uważaj na Diaczenkę, gnojek mieszkał przez kilka lat w Japonii i naprawdę sporo potrafi, a jest na ciebie wściekły. Nikt z nim nie chce gadać, a teraz ten awans dla Niny... Wszyscy pomyślą, że wziąłem jej stronę.

– Przecież tego właśnie chciałeś – przypomniałem mu niedelikatnie.

– Owszem, za to nie chcę stracić najlepszego śledczego – odparł szorstko. – Diaczenko to dupek, ale potrafi się bić. Sam widziałem, jak uderzeniem pięści rozbił kilka grubych desek. To nie żarty! Kto cię zastąpi, jeśli wylądujesz w szpitalu?

– Może nie będzie tak źle.

– Oby! – skwitował Maksimow. – Zajmiesz się Kotką osobiście?

– Pogadam z nią, ale samym dochodzeniem niech zajmą się dzieciaki, chyba żeby sprawiała jakieś problemy.

– A będzie?

– Wątpię.

– Jeśli nie znajdziecie żadnych dowodów winy...

– Znajdziemy – zapewniłem. – A ona będzie współpracować. Nie ma wyjścia. W kilku miejscach zostawiła odciski palców, dopóki nie wiedzieliśmy, komu je przypisać, nie miało to żadnego znaczenia, co innego teraz.

– W takim razie bierz się do roboty, pierwszy raport chcę mieć jeszcze dzisiaj. Na piśmie! – zaznaczył.

– Tak jest! – Zamarkowałem salut.

Maksimow pogroził mi pięścią i pokazał drzwi. Cóż, najwyższy czas porozmawiać z naszym gościem.



Julia Bondaruk nie wyglądała na wystraszoną, siedziała z nogą założoną na nogę, mierząc mnie surowym wzrokiem. Jej poza wywarłaby większe wrażenie, gdyby była choć trochę wyższa: teraz przypominała dziecko

udające dorosłego.

– Dzień dobry – przywitałem się grzecznie. – Nazywam się Razumowski, będę kierował śledztwem w twojej sprawie.

– Nie ma żadnej mojej sprawy! – zripostowała natychmiast. – I nie zyczę sobie poufałości! Jestem zasłużoną artystką...

– Jesteś Burą Kotką i właśnie skończył się twój złodziejski fart – przerwałem jej znudzonym tonem. – Może pozwolisz mi wyjaśnić sytuację? – zaproponowałem. – Protestować będziesz później.

– Złożę na was skargę. Powiem, żeście mnie napastowali!

– Na zdrowie! Nie jestem święty, ale wszyscy wiedzą, że wolę kobiety naturalnych rozmiarów.

Strzał okazał się celny, panienska Bondaruk poczerwieniała ze złości. Ech, baby...

– Wracając do rzeczy – kontynuowałem – zapewne zastanawiasz się, co o tobie wiemy, jakie mamy dowody...

– Nie macie żadnych! – weszła mi w słowo. – Żadnych! Dzień, dwa, i będziecie mnie przepraszać.

Zmierzyłem ją pełnym politowania wzrokiem. I to ma być *blatna*? A może panienska Bondaruk nie ma nic wspólnego z bandyckim półświatkiem, poza tym, że wpłaca część zysków na *obszczak*, co tłumaczyłoby poparcie Cichego i fakt, że żaden urka jej nie zna? Jeśli dogadała się bezpośrednio z Tichonowem czy – niechby nawet! – z kimś z jego zaufanych, znaczy, że jest niegłupia. W takim razie wystarczy wyjaśnić jej zasady gry...

– Zacznijmy od początku – powiedziałem niegłośnie. – Jestem pułkownikiem milicji i moje słowo wystarczy, żeby cię skazać, nawet gdybyś była naprawdę niewinna. Zresztą gdybym chciał, przyznałabyś się nie tylko do kradzieży, które rzeczywiście popełniłaś, ale i do zamachu na towarzysza Stalina. Słyszałaś może, w jaki sposób niektórzy śledczy zapewniają sobie współpracę podejrzanych?

Dziewczyzna wyraźnie się wzdrygnęła, co znaczyło, że słyszała.

– Jeszcze dziś rozpoczniemy przesłuchania twoich znajomych, nie tylko tych z cyrku. I rewizję w twoim mieszkaniu, a także wszędzie tam, gdzie mogłaś przechowywać łup. To tylko formalność, sama nam powiesz, gdzie trzymasz fanty – wyjaśniłem, widząc, jak mierzy mnie wściekłym wzrokiem. – Bo fakt kradzieży udowodnimy ci bez trudu. Pamiętasz willę niejakiego Szmereńskiego? Towarzysz Szmereński jest zapalonym filatelistą i w odróżnieniu od innych poszkodowanych dał nam wykaz skradzionych rzeczy, głównie znaczków pocztowych. Wyjmując – zajrzałem do protokołu – „Odwróconą Jenny”, zdjęłaś rękawiczki i zostawiłaś śliczne odciski palców. Porównamy je jeszcze dzisiaj, ale nie sądzę, żebym się mylił, prawda?

Julia Bondaruk nie odpowiedziała.

– Teraz co do naszej współpracy... Zgodnie z przepisami powinniśmy odesłać cię do Butyrek, jednak nie przeżyłabyś tam dłużej niż kilka dni.

– Akurat!

– Rozumiem, że liczysz na wsparcie Cichego, ale na próżno. Owszem, Tichonow na pewno wysłał już gryps do więzienia i poprosił, żeby traktowano cię tam z szacunkiem, lecz jego władza dotyczy tylko *blatnych*, nie administracji. Ta zaś będzie wykonywać polecenia partyjnych urzędników, których okradłaś. Rozumiesz implikacje?

Pobladła twarz panienci Bondaruk świadczyła, że rozumie.

– Nie popieram takich metod, dlatego wolałbym współpracę, ale jeśli się uprzesz, zgodnie z regulaminem odeślę cię do Butyrek.

– Jaką... jaką mam gwarancję? – spytała ochryłym głosem. – I co proponujecie?

– Poproszę Cichego, żeby jeszcze dziś przysłał ci adwokata, on potwierdzi, że jestem wiarygodny. Reszta zależy od ciebie, o konkretnych porozmawiamy jutro, szkoda przelewać z pustego w próżne. – Odwróciłem się od dziewczyny. – Konwój! – zawołałem.

Kiedy w drzwiach ukazał się sierżant, ruchem głowy wskazałem mu panienkę Bondaruk.

– Wyprowadzić! – poleciłem.

Zanim zdążyłem wejść do swojego gabinetu, dopadli mnie Bugrowski i Nina, widać oboje czekali, aż skończę przesłuchanie.

– Kiedy się za nią weźmiemy, *komandir*? – zapytał Dima bez tchu.

– I jak? – dodała Rusłanowa.

– Będziecie pracować razem – zdecydowałem po namyśle. – Ale to dopiero jutro albo pojutrze, dziś załatwicie tylko formalności, spiszcie dane do protokołu i tak dalej, sami wiecie, co robić.

– Będzie z nami gadać czy pójdzie na udry? – zainteresowała się Nina.

– To się dopiero okaże – odpowiedziałem. – Mam nadzieję, że zacznie współpracować, tak będzie lepiej i dla niej, i dla nas.

– Ciekawe, co jej to da? – parsknęła Rusłanowa. – Tak czy owak, dostanie z piętnaście, o ile nie dwadzieścia lat.

– Może tak, może nie, my musimy zatroszczyć się o dowody, reszta to sprawa sądu.

– Odciski palców? – rzucił domyślnie Bugrowski.

– Tak.

– A co z prasą? Od rana koczują tu reporterzy, chcą wiedzieć, czy Bondaruk to na pewno Bura Kotka.

– Gdy sprawdzicie linie papilarne, możecie ich poinformować, że i owszem. Tylko nie wymieniajcie żadnych nazwisk, poza Szmereńskim.

– Oczywiście – przytaknął chłopak.

– I piszcie raport z zatrzymania Bondaruk dla Maksimowa, ma go dostać jeszcze dzisiaj.

- Będziecie na Pietrowce czy mam się sam wszystkim zająć?
- Jak zwykle – odburknąłem. – Zaraz wychodzę.
- Co to znaczy? – spytała Nina.
- Bugrowski podrobi mój podpis. – Wzruszyłem ramionami. – Ma w tym wprawę.
- Nie przeczytacie raportu?
- A po cholere?
- No, czy wszystko się zgadza...
- Nina, my tu tak nie pracujemy – powiedziałem łagodnie. – Mam zaufanie do moich ludzi, a oni wiedzą, że pewnych granic nie należy przekraczać. Zasada jest prosta: ja nie oszukuję ich, oni nie oszukują mnie. I troszczymy się o siebie nawzajem, na przykład Dima dba o to, żebym miał wszystkie raporty na czas.
- Weźmiecie mnie do siebie? Kiedy to wszystko się skończy?
- Nie. Ja zajmuję się ściganiem zbiegłych zeków, ty włamaniami.
- Jasne, dopóki Diaczenko znowu czegoś nie wymyśli – powiedziała gorzko. – Zresztą zastępowałam tylko Rumiancewa, to etat majora, a ja jestem kapitanem.
- Nie mówiłem ci? – spytałem z udanym zdziwieniem. – Maksimow podpisał już twój wniosek awansowy.
- A ja?! A ja?! – zawołał Bugrowski.
- Bo ja wiem?
- *Komandir!*
- Twój też. – Roześmiałem się. – Co prawda nie dostaniesz własnego wydziału jak Nina, ale co kapitan, to nie porucznik.
- Awans na majora – wymamrotała z niedowierzaniem Rusłanowa. – Od kiedy generał jest taki hojny?
- Wie, że nikt nie będzie się czepiał – wyjaśnił Dima. – Cała moskiewska wierchuszka jest mu wdzięczna za schwytanie Kotki.
- Poza tym działają tu i inne mechanizmy – uzupełniłem.
- Jakie?
- Potarłem fraszobliwie skronie. Mimo że znałem Rusłanową ładnych parę lat, nigdy nie byliśmy ze sobą zbyt blisko i nie wiedziałem, czy i na ile mogę jej ufać. Z drugiej strony fakt, że pracowałem dla Berii, nie był nijaką tajemnicą.
- Szukam pewnego człowieka dla Ławrentija Pawłowicza – odparłem ostrożnie. – To dla niego dość ważne, więc dopóki się tym zajmuję, jestem niejako pod jego ochroną. Jako wasz bezpośredni przełożony będę musiał parafować te wnioski awansowe, a chwilowo nikt nie odważy się mi świnić.
- Za to później sytuacja może szybko się zmienić – dodał ponuro Bugrowski.
- O czym mówicie? – zaniepokoiła się dziewczyna.

– To nie twoja sprawa – powiedziałem stanowczo. – I nie twój kłopot. Grunt, że nie musisz martwić się o swój awans.

Mina kapitan Rusłanowej świadczyła, że nie do końca rozwiąłem jej obawy, lecz miałem ważniejsze problemy niż samopoczucie panienki Niny.

– Do roboty! – poleciłem stanowczo.

Musiałem jak najprędzej spotkać się z Cichym.



Tym razem spotkaliśmy się u Cichego, nie było czasu na latanie po knajpach. Stary złodziej zatrzymał się w obskurnej kamienicy niedaleko placu Gorkiego, dawnej Chitrowki. Jego melina przypominała celę, tyle że luksusową: wygodne (choć wąskie) łóżko, rozchwierutany stół, szafka z nocną lampką i regał z książkami. Ot, całe umeblowanie.

Tichonow jak zwykle popijał czajurę, mnie nie zaproponowano poczęstunku.

– Skąd ten pośpiech? – spytał z lekkim zniecierpliwieniem.

– Jakbyś nie wiedział – zripostowałem kpiąco. – Twoja protegowana chwilowo zameldowała się na Pietrowce i zastanawiam się, co z nią robić dalej.

Na twarzy Cichego nie drgnął nawet jeden mięsień, ale wyczułem, że mężczyzna wcale nie jest taki spokojny, jak się wydaje. Najwyraźniej zależało mu na Kotce.

– A co proponujesz?

– Wyślesz do niej adwokata, który poręczy za mnie, później zobaczymy.

– A konkretnie?

– Przecież sam wiesz, w co się wpakowała – odparłem obojętnie. – Pamiętasz naszą umowę? Złodziej, który przez pomyłkę okradnie jakiegoś partyjnego prominenta, ma natychmiast zwrócić mi fanty. Nie wymyśliłem tej zasady tylko dla swojej wygody, wiadomo, że jeśli ktoś taki wpadnie, zostanie potraktowany w sposób... szczególnie. A ją złapali.

– Nic się nie da zrobić? – spytał cicho.

Milczałem długo, zastanawiając się, co odpowiedzieć. W świecie *błatnych* nie szafowano obietnicami, a ja przez sam fakt utrzymywania kontaktu z Cichym musiałem liczyć się z *poniatijami*, inaczej nikt by ze mną nie gadał.

– Być może będę mógł jej pomóc – odparłem niechętnie. – To skomplikowana sprawa.

– Pieniądze nie mają znaczenia – rzucił szybko Tichonow. – Zapłacę

każdą sumę.

– Rzecz nie w pieniądzech.

– Tak?

– Ona nie ma szans na przeżycie, nadepnęła na odcisk zbyt wielu ludziom, tak czy owak wykończą ją w więzieniu albo na zonie.

– Ale? Bo rozumiem, że jest jakieś „ale”?

– Ktoś taki jak ona jest mi potrzebny do pewnej roboty. Jeśli zrobi, co jej każę, spróbuję jej pomóc.

– Spróbujesz?

– Sam nie wiem, czy wyjdę z tego cało.

Stary złodziej spojrział na mnie ostro, lecz nie skomentował, najwyraźniej moje słowo też miało pewną wagę.

– Co mam jej przekazać?

– Niech współpracuje ze śledczymi, tak czy owak się nie wywinie, mamy jej odciski palców. Później, jeśli sprawa, o której ci mówiłem, wypali, zrobię wszystko, żeby ją wyciągnąć z tego gówna. Jeśli się uda, będzie musiała zakończyć karierę. Definitywnie zakończyć – podkreśliłem.

Cichy skinieniem głowy zarówno wyraził zgodę, jak i zasygnalizował koniec audyencji. Wychodząc, zastanawiałem się, kim jest dla niego Bura Kotka? Bo współpraca z milicją była zdecydowanie przeciwko bandyckim zasadom, a Tichonow nawet nie mrugnął okiem, słysząc mój warunek. Taaak, ciekawe...



Julia Bondaruk czekała na mnie, przykuta kajdankami do stołu, w towarzystwie aż dwóch konwojentów. Z jednej strony wyglądało to zabawnie, zważywszy na jej rozmiary i gabaryty zwalistych milicjantów, z drugiej nie było wcale takie dziwne: gdyby Kotce udało się oswobodzić, do końca życia regulowalibyśmy ruch na skrzyżowaniu w Muchosrańsku...

Rozpiąłem kajdanki i wyprawiłem konwojentów za drzwi. Co prawda było to wbrew przepisom, jednak nawet Bura Kotka nie przecisnęłaby się przez zakratowane okno, a nie przypuszczałem, żeby panienska Bondaruk stanowiła dla mnie fizyczne zagrożenie.

– Rozmawiałas z adwokatem? – spytałem od razu.

Potwierdziła lekkim, niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy.

– Podobno jesteście godni zaufania – stwierdziła zadziornie. – Zobaczmy. Czego ode mnie chcecie?

– Na dziś przyznania się do winy i współpracy. Musisz opisać

wszystkie swoje skoki i oddać skradzione fanty. No, te oficjalnie zgłoszone.

– Nie bardzo rozumiem.

– Większość twoich ofiar dość ogólnie opisała straty, wiedząc doskonale, że trudno byłoby im się wytłumaczyć z posiadania paru kilogramów złotej biżuterii czy antyków, których w żaden sposób nie mogli nabyć legalnie. No, a przynajmniej nie za swoją pensję... Im na razie nie będziemy niczego oddawać, chyba że zwrócą się do mnie dyskretnie, z prośbą o przysługę.

– A nie poprawiłoby to mojej sytuacji?

– Twojej sytuacji nic już nie poprawi. Ludzie, których okradłaś, wydali na ciebie wyrok śmierci. Jeśli wylądujesz w więzieniu albo na zonie, nie przeżyjesz nawet tygodnia, jakich by rekomendacji nie wystawił ci Cichy – powtórzyłem to, co powiedziałem panience Bondaruk poprzedniego dnia.

Dziewczyna pobladła, mimo że słyszała już tę groźbę drugi raz, ale szybko opanowała słabość i na jej policzki powróciły rumieńce.

– W takim razie dlaczego mam wam pomagać?

– Bo jeśli to zrobisz, ja pomogę tobie. Postaram się pomóc – doprecyzowałem.

– I chcecie tylko, żebym się przyznała do winy?

– Nie, nie tylko. Uratowanie ci życia będzie wymagało sporo zachodu, a ja nie jestem dobrą wróżką. Będziesz musiała mi się odwdzięczyć.

Panienka Bondaruk popatrzyła na mnie spłoszonym wzrokiem, po czym zapięła górny guzik bluzeczki. Nie wytrzymałem i ryknąłem śmiechem. Ech, baby... I kto tu myśli tylko o jednym?

– Nie... niezupełnie o to mi chodziło – wyjąkałem, usiłując opanować wesołość.

Purpura oblała nie tylko szyję i twarz dziewczyny, ale doszła nawet do małych, zgrabnych uszek.

– Chodzi mi raczej o coś z zakresu twojej specjalności. – Ściszyłem głos.

– Chcecie, żebym coś ukradła?

– Niezupełnie. Raczej otworzyła drzwi.

– Po co wam to? – spytała nieufnie.

– A to już nie twoja sprawa – stwierdziłem chłodno.

– Co konkretnie miałabym zrobić?

– Szczegóły podam ci jutro.

– Powiedzcie coś więcej! – rzuciła z rozdrażnieniem. – Co to ma być? Prywatna chata czy może...

– To drugie – wszedłem jej w słowo. – I mów ciszej, wolałbym, żeby konwojenci nas nie słyszeli. To tajny obiekt, rodzaj laboratorium. Silnie strzeżony. Jeśli się nie mylę, jedno okno będzie niezakratowane, co nie

znaczy, że niezabezpieczone. Chcę, żebyś wśliznęła się przez lufcik, jak masz to w zwyczaju, i umożliwiła mi wejście.

– A dalej?

– Resztą zajmę się sam.

– Co z ochroną?

– Solidna – przyznałem. – I uzbrojona. To nie będzie staruszek z laseczką.

Nie było sensu niczego ukrywać, bo jeśli Kotka nie da rady otworzyć mi drzwi albo chociaż okna, nie zrealizuję prośby Suna. Wreszcie nie byłem włamywaczem, to panienska Julia musiała zaplanować, jak przeniknąć do laboratorium.

– Zwariowaliście! Nigdy nie szłam na takie ryzyko!

– Ciszej! – syknąłem. – Najwyższy czas podnieść kwalifikacje. Oczywiście możesz odmówić, wtedy załatwimy wszystko zgodnie z przepisami.

Julia Bondaruk nerwowym gestem poprawiła włosy, sięgnęła do kieszeni.

– Nie poczęstowalibyście mnie papierosem? – poprosiła. – Moje mi zabrali.

– Myślałem, że sportowcy nie palą – zażartowałem, podsuwając jej papierośnicę.

– Robię to tylko, kiedy jestem zdenerwowana – odburknęła niegrzecznie. – No dobrze, załóżmy, że się zgodzę i ochrona mnie nie zastrzeli. Co dalej? Jak zamierzacie wpłynąć na sąd? Bo sami mówiliście, że jeśli znajdę się w więzieniu, długo nie pożyję.

– Nie ma mowy o wpływaniu na sąd, zbyt wiele oczu będzie obserwować ten proces. Zostaniesz skazana.

– Ale...

– Daj mi dokończyć! Do momentu ogłoszenia wyroku będziesz bezpieczna, zajmę się tym. Później, kiedy skierują cię na zonę, zginiesz w trakcie próby ucieczki. Jestem dowódcą wydziału pościgowego, mam swoich ludzi na wszystkich trasach, zorganizuję to bez trudu.

– Mam wam zaufać? Pozwolić się skazać i modlić o cud?!

– Jeśli widzisz inne wyjście...

Panienska Julia łapczywie zaciągnęła się papierosem, ze złością wydmuchnęła dym w stronę sufitu.

– Cichy stwierdził, że dotrzymujecie słowa.

Wzruszyłem ramionami, dziewczucha musiała samodzielnie podjąć decyzję, nie było sensu naciskać.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Pomogę wam. A teraz słuchajcie, co mi będzie potrzebne...



Spotkaliśmy się w niewielkiej, zadymionej knajpie niedaleko leningradzkiego dworca. Aby nie wyróżniać się w tłumie, zamówiliśmy po piwie. Tima Kotuszew w kraciastej kurtce i cyklistówce na głowie wyglądał na niebezpiecznego żuła, więc mimo tłoku nikt nie przysiadł się do naszego stolika.

– Nie mogę wam pomóc – powtórzył po raz kolejny. – Obawiam się, że w tym wypadku wasze cele roz mijają się z priorytetami *wojennej rozwiadki*.

Poczułem, jak zimna, stalowa łapa grzebie mi w trzewiach. Do tej pory wojskowy wywiad zawsze stawał po mojej stronie, zapewne nie tyle dla pułkownika Razumowskiego, co ze względu na równowagę sił, jednak jeśli sprzymierzy się z Berią, moje szanse spadną do zera.

– Nie! Nie obawiajcie się, *komandir*! Dalej gramy przeciwko Berii, po prostu obecne kierownictwo uznało, że lepiej będzie, jeśli sami przechwycimy Iwanowa i przekazemy skradzione przez niego dokumenty któremuś z konkurentów Ławrentija Pawłowicza.

– To dlaczego Lidia Zosimowna chce, żeby trafiły do Paryża?!

– Nie wiem, choć mam pewne przypuszczenia.

– Tak?

– Jest jedna rzecz, którą powinniście wiedzieć o Iwanowie. Coś, na co nie wpadł Beria ani jego ludzie.

– Słucham – ponagliłem.

– To biały. I to nie byle kto, prawdziwa biała kość: szlachcic, a najprawdopodobniej arystokrata. Niemal wszystkie organizacje emigracyjne mają swoje przedstawicielstwa w Paryżu, więc... – Rozłożył wymownie ręce.

– No dobrze, ale po cholere ten Paryż? Nie lepiej byłoby rzeczywiście przekazać papiery na przykład Chruszczowowi?

– Owszem, gdyby była pewność, że je wykorzysta.

– A dlaczego nie? Przecież to śmiertelny wróg Berii.

Tima zakręcił w zamyśleniu kuflem, oblizwał wargi z piwnej piany.

– I tak, i nie – odparł z roztargnieniem. – Oni wszyscy przypominają sforę rozdrażnionych psów: są równie nieobliczalni, agresywni, ale i tchórzliwi. Jeśli wyczują słabość Berii, rozszarpią go bez wahania, jeśli zaś Beria zdominuje jednego czy dwóch, reszta zacznie skamlać o litość. Chruszczow nie jest tu żadnym wyjątkiem. Wydaje mi się, że ten kompromat może zawierać plany Berii w stosunku do każdego z nich. Jeżeli dostaną go wszyscy i równocześnie, ruszą ławą na Ławrentija Pawłowicza. Ale jeśli dokumenty otrzyma tylko jeden z nich, Beria da radę go przekonać, żeby przyłączył się do niego, udzieli mu gwarancji

bezpieczeństwa i z koalicji nici.

Skinąłem głową, trudno było coś zarzucić rozumowaniu Timy. Najwyraźniej chłopak przebył długą drogę od czasu, kiedy jego intelekt nie przekraczał poziomu ośmiolatka. Problem w tym, że krew Doskonałych nie tylko pomogła mu wyzdrowieć, ale i pozbawiła wszelkich emocji. Dawniej oddałby za mnie życie, teraz...

– Czyli muszę uprzedzić nie tylko Berię, ale i naszych – skonstatowałem niewesoło.

Tima przytaknął.

– Jeśli chodzi o Ławrentija Pawłowicza, możecie na mnie liczyć.

Uśmiechnąłem się ponuro, to znaczyło, że w ewentualnym starciu z GRU jestem sam. Cóż, dobre i to.

– Potrzebne mi dwie maski przeciwgazowe, granaty gazowe i wytłumiona broń – powiedziałem. – Możesz to załatwić?

– Bez problemu. Na kiedy?

– Jak najszybciej.

– Na jutro może być?

– Tak. I dziękuję.

Chłopak machnął lekceważąco ręką i przywołał kelnerkę, w chwilę później wmieszał się w tłum na ulicy.

Dopilem swoje piwo i przepchnąłem się do wyjścia. Miałem o czym myśleć: fakt, że ani *błatni*, ani bezpieczeństwa, nie wspominając o *wojennej rozwiadce*, nie mogli wpaść na ślad Iwanowa, nie mieścił się w głowie. Do tej pory znałem tylko jednego człowieka, który potrafił wymknąć się tak zmasowanej obławie – generała Wołkowa. Tyle że nie szukali go *błatni*, a i moja firma podchodziła do pościgu za Wołkowem bez specjalnego entuzjazmu. Wniosek? Albo Iwanow jest jakimś pieprzonym supermanem jak z amerykańskich komiksów, albo coś przeoczyłem. A czasu, żeby go dorwać, mam coraz mniej, Beria nigdy nie słynęła z cierpliwości.



Biblioteka imienia Lenina powstała w tysiąc osiemset sześćdziesiątym drugim roku jako część muzeum Rumiancewa. Dziś uchodziła za jedną z największych w Europie, miałem nadzieję, że znajdę tu coś na temat swoich rodziców. Już dawno temu nauczyłem się, że nie ma sensu na siłę gimnastykować mózgu, często rozwiązanie przychodzi przypadkiem, w momencie rozluźnienia. Dlatego porzuciłem wszelkie myśli o Iwanowie, zamiast tego postanowiłem poznać nazwisko swojej matki. Tak jak powiedział Woroncowa: jeśli nie tylko mój ojciec, ale

i matka należała do arystokracji, ich ślub musiał narobić sporo szumu, tym bardziej, że pobrali się przed pierwszą wojną, kiedy gazety nie narzekały na nadmiar sensacji.

Kierowniczką działu czasopism, kobieta pod sześćdziesiątkę o łagodnej, inteligentnej twarzy, poprawiła nerwowo okulary, usłyszawszy moją prośbę.

– Jesteście historykiem? – spytała niepewnie.

– Jeśli już, to tylko amatorem – odparłem z uśmiechem. – Ale przecież nie proszę o tajne materiały.

– Niemniej czasopisma z czasów przed rewolucją... Rozumiecie, panuje przekonanie, że obywatele państwa radzieckiego nie powinni bez potrzeby sięgać po takie źródła.

– Najwyraźniej mam taką potrzebę – uciąłem sucho. – A teraz czekam.

Usiadłem przy niewielkim drewnianym stoliku, zapaliłem lampkę. W czytelni panował półmrok, nadchodził zmierzch. Wokół siedzieli zatopieni w lekturze ludzie, ciszę przerywał tylko szelest przewracanych stron i poskrzypywanie podłogi, kiedy ktoś podchodził do regału. Od czasu do czasu gasła elektryczna aureola, pustoszały kolejne stoły. Wreszcie usłyszałem odgłos energicznych kroków, jednak na stukot damskich obcasików nałożył się tupot ciężkich, służbowych buciorów.

– Wasze dokumenty! – szczerknęła agresywnie licząca niewiele ponad dwadzieścia wiosen dziewczyna.

– Najpierw chciałbym zobaczyć wasze – powiedziałem, wstając.

Panią podsunęła mi zaświadczenie stwierdzające, że należy do *Brigad Sowieckich Milicji*.

Westchnąłem ciężko – złożone z rozmaitej maści aktywistów Brygady Pomocnicze Milicji częściej przeszkadzały, niż pomagały w walce z przestępczością, choć zdarzały się i pozytywne wyjątki. Niestety, moja nowa znajoma raczej do takich nie należała.

– Nie macie prawa mnie legitymować, możecie co najwyżej zatrzymać do przybycia milicji – poinformowałem. – A ja nigdzie się nie wybieram, czekam na zamówione materiały.

Mimo to sięgnąłem do kieszeni, wolałem nie prowokować publicznej awantury.

– Mogę legitymować osoby naruszające prawo – odparła ostro. – Podobają się wam białogwardyjskie pisemka?! Brać go! – rzuciła.

Przysadzisty, mocno zbudowany młodzieniec o wygładzie wiejskiego parobka złapał mnie za klapy marynarki i odchylił głowę, aby uderzyć „bykiem”. Wyzwolilem się z uchwytu gwałtownym skrętem, przerzuciłem osiłka przez plecy. Zanim wstał, kopnąłem jeszcze w głowę. Dwóch pozostałych złapało mnie pod ramiona, a panią, wrzeszcząc przeraźliwie, usiłowała wydłubać mi oczy. Odrzuciłem ją

kopnięciem w brzuch, jednego z napastników uderzyłem kolaniem w krocze, drugiemu złamałem rękę w łokciu.

– Nie ruszać się! – ryknąłem na widok zbierającego się tłumu. – Jestem pułkownikiem milicji! – Podniosłem legitymację. – Gdzie jest telefon?

– Przy moim biurku – wymamrotała kierowniczką.

– To wyście ich wezwali? – warknąłem.

– Nie, oni tutaj... – Bezradnym gestem wskazała gramolącą się z podłogi dziewczuchę.

– Wyjaśnimy to później, prowadźcie do telefonu!

Sapiąc ze złości, wezwałem patrol, po czym wróciłem do poobijanej czwórki.

– Leżeć! – warknąłem, kiedy zobaczyłem, że najmniej poszkodowana panienka zbiera się do wyjścia.

– Ale ja...

Podciąłem jej nogi, nadepnąłem na kark, wymownym gestem sięgnąłem po broń.

– Leżeć! – powtórzyłem pod adresem męskiej części ekipy.

Posłuchali natychmiast.

– Skąd oni się tu wzięli? – spytałem kierowniczkę.

Błada na twarzy kobieta oparła się ciężko o stół, parę razy otworzyła usta, jakby miała trudności z wydobyciem głosu.

– Siadajcie – powiedziałem łagodniej. – I odpowiedzcie na moje pytanie.

– Ta pod waszym butem to Walentina Snieżyna. – Wreszcie złapała oddech. – Przydzielił ją do nas obkom, ona ma tam jakiegoś... znajomego. Aresztowała już dwie dziewczyny z personelu, wszyscy się jej boją. Kiedy zobaczyła wasze zamówienie, zadzwoniła po tych chuliganów, resztę widzieliście.

Panienka Wala usiłowała protestować, więc wcisnąłem jej twarz w posadzkę.

No tak, Obwodowy Komitet Partii, jakżeby inaczej. Znacząca nasza Snieżynka ma tam jakieś plecy i szaleje, usiłując podlizać się przełożonym, a może wskoczyć na wyższe stanowisko. Dzień jak co dzień w państwie powszechnej proletariackiej szczęśliwości.

– Jest patrol! – zawołał ktoś z głębi sali. – Tędy, towarzysze!

Na czele kilkusobowej grupy maszerował sierżant Kirpanow, prawą dłoń trzymał na kaburze. W sumie nic dziwnego, to był jego rejon. Powitałem go oszczędnym skinieniem, wskazałem leżących na podłodze drużynników.

– Pakuj ich! – poleciłem. – W raporcie wpisz napad na milicjanta.

– Ona mi kazała! – zawył osiłek. – Ja nie wiedziałem!

– Powiesz to śledczemu – odparł Kirpanow. – A będziesz miał na to

naprawdę dużo czasu, napaść na oficera milicji to nie byle co.

– Nie wiedziałem! – zakwilił ponownie tamten.

– Paragraf pięćdziesiąt osiem, część ósma: akty terroru skierowane przeciwko przedstawicielom władzy radzieckiej albo rewolucyjnych mas pracujących karane są analogicznie jak w paragrafie pięćdziesiąt osiem, część druga, czyli rozstrzelaniem lub ogłoszeniem winnego wrogiem mas pracujących, z konfiskatą mienia i pozbawieniem obywatelstwa danej republiki, a co za tym idzie obywatelstwa ZSRR – kontynuował bezlitośnie Kirpanow.

Przeraźliwie blada twarz panienci Snieżynnej wskazywała, że dziewczucha dopiero teraz zaczęła sobie zdawać sprawę ze swojej sytuacji. Wykorzystując system dla własnej satysfakcji, zapewne nie pomyślała, że ten może się kiedykolwiek zwrócić przeciwko niej. Cóż, nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Ktokolwiek by ją popierał, teraz będzie udawał, że ich znajomość była przypadkowa. I nic dziwnego: sprawa była polityczna i rozwojowa. Mogłem się założyć, że aresztowane przez nią bibliotekarki były Bogu ducha winne, a przesłuchiwał je podstawiony śledczy i sądził zblatowany sędzia. Teraz wszyscy oni poczują na własnej skórze gniew proletariatu...

– Kirpanow!

– Słucham, pułkowniku?

– Przewieźcie ich do MUR-u, zajmie się nimi mój człowiek.

– Tak jest!

Drużynników wyprowadzono przy akompaniamencie rozpaczliwych wrzasków, a sala niemal opustoszała, najwyraźniej większość czytelników uznała, że lepiej zakończyć naukę na dzisiaj. Nie przejąłem się tym specjalnie, wiedziałem, że w razie potrzeby bez kłopotu ustalę ich personalia.

Ponownie podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Bugrowskiego. Chłopak nie był specjalnie zachwycony faktem, że musi wrócić na Pietrowkę, ale obiecał, że zajmie się Śnieżynką i trzema krasnoludkami. Kiedy wróciłem do swojego stołu, kierowniczką czytelni czekała już na mnie ze stertą czasopism.

– Chcecie je dzisiaj przeczytać? – spytała niepewnie.

– Owszem – przytaknąłem. – A wy siadajcie i opowiedzcie mi wszystko o tej bandzie.

– To skomplikowane – oświadczyła, wyłamując palce.

– Nie szkodzi, mamy czas.

– Naszym obkomem kieruje niejaki Stas Wiszniak. Snieżyna to jego kochanka. On chce zostać dyrektorem naszej biblioteki, dlatego ją tu nasłał. No i tych tam... Ma układy w różnych organizacjach, więc nie mogliśmy nic zrobić. Chodziło o to, aby udowodnić, że biblioteka jest miejscem spotkań antypaństwowych elementów, stąd te awantury

i aresztowania. Gdyby mu się udało...

– Rozumiem – wszedłem jej w słowo. – Za co wzięli te dwie bibliotekarki?

– Jedną za wypożyczenie rocznika statystycznego z tysiąc dziewięćset trzynastego roku, drugą za takie czasopisma jak wasze. Dlatego się wystraszyłam.

– Nie musicie się już bać. I Snieżyna, i Wiszniak będą mieli teraz większe problemy niż walka o stołki.

– Naprawdę?

– Tak. Królowna Śnieżka i jej krasnoludki dostaną minimum po dziesięć lat, a Wiszniak niewiele mniej. Jeśli mu udowodnią przewodzenie zorganizowanej grupie przestępczej, pójdzie pod ścianę.

– A co z Niną i Alą? To te aresztowane – wyjaśniła pospiesznie.

– To już będzie zależało od oficera śledczego, no i sędziego. A także waszych zeznań.

– Zrobię wszystko, żeby wyciągnąć je z łagru! I nie tylko ja.

– Znakomicie. A teraz pomóżcie mi z tymi gazetami.

– Czego szukamy?

– Ślubu polskiego hrabiego z rosyjską arystokratką. Weźcie roczniki od tysiąc dziewięćsetnego do dziewięćset piątego, ja resztę.

– Oczywiście. I dziękuję.

– Jeszcze jedno, jak się nazywacie? Zapiszcie mi swoje dane, jutro wezwiemy was na Pietrowkę.

Moja rozmówczyni przedstawiła się jako Sofia Bielina, po czym wydarła kartkę z notesu i wykonała polecenie. Wnioskując z jej wieku, pisać uczyła się przed rewolucją, a biorąc pod uwagę staranne, kaligraficzne pismo, raczej nie w szkole powszechnej. Nie dziwiłem się, że drażniła prostaków w rodzaju Snieżyny.

Z ciężkim westchnieniem otworzyłem rocznik „Wiedeńskiego Szyku”.

– Uczyliscie się w *Institutie Błagorodnych Diewic*? – spytałem z roztargnieniem.

Odpowiedziała mi cisza, uniosłem więc wzrok.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie chciałem was przestraszyć.

– Nie przestraszyliście – odpowiedziała spokojnie Bielina. – Tak, w warszawskim Instytucie Aleksandryjsko-Maryjskim. Chyba coś znalazłam. Jesteście bardzo podobni do swoich rodziców, *dorogoj graf*.

Niemal wyrwałem jej z rąk gazetę, po chwili patrzyłem w twarz swojej matki.



Dima Bugrowski przyjął ode mnie kawę, ale tym razem nie posłodził jej hojnie, jak miał we zwyczaju, ba! nie sięgnął nawet po ciastka.

– Nie wiem, czy będę mógł poprowadzić tę sprawę, *komandir* – powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

– Z powodu?

– Jest śmierzcząca i polityczna. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się tego po was, nigdy nie byliście mściwi. No, prawie nigdy – sprostował pedantycznie. – Napadli was, rozumiem. Zatrzymać dupków na kilkanaście dni w celi, a nawet wpierdolić tak, żeby nie było śladów, to normalne. Ale wysłać na kilkanaście lat do łagru to naprawdę przesada.

– Wypij wreszcie tę kawę – poleciłem ze znużeniem. – Może zaczniesz normalnie myśleć. Gdybym chciał zgnoić tych idiotów, poradziłbym sobie bez ciebie.

– To po cholere zgłosiliście to oficjalnie? Wiecie, jakie są procedury. Jeśli machina ruszy, nic ich nie uratuje.

– Zrobiłem to z dwóch powodów. Jeden dotyczy ciebie, drugi także raczej nie naruszy twojego wyrafinowanego poczucia sprawiedliwości – odparłem z przekąsem.

– Ze względu na mnie?

– A jakże! Zastanawiałeś się może, dlaczego od paru lat nie awansujesz? Gdyby nie Bura Kotka, dalej byłbyś porucznikiem mimo ojca generała i mojego poparcia.

– Nie myślicie chyba...

– Myślę chyba! – odparowałem zjadliwie. – Potrzebna ci dokładnie taka sprawa jak ta, śledztwo, w którym udowodnisz swoje oddanie ideom komunizmu i wierność partii. Jednym słowem, musisz wysłać na Kołymę kilku nieprawomyślnych.

– Za to, że was napadli?

– Nie, matole! Przecież nie byłem pierwszy ani jedyny! Za to, że terroryzowali kogo tylko mogli, i czort wie ilu niewinnym ludziom zorganizowali wakacje w okolicach Magadanu! Kierowniczka czytelnicy wspomniała mi o dwóch bibliotekarkach, które dzięki nim wypoczywają teraz nad Morzem Ochockim, o ile jeszcze żyją. Wiesz, że inteligenci w łagrach mają niewielkie szanse. A podejrzewam, że było takich więcej. Teraz wszystko zależy od ciebie: jeśli pošlesz za kratki tę suczkę i jej akolitów, może uda ci się tamtych wyciągnąć zza drutów. Ich życie zależy od ciebie.

– Przepraszam – mruknął Bugrowski. – Powinienem wiedzieć, że kryje się za tym coś więcej.

– Ale?

– Wolałbym nie brudzić sobie rąk, do tej pory wsadzałem tylko kryminalistów.

– A kim oni są według ciebie? Wykorzystali system do własnych

celów, niejednemu złamali życie. Według ciebie wystarczy, że złożą samokrytykę i dostaną partyjną nagane? A ci niewinni mają zdechnąć na Kołymie? I co dalej? Bo nie myślisz chyba, że Snieżyna i jej kochanek z obkomu przeżyją iluminację duchową i przestaną dążyć do władzy po trupach? Po prostu odczekają z pół roku, a potem zaczną wszystko od nowa, tyle że ostrożniej.

– Ale ja...

– Kapitanie Bugrowski, zostaliście wyznaczeni do przeprowadzenia tego śledztwa – poinformowałem oficjalnym tonem. – Co z nim zrobicie, to wasza i tylko wasza sprawa.

– *Komandir!*

– To wszystko – oznajmiłem sucho. – Odmaszerować!

Poczekalem, aż za chłopakiem zamkną się drzwi, dolałem do swojej kawy koniaku i wychyliłem jednym haustem. Cóż, jedna sprawa z głowy. Niezależnie od decyzji Bugrowskiego, nie zamierzałem ingerować w dochodzenie. Już dawno nauczyłem się, że w pojedynkę nie naprawię świata. Poza tym miałem większe problemy. Teraz już wiedziałem, dlaczego ojciec tak uporczywie zacierał ślady. Wnioskując z herbarzy, byłem spokrewniony z połową polskich rodów arystokratycznych, a przez matkę, wnuczkę księżnej Bołkońskiej, z rosyjską elitą. Ot, i pułkownik radzieckiej milicji...



Po raz ostatni uderzyłem w worek, po czym starannie natarłem dłonie ziołowym lekarstwem. W czasie ostatnich treningów zauważyłem poprawę kondycji, najwyraźniej powoli wracałem do dawnej sprawności. Może pigułka Suna naprawdę podziałała?

Po wyjściu z dawnej stajni zapatrzyłem się w pałacyk Bołkońskich. Ileż razy obserwowałem w nocy osrebrzony światłem księżycą dach, balustrady z giętego żelaza, obrośnięte winoroślą okna? Ileż razy wyobrażałem sobie stojącą na balkonie księżną Bołkońską w zwiewnej sukni, nie wiedząc, że była moją prababką? A ojciec? Kiedy wahałem się, czy zamieszkać na Arbacie, czy w nowo wybudowanej stalinie niedaleko Taganki, ojciec zdecydowanie poradził mi Arbat. Pamiętam, że kiedy mnie odwiedził, jeden, jedyny raz! stał długo przy oknie, wpatrując się w pałacyk Bołkońskich. Teraz wiedziałem dlaczego...

Po kąpieli wyciągnąłem spod stołu pudło, sprawdziłem granaty i broń. Tima dostarczył mi szklane granaty amerykańskiej produkcji, z czasów drugiej wojny światowej. Z jednej strony dobrze, bo coś takiego może nieźle namieszać w głowach śledczym, z drugiej, amerykańskie

M1 były skrajnie niestabilne, w dodatku, wnioskując po etykiecie, napełniono je cyjanowodorem. Nigdy nie byłem prymusem z chemii, ale o ile pamiętałem, opary powstałe po rozbiciu szklanego korpusu zabijały w ciągu kwadransa. Kolejne pytanie: czy można było zatruć się przez skórę? Bo jakby co, maska przeciwgazowa mnie przed tym nie uchroni. Szlag!

Nie byłem też pewien, czy nawet Kotka będzie w stanie sforsować pozbawione krat okno laboratorium na Tagańskiej. Kilka dni temu zauważyłem tam druty, zapewne Krynicki zabezpieczył je systemem alarmowym. Jediną nieoplecioną przewodami częścią okna był niewielki lufcik. Tak czy owak, nie miałem wyboru: obiecałem Sunowi, że zniszczę obiekt, a wolałem, żeby Chińczyk nie miał do mnie pretensji. No cóż, może dam radę przy odrobinie szczęścia, a jeśli mi go zabraknie, moje problemy rozwiążą się automatycznie, bo będę martwy.

Schowałem broń, ubrałem się i pomaszerowałem na najbliższy przystanek tramwajowy. Czas było odwiedzić panienkę Szewieliewą. Miałem dla Eleny robótkę – wczoraj znajoma dziewczuszka z kadr dała mi zdjęcie Diaczenki. W drodze kilkakrotnie sprawdzałem, czy nikt mnie nie śledzi. Samo wyciągnięcie Kotki z aresztu nie powinno być trudne, ale gdyby obserwowali mnie ludzie Berii, cała akcja zakończyłaby się spektakularną katastrofą.

Dotarłem do celu pewny, że nikt za mną nie łązi, miałem nadzieję, że nadal tak będzie, choćby przez parę najbliższych dni. Tym razem Elena powitała mnie w eleganckim szlafrocuku, a i w mieszkaniu przybyło mebli – dziewczyna mądrze wykorzystwała otrzymane ode mnie pieniądze. Oczywiście nie było mowy, żeby przyjęła zapłatę za sporządzenie karykatury Diaczenki, musiałem pomyśleć, jak załatwić smarkuli stałą pracę. Biorąc pod uwagę jej talent, nie powinno być to trudne. W drodze powrotnej śmiałem się jak głupek: Elena przedstawiła Diaczenkę w postaci wyłupiastookiej ropuchy odzianej w elegancki garnitur, z wiele mówiącą wypukłością między nogami. Podejrzywałem, że w najbliższym czasie tablica z karykaturami będzie cieszyła się sporym zainteresowaniem pracowników MUR-u.



Julia Bondaruk wyciągnęła skute kajdankami dłoń, kilkoma ruchami uwolniłem ją od stalowych bransolet. Zgasilem światło w gabinecie, otworzyłem okno i spojrzałem na ulicę: była pusta. W sumie nic dziwnego, dochodziła pierwsza w nocy.

– Co teraz? – spytała.

Bez słowa wskazałem jej okno.

– Zwariowaliście!

– Taka akrobatka jak ty bez problemu zejdziesz na dół, zresztą tuż obok jest rynna, a ty ważysz tyle co nic – powiedziałem obojętnie. – Jedna uwaga: możesz skorzystać z okazji i uciec, ale wtedy przeżyjesz dwie, góra trzy doby. Bo znajdę cię i osobiście dopilnuję, żebyś nie mogła nikomu opowiedzieć o naszej umowie.

Dziewczyna parsknęła gniewnie, lecz nie podjęła dyskusji.

– Będę czekał w samochodzie – zakończyłem.

Wyszedłem z gabinetu, starannie zamykając drzwi na klucz. Dziś w nocy dyżurował Artiom Mikulicz, którego dwa lata wcześniej uratowałem przed wywaleniem z pracy i łagrem, kiedy była żona napisała na niego donos, zarzucając mu przechowywanie nielegalnej literatury. Pewnie nie mrugnąłby okiem, gdybym udał się na spacer z Kotką, ale był jeszcze wartownik u głównego wejścia, a i po budynku kręciło się parę osób, dlatego wolałem nie ryzykować. Zresztą biorąc pod uwagę moje plany na dzisiaj, nie zaszkodziłoby, gdyby panienska Bondaruk rozgrzała nieco mięśnie.

Przez moment obawiałem się, że dziewczyna spadnie albo, co gorsza, postanowi uciec, lecz Kotka czekała na mnie w samochodzie. Nie spytałem, w jaki sposób otworzyła drzwi maszyny, najwyraźniej nadal była w formie.

Zawarczał silnik ukradzionego przeze mnie dwa dni wcześniej dostawczego moskwicza, ruszyliśmy. Dziewczyna milczała, dopóki nie zaparkowałem niedaleko Tagańskiej.

– Ta maska przeciwgazowa – odezwała się nerwowo. – Czy będzie pasowała? Jestem trochę mniejsza od przeciętnego żołnierza...

– A jak myślałaś, dlaczego kazałem zmierzyć ci głowę? – odpowiedziałem pytaniem. – Powinna. Wybrałem najmniejszy model, pasuje nawet na dzieci.

– Na pewno dotrzymacie słowa?

Westchnąłem w duchu. Amatorzy zawsze niepokoiли się przed akcją, choć przecież godząc się na moje warunki, panienska Bondaruk dawno oddała swój los w moje ręce.

– Dotrzymam. Nie wiem, co cię łączy z Cichym, ale podejrzewam, że nie byłby zadowolony, gdyby coś ci się stało. Nie potrzeba mi nowych wrogów.

To ją uspokoiło, rozmieściła w kieszeniach narzędzia, wzięła maskę i torbę z granatami.

– Idź za mną – poleciłem. – I staraj się poruszać w cieniu.

Okolica była oświetlona, choć z rzadka rozstawione latarnie nie były w stanie zlikwidować stref mroku.

– Tam ktoś jest – powiedziała dziewczyna, kiedy stanęliśmy

naprzeciwko jedyne go niezakratowanego okna laboratorium.

Wyjąłem spod płaszcza lornetkę, ale nikogo nie zauważyłem.

– W całym budynku jest ciemno, jak mogłaś coś zobaczyć?

– Przez chwilę widziałam jego oczy – odparła pewnie.

Zmarszczyłem brwi: każdy zwiadowca wie, że czasem i ludzkie oczy błyszczą w ciemnościach, ale niczego takiego nie dostrzegłem. Z drugiej strony panią Julia była sporo młodsza...

– Niech ci będzie – mruknąłem. – W takim razie wejdź po cichu na parapet i wrzuc granat przez lufcik.

– To go uśpi?

– Na sto procent – zapewniłem.

Nie dodałem, że strażnik zaśnie snem wiecznym, nie było powodu wprowadzać Kotki w detale.

Julia Bondaruk przebiegła przez ulicę i w mgnieniu oka znalazła się na parapecie, a cichy odgłos rozbijanego szkła świadczył, że użyła granatu.

Gwałtownym gestem dałem jej znak, żeby wracała, czort wie ile gazu wydostanie się na ulicę.

– Czekamy? – spytała bez najmniejszego śladu zadyszki.

– Czekamy – potwierdziłem. – Za piętnaście minut wejdiesz tam i otworzysz mi drzwi albo okno, o ile będziesz w stanie unieszkodliwić system alarmowy.

– Nie dam rady precyzyjnie się w masce – poinformowała. – Lufcik jest tak ciasny, że ledwo wejdzie mi tam głowa.

Zagryzłem wargi, w moje plany nie wchodziła śmierć Burej Kotki, z drugiej strony nie mogłem się już wycofać. Nie na tym etapie. Kurwa mać!

– Jak długo potrafisz wstrzymać oddech?

– Bo ja wiem? Nigdy nie próbowałam.

– To spróbuj teraz – rozkazałem. – Weź kilka głębokich oddechów i zatrzymaj powietrze w płucach, będę liczył czas.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i wykonała polecenie. Czterdzieści siedem sekund, nieźle, choć mogłoby być lepiej.

– Zatrzymasz oddech, przeciskając się przez lufcik, a gdy dostaniesz się do pomieszczenia, musisz zaraz nałożyć maskę!

– Dobrze, nie chcę tam zasnąć, to mogłoby nam popsuć akcję.

Nie masz pojęcia, jak bardzo, pomyślałem.

Odczekaliśmy kwadrans, po czym Kotka oddała mi torbę z granatami, ponownie przebiegła ulicę, chwilę pomajstrowała przy lufciku i z płynną, zwierzęcą gracją wśliznęła się do środka. Natychmiast podążyłem w ślad za nią, wdrapałem się na parapet i podałem jej granaty. Z ulgą zauważyłem, że poprzecinała przewody elektryczne już z maską na twarzy. Nie poczułem zapachu gorzkich migdałów, ale czort

wie jak wyglądała sytuacja w środku. Za mało czasu, żeby gaz wywietrzał.

– Ilu ludzi w pokoju? – spytałem, przyciskając usta do szyby.

Nie przypuszczałem, żeby obiektu pilnowało więcej niż trzech strażników, problem w tym, ilu płątało się jeszcze po laboratorium.

– Dwóch – odparła dziewczyna.

– Otwórz okno – poleciłem. – Jesteś pewna, że unieszkodliwiłaś ten alarm?

– Tak, to nie było nic skomplikowanego.

– Otwieraj.

Kotka nasmarowała zawiasy oliwą i delikatnie otworzyła okno. Błyskawicznie włożyłem maskę przeciwgazową i wskoczyłem do środka. „Czekaj”, zasygnalizowałem gestem i wyjąłem broń.

Korytarz był ciemny, musiałem więc użyć latarki, szukałem pomieszczenia, z którego przez szparę w drzwiach sączyłoby się światło. W końcu znalazłem.

Wzdłuż ścian laboratorium ustawiono szklane szafki z próbkami zawierającymi substancje we wszystkich kolorach tęczy, na środku, wśród płataniny rurek i naczyń o dziwnych kształtach, krzątał się czterdziestoletni na oko mężczyzna w okularach. Doglądał przezrzystej, lekko opalizującej cieczy bulgoczącej w potężnej retorcje. Dopadłem go kilkoma bezgłośnymi skokami – specjalnie włożyłem buty o gumowych podszewkach – i pozbawiłem przytomności. Kiedy się ocknął kilka minut później, był już skrępowany i zakneblowany.

– Teraz porozmawiamy – poinformowałem go przyciszonym głosem. – To znaczy ja będę zadawał pytania, ty odpowiadał. Za każde kłamstwo dostaniesz jedną kulę. Zacznę od łydki, potem wezmę się za kolana i inne stawy. Twój wybór.

Zademonstrowałem mu broń, angielski welrod musiał zrobić na nim wrażenie, bo gorliwie pokiwał głową. Wyciągnąłem mu knebel z ust.

– Jak się nazywasz, co tu robisz?

– Ko...Konstantin Czulkow. Pomagam profesorowi.

– Kto potrafi sporządzić tę chińską truciznę? – spytałem.

– Tylko ja i profesor Umer! – odpowiedział natychmiast. – Receptura jest w sejfie u dyrektora, tak jak wszystkie inne, ale tylko my rozumiemy, o co tam chodzi. To bardzo skomplikowany wieloskładnikowy preparat, testowaliśmy go ponad pół roku, zanim odnieśliśmy sukces.

– Rozumiem, że nie na świnkach morskich?

Nie odpowiedział, więc przytknąłem lufę do jego kolana.

– Krynicky dostarczał nam więźniów – wydyszał. – Nic nie mogłem zrobić, on mnie zmusił! Ja...

– Jak ściągnąć tu Krynickyiego?

Zanim mój jeńiec odpowiedział, usłyszałem szmer za plecami i odwróciłem się w przykłęku, podrywając broń do strzału. W drzwiach stała blada jak trup Julia Bondaruk.

– Co chcecie zrobić? Tamtych dwóch nie żyje, nie pisałam się na mokrą robotę!

– Wracaj do samochodu! – warknąłem. – I czekaj tam na mnie, o ile chcesz wyjść z tego z życiem! No już, ruszaj! I załóż maskę, kiedy wyjdiesz na korytarz!

Dziewczyna popatrzyła na mnie przerażona i wybiegła z laboratorium. Oby nic głupiego nie przyszło jej do głowy, i bez tego miałem wystarczająco dużo kłopotów.

– Jak ściągnąć Krynickiego? – powtórzyłem, szturchając okularnika.

– Mamy hasło, mogę zadzwonić – wymamrotał. – Ale on nie przyjedzie sam.

– Kto z nim będzie?

– Dwóch ludzi, nie wiem, kto ma dzisiaj służbę.

– Ilu pilnuje dziś laboratorium?

– Trzech. Dwóch jest w dyżurce przy wejściu, trzeci w gabinecie dyrektora.

Skinąłem głową, znaczy został jeszcze jeden. Rozwiązałem jeńca i szarpnięciem za kołnierz postawiłem na nogi.

– Zaprowadzisz mnie do gabinetu dyrektora – poleciłem. – Jeśli spróbujesz krzyczeć lub uciekać, zarobisz kulę w łeb.

– Zrobię wszystko, co każecie – zapewnił gorliwie. – Tylko nie róbcie mi krzywdy!

– Idziemy!

Czułkow odruchowo zapalił światło na korytarzu, nie zaprotestowałem, jakby co, łatwiej będzie mi strzelać.

– To tu – powiedział, wskazując niczym niewyróżniające się drzwi.

Nacisnąłem klamkę i wepchnąłem go do pomieszczenia. W gabinecie paliła się tylko stołowa lampka, a strażnik podrzemywał w wygodnym skórzanym fotelu. Zanim się ocknął, strzeliłem mu dwa razy w pierś, poprawiłem w głowę. Czułkow zachłysnął się bezgłośnym krzykiem.

– Otwieraj sejf! – rozkazałem.

– Ja...

– Jazda! – ponagliłem Czułkova.

Mężczyzna trzęsącymi się rękoma nastawił tarczę numeryczną, po czym pociągnął uchwyt i drzwiczki sejfu uchyliły się bezgłośnie.

– Wszystkie papiery na biurko! – rozkazałem.

Nie sądziłem, żeby Krynicki zabezpieczył sejf jakąś pułapką, ale po co ryzykować?

Pobieźnie przejrzałem dokumenty, wszystkie roily się od wzorów chemicznych i fachowych opisów, w których rozumiałem co dziesiąte

słowo. Nie szkodzi, w końcu moim celem nie było zdobycie dokumentacji, a likwidacja obiektu...

– Skąd zdobyliście recepturę tej chińskiej trucizny?

– Nie mam pojęcia! Dostaliśmy kompletną dokumentację. No, niemal kompletną. Mam wrażenie...

– Tak?

– Mam wrażenie, że oni mieli kogoś, kto mógł wyjaśnić pewne niuanse. Kiedy zgłosiliśmy Krynickiemu, czego nam brakuje, po tygodniu otrzymaliśmy odpowiedzi.

– Może pracował nad tym jakiś inny zespół naukowców?

– Wykluczone! Specjalistów tej klasy co ja i profesor Umer można policzyć na palcach jednej ręki. Wykluczone! – powtórzył.

– No dobrze – powiedziałem. – Dzwoń do Krynickiego.

Czułkow szybko się uspokoił. Bez drżenia podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił z pamięci numer, wreszcie rzucił do słuchawki jakąś bezsensowną frazę, zapewne hasło.

– Już – zameldował.

Uwierzyłem mu, przeważnie potrafię rozpoznać, kiedy ktoś kłamie.

– Gdzie mieszka profesor Umer?

– Na Czernyszewskiego czterdzieści jeden, mieszkanie numer trzy.

Strzeliłem Czułkowowi w skroń, po czym obszukałem zwłoki. Miał przy sobie legitymację bezpieczeństwa, identyfikującą go jako „starszego pracownika naukowego”. Zabrałem ją, Czułkow już jej nie potrzebował. Teraz pozostawało tylko czekać na Krynickiego, nie mogłem pozwolić, żeby przeżył. Nie sądziłem, że zameldował przełożonym o zdjęciu krat z okna, czy doniósł, kto go do tego zmusił. Równie oczywiste było, iż w ciągu kwadransa domyśli się, jakim cudem dywersanci przeniknęli do laboratorium, później weźmie się za Litwinowa, przez niego dotrze do Niny, a potem do mnie.

Wyszedłem na korytarz i ulokowałem się jakieś dziesięć metrów od wejścia do laboratorium. Po mojej lewej stronie znajdowały się drzwi do pomieszczenia magazynowego, jednego z tych, które sprawdzałem z Litwinowem w ramach profilaktyki przeciwpożarowej. Otworzyłem je i przy świetle latarki sprawdziłem zawartość. Pojemniki z gazoliną nadal tu były, zapewne w laboratorium wykorzystywano ją jako rozpuszczalnik. No i dobrze, miałem co prawda w samochodzie dwa granaty fosforowe brytyjskiej produkcji, ale co za dużo, to niezdrowo. Na miejscu i tak zostanie wystarczająco dużo śladów wskazujących, że działali tu obcy dywersanci.

Spojrzałem na zegarek, do przyjazdu Krynickiego zostało co najmniej pięć minut, za to później będzie się liczyła każda sekunda. Umieściłem pojemniki z gazoliną w strategicznych miejscach, tak żeby pożar objął od razu wszystkie pomieszczenia laboratorium. W magazynie

zostawiłem tylko jeden, aby rozlać zawartość po korytarzu. Kiedy usłyszałem warkot samochodu, ustawiłem się tak, że z magazynu wystawała mi tylko ręka z pistoletem i głowa. Cóż, komu życie, komu śmierć... Jeśli Krynicki przyjedzie w większym towarzystwie, nic mnie nie uratuje. Zresztą miałem tylko garść nabojów, nie szykowałem się do walki z plutonem bezpieczniaków.

Trzask otwieranych drzwi zasygnalizował, że nie jestem już sam. Zakląłem w duchu na widok sylwetek dwóch mężczyzn, najwyraźniej Krynicki wysłał podwładnych przodem. Pierwszego zabiłem precyzyjnym strzałem w głowę, drugi odpowiedział zdumiewająco celnym ogniem – kawałek tynku trafił mnie w policzek. Wykonałem przewrót w przód, kolejne strzały oddałem, leżąc na plecach. Szlag! W magazynku zostały mi tylko trzy naboje, a donośny tupot butów wskazywał, że Krynicki ucieka. Nagle usłyszałem dźwięk bitego szkła i spazmatyczny kaszel. Pospiesznie nałożyłem maskę i wypadłem na ulicę: zgięty wpół Krynicki wymiotował na chodnik. Zabiłem go i wróciłem do laboratorium, żeby rozlać łatwopalną ciecz. Po chwili zamykałem już drzwi, zanim dobiegłem do samochodu, w budynku eksplodowały pierwsze pojemniki z gazoliną.

– Dziękuję! – powiedziałem, ruszając.

Julia Bondaruk odpowiedziała nieartykułowanym pomrukiem, po czym rozkaszała się bezradnie. Czyżby nawdychała się gazu? Chuj by to strzelił..



Katia Romanienko nie wyglądała na zachwyconą. W zasadzie nic dziwnego, zerwałem ją o czwartej nad ranem. Dziewczyna przetarła oczy i łyknęła świeżo zaparzonej kawy. Prawdziwej kawy.

– Czego chcesz? – burknęła. – Bo z tego, co gadałeś przez telefon, zrozumiałam tylko, że Bura Kotka zachorowała. Jakbyś zapomniał, mam tu etat anatomopatologa, a nie lekarza. Trzeba było zawracać głowę komuś z resortowego szpitala.

– Jasne! Od razu miałabyś nowego pacjenta w prosektorium! Poza tym są pewne niuanse...

– Coś ty znowu wywinął? – spytała zaniepokojona.

– Powiedzmy, że chodzi o dość nietypową dolegliwość.

– A konkretnie?

– Zatrucie cyjanowodorem.

– Zwariowałeś!

– Niestety nie.

– Ona jeszcze żyje?

– To lekkie zatrucie – zapewniłem. – Niemniej dziewczyna ma torsję, skarży się na ból głowy i duszności. Podałem jej węgiel leczniczy i azotyn amylu.

– Muszę ją natychmiast zbadać!

– Idź. Ale nie będę ci towarzyszył, nie chcę robić zamieszania. Artiom Mikulicz wpuści cię do niej, uprzedziłem go o twojej wizycie.

Katia obrzuciła mnie złowrogim spojrzeniem i ruszyła do wyjścia. Poczekalem, aż zamknie za sobą drzwi, i wyjąłem butelkę koniaku, naląłem pół szklanki. Znużenie zważyło się na mnie niespodziewanie niczym lawina, kiedy uniosłem szkło do ust, wyraźnie drżały mi ręce. Na szczęście alkohol podziałał na mnie odprężająco, poczułem, jak rozluźniają się napięte mięśnie pleców i barków. Cóż, czasem sukcesem jest, jeśli doczeka się świtu. Inna sprawa, jak długo pożyje panienka Bondaruk, zatrucie związkami cyjanku to nie błahostka.

Smętne rozważania przerwał mi dzwonek telefonu.

– Słucham – rzuciłem w słuchawkę.

– Jakaś kobieta chce się z wami spotkać – zameldował dyżurny. – Mówi, że to ważne. Nazywa się Natasza Pokrowska.

– Dawaj ją tu! – poleciłem.

Ciekawe, co może się jeszcze spieszyć? Natasza nigdy nie przychodziła na Pietrowkę, z oczywistych względów: jako *blatna* mogła się tu znaleźć tylko w kajdankach.

– Co się stało? – spytałem, ledwo stanęła w drzwiach.

– Poczta dyplomatyczna. – Wyciągnęła opieczętowany pakiet. – Dato powiedział, żeby ci to jak najprędzej przekazała.

Zakląłem, nie krępując się obecnością dziewczyny, złamałem pieczęć. List był od Horsta.

– Mogę już iść? Lepiej, żeby nikt mnie tu nie widział – powiedziała.

Podpisałem jej przepustkę i odprawiłem niecierpliwym gestem, po czym rozłożyłem kartkę ze znakiem wodnym przedstawiającym czarnego orła von Bredowów.

Drogi Aleksie!

Piszę do Pana niechętnie, moja rodzina i tak ma u Pana dług, którego nie będę w stanie spłacić, jednak chodzi o bezpieczeństwo mojej matki i sióstr. A znając matkę, zdaje Pan sobie sprawę, że ona o pomoc nie poprosi...

Ale do rzeczy: dwa lata temu nasza firma weszła na rynek kamieni szlachetnych, początkowo wszystko szło jak z płatka, zyski sięgały kilkuset procent, jednak później matka nawiązała kontakt z niezależnymi dostawcami z Azji i zagroziła hegemonii anglo-chińskiego konsorcjum Jadeite Empire.

Bardzo szybko okazało się, że nasi konkurenci nie mają zamiaru przestrzegać żadnych zasad, i zostaliśmy zmuszeni do wynajęcia ochrony, po tym jak dwukrotnie ostrzelano naszą wiedeńską rezydencję. Niestety, mam graniczące z pewnością przekonanie, że na tym się nie skończy, a kilka dni temu odkryliśmy, że nasza ochrona pracuje dla wroga. Rzecz jasna wynajęliśmy nową, ale ani ja, ani matka nie orientujemy się specjalnie w tego typu kwestiach, stąd moja prośba. Oni grożą, że zabiją Aleksandrę i Klaudię, nie wiem, co robić, a policja jest bezradna.

Szczerze oddany

Horst von Bredow

Syknąłem z bólu, kiedy odłamki zmiażdżonej szklanki wbiły mi się w dłoń. Było oczywiste, że Beria nie pozwoli mi wyjechać za granicę, dopóki nie znajdę skradzionych dokumentów. A jeśli jakimś cudem dorwę Iwanowa, nie będę mu do niczego potrzebny i każe mnie zabić. Tak czy owak, nikomu nie pomogę. Szlag...

Rozdział szósty



Maszerowałem korytarzem jak w somnambulicznym śnie, odruchowo odpowiadając na pozdrowienia. Cóż, starość nie radość, a poprzednią dobę spędziłem dość intensywnie. Z wywołanego zmęczeniem otępienia wyrwały mnie salwy śmiechu. Zatrzymałem się przy tablicy karykatur, najwyraźniej dzieło Eleny cieszyło się powodzeniem, bo pod oszkloną gablotą stało pół MUR-u.

– Ciekawe, kto jest autorem tego portretu? – zastanawiała się na głos szefowa kadr, major Panina. – Pomyślałabym, że Razumowski, ale widziałam, jak rysuje, więc musi być to ktoś inny.

– No właśnie – skomentował jakiś nieznany mi milicjant. – Bo Nina też nie za bardzo. Kiedyś narysowała plan budynku, który mieliśmy przeszukać. Gdyby nie adnotacje na marginesach, pomyślałabym, że to malarstwo abstrakcyjne.

Jego słowa skwitował kolejny wybuch śmiechu.

– Towarzyszu Razumowski! – ponaglił mnie dyżurny. – General czeka. Kazał mi was doprowadzić osobiście.

Westchnąłem ciężko i powlokłem się w ślad za sierżantem. Miałem nadzieję, że Maksimow nie wzywa mnie, aby poinformować, że Julia Bondaruk nie żyje.

Zapukałem i nie czekając na zaproszenie, nacisnąłem klamkę. Raz kozie śmierć...

– Co się dzieje? – spytałem apatycznie.

– To ty mi powiedz! – warknął Maksimow, waląc pięścią w biurko. – Ktoś próbował otruć Burę Kotkę, a z kancelarii Berii dzwonili, że jeszcze dziś masz się stawić u Ławrentija Pawłowicza!

– Co z Bondaruk? – Zignorowałem wzmiankę o Berii.

– Żyje! Na razie. Katia mówi, że to silne zatrucie.

Dyskretnie otarłem pot z czoła, ciesząc się, że Katia mnie nie wydała.

– Jak myślisz? To zamach?

– Czort wie. – Wzruszyłem ramionami. – Biorąc pod uwagę, komu się naraziła, rzecz jest prawdopodobna. Z drugiej strony może ma wrażliwy żołądek? Sam wiesz, jakie żarcie dają aresztantom.

– Przygotowuje je nasza kuchnia!

– Owszem. Z resztek i przeterminowanych produktów – powiedziałem cierpko. – Może trafiła się jakaś felerna partia? Pamiętasz, jak w zeszłym roku struł się ten malarz?

– Ten, który zabił staruszkę, bo po robocie nie dała mu na piwo?

– Ten sam. Ledwo go odratowali.

Maksimow nerwowo zabębnił palcami o blat, zmęczonym gestem roztarł skronie.

– Możliwe – przyznał niechętnie. – Nie pomyślałem o tym, trudno przypuścić, żeby któryś z kucharzy dosypał coś do jedzenia. Mimo to coś z tym trzeba zrobić.

Skinąłem głową. Odkąd dwa lata temu *blatni* przekupili kucharza, żeby otruć jednego ze śledczych, personel kuchni był sprawdzany na wszystkie możliwe sposoby.

– Dajmy jej żarcie ze stołówki – zaproponowałem. – Moi ludzie się tym zajmą, wezmą normalną porcję ze wspólnego kotła. Nikt nie będzie w stanie przewidzieć, co wybiorą i kiedy.

– No dobrze, to obiady. A śniadania i kolacje?

– Każę Rusłanowej i Bugrowskiemu przygotować jej parę kanapek.

– Potrzebujesz forsy?

– Dam sobie radę.

Maksimow ze świstem wypuścił powietrze z płuc, z jękiem odchylił się do tyłu.

– Dziękuję – powiedział z wdzięcznością. – Podobno pierwszy zacząłeś ją ratować?

– Artiom zawiadomił mnie, że coś jest nie tak – odparłem ostrożnie.

– Całe szczęście, że byłeś na miejscu. Katia powiedziała, że gdyby nie ty, byłoby już po Bondaruk.

– Przesadza. – Machnąłem lekceważąco ręką. – Lepiej powiedz, gdzie mam się spotkać z Bериą?

– W siedzibie bezpieki.

Skrzywiłem się bezwiednie. Tym razem to będzie oficjalna wizyta.

– Znowu czymś mu podpadłeś?

– Nie znalazłem Iwanowa – odparłem z goryczą. – Nie jestem, kurwa, cudotwórcą!

– Mogę ci jakoś pomóc?

Zaprzeczyłem ruchem głowy. W rozgrywce z Bериą nikt nie mógł mi pomóc, a nie miałem zamiaru ciągnąć za sobą kogoś z przyjaciół. Pożegnałem się z Maksimowem dłuższym niż zwykle uściskiem dłoni, obaj wiedzieliśmy, że możemy się więcej nie zobaczyć. Cholerny Beria...



Na Łubiance dwukrotnie sprawdzono moje dokumenty, zanim zostałem dopuszczony do gabinetu Berii. Pod drzwiami stało kilku agentów – zapewne zabezpieczenie na wypadek, gdyby trzeba było mnie spacyfikować. Inna rzecz, że zdążyłbym wykończyć Bериę, zanim tamci wpadliby do środka.

Zapukałem, po czym nacisnąłem kłamekę, usłyszawszy szorstkie zaproszenie. Ławrentij Pawłowicz wyglądał na zmęczonego, podkrążone oczy i blada cera świadczyły, że ostatnio nie sypia najlepiej.

– Siadajcie i meldujcie, Razumowski! – rozkazał.

– Niestety, nie mam niczego nowego do zameldowania – przyznałem.

– Iwanow nadal jest nieuchwytny.

– *Wojennaja razwiedka?*

– Z tego, co mi wiadomo, też go szukają, tyle że na razie bezskutecznie.

– Co o tym myślicie?

Poczułem ukłucie strachu, żadnych krzyków, gróźb, walenia pięścią w stół. Niedobrze...

– On musi mieć jakiś atut, coś, czego nie dostrzegamy – odparłem.

– Może po prostu dysponuje sprawną siatką szpiegowską? – poddał Beria. – I zmienia wygląd, dokumenty, meliny?

– Wątpię.

– A to z jakiego powodu?

– Bo to bardzo mało prawdopodobne. Jak już wam mówiłem, towarzyszu, nasze służby specjalne działają nad wyraz sprawnie, mogłyby ewentualnie przeoczyć jakiegoś zbląkanego dysydenta, ale nie podziemną organizację. Teoretycznie istnienie takowej jest możliwe, jednak...

– Jednak? – ponaglił niecierpliwie Beria.

– To się nie trzyma kupy. Pomyślcie sami: Iwanow jest zawodowcem najwyższej próby, to nie ulega wątpliwości, ale trudno założyć, że jego pomocnicy reprezentują podobny poziom. Bo musieliby czekać latami na akcję Iwanowa, czekać, nie podejmując żadnych działań. To byłoby marnotrawstwem sił i środków, bo agentów tej klasy szkoli się latami. No i sam Iwanow, przypuszczam, że to, co zrobił, było efektem zbiegu okoliczności. Raczej nie można było zaplanować kradzieży dokumentów dziesięć lat wcześniej, prawda?

– I co z tego?

– A więc nie było powodu, aby tworzyć w tym celu głęboko zakonspirowaną siatkę – wyjaśniłem cierpliwie.

– A jednak zniknął i żaden „nad wyraz sprawny” geniusz, nie wyłączając was, nie może go znaleźć!

– To prawda. Wygląda, jakby Iwanow znalazł się w innym świecie, gdzieś, gdzie nie mamy dostępu.

– My mamy wszędzie dostęp! – Beria stracił opanowanie. – A przynajmniej powinniśmy mieć!

– Niemniej... – Rozłożyłem wymownie ręce.

Beria sapnął gniewnie i zamknął oczy, kurczowo zaciskając pięści. Kiedy ponownie się odezwał, był już spokojny, lecz jego głos brzmiał jak zgrzyt żelaza po szkle.

– Daję wam tydzień – oświadczył. – Równo siedem dni. Jeśli do tego czasu nie złapiecie Iwanowa, oskarżę was o sabotowanie dochodzenia.

Nie protestowałem ani nie prosiłem o litość, bo wiedziałem, że jedno i drugie jest bezcelowe. Ławrentij Pawłowicz Beria właśnie określił, ile pożyję. Za sabotowanie dochodzenia tej rangi groziła tylko jedna kara – śmierć.



Kontynuowałem otwarcie, wzmacniając lewy dolny róg planszy, przestawiłem czarny pion na F3. Taki manewr nosi w *go* nazwę *shimari*. To był dopiero piąty ruch, więc plansza pozostawała niemal pusta. Choć lekcje *go* kontynuowałem z żelazną konsekwencją, dziś za nic nie mogłem się skupić. Myślałem wciąż o słowach Berii, a także nieuchwytnym Iwanowie. W końcu z rezygnacją wyjąłem kartkę i narysowałem okrąg, podzieliłem go na ćwiartki.

Założmy, że jedna to wyższe sfery finansowe i partyjne. Gdyby Iwanow tam się ukrył, dawno znalazłaby go milicja, bezpieka albo *wojennaja razwiedka*, *blatni* w tych sferach mieli niewielkie wpływy. Tak więc ćwiartka ta kontrolowana była przez trzy z czterech organizacji. Kolejna ćwiartka to zwykli zjadacze chleba, w końcu Iwanow mógł mieć w Moskwie rodzinę lub przyjaciół. Ten obszar kontrolowany był przez wszystkie cztery podmioty. Trzecia ćwiartka to różnego typu podziemne organizacje, od dysydenckich kółek, po gangi partyjnych złodziei. Tu także operowali konfidenti milicji, bezpieki i *wojennoj razwiedki*, nie mówiąc o *blatnych*, którzy opanowali rynek nielegalnych dokumentów, a także mogli przerzucać ludzi przez milicyjne i bezpieczniejsze kordony. Wniosek? Żadna tego typu organizacja nie mogła zapewnić schronienia komuś, kto był poszukiwany tak intensywnie jak Iwanow. I wreszcie ostatnia opcja: kryminalny półświatek. Ten był rządzony przez *blatnych*, bez wiedzy *worow w zakonie* żaden urka nie odważyłby się pomóc osobie ściganej przez bezpiekę. A gdyby nawet, wpadłby w ciągu paru dni, góra tygodnia. Wreszcie zarówno milicja, jak i bezpieka miały swoich konfidentów wśród *blatnych*. Tak więc i ta opcja odpadała. Logicznie rzecz biorąc, Iwanow nie miał gdzie się schować.

Tyle że się schował...

Ponownie narysowałem okrąg, ale tym razem podzieliłem go na pięć części. Zamalowałem cztery, jedna została pusta. Tylko czy rzeczywiście istniało jakieś środowisko, gdzie nie sięgały macki milicji, bezpieczeństwa, wojskowego wywiadu i *błatnych*? Niepodobieństwo. A jednak...

Położyłem się na tapczanie, podłożyłem ręce pod głowę. Mimo że przespałem dziś nie więcej niż cztery godziny, nie mogłem zasnąć. Nadnercza nieustannie pompowały do krwi adrenalinę.

Włączyłem radio, nastawiłem na Wiedeń, wyregulowałem głośność. Zdobywczy telefunkon przekazywał dźwięk z krystaliczną czystością, swobodne synkopowe rytmy – orkiestra grała jazz – rozluźniły mnie na tyle, że przymknąłem oczy. Na moment otrzeźwiło mnie saksofonowe solo, w chwilę później ktoś załomotał w drzwi.

Zwlokłem się na nogi, zerknąłem przez wizjer: na korytarzu czekał wystraszony i wyraźnie nieszczęśliwy Łońka Pokrowski.

– Co znowu? – spytałem, wpuszczając chłopaka do przedpokoju.

– Misza zaginął.

– Jaki znowu Misza?

– Pamiętasz, wujku, tego dzieciaka, który wyjadał ci konserwy z piwnicy? On się mną jakiś czas opiekował, później zostaliśmy przyjaciółmi.

– No i co z tego? O ile pamiętam, jest starszy od ciebie o kilka lat. Dlaczego uważasz, że zaginął? Może po prostu zabalował?

– Umówiliśmy się na spotkanie, a on nie przyszedł. No i wiesz, wszystko robiliśmy razem, także chcieliśmy wstąpić do tej białogwardyjskiej organizacji. Dziś mieliśmy złożyć przysięgę, na pewno by tego nie opuścił. No i on prawie nie pił, jak się żyje na ulicy, trzeba zachować trzeźwą głowę.

Zakląłem paskudnie i pomaszerowałem pod prysznic, najwyraźniej nie dane mi będzie dzisiaj pospać.



Misza Baturin mieszkał w *kommunalkie* na Sierpuchowskiej, razem z kilkoma innymi robotnikami z pobliskiej fabryki. Niektóre pokoje zajmowały całe rodziny. Schyliłem głowę, aby nie zawadzić o rozwieszony w przedpokoju pranie, przecisnąłem się między dwoma rowerami i starą, dziewiętnastowieczną maszyną do szycia, gestem wskazałem Łońce drzwi. Te były zamknięte na solidną kłódkę.

– Już, wujku, już otwieram – wymamrotał chłopak.

Wnętrze nie odróżniało się specjalnie od podobnych pomieszczeń:

poobijane, skrzypiące łóżko, zakurzone meble, regał z kilkoma książkami, niewielki kuferek z odzieżą. Ot, i cały dobytek Miszki. Brakowało tylko plakatów sławiących świetlaną przyszłość państwa robotników i chłopów oraz portretów wodzów rewolucji.

Przeszukałem pobieżnie pokój, ale nie znalazłem niczego niezwykłego.

– On miał tu jakąś skrytkę? – spytałem szorstko.

– Nie tutaj – odparł pokornie Lońka. – Niedaleko stąd jest stary skład, tam jest dziura w murze, zamaskowaliśmy ją kilkoma cegłami. Czasem przechowywaliśmy w niej trefny towar.

– Idziemy – zarządziłem. – Pokażesz, gdzie to jest.

Nie robiłem chłopakowi wyrzutów za to, że mnie nie posłuchał i nadal spotykał się z tajemniczym białogwardzistą, w tym momencie byłaby to strata czasu. Mimo to Lońka i tak kulił się za każdym razem, kiedy na niego spojrzełem.

– To moja wina – jęknął, gdy wyszliśmy na ulicę. – Chciałem cię posłuchać, wujku, ale Misza mnie wyśmiał, powiedział, że sobie poradzimy. Wiesz, on pomógł mi utopić tego prowokatora w Riazaniu.

– Przypuszczam, że zapłacił za swoją głupotę – powiedziałem.

– Myślisz, że nie żyje?

– Najprawdopodobniej.

– Może jednak udało mu się... – Chłopak urwał, nie kończąc zdania.

Pokręciłem przecząco głową.

– Istnieją tylko dwie opcje – stwierdziłem sucho. – Albo ten wasz kamerger jest agentem bezpieki, a wtedy Miszka zameldował się już na Łubiance, albo rzeczywiście ma coś wspólnego z białymi, co oznacza, że nasz Miszania jest martwy.

– Ale dlaczego?! My naprawdę chcieliśmy walczyć z komuną!

Wzruszyłem z rezygnacją ramionami. Dzieciaki...

– Kiedy wreszcie zrozumiesz, że ta cała organizacja to bajka? – spytałem zmęczonym głosem. – Nie ma czegoś takiego i nie może być. Nie teraz. Ostatnie poważne białogwardyjskie struktury zostały zlikwidowane w latach trzydziestych, wszystkie późniejsze to prowokacja bezpieki.

– Myślisz, wujku, że on tylko udawał arystokratę?

– Tak mi się wydaje. A jeśli nawet nie, niczego to nie zmienia.

– Dlaczego?

– Pomyśl sam. Gdyby był na tyle głupi, żeby rzeczywiście założyć jakąś antykomunistyczną organizację i walczyć z władzą, wpadłby już dawno, bo taka konspiracja nie przetrwałaby dłużej niż kilka tygodni.

– A jeśli byłby mądry?

– Wtedy działałby sam, bez żadnych współników.

– Ale w jakim celu?!

– Bo ja wiem? Najprawdopodobniej chce się zemścić i wysłać na tamten świat jak najwięcej bolszewików. Jeżeli naprawdę jest arystokratą czy choćby szlachcicem, ma za co.

– Przecież nie jesteśmy prowokatorami!

– Lońka, Lońka... Mamy pięćdziesiąty trzeci rok, nasze społeczeństwo zostało wychowane i przekute w duchu komunizmu. Myślisz, że uchowali się u nas jacyś zwolennicy caratu? Zapomnij! Prawdopodobieństwo, że trafi się na chętnego do walki z bolszewizmem, a nie agenta bezpieczeństwa, jest równe zeru! I on doskonale o tym wie. Jeśli to naprawdę kamerger, chce po prostu zwabić paru konfidentów i poderżnąć im gardła. Ot, i cała twoja biała konspiracja!

– To tutaj – powiedział Lońka, wskazując niczym niewyróżniający się fragment muru.

– Sprawdź skrytkę – poleciłem.

Chłopak przykucnął i wyjął kilka cegieł, zanurzył rękę w otworze.

– Tu coś jest – powiedział.

– Dawaj!

Po chwili trzymałem w dłoni wizytówkę. Dziwną wizytówkę. Czerpany papier i doskonały jakościowo druk świadczyły, że nie odbito jej na powielaczu. Powyżej tytułu, imienia i nazwiska właściciela widniał herb carskiej Rosji – dwugłowy orzeł. Z pękniętą koroną. Ki czort?

– Baron Korszunow – przeczytał na głos Lońka. – Co to może znaczyć? Dlaczego Miszka umieścił tę wizytówkę w skrytce?

– On nie dorabiał sobie aby jako kieszonkowiec? Jeśli żył na ulicy, mógł podłapać parę sztuczek.

– Skąd wiesz? Nie był w tym zbyt dobry, ale raz czy dwa wyciągnął portfel jakiemuś frajerowi.

– Pewnie wasz kamerger zrobił coś, co wzbudziło podejrzliwość twojego kumpla, i Miszka ukradł mu wizytówkę w charakterze zabezpieczenia. Żeby cię ostrzec, gdyby coś mu się stało.

– Co teraz zrobimy?

Siłą woli powstrzymałem cisnącą się na usta odpowiedź, że gdyby nie jego głupota, nie musielibyśmy się nad tym zastanawiać.

– Gdzie mieliście składać tę przysięgę?

– Nie wiem. Adres miał się pojawić w skrzynce kontaktowej po dwunastej.

– A gdzie znajduje się skrzynka?

– W parku Gorkiego.

Spojrzałem na zegarek.

– Zdamy – stwierdziłem. – Podwiozę cię samochodem, potem wrócimy do domu, żeby się przygotować.

– Przygotować?

– Zobaczysz – uciąłem stanowczo. – Nie ma czasu na dyskusje. Chyba że ten twój kamerger się wystraszył i zniknął, wtedy nigdy go nie złapiemy.

– A Miszka?

Wymownym gestem rozłożyłem ręce. Nie widziałem sensu w tłumaczeniu chłopakowi po raz kolejny, że jego przyjaciel najprawdopodobniej spoczywa w bezimiennym grobie.



Łońka poruszył ramionami i skrzywił się niechętnie. Mimo wszelkich starań pod marynarką odznaczał się zarys pancerza.

– To niewygodne – poskarżył się z pretensją w głosie.

– Za to może uratować ci życie.

– Na pewno powstrzyma kulę?

Stuknąłem pięścią w brzuch chłopaka, sprawdzając ułożenie stalowego napierśnika.

– Powinien. To SN-42, w czasie wojny stosowały go oddziały inżynieryjno-szturmowe. *Stalnoj nagrudnik* jest w stanie ochronić przed pociskiem z broni ręcznej, a wątpię, żeby nasz kamerger przytargał karabin maszynowy.

– Ale widać, że mam coś pod ubraniem!

– Dlatego założysz płaszcz i nie będziesz go zdejmował.

Miejscem złożenia przysięgi miały być ruiny cegielni na przedmieściach Moskwy.

– Co z nim zrobimy? Z tym kamergerem?

– Zabiję go, a cóż by innego. O ile rzeczywiście jest szlachcicem. Jeżeli pracuje dla bezpieki, będziesz musiał uciekać razem z matką.

– Miszka nigdy by mnie nie wydał!

– Zobaczymy! – odparłem zniecierpliwiony. – Najpierw musimy dorwać tego białogwardzistę, nie ma sensu dzielić skóry na niedźwiedziu!

Zamykając mieszkanie, słyszałem, jak chłopak zbiega po schodach. Odruchowo sprawdziłem broń, dotknąłem obciążającego kieszeń granatu. Z niewiadomych powodów coraz bardziej byłem przekonany, że Korszunow jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje. Jeśli tak, być może dam radę uratować Łońkę i Nataszę. Jeśli nie... Cóż, i tak niewiele mi zostało: nie miałem pomysłu, jak odszukać Iwanowa, a tym bardziej zdobyć kompromitujące Berię dokumenty.

Zanim wsiadłem do samochodu, rozejrzałem się dyskretnie, lecz nie wyglądało, żeby ktoś mnie śledził. Dobrze i to, nie byłbym w stanie uciec

profesjonalistom. Nie w pojedynkę. Podejrzewałem, że powściągliwość bezpieki wiąże się z powierzonym mi przez Ławrentija Pawłowicza zadaniem: nikt nie chciał ryzykować oskarżenia, że nachalna obserwacja przeszkodziła mi w wypełnieniu polecenia Berii.

Kiedy ruszyłem, siedzący z tyłu Lońka schylił się, jakby chciał zawiązać sznurówki, tyle że dzisiaj założył buty z cholewami. Domyśliłem się, że smarkacz ma nóż. Nie żeby był wyjątkiem, w Moskwie co drugi nosił za cholewą majcher, takie czasy. Byleby nie próbował poderżnąć gardła prawdziwemu czy rzekomemu kamergerowi, bo jeśli ten okaże się szybszy, nie wytłumaczę się przed Nataszą.

– Pamiętasz, co masz robić? – spytałem.

– Sprawdzę, czy ten człowiek tam jest. Jeśli nie, dam ci znać, a przy pierwszym sygnale niebezpieczeństwa zacznę uciekać – odparł posłusznie.

– Nie wdawaj się w nim w szarpaninę – ostrzegłem. – Bo dołączysz do swojego koleżki prędzej, niż się spodziewasz.

– Wujku!

– Już raz mnie nie posłuchałeś. Jeśli znowu to zrobisz, całkiem możliwe, że to będzie twój ostatni błąd – kontynuowałem nieustępliwie. – I pomyśl wreszcie o swojej matce!

– Pomyślę – wymamrotał.

Pozostałą część drogi przejechaliśmy w milczeniu.



Jeszcze raz zlustrowałem okolicę – ruiny były zbyt obszerne na zwykłą cegielnię, kilka połączonych ze sobą, na wpół rozwalonych budynków z resztkami krat w miejscach, gdzie kiedyś znajdowały się okna, wyglądało na składy. W dodatku tam, gdzie mury się zapadły, dało się zobaczyć podziemne pomieszczenia. Jeśli kamerger zna teren, nigdy go nie złapię. Z drugiej strony, kto wie? Nie każdy czuje się komfortowo w podziemiach, a ja miałem latarkę.

– Tam jest wejście – poinformował Lońka.

Mimo że dzień był dość chłodny, na czole chłopaka perliły się krople potu.

– Idź – przyzwoliłem. – I pamiętaj, jak się umówiliśmy.

– Pamiętam, wujku – zapewnił.

Poczekalem, aż zniknie w przejściu prowadzącym do najlepiej zachowanej części budynku, po czym podążyłem za nim. Zalegające posadzkę stopy śmieci sugerowały, że mało kto tu zachodzi, być może

czasem okoliczni menele – pod nogami zachręściło szkło z rozbitej butelki wódki.

Westchnąłem w duchu, widząc prowadzące w dół schody. A jednak podziemia... Szedłem ostrożnie, z wyciągniętymi przed siebie rękoma, niczym ślepiec. Wokół panował absolutny mrok, a nie mogłem użyć latarki, żeby nie zaalarmować wroga. Wreszcie poczułem pod stopami równe podłoże, a w oddali ujrzałem słaby poblask. Wnioskując po zapachu, z karbidówki.

Pomieszczenie okazało się niewiele mniejsze od hali fabrycznej, na przeciwległej ścianie tańczyło kilka cieni. Znaczy facet nie był sam. Miałem nadzieję, że pozostali to zwabione przez Korszunowa dzieciaki w rodzaju Lońki, a nie współnicy rzekomego białogwardzisty.

Podążyłem w stronę światła, starając się trzymać w cieniu, po chwili dotarł do mnie szmer prowadzonej przyciszonym głosem rozmowy. Kiedy podkradłem się bliżej, ujrzałem stojącego za stołem wysokiego mężczyznę z krzyżem w ręce. Drugą dłoń trzymał w kieszeni palta. Twarz Korszunowa skrywał półmrok, podobnie jak sylwetki jego akolitów. Ci zebrali się parę kroków dalej w karnym szeregu. Czyżby naprawdę chciał ich zaprzysiąć? Wariactwo.

– ...obiecuję i przysięgam w imię Boga Wszechmogącego, przed jego świętą Ewangelią, że będę służył wiernie... Jego Cesarskiej Wysokości... nie szczczędając życia, do ostatniej kropli krwi... w polu i twierdzach, na wodzie i lądzie... W czym dopomóż mi, Panie Boże Wszechmogący... całuję słowa i krzyż mojego Zbawiciela. Amen.

Mrok połykał słowa niesłyszanej od prawie pół wieku przysięgi, zniekształcał je, czasem powtarzał odbite od niewidocznych ścian.

Nieskończenie powoli opadłem na czworaki i zbliżyłem do stołu, cały czas badając dotykiem ceglaną posadzkę. Tymczasem Korszunow gwałtownym gestem wyszarpnął z kieszeni rewolwer i wystrzelił w powietrze.

– Zdrajcy! – zawył. – Złożyliście przysięgę na wierność Jego Wysokości! Zdrajcy! Ilu z was to bolszewicy?!

Ktoś strącił lampę ze stołu i ciemność rozdarły błyski wystrzałów.

– Lońka! – krzyknąłem – Padnij!

Huk nagana zmieszał się z suchym trzaskiem tokariewa – któryś z obecnych musiał mieć broń. Czyżby Korszunow rzeczywiście był arystokratą i bezpieka podesłała mu agenta? Szlag!

Przetoczyłem się ścigany przez gwizd rykoszetów, ktoś strzelał w moją stronę, odpowiedziałem ogniem. Usłyszałem głuchy jęk, czyjeś ciało runęło na stół, rozbijając go w drzazgi.

– Wujku, żyjesz? – zawołał Lońka.

– Nie ruszaj się! – odkrzyknąłem.

Skrzyżowałem nadgarstki, trzymając latarkę równoległe do lufy,

omiotłem pomieszczenie strumieniem światła. Trzy ciała leżały bezwładnie na posadzce, ktoś poruszał się niemrawo, usiłując wypełznąć spod resztek stołu, nieco dalej w kierunku wyjścia klęczał Lońka.

– Nie ruszaj się! – powtórzyłem, zajmując pozycję między chłopakiem a rannym białogwardzistą.

Kopnięciem usunąłem rewolwer z zasięgu rąk Korszunowa, przewróciłem go na plecy. Z ust mężczyzny buchnęła fala krwi, poruszył wargami, usiłując coś powiedzieć, ale zanim się schyliłem, zwiotczał. Ot, i koniec kamergera...

– Wujku, tu jest wyłącznik, może elektryczność działa, zapalić światło? – spytał Lońka.

– Zapal – przyzwoliłem.

Pod sufitem zaiskrzyło, już myślałem, że instalacja jest niesprawna, ale po chwili zapełgało kilka żarówek.

Obszukałem zwłoki, w kieszeni marynarki znalazłem dokumenty na nazwisko Witalija Gulajewa i dziwny, srebrzysty żeton z dwugłowym orłem. W spodniach był jeszcze pęk kluczy.

– Wujku?

– Czego?

– Ani śladu Miszki.

– A czego się spodziewałeś? Listu z wyznaniem win i opisem miejsca ukrycia zwłok?

Chłopak wzdrygnął się i popatrzył na mnie z wyrzutem.

– Może coś odkryjemy w mieszkaniu Korszunowa – powiedziałem łagodniej. – A teraz obszukaj tamtych.

Sam obszedłem pomieszczenie, sprawdzając, czy Lońka nie przeoczył jakichś śladów, ale nienaruszony, pokrywający posadzkę pył wyraźnie świadczył, że nikt tu dawno nie bywał. Wokół resztek stołu wyraźnie odznaczały się ślady butów. Rozgarnąłem połamane deski i sięgnąłem po książkę w skórzanej oprawie. Tak jak myślałem, Korszunow przytargał tu Biblię. Wiedziony niezrozumiałym odruchem włożyłem ją do kieszeni.

– Lońka?

– Już idę, wujku. Wiesz, Korszunow miał rację.

– W czym?

Chłopak bez słowa podał mi legitymację kapitana bezpieczeństwa i tokariewa.

– Aha, czyli Korszunow zastrzelił agenta i zabił dwóch niewinnych ludzi, bo pozostali to tylko głupie dzieciaki, jak ty i Miszka – skomentowałem chłodno. – A teraz zbieramy się! Musimy zniknąć, zanim czekałbyś zacząć szukać towarzysza kapitana.

– Może zajedziemy od razu do mieszkania Korszunowa? – poprosił.

– No dobrze – przyzwoliłem. – Niech ci będzie.

Kiedy wyszliśmy z podziemi, chłopak niepewnym gestem poprawił płaszcz: na wysokości brzucha widać było dwie przestrzeliny.

– Chyba źle się czuję – wymamrotał. – Oni naprawdę mnie...

– No widzę właśnie. I co z tego? Przecież cię nie trafili, mówiłem, że napierśnik powstrzyma kule.

Lońka zbladł i zachwiał się, tak że musiałem go podtrzymać.

– Nie bądź babą – mruknąłem. – Grunt, że żyjesz.

– Ja tylko...

Zdążyłem odskoczyć, zanim Lońka zgiął się wpół i zwymiotował. Wyglądało, że powszechne u dzieciaków przekonanie o własnej nieśmiertelności powoli mu mija.

– Jedziemy! – zakomenderowałem. – Niedługo się ściemni.

Chłopak posłusznie wsiadł do samochodu, całą drogę przesiedział z głową między kolanami. Cóż, mogło być gorzej, dużo gorzej.



Korszunow mieszkał w trzypokojowej *kommunalkie*, ale pozostałych lokatorów nie było w domu, tak więc bez żadnych przeszkód przeszukaliśmy jego pokój. Niestety, bez specjalnych rezultatów. Co prawda Lońka znalazł za obrazem skrytkę, lecz naszym jedynym łupem okazała się białogwardyjska gazetka. Wsunąłem ją do kieszeni i przeszedłem do łazienki, jednak i tam niczego nie znalazłem. No, prawie niczego: pod wanną stała na wpół opróżniona butla z kwasem solnym, tuż obok leżała potężna strzykawka, z rodzaju tych, jakich używają weterynarze. Wątpiłem, aby Korszunow hodował krowy czy konie, tak więc wnioski nasuwały się same. Zacisnąłem zęby, trzeba było pogadać o tym z Lońką.

– Zbieramy się! – zawołałem.

– Została jeszcze kuchnia, no i inne pokoje!

– W kuchni na pewno nic nie ma, przecież korzystają z niej wszyscy lokatorzy, a do pokoi nie będziemy się wlamywać. Szkoda czasu.

– Ale może znajdziemy jakąś wskazówkę! Miszka...

– Do wozu! – przerwałem mu bezceremonialnie. – Tam pogadamy.

Poczekalem, aż chłopak wyjdzie na schody – Korszunow mieszkał na drugim piętrze – po czym starannie zamknąłem drzwi. Zanim opuściłem budynek, Lońka siedział już w aucie.

– Znalazłeś coś, wujku? – spytał niespokojnie.

– Owszem. Tak jak myślałem, twój przyjaciel nie żyje. Musiał czymś zaniepokoić Korszunowa, a ten go zabił.

– W takim razie gdzie są zwłoki? Nie uwierzę, że Miszka nie żyje, zanim go nie zobaczę!

– Już go nie zobaczysz – odparłem głucho. – Nikt go nie zobaczy. Pewnie Korszunow zakopał gdzieś szkielet, ale tę tajemnicę zabrał ze sobą do grobu.

– Jaki, do licha, szkielet?!

– W łazience znalazłem kwas solny i strzykawkę. Facet zabił twojego Miszkę, a potem wstrzykiwał w zwłoki kwas solny, tak żeby ciało odeszło od kości. Szkielet wywiózł i zakopał, a resztę spuścił w kanalizację...

Myślałem, że Lońka nie ma już czym wymiotować, ale się myliłem. Musiałem zatrzymać samochód, żeby chłopak doszedł do siebie.

– To moja wina – wymamrotał przez łyży. – Gdybym go powstrzymał, gdybym go tylko powstrzymał!

Położyłem mu rękę na ramieniu, podałem chusteczkę.

– Wątpię, żeby cię posłuchał – powiedziałem. – Wydawało mu się, że jest twardy, silny, niezwyciężony. Nikt nie byłby go w stanie przekonać.

Lońka w milczeniu wszedł znowu do wozu, w drodze słyszałem cichy szloch chłopaka. Co by o tym nie mówić, Natasza powinna być zadowolona. Nie tylko uratowałem jej syna, ale też śmierć przyjaciela sprawiła, że Lońka będzie na przyszłość dużo ostrożniejszy. Ot, lekcja życia. Jedna z tych, za które trzeba zapłacić słony rachunek, bywa, że własną krwią.



Zaparzyłem herbaty, dodałem do napoju konfitur z wiśni i z kubkiem w dłoni wyciągnąłem się w fotelu. Nie byłem głodny, więc darowałem sobie kolację. Może dzisiejsze przejścia pozbawiły mnie apetytu? Cóż, starość nie radość.

Sięgnąłem po gazetę znalezioną w mieszkaniu Korszunowa i zmarszczyłem brwi. Na tytułowej stronie widniał ten sam symbol, co na wizytówce i żetonie: carski dwugłowy orzeł w pękniętej koronie. W dodatku papier pachniał farbą drukarską. Spojrzałem na datę – pismo wydano wczoraj, papier i druk były znakomitej jakości. Wniosek? Istniała głęboko zakonspirowana białogwardyjska organizacja z własną drukarnią. Niepodobieństwo...

Wyjąłem z szuflady biurka lupę, zbadałem każdą stronę gazety, centymetr po centymetrze. W stopce redakcyjnej nie podano nakładu, nazwy drukarni ani nazwiska redaktora naczelnego. W sumie nic dziwnego, jak konspiracja, to konspiracja.

Nie ulegało wątpliwości, że w Moskwie istnieje monarchistyczne podziemie, jednak cała idea kipiała od sprzeczności: jeśli białogwardziści walczyliby z komunizmem, słyszałbym o tym. Oczywiście pojedyncze akty terroru czy sabotażu można by ukryć na jakiś czas, ale przecież nie na wieczność! Wniosek? Monarchiści egzystują, lecz nie walczą. Po raz kolejny: niepodobieństwo. W dodatku żadna zagraniczna biała organizacja nie informowała, że ma zaplecze w Moskwie czy Rosji. A panowie białogwardziści uwielbiali się chwalić. Jeśli więc moskiewscy monarchiści nie walczą, to po cholerę im drukarnie czy gazety?

W tym momencie krew uderzyła mi do głowy, zaszumiało w skroniach i niemal wypuściłem kubek z dłoni. Razumowski, ty idioto! Przecież Tima powiedział wyraźnie, że Iwanow to arystokrata, prawdziwa biała kość! Oto gdzie mógł się ukrywać, poza zasięgiem bezpieki, milicji, *blatnych* i *wojennoj razwiedki*! W białej Moskwie! Jeśli monarchiści dysponowali drukarnią, to pewnie i konspiracyjnymi lokalami. A skoro nie walczą, to ich istnienie pozostaje poza obszarem zainteresowań specsłużb i *blatnych*! Gdybym nawet przedstawił komuś swoje przemyślenia, na infiltrację tego środowiska potrzeba miesięcy, o ile nie lat. Bo gdyby tamci byli nieostrożni, już dawno zostałyby po nich kilka zbiorowych mogił i parę teczek dokumentów w archiwach bezpieki, a wszystko wskazuje na to, że mają się doskonale.

Przeszedłem do kuchni, wylałem resztę herbaty do zlewu i stanąłem przy oknie, gapiąc się bezmyślnie na ulicę. Potrzebowałem dojścia do głęboko zakonspirowanej, istniejącej od czort wie ilu lat struktury. Bardzo dobrze zabezpieczonej struktury. Pomyślmy: w jaki sposób biali mogli utrzymać w tajemnicy istnienie monarchistycznego podziemia? Niewątpliwie podstawowym warunkiem musiała być żelazna dyscyplina, a co za tym idzie, istniał pion odpowiadający za bezpieczeństwo, a więc przygotowany i odpowiednio wyposażony do operacji siłowych, choćby i na niewielką skalę. Co dalej? Ogromna ostrożność w przyjmowaniu nowych członków, być może oparta o jakiś konkretny, uniemożliwiający, a przynajmniej utrudniający infiltrację klucz. Tylko jaki?

Wyciągnąłem z szafki butelkę koniaku, nalałem alkohol do kieliszka. Myśl, Razumowski, myśl! Co mogło powstrzymać agentów bezpieki nie tylko przed rozpracowaniem, ale i dostrzeżeniem antykomunistycznej organizacji? Najprostsza odpowiedź brzmiała: nic. A jednak...

Przypomniał mi się Woroncow, z którym biesiadowałem w „Sowieckiej”. Być może on wiedział coś o białej Moskwie, inna sprawa, że prędzej by umarł, niż pomógł milicjantowi. A innych znajomości w tych kręgach nie miałem. Zaraz! A staruszki? Tak! Jeśli istnieje dostępna tylko dla wybranych biała Moskwa, damy dworu

ostatniej carycy muszą o tym wiedzieć. Ale czy podzielą się informacją z, było nie było, przedstawicielem znienawidzonego reżimu? Cóż, kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi...



Maria Aleksandrowna powitała mnie w drzwiach, ciężko opierając się na lasce. W jej oczach nadal tlił się dawny ogień, ale twarz była poszarzała i zmęczona.

– Wejdz, Saszka, wejdz! – zaprosiła. – Dawno nas nie odwiedzałeś – dodała z ledwie zauważalnym wyrzutem.

– Gdzie Praskowia Aleksandrowna? – spytałem z niepokojem.

– W łóżku. Odrobinę niedomaga.

– Mógłbym się z nią zobaczyć?

– Oczywiście, na pewno będzie zadowolona. Na razie usiądź w salonie, a ja pomogę się jej ubrać.

Rozparłem się w wygodnym, obitym skórą fotelu, z roztargnieniem rozejrzałem po pokoju. Od mojej ostatniej wizyty – starsze panie nadal udzielały lekcji dobrych manier dziewczętom z kasyna – przybyło bibelotów, a w rogu pojawił się niewielki stolik i staromodny patefon. Podeszedłem, nastawiłem płytę i zaraz w pomieszczeniu rozległy się dźwięki symfonii młodzieńczej Rachmaninowa. Najwyraźniej staruszki odczuwały nostalgię za minionym.

– Saszka!

Praskowia Aleksandrowna uściskała mnie serdecznie, podczas gdy jej siostra układała w drugim fotelu misterną konstrukcję z poduszek.

– Siadaj! – poleciła stanowczo. – Nie możesz się przemęczać.

Praskowia Aleksandrowna wyduła buntowniczo wargi, ale posłusznie usadowiła się na puchowych poduszkach.

– Ty do nas towarzysko czy w interesach? – zapytała z figlarnym uśmiechem.

Początkowo miałem kłopoty z odróżnianiem obu staruszek, ale Praskowia Aleksandrowna miała łagodniejsze rysy niż siostra i ironiczne poczucie humoru.

– I tak, i tak – odparłem szczerze.

Za bardzo lubiłem starsze panie, żeby je okłamywać.

– Jak wasze zdrowie, Praskowio Aleksandrowna?

– Starość, Saszka, starość. W zeszłym miesiącu pospacerowałam godzinę nad rzeką, ot i rezultat.

– Była pani u lekarza?

– A jakże! Nikołaj przyprowadził mi jakiegoś profesora i nakupił pół

szafy lekarstw. Teraz łykam kolorowe pigułki na zmianę z syropkami. Powiedz lepiej, co u ciebie?

Westchnąłem ciężko. Nie miałem ochoty martwić staruszek, ale jeśli w ciągu najbliższych dni nie znajdę Iwanowa, dostaną zaproszenie na mój pogrzeb.

– To dość nieprzyjemna sprawa – uprzedziłem. – Szukam pewnego człowieka i chyba tylko panie mogą mi pomóc.

– Kogo i w jakim celu? – spytała wprost Maria Aleksandrowna.

– To były szlachcic, być może arystokrata. Zabrał coś, na czym bardzo zależy Berii, a ten postawił mi ultimatum: albo Iwanow, albo ja...

Maria Aleksandrowna wymamrotała coś pod nosem, wnioskując z wyrazu twarzy, nie było to błogosławieństwo.

– Nie wiem, jak mogłybyśmy ci pomóc – powiedziała wreszcie.

Sięgnąłem do kieszeni i bez słowa położyłem na stole zabrany Korszunowowi żeton. Praskowia Aleksandrowna obejrzała go dokładnie, po czym oddała siostrze. Tamta jedynie rzuciła na niego okiem i natychmiast odłożyła, jakby parzył jej dłoń.

– Koniaku? – rzuciła po chwili.

– Poproszę.

Trunek był przedni, najwyraźniej starsze panie nie oszczędzały na alkoholu, ale wychyliłem kieliszek jednym haustem, jakbym pił tanią wódkę.

– Nie wiem, co powiedzieć, Saszka – zaczęła Praskowia Aleksandrowna. – Już dawno nie mamy do czynienia z takimi...

Przerwałem jej ospałym gestem, przymknąłem oczy.

– Musicie podjąć decyzję – powiedziałem. – Moje życie albo jego, trzeciej możliwości nie ma. Bo rozumiem, że rozpoznajecie ten żeton?

– Raczej symbol niż żeton – sprostowała Maria Aleksandrowna. – Owszem, poznajemy.

Długo siedzieliśmy w ciszy zakłócaną tylko przez uliczny szum, w końcu Maria Aleksandrowna wstała z fotela i wymieniła spojrzenia z siostrą.

– To niebezpieczni ludzie – powiedziała. – Bardzo niebezpieczni. Jeśli ci pomożemy, po prostu cię zabiją.

– Może zacznijmy od początku – zaproponowałem. – Co oznacza ten symbol? Kim są ci ludzie? Dlaczego udzielili schronienia zbiegowi ściganemu przez ludzi Berii? Jak ten do nich trafił?

Maria Aleksandrowna splotła dłonie, zacisnęła, aż zbielały jej drobne kostki palców.

– To zaczęło się na długo przed wojną, pod koniec lat dwudziestych, kiedy wiadomo już było, że biali ponieśli ostateczną klęskę. Nie chcieliśmy walczyć z nowym ustrojem, a jedynie zaspokoić nostalgię za minionym. Bolszewicy zamienili nasze pałace na muzea i urzędy, lecz

nie zwrócili uwagi na fakt, że część pomieszczeń wyłączono z użytkowania. Tam się spotykaliśmy. Nadal odbywały się bale, rauty, obchodzono święta państwowe i rocznice śmierci cara... Stąd ten symbol: orzeł z pękniętą koroną, godło ludzi, którzy choć utracili ojczyznę, nadal wierni są jej prawom.

– Jak się nazywa ta organizacja?

– Biały Kreml. Słowo „kreml” oznacza nie tylko konkretną budowlę, ale i cytadelę, to ostatni bastion białej Rosji – dorzuciła na widok mojej miny.

– Kto tym wszystkim kieruje?

– Rada. Przynajmniej kiedyś tak było. Nie mamy z nimi kontaktu od czasów ostatniej wojny.

– Dlaczego pomogli Iwanowowi? Powiedziały panie, że oni nie walczą z ustrojem.

– Wstęp na Biały Kreml, a co za tym idzie prawo azylu, ma każdy szlachcic. Jeśli ten twój uciekinier był w stanie udowodnić swoje pochodzenie i wiedział, do kogo się zwrócić... – Wzruszyła ramionami.

Skinąłem głową. Szlachectwo... A zatem to jest ów tajemniczy klucz do białej Moskwy. Co prawda zdarzało się, że agentami bezpieczeństwa byli przedstawiciele dawnego reżimu, jednak należało to do rzadkości: komuniści nie ufali szlachcie, nie mówiąc o arystokracji. Poza tym takie pochodzenie wykluczało jakąkolwiek karierę w państwie robotników i chłopów. Wyjątki od tej reguły były naprawdę nieliczne. Niegłupio.

– Jak można się z nimi skontaktować?

– Istnieje kilkanaście punktów, w których dyżurują zaufani ludzie Rady. Istniało – poprawiła się po chwili namysłu. – Nie wiem, jak wygląda to teraz. Jeśli znajdziesz jeden z nich, wystarczy, że pokażesz ten żeton. Następnego dnia specjalna ekipa zawiezie cię na któryś z obiektów Białego Kremla, a tam staniesz przed komisją, która zadecyduje, czy przyznać ci prawo wstępu.

– A co, jeśli uznają, że nie jestem godzien? – spytałem z ironią.

– Zabiją cię na miejscu.

Poluźniłem kołnierzyk, nagle wydał mi się za ciasny.

– Czyli będę musiał udowodnić, że jestem szlachcicem?

– Dokładnie tak. I nie miej złudzeń: oni natychmiast rozpoznają fałszywkę! Do tego niemal zawsze jest coś jeszcze, samo pochodzenie nie wystarczy, czasem trzeba wypełnić jakieś zadanie dla Rady. Bywa, że zapłacić wpisowe w złocie albo drogich kamieniach.

– Złoto to nie problem.

– A twój rodowód? Jak udowodnisz, że jesteś szlachcicem?

– Normalnie, pokażę im dokumenty.

– Jakie, na litość boską, dokumenty?! Sam mówiłeś, że twój ojciec był buchalterem w kołchozie!

– Bo był. Po rewolucji.
– A wcześniej?
– Być może panie go znały, ożenił się z wnuczką księżnej Bołkońskiej
– odparłem wymijająco. – Podobno swego czasu ten ślub narobił sporo szumu.

– Bołkońska? Taka drobna blondyneczka? Julia Bołkońska?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Niemożliwe! Moja matka przyjaźniła się z księżną Bołkońską!
A męża Julki poznałam na balu w Warszawie, w tysiąc dziewięćset trzynastym. Niemożliwe – powtórzyła bezradnie.

Wyjąłem plik dokumentów, w tym fotokopię artykułu opisującego ślub moich rodziców. Zdjęcia były ziarniste, ale wystarczające, aby rozpoznać rysy twarzy.

Maria Aleksandrowna przestudiowała je uważnie i długo wpatrywała się w fotografie.

– Jesteś podobny do ojca – powiedziała, przekazując dokumenty siostrze. – Co chcesz zrobić z Iwanowem? – spytała ostro.

– Nie mam wyboru, muszę go zabić.

– Jeśli to zrobisz, zginiesz. Na terenie Białego Kremla nie toleruje się przemocy. To azyl. Nawet najwięksi wrogowie muszą przestrzegać tej zasady. Pojedynki odbywają się tylko za zgodą Rady i poza terenem Kremla.

– Pojedynki?

– Jak przed rewolucją – odparła obojętnie starsza pani. – Zaraz! Nie chcesz chyba rzucić mu wyzwania?

– Jeśli nie będzie innego wyjścia.

– Oszalałeś! Strzelałeś kiedyś z pistoletu pojedynkowego?

– Cóż...

– Czyli nawet nie wiesz, co cię czeka! To broń niegwintowana, dawniej szlachta ćwiczyła się w jej użyciu od dzieciństwa, a ty pewnie widziałeś taką tylko w muzeum!

– Nie mam wyjścia – odparłem z rezygnacją. – Jeśli go nie zabiję, zdechnę na Łubiance.

Praskowia Aleksandrowna skinęła, abym podszedł, po czym wskazała mi sekretkę w rogu salonu.

– Druga szuflada od góry – poinstruowała.

Wyjąłem skrzynkę z palisandru, podałem starszej pani.

– To pistolety pojedynkowe Mantona, należały do mojego ojca. Jeśli będziesz miał szczęście, sekundanci Iwanowa je zaakceptują. Weź je i wypróbuj!

Broń była bogato zdobiona, ale kiedy wziąłem ją w dłoń, wyczułem dobre rzemiosło: oba egzemplarze były idealnie wyważone, ich lufy czyste, a wszystkie mechanizmy działały bez zarzutu.

– Dziękuję! – powiedziałem z wdzięcznością.

– Oby Bóg miał cię w opiece, Saszka – wyszeptła staruszka, kreśląc na moim czole znak krzyża.

Nie protestowałem, choć mocno wątpiłem, aby On – o ile istnieje – chciał wspierać pułkownika Razumowskiego. Zbyt mocno różniliśmy się w poglądach...



Silna ręka zatrzymała mnie w pół kroku, ktoś zdjął mi worek z głowy. Znajdowaliśmy się w obszernej, obficie oświetlonej sali, najwyraźniej nikt nie miał zamiaru ukrywać przede mną twarzy. W sumie nic dziwnego, wiedziałem, że jeśli nie przekonam Rady, ta sama ekipa, która wiozła mnie przez pół Moskwy, wyniesie moje zwłoki.

– Zaczynamy! – rzucił niecierpliwie niewysoki, szczupły mężczyzna w eleganckim garniturze.

Mimo że był niewielkiego wzrostu, dało się w nim wyczuć coś niebezpiecznego. Pozostali członkowie Rady – a było ich kilkunastu – traktowali go z wyraźnym respektem.

– Dokumenty potwierdzające pochodzenie naszego gościa nie budzą żadnych wątpliwości, jego rodzina, zarówno ze strony ojca, jak i matki, jest notowana w księgach rodowych imperium od setek lat. Zastanawiają za to jego intencje: pan hrabia od lat współpracuje z bolszewickim wywiadem wojskowym, a od pewnego czasu z milicją – kontynuował. – Nie jest też tajemnicą, że to właśnie nasz gość zabił barona Korszunowa. Hrabio – zwrócił się do mnie – co ma pan do powiedzenia?

Poczułem, jak po plecach spływają mi krople potu, najbliższe minuty miały zadecydować o moim życiu. Lub śmierci...

– Może zacznijmy od barona – zaproponowałem. – Korszunow zwabił w zasadzkę i usiłował zabić syna mojej przyjaciółki. Chłopak chciał walczyć z bolszewizmem, a Korszunow zaproponował mu przyłączenie się do tajnej organizacji. Musiałem interweniować.

– To wygląda na prawdę – mruknął pokaznej tuszy mężczyzna w okularach. – Korszunow od lat prowadził tę swoją krucjatę. Ostrzegaliśmy go wiele razy.

– Czyżby pan hrabia twierdził, że w grupie, którą zebrał baron Korszunow, nie było żadnego agenta bezpieczeństwa? – spytała zjadliwie wychudzona dama z wachlarzem. – Bo on rzeczywiście ignorował nasze ostrzeżenia, ale za każdym razem przynosił nam legitymację jakiegoś czekisty!

– Owszem, Korszunow zabił i agenta – przyznałem. – A do tego kilkoro niewinnych dzieciaków chcących walczyć z komunizmem. Jeśli państwo zechcą, przyniosę papiery tego prowokatora.

Szmer wśród obecnych świadczył, że informacja była dla nich zaskoczeniem.

– Niewinnych? – odezwała się z akcentem wątpliwości kobieta z wachlarzem. – Jest pan pewien?

– Całkowicie. Jeden z nich to niejaki Miszka Baturin, przyjaciel mojego podopiecznego. Korszunow zabił chłopca, rozpuścił ciało zastrzykami z kwasu solnego i spuścił w kanalizację, a szkielet gdzieś zakopał. Nawiasem mówiąc, Miszka zabił swego czasu agenta czerezwyczajki i naprawdę chciał walczyć z komunizmem.

Moja rozmówczyni wzdrygnęła się z przerażenia, a usta grubasa w okularach wykrzywił grymas niesmaku. Dość długo członkowie Rady przekrzykiwali się, wyrażając oburzenie lub niedowierzanie, wreszcie przywódca opanował chaos jednym gestem dłoni.

– No dobrze – powiedział. – Wierzimy panu. Oczywiście poprosimy pana o dokumenty prowokatora, którego zabił Korszunow, i zbadamy historię Baturina, ale na tę chwilę zakładamy, że mówi pan prawdę i tylko prawdę. Jednak nadal nie wyjaśnił pan, co go tu sprowadza? O ile mi wiadomo, nie potrzebuje pan azylu.

– Nie zdążyłem wyjaśnić – poprawiłem. – I rzeczywiście, nie chodzi mi o azyl.

– Słuchamy – ponaglił.

– Ścigam człowieka, który niedawno ukrył się na Białym Kremlu.

– W celu?

– Muszę go zabić i odebrać mu papiery, które zabrał komunistom.

– I sądzi pan, że na to pozwolimy?

– Przecież nie zamierzam strzelić mu w plecy! Wyzwę go na pojedynek.

– My co prawda nie walczymy z bolszewikami, nadal jednak żywimy sympatię do osób, które to robią. Nie wydamy go panu.

Odetchnąłem głęboko i poprawiłem się na krześle, czułem, że koszula na plecach jest mokra od potu, jednak musiałem ich przekonać.

– Radziłbym to przemyśleć – odparłem. – Jak na razie ani bezpieka, ani *wojennaja razwiedka* nic o was nie wiedzą. Jednak jeśli nadal będą ścigać Iwanowa, prędzej czy później wykryją waszą organizację.

– Jakiego, do licha, Iwanowa? – wtrącił ktoś z tylnego rzędu.

– Pod takim nazwiskiem go znam – wyjaśniłem. – Tu zapewne podał inne. Wracając do rzeczy: Iwanow nie może uciec, bo jeśli tylko pokaże się na ulicy, natychmiast zostanie złapany. Posiada dokumenty, które pomogłyby obalić Berię, ale nie można ich wykorzystać na miejscu, a jedynie w Paryżu, gdzie Iwanow nigdy nie dotrze. Konkludując, mamy

pat. Beria nie może go znaleźć, a Iwanow nie może się stąd ruszyć. Jednak sami państwo rozumieją, że to nie potrwa wiecznie. Prędzej czy później ktoś trafi na ślad Iwanowa, a co za tym idzie, na Biały Kreml.

– Po co panu te papiery? – spytał tłuścioch.

– Chcę zabić Berię, bo jeśli tego nie zrobię, Beria zabije mnie.

– Przecież pracuje pan dla niego! – krzyknęła jakaś kobieta.

– Owszem, z musu. Jednak teraz sytuacja wygląda dokładnie tak, jak państwu przedstawiłem. Albo on, albo ja.

– Mamy w to uwierzyć?!

– Nie mam powodu kłamać – odparłem sucho. – Myślę, że przy waszych możliwościach bez kłopotu wyjaśnicie, co sądzi na mój temat Beria.

– Wyjaśnimy – przytaknął przywódca. – To, co w tym momencie wiemy, nie przeczy pańskim słowom, ale to nie znaczy, że pozwolimy panu na pojedynek z księciem Trubeckim.

Poprawiłem się na krześle, rozluźniłem ramiona. Ciekawe, czy wyjawienie mi prawdziwego nazwiska Iwanowa to dobry, czy zły znak?

– Także ze względu na pana – kontynuował szczupły mężczyzna. – Gdyby pan zginął, służby specjalne przewróciłyby Moskwę do góry nogami, aby wyjaśnić, kto i dlaczego pana zabił. Nie możemy sobie na to pozwolić.

– Skąd pomysł, że to właśnie ja zginę? – zripostowałem zirytowany.

– Jeśli wyzwie pan Trubeckiego, książę będzie miał prawo wyboru broni – wyjaśnił grubas. – Biorąc pod uwagę jego umiejętności, zapewne wybierze pistolety lub szable. A o ile nam wiadomo, nigdy nie strzelał pan z pistoletu pojedynkowego, a kilkutygodniowy kurs szermierki przeszedł pan dwadzieścia lat temu. Wnioski nasuwają się same. – Rozłożył wymownie ręce.

– Obawiam się, że ani książę Trubecki, ani ja nie mamy innego wyjścia. Podobnie jak państwo. Jak powiedziałem, ten pat nie będzie trwał wiecznie, a bierne oczekiwanie na reakcję Berii czy *wojennej razwiedki* to nie najlepszy pomysł. Wreszcie pomyślcie o kraju: czy śmierć Berii nie zmieniałaby sytuacji na lepsze?

– Nie walczymy z systemem – przypomniał przywódca.

– Nie musicie. Ja to zrobię za was. Zabiję Trubeckiego, dostarczę Berii jego głowę, a później pojedę z dokumentami do Paryża i wykończę Berię.

– Nie zmusimy Trubeckiego do pojedynku – odezwał się tłuścioch. – I nie pozwolimy panu tego zrobić.

– Być może książę przyjmie wyzwanie z własnej woli? – odparłem niecierpliwie. – Tak czy owak, muszę z nim porozmawiać, teoretyzowanie nie ma większego sensu.

– Rada zastanowi się nad pańską propozycją – oświadczył oficjalnym

tonem przywódcy. – Zamykam posiedzenie! A pan, panie hrabio, chwilowo będzie naszym gościem.

Młody, muskularny mężczyzna ze szramami od noża na dłoniach zaprowadził mnie do pomieszczenia przypominającego hotelowy pokój. Pokój jakby żywcem przeniesiony z czasów przed rewolucją. Cóż, lepsze to niż katownia bezpieki. Chyba...



Odstawiłem kieliszek, a potem skinąłem na kelnera, żeby zabrał opróżnione naczynia. Mimo że moje lokum do złudzenia przypominało luksusowy pokój hotelowy, a obsługa wręcz uprzedzała życzenia, nie ulegało wątpliwości, że żyję jedynie z łaski Rady. A ta prędzej czy później podejmie decyzję, czy pozwolić mi na pojedynek z Trubeckim, czy też pozbyć się kłopotu.

– Ma pan gościa – zaanonsował potężnie zbudowany mężczyzna w liberii.

Wśród obsługi brakowało kobiet, a widoczna w każdym ruchu sprawność bojowa służących nie zachęcała do prób ucieczki. Tym bardziej, że było oczywiste, iż miałbym tylko jedną szansę.

– Kto zacz?

– Księżę Trubecki.

– Prosić! – rozkazałem.

Cóż, wreszcie coś się ruszyło. Tylko skąd ta wizyta? Czyżby Rada scedowała podjęcie decyzji na Trubeckiego?

Od razu go poznałem, choć zdjęcie nie oddawało aury, jaka otaczała tego człowieka. Musiał mieć dobrze po pięćdziesiątce, lecz na jego twarzy niemal nie było zmarszczek, dłonie nie nosiły śladu starczych plam, a sprężyste, skoordynowane ruchy bardziej pasowałyby do dwudziestolatka. Wysportowanego dwudziestolatka.

– Panie hrabio...

Podąłem mu rękę, ścisnął ją z siłą stalowego imadła, miał twardą dłoń, jakby wyrzeźbioną z drewna.

– Musimy porozmawiać.

Bez słowa wskazałem mu fotel.

– Herbaty? Kawy? A może coś mocniejszego? – zaproponowałem.

– Herbata będzie w sam raz.

Zanim zdążyłem wydać polecenie, kelner rozstawiał już filiżanki.

– A dla pana, hrabio? – spytał.

– To samo – odparłem niecierpliwie.

Po chwili odprawiłem osiłka w liberii i zostaliśmy sami.

– Czemu zawdzięczam pańską wizytę? – zacząłem ostrożnie.

– Musimy porozmawiać – powtórzył Trubecki. – Rada przekazała mi pańską propozycję. W tej sytuacji mamy dwie opcje: albo czekać, co postanowią, albo sami podjąć decyzję. Osobiście preferowałbym tę drugą możliwość.

– Jak i ja. Zapewne przemyślał pan już sprawę?

– Owszem.

– I jak pan to widzi?

– Rozumiem, że chce pan przewieźć posiadane przeze mnie dokumenty do Francji?

– Tak.

– W jakim celu? Dlaczego nie miałbym ich oddać jednemu z wrogów Berii tu, na miejscu?

– Bo nie ma pan gwarancji, że ich użyją przeciwko niemu. Ławrentij Pawłowicz ma wiele sposobów, żeby przeciągnąć każdego z konkurentów na swoją stronę. Tymczasem w Paryżu jest organizacja, która przekaże ten kompromat wszystkim naraz, wówczas będą musieli z nim walczyć.

– Szczególnie jeśli zostaną powiadomieni, że Beria wie o tym, iż otrzymali kompromitujące go materiały – zauważył cynicznie.

– Być może – przyznałem. – Dla mnie liczy się tylko rezultat, bo jeśli Beria zwycięży, pierwsze, co zrobi, to skróci mnie o głowę.

Trubecki łyknął herbaty, po czym odstawił filiżankę na talerzyk energicznym gestem, za to bez najmniejszego dźwięku, demonstrując fenomenalną koordynację ruchową. Nic dziwnego, że bezpieka nie mogła go złapać.

– I dla mnie – powiedział z lekkim roztargnieniem.

– Powie mi pan, co zawierają te akta?

– Oczywiście, to żadna tajemnica. Przede wszystkim dokumenty potwierdzające zbrodnie czy też potknięcia Berii: porwania kobiet, gwałty, zabójstwa, wreszcie współpracę z kontrolowanym przez Anglików kontrwywiadem Azerbejdżańskiej Republiki Demokratycznej. Do tego plany na przyszłość świadczące o tym, że nie ma zamiaru pozwolić rywalom na zarządzanie swoimi resortami. To rozwścieczy ich wszystkich i pozbawi złudzeń, o ile jeszcze je mają. Mołotow, Chruszczow czy Malenkow rozumieją, że ingerencja w ich kompetencje to jedynie pierwszy krok, a końcem tej drogi jest ślepy mur i pluton egzekucyjny. Wtedy zjednoczą się i wystąpią przeciwko niemu.

Przytaknąłem. O ile zbrodnie Berii nikogo by nie zbulwersowały – jego rywale także mieli ręce unurzane po łokcie we krwi – o tyle żaden z nich nie pozwoli mu powiększyć i tak już ogromnej władzy, tym bardziej swoim kosztem. Jeżeli dam radę dotrzeć do Paryża, zanim Beria wykończy konkurentów; jeśli organizacja, której istnienie sugerowała

Lidia Zosimowna, nie jest jedynie mitem, być może uda mi się obalić Berię. I ocalić życie...

– Co pan proponuje? – przerwałem przedłużające się milczenie.

– Pojedynek. Jednak pod pewnym warunkiem.

– Tak?

– Jeśli pan wygra, zabierze pan dokumenty i zrobi z nimi, co zechce, a moje zwłoki dostarczy Berii. Jeśli ja zwyciężę, spróbuję przedostać się do Francji, ale nie mam już pieniędzy. Potrzebuję stu imperialów, przekaże mi pan je przed pojedyńkiem. Mam nadzieję, że to nie problem?

– Żaden – zapewniłem. – Ale musiałbym wrócić do siebie.

– Poinformuję Radę o naszej umowie, wtedy pana wypuszczą. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że jeśli zdradzi Biały Kreml, nie pożyje pan długo?

– Zdaję – odparłem sucho.

Trubecki wstał z fotela i pożegnał mnie formalnym skinieniem głowy. Nie było o czym mówić: wóz albo przewóz. Nie przypuszczałem, żebym miał wielkie szanse w tym pojedyńku, bo nigdy nie strzelałem z broni gładkolufowej. Ale alternatywą była śmierć w katowni bezpieki. Lepiej zakończyć życie na swobodzie, z kulą w głowie lub sercu.



Zrzuciłem płaszcz, pozostając w ciemnej marynarce. Ciepły majowy wiatr kołysał delikatnie wierzchołkami drzew, przynosił zapach ziemi i kwiatów. Równa, bita droga w podmoskiewskim lesie idealnie nadawała się do pojedyńku. Jeden z moich sekundantów, grubas nazwiskiem Akimow, sprawdził pistolety i podszedł do mnie, dzierżąc ozdobną szkatułkę.

– Książę pozostawił panu pierwszeństwo wyboru broni – oznajmił uroczyście.

Wzruszyłem ramionami i wybrałem jeden z pary pistoletów. Przy moich umiejętnościach, a raczej ich braku, nie miało żadnego znaczenia, którego użyję. Poza tym sekundanci obu stron skontrolowali broń, i nie chciało mi się wierzyć, że Trubecki posunąłby się do oszustwa. Inna rzecz, że nie musiał, z tego, co słyszałem, był znakomitym strzelcem.

– Na stanowiska! – zakomenderował reprezentujący Radę szczupły mężczyzna z blizną przez prawy policzek.

Stałem zwrócony bokiem do przeciwnika, lufę pistoletu zgodnie z przepisami trzymałem skierowaną w górę. Zagryzłem wargi, kiedy Trubecki stanął naprzeciwko mnie, odległość wynosiła dwadzieścia

kroków. Blisko. Cholernie blisko...

Sekundant Trubeckiego podszedł do mnie w towarzystwie Akimowa i wymownym gestem podsunął skórzany woreczek. O kolejności strzałów miał zdecydować los. Poczułem, jak po skroniach spływają mi grube krople potu: wyciągnąłem czarną gałkę.

– Pierwszy strzela książę Trubecki – oznajmił Bliznowaty. – Od momentu kiedy padnie komenda „strzelać!”, książę ma trzydzieści sekund, aby nacisnąć spust. Przez ten czas hrabia Przeździecki jest zobowiązany stać nieruchomo.

Wzdrygnąłem się, usłyszawszy prawdziwe nazwisko ojca. Cóż, komu życie, komu śmierć...

– Jeśli książę Trubecki nie strzeli w ciągu trzydziestu sekund, traci kolejkę – kontynuował tamten. – Jeżeli hrabia zostanie ranny, czas, w jakim musi wystrzelić, zwiększa się do minuty. Pytania?

Trubecki pokręcił głową, ja także odpowiedziałem przeczącym gestem. Mężczyzna odszedł na bok, podobnie jak sekundanci.

– Przygotować się! – rozkazał.

Trubecki z trzaskiem odwiódł kurek pistoletu.

– Strzelać!

Wydawało się, że pocisk rozwichrzył mi włosy, poczułem podmuch powietrza.

– Strzelać!

Wycelowałem w pierś przeciwnika i nacisnąłem spust. Wystrzał zabrzmiał jak trzask łamanej gałązki. Ze zdziwieniem ujrzałem, jak pod Trubeckim uginają się nogi. Czyżbym trafił?

– Opuścić broń! – rozkazał Bliznowaty.

Do leżącego na ziemi Trubeckiego podbiegł lekarz, jednym szarpnięciem rozerwał mu koszulę na piersi, ale po chwili zdjął czapkę i nakreślił dłonią znak krzyża.

– *Exitus* – oznajmił głośno. – Prosto w serce.

Poczułem, jak miękną mi nogi, musiałem oprzeć się o drzewo.

– To koniec? – wymamrotałem.

Akimow ujął mnie pod ramię, wyłuskał z zaciśniętych palców pistolet.

– To koniec – potwierdził. – Zwyciężył pan. Odwieziemy pana do domu, ale trzeba jeszcze podpisać protokół. Zajmie się tym pułkownik Woronin. – Ruchem głowy wskazał mężczyznę z blizną.

Reprezentant Rady przywołał nas gestem i bez słowa wskazał oficjalnie wyglądający druk. Podpisałem się jako Aleksander Przeździecki. Po raz pierwszy w życiu.

– Gdzie mamy dostarczyć ciało? – spytał Woronin.

Ze zdziwieniem zauważyłem, że w jego głosie nie pobrzmiwa potępienie, tak jakby akceptował fakt, że muszę wydać Berii zwłoki

Trubeckiego. Nieoczekiwanie poczułem, jak zalewa mnie fala nienawiści skierowana przeciwko szefowi bezpieki. Gdyby nie jego brudne gierki, można by pochować Trubeckiego z honorami, tak jak na to zasługiwał.

– Zostawcie je w ciężarówce niedaleko Łubianki – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– Może pan uznać to za zrobione. A teraz pewnie chce pan przejrzeć dokumenty Trubeckiego?

– Tak.

– Naprawdę ma pan zamiar obalić Berię?

– Zabić – poprawiłem.

– Jeśli uda się panu... – Nie dokończył.

Podał mi rękę, uściskał ją bez wahania.

– Niech pan będzie ostrożny, hrabio – powiedział z autentyczną troską. – To zwierzę.

Ruszyłem do samochodu, starając się opanować emocje. Co prawda do ostatecznej rozgrywki jeszcze daleko, ale to właśnie dziś okaże się, czy jeszcze trochę pożyję. Wszystko zależało od humoru Berii. Nic nowego, nic nadzwyczajnego w naszym państwie.



Do gabinetu Berii eskortował mnie Tagilin, ostry niczym u polującego drapieżnika wzrok bezpieczniaka świadczył, że ten spodziewa się być świadkiem egzekucji. Mojej egzekucji. Nikomu jeszcze nie powiedziałem o śmierci Trubeckiego, więc w oczach ludzi Berii byłem żywym trupem, bo termin wyznaczony przez genkoma minął wczoraj. Niewykluczone, że mieli rację: kto wie czy Ławrentij Pawłowicz zadowolony był z wólkami wroga. Bo dokumentów nie zamierzałem mu oddawać, i to nie tylko dlatego, że oznaczałoby to dla mnie wyrok śmierci. Wiedziałem, że będę żył tak długo, jak długo Beria uzna, że jestem mu potrzebny. Później nadejdzie czas na wyrównanie rachunków.

Jeden z pilnujących drzwi wartowników zaanonsował nas i po chwili stałem już przed potężnym biurkiem. Beria gwałtownym gestem zdjął okulary, spojrzał na mnie wściekle i zacisnął pięści.

– Przeprowadziłem tego tutaj – odezwał się pogardliwie Tagilin. – Tydzień minął.

– Razumowski?

Głos genkoma był głuchy, jakby dochodził ze studni, spoczywające na blacie pięści drżały spazmatycznie.

– Znalazłem i zabiłem Iwanowa. Niestety, dokumenty, które ukradł, są już w drodze na Zachód – zameldowałem krótko.

Cisza, jaka zapadła po moim oświadczeniu, sprawiła mi przyjemność. Towarzysze chyba nie spodziewali się, że coś zdziałam. Punkt dla mnie.

– Kłamstwo! – zareagował w końcu Tagilin. – Pewnie zaraz powie, że trup utonął w rzece albo spłonął przypadkiem!

– Trup znajduje się w ciężarówce zaparkowanej naprzeciwko wejścia na Łubiankę – poinformowałem zjadliwie. – Jestem pewien, że go rozpoznacie, w końcu Iwanow uciekł wam dwa razy.

Gdyby wzrok potrafił zabijać, byłbym martwy, zanim upadłbym na dywan. Na szczęście nie każde pragnienie może się ziścić, dlatego Tagilin jedynie spurpurowiał, jakby miał dostać ataku apopleksji.

– Sprawdź to. Natychmiast!

Głos Berii przypominał trzask bicia, najwyraźniej akcje pułkownika Tagilina spadały.

– Tak jest!

– A wy siadajcie, Razumowski, i opowiadajcie! Opowiadajcie!

Skorzystałem z zaproszenia i przycupnąłem na brzeżku krzesła.

– Niewiele jest do opowiadania – odparłem. – Iwanow, a raczej książę Trubecki, był członkiem głęboko zakonspirowanej organizacji zmierzającej do przejęcia władzy w naszym kraju. Szczegóły zawarłem w swoim raporcie. – Położyłem na biurku tekturową teczkę.

Beria pospiesznie rozwiązał tasemki i zagłębił się w lekturze. Mijały minuty, w gabinecie słychać było jedynie tykanie zegara i ciężki oddech genkoma.

– Tajna organizacja monarchistów? – odezwał się wreszcie z akcentem wątpliwości w głosie. – Tutaj? W Moskwie?

Sięgnąłem do kieszeni i położyłem na blacie żeton z orłem w pękniętej koronie i pachnący wciąż farbą drukarską egzemplarz „Białego Kremla”.

– Tak się nazywają – powiedziałem. – Biały Kreml. A żeton to przepustka pozwalająca korzystać z ich pomocy, w tym z konspiracyjnych lokali. Zabrałem go Trubeckiemu.

– Niemożliwe! – stwierdził ostro Beria. – Nie otrzymałem żadnych meldunków na ten temat.

– Obawiam się, towarzyszu generalny komisarzu, że niektórzy z waszych ludzi mogli przejść na stronę wroga – odparłem z udanym wahaniem.

Trafiłem, bo w oczach Berii pojawił się błysk niepokoju.

– Ktoś by coś zauważył!

– I zauważył – zapewniłem. – Tylko was o tym nie poinformowano. Jeden z waszych agentów inwigilował tę organizację, jednak został zabity w konfrontacji z bojówką Białego Kremla. Zjawiłem się tam w momencie, kiedy rozpoczęła się strzelanina, i zlikwidowałem jednego z przywódców, niejakiego Korszunowa. Barona Korszunowa. Posługiwał

się papierami na nazwisko Gulajew. A oto legitymacja waszego pracownika, kapitana Mikowa. – Podałem Berii dokumenty.

Genkom długo oglądał wizytówkę Korszunowa, później zabrał się do czytania gazety. Zanim skończył, w drzwiach pojawił się Tagilin.

– Co tam? – warknął Beria.

– Melduję, że...

– To Iwanow?! – przerwał mu genkom.

– Iwanow – przytaknął niepewnie bezpiecziak. – Ale on nie został zastrzelony z normalnej broni, rana jest dziwna. Myślę...

– Pistolet pojedynkowy – tym razem ja wszedłem mu w słowo. – Walczyliśmy i ja wygrałem.

– Dlaczego go po prostu nie zastrzeliliście albo nie przywieźliście do nas? – spytał Beria.

– Bo dzięki temu, że dałem mu szansę, opowiedział mi, co zrobił z dokumentami – wyjaśniłem.

– Tak od razu? Z własnej woli?

– Nie ma w tym niczego dziwnego. Zrobił to przed samym pojedynkiem, a gdybym przegrał, zabrałbym ten sekret do grobu – zripostowałem. – Wyjaśniłem to dokładnie na stronie piątej raportu.

Beria ponownie otworzył teczkę, ale widziałem, że jego wzrok tylko ślizga się po kartkach maszynopisu.

– Razumowski był z nim w zмовie! – wybuchnął Tagilin, korzystając z milczenia genkoma. – Oni musieli...

– Milcz, gnoju! – zawył Beria, zrywając się zza biurka. – Nie dość, że go wypuściłeś z rąk, to jeszcze nie potrafiłeś znaleźć! Ani jego organizacji! Monarchiści w Moskwie, pod naszym nosem!

– Jacy monarchiści? Razumowski łże jak...

Beria zważył podwładnego z nóg uderzeniem pięści, a kiedy Tagilin upadł, zaczął go kopać.

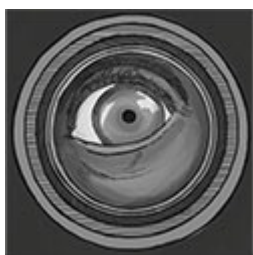
– Straż! – zawołał. – Straż!

Do gabinetu wpadli dwaj oficerowie z bronią w ręku.

– Zabrać tego tu! – Wskazał na Tagilina. – I Razumowskiego! Obu pilnować jak oka w głowie!

Jeden z bezpiecziaków nakazał mi założyć ręce na plecy, poczułem, jak na moich nadgarstkach zaciskają się stalowe obręcze. Po chwili maszerowałem już korytarzem Łubianki, jak tyłu innych przede mną. Tagilin nie maszerował, Tagilina nieśli.

Rozdział siódmy



Podniosłem głowę, usłyszawszy zgrzyt zasuw, ktoś uchylił stalową klapę i wsunął przez otwór tacę z jedzeniem. Jeszcze tylko w wizjerze ukazało się monstrualnie powiększone oko, ponowny zgrzyt i zapadła cisza.

Przeniosłem posiłek na przyśrubowany do podłogi stolik i sięgnąłem po łyżkę. Dziś na obiad zaserwowano nam kapuśniak, kaszę z mięsem i sosem grzybowym, do tego dwie kromki chleba i kompot. Cóż, więźniów, na których zależało bezpieczeństwo, karmiono na Łubiance lepiej niż w niejednej stołówce. Chleb był jeszcze ciepły, pewnie niedawno wyjęto go z pieca. Inna sprawa, że ta troska nie wróżyła zbyt dobrze, najwyraźniej Beria chciał mieć mnie w dobrej kondycji...

Mijał trzeci dzień, odkąd zostałem aresztowany, nie sądziłem, żeby przyszło mi długo czekać na decyzję genkoma. Tym bardziej, że nikt mnie nie przesłuchiwał, nie przedstawiono mi też żadnych zarzutów. Przypuszczałem, że bezpieczniacy sprawdzają teraz moją wersję, szukają zwłok w cegielni, prowadzą rewizję chałupy Korszunowa, no i przesłuchują Tagilina. Intensywnie przesłuchują. Temu ostatniemu nie wróżyłem długiego życia. Podwładni nie poinformowali Berii o kilku istotnych faktach, zapewne, żeby uniknąć gniewu genkoma, ale w sytuacji, kiedy okazało się, że pod nosem bezpieki działała tajna organizacja, wyglądało to na zdradę. A czekiści wychodzili z założenia, że lepiej zabić dziesięciu niewinnych, niż przeoczyć jednego winnego. Taaak, nie było czego zazdrościć Tagilinowi. Cóż, nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka.

Odstawiłem opróżnione naczynia, tak żeby strażnik mógł po nie łatwo sięgnąć, i wykonałem kilka ćwiczeń gimnastycznych. Cela nie porażała luksusem, choć i tak daleko przewyższała standardem te zwykłe: stolik, prycza, szafka na rzeczy aresztanta i kącik sanitarny – to wszystko na powierzchni kilku metrów kwadratowych. Gdybym stanął z rozłożonymi na boki rękoma, niewiele by brakowało, abym dotknął ścian.

Zaalarmował mnie dobiegający z korytarza odgłos kroków, ale po

chwili rozluźniłem mięśnie: tu i teraz nie mogłem nic zrobić. Jeszcze się nie narodził taki, który uciekłby z Łubianki. Raz, dwa, trzy... Trzy osoby. Mężczyźni. Nie miałem przy sobie nawet kapsułki z cyjankiem, wiedziałem, że bezpieczniacy to sprawdzą, grałem *va banque*. Jeśli podejrzliwość Berii przewyższy chęć odzyskania kompromitujących materiałów, umrę tu i teraz, dobrze jeśli od strażu w tył głowy. Bo istniały i inne, dużo gorsze opcje.

I znowu w wizjerze ukazało się oko, ktoś zabrał pozostawione przeze mnie naczynia, zgrzytnął zamek i drzwi uchylily się z lekkim skrzypieniem.

– Razumowski, do wyjścia! – polecił szorstki, choć wyraźnie znudzony głos.

Czyli nie będzie fajerwerków. Nie teraz.

– *Licom k stienie!*

Posłusznie odwróciłem się twarzą do ściany, ku mojemu zdziwieniu nie skrępowano mi rąk. Dobry znak czy wręcz przeciwnie? Nie miałem pojęcia, czy więźniom przeznaczonym do rozstrzelania zakładają kajdanki. Nie żeby ta kwestia specjalnie mnie nurtowała, tak czy owak, wszystkiego dowiem się za chwilę.

Poprowadzono mnie na górę, znaczy ktoś chce ze mną pogadać. Prawdopodobnie. Bo może tylko odczytać wyrok...

Pierwsze piętro, a więc gabinet Berii. Tym razem przed drzwiami stało aż czterech ochroniarzy, czyżby genkom obawiał się konfrontacji? Ale dlaczego? Teoretycznie rzecz biorąc, sprawa była prosta: albo otrzymam zadanie odzyskania kompromatu, albo pójdę pod ścianę.

Beria wyglądał na zmęczonego, lecz w jego oczach widać było ponurą satysfakcję.

– Siadajcie, Razumowski – rozkazał. – Przeprowadzone na mój rozkaz śledztwo wykazało, że mówiliście prawdę. W ogólności. Dlatego oczyściliśmy nasze szeregi ze zdrajców.

Genkom urwał, jakby czekał na mój komentarz. Milczałem.

– Jednak jak się okazało, pominęliście kilka istotnych detali – kontynuował, nie doczekawszy się odpowiedzi. – W cegielni odkryliśmy nie tylko trupy, ale i odciski palców niejakiego Leonida Pokrowskiego. Podobnie jak w mieszkaniu Korszunowa.

Zacisnąłem zęby, przeklinając swoją bezmyślność. Nie przypuszczałem, że bezpieka zada sobie trud tak dokładnego zbadania śladów na miejscu strzelaniny albo że ma w swoich archiwach odciski palców Łońki. Szlag!

– Dlatego na wszelki wypadek zatrzymaliśmy zarówno młodego Pokrowskiego, jak i jego matkę, skądinąd notowaną jako ŻIR.

Wzdrygnąłem się, słysząc złowrogi akronim. *Żena izmiennika rodziny* – żona zdrajcy ojczyzny. Sam fakt zaklasyfikowania Nataszy jako ŻIR

rozwiązywał bezpiecznie ręce, w tej sytuacji jej życie i los syna zależały od kaprysu Berii. Nie trzeba było nawet fabrykować lipnych dowodów czy wymuszać zeznań.

– Poleciałem, żeby na razie zostawiono ich w spokoju, mam ważniejsze kłopoty, jednak jak sami rozumiecie, sprawa jest otwarta. Nie wykluczam, że w razie powodzenia waszej misji po prostu ich wypuszczę.

Jasne! Było oczywiste, że w chwili kiedy oddam dokumenty Berii, ten rozkaże mnie zabić razem z Nataszą i Lońką. Na wszelki wypadek.

– Wiecie, co macie robić, nasz resort udzieli wam wszelkiej pomocy. Jakież pytania?

– Nie mam pytań – odparłem, starając się opanować wściekłość.

Ech, dorwać by tego gnoja, strzelić w nadętą mordę, poczuć, jak pod pięściami pękają wargi i kruszą się zęby, a potem wziąć pod buty...

– Przygotowano wam paszport i wszystkie potrzebne dokumenty, jutro wyjeżdżacie do Paryża.

– Najpierw muszę do Niemiec – wymamrotałem.

– A nie do Austrii? – spytał złośliwie Beria. – Pani von Bredow na pewno się za wami stęskniła.

– Do Niemiec – powtórzyłem z uporem.

– Nie pogrywaj ze mną, Razumowski! Mam i inne źródła informacji i wiem, że Trubecki wysłał papiery do Paryża!

– Żeby znaleźć dokumenty, muszę mieć jakiś punkt zaczepienia, a z rozmowy z Trubeckim wiem, że ma przyjaciela w Berlinie.

– W której części? – rzucił nieufnie genkom.

– Nie mam pojęcia, znam tylko jego nazwisko, wiem też, jak wygląda. Trubecki pokazał mi jego zdjęcie – skłamałem.

Na twarzy Berii zadrgały mięśnie, nie potrzebowałem jasnowidza, żeby domyślić się, co mu chodzi po głowie. Genkom mi nie ufał, to jasne jak słońce, i zastanawiał się, czy zakładnicy zapewnią mu swoją lojalność. Bo istniała i inna opcja: wydrzeć ze mnie informacje siłą, a w pościg za dokumentami wysłać swoich ludzi. Jednak trudno było przewidzieć, kiedy złamią mnie śledczy, a czas gonił. W dodatku do tej pory bezpieczeństwa nie wykazała się specjalną fachowością i Beria obawiał się, że czekałszy znowu poszkapią sprawę. Ot i dylemat...

– Odpowiadacie osobiście za powodzenie operacji – warknął. – Głową! I pamiętajcie, że od jej powodzenia zależy nie tylko wasz los!

– Pamiętam – zapewniłem.

– Dokumenty i swoje rzeczy odbierzecie u dyżurnego – powiedział już spokojniej. – Koszty nie grają roli, uprzedzę ekspozytury we Francji i w Niemczech, aby udzieliły wam wszelkiej pomocy.

– Być może będzie mi potrzebna broń albo ludzie – wtrąciłem.

– Dostaniecie wszystko, czego zażądacie. A teraz zbierajcie się, jutro

nie chcę was tu widzieć – zakończył odprawę Beria.

W dyżurce odebrałem pasek do spodni, zegarek, portfel i klucze od mieszkania oraz nowiutki paszport. Obejrzałem go dokładnie, bo choć przyszło mi po wojnie kilka razy przekraczać granicę, to zawsze nielegalnie. A tu proszę, paszport uprawniający Aleksandra Razumowskiego do podróżowania po całym świecie.



Ledwo przybyłem na Pietrowkę, hol zaroił się od milicjantów. Przez moment miałem wrażenie, że MUR odwiedził jakiś amant filmowy albo światowej sławy pianista. Kiedy na szyję rzuciła mi się szefowa kadr, kostyczna na co dzień major Panina, doszedłem do wniosku, że to jednak ja jestem tą atrakcją. Zgniatano mi ręce, całowano i poklepywano po plecach, najwyraźniej wszyscy wiedzieli, gdzie spędziłem ostatnie dni.

Coś ścisnęło mnie w gardle, było oczywiste, że taka demonstracja uczuć dla człowieka, który dopiero co wrócił z Łubianki, nie spodoba się Berii, ale nikt na to nie zważał.

– Saszka!

Odwróciłem się na dźwięk znajomego głosu: Poliakov.

– Nie tak mocno, matołku! – syknąłem. – Połamiesz mi żebra.

Ostrzegałem na próżno: szeryf miasta Moskwy zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Że też nie możesz przeżyć tygodnia, żeby nie wpakować się w jakieś kłopoty – mruknął. – Zajdź do mnie na chwilę, gdy skończysz odbierać hołdy. Będę u Maksimowa. Musimy pogadać.

Skinąłem głową, odprowadzając wzrokiem przeciskającą się przez tłum sylwetkę, po chwili znowu poczułem na policzku kobiece wargi.

– Wystraszyliście nas śmiertelnie! – powiedziała z wyrzutem Nina Rusłanowa.

Dziewczyna ujęła mnie pod ramię, drugą rękę zawłaszczył Bugrowski. Odchrząknąłem, starając się opanować wzruszenie, wyglądało, że wróciłem do domu. Jedyne, jaki miałem...

– Chodźcie do gabinetu – zaproponował Bugrowski. – A później...

– Tym razem mieliście szczęście – przerwał mu aroganckim tonem młody, postawny mężczyzna.

Dopiero po chwili skojarzyłem jego twarz z nazwiskiem. Czyżby towarzysz Diaczenko nadal żywił do mnie urazę? Ale po czorta mu publiczna konfrontacja?

Poczułem, jak palce Niny wpiły się w mój biceps, najwyraźniej

dziewucha nadal się go bała.

– Słucham? – spytałem niecierpliwie.

– Następnym razem możecie nie mieć tyle szczęścia co dzisiaj – stwierdził zadowolony z siebie arogant. – Kto wie co może się zdarzyć? Na przykład narysujecie jakąś karykaturę i wylądujecie na Łubiance.

Zamrugąłem, usiłując pojąć sens wypowiedzi Diaczenki. Czyżby ten kretyń sugerował, że to on załatwił mi wczasy na koszt bezpieczeństwa? Z powodu karykatury?

Chór oburzonych głosów świadczył, że inni zrozumieli podobnie.

– Czujecie się obrażeni? – kontynuował kpiąco. – Jeśli tak, jestem w stanie udzielić wam satysfakcji. Tu i teraz.

Najwyraźniej efekty dowcipu z podobizną Diaczenki przeszły moje oczekiwania i towarzyszący porucznik nie chciał czekać do turnieju sambo. Z oczywistych względów nie miałem ochoty na żarty i sytuacja, która normalnie by mnie ubawiła, teraz wywołała zimną złość.

– Nie jesteś w stanie – wycodziłem. – Żaden kłamca i tchórz nie posiada zdolności honorowej. A ty jesteś jednym i drugim. Co do tej jakże finezyjnej aluzji, jakobym to przez ciebie znalazł się na Łubiance: najlepiej będzie, jeśli poinformuję o tym genkoma. Właśnie wykonuję dla niego pewne zadanie i powinienem się zabezpieczyć przed możliwym sabotażem. A ty mi przecież groziłeś. Przy świadkach.

W holu zapadła śmiertelna cisza, ludzie odsunęli się od Diaczenki. Sam delikwent pobladł niczym świeżo pobielona ściana. Liczył zapewne na to, że jak wielu innych przede mną, zostałem zatrzymany przez bezpieczeństwo bez słowa wyjaśnienia i zdołał mnie zastraszyć, sugerując, że miał z tym coś wspólnego. A tu taka niespodzianka.

– Źle mnie zrozumieliście, towarzyszu pułkowniku – wymamrotał. – Ja tylko...

– Ty tylko chciałeś mi pogrozić – wszedłem mu w słowo. – No cóż, trzeba coś z tym zrobić. Z tego, co wiem, towarzyszu Beria bardzo nie lubi, kiedy ktoś przypisuje sobie nienależną mu władzę i wpływy, powołując się na kierowaną przez niego instytucję. A ostatnio genkom nie jest w najlepszym humorze.

– Towarzyszu pułkowniku! – wybuchnął Diaczenko. – Błagam!

– Błagasz? No dobrze, przedstawię ci alternatywę: tu i teraz przepelniesz jak pies, na czworakach, do drzwi i więcej nie pokażesz się na Pietrowce. Czekam na twoją decyzję. – Ostentacyjnie spojrziałem na zegarek. – Masz trzydzieści sekund.

– Jestem na służbie! Honor munduru...

– Hańbisz mundur samym faktem jego noszenia! Więc?

W martwej, wręcz dzwoniącej w uszach ciszy Diaczenko opadł na kolana i popęzł w stronę drzwi, wreszcie podniósł się chwiejnie i wypadł na ulicę.

– Przypomnij mi, Razumowski, żebyś nigdy ci nie podpadła – mruknęła Panina.

Odpowiedział jej szmer poparcia, choć nie wyglądało, żeby ktoś miał mi za złe upokorzenie Diaczenki. Po chwili ludzie zaczęli się rozchodzić do swoich zajęć.

– On tu nieźle zaszalał, kiedy was nie było – odpowiedział na niezadane pytanie Bugrowski. – To częściowo moja wina, bo dolewałem oliwy do ognia. Rozumiecie, ta karykatura niespecjalnie mu się spodobała.

– Nieważne – mruknąłem. – Jednego kretyna mniej.

– Myślicie, że nie wróci? – spytała z ożywieniem Rusłanowa.

Dima spojrział na nią z politowaniem i pokręcił głową.

– A ty byś wróciła po czymś takim? Facet jest skończony. Definitywnie.

Kiedy weszliśmy do gabinetu, zauważyłem na biurku butelkę koniaku i kilka kieliszków, najwyraźniej podwładni postanowili uczcić mój powrót z Łubianki. Pokręciłem głową na zapraszający gest chłopaka.

– Nie teraz – powiedziałem. – Czeka na mnie Poliakow i mam sto spraw do załatwienia przed wyjazdem.

– Gdzie wyjeżdżacie?

– Niemcy, Francja, może Wiedeń – odparłem niechętnie. – Nieważne! Melduj!

– Kotka niemal wyzdrowiała, za dwa tygodnie rozpocznie się proces. Przy okazji: wiemy już, kto dawał jej cynk, którą chatę warto obrabować. Miała sztamę z facetem rozwożącym prominentom specjalne racje żywnościowe, partyjni dostawali je z rozdzielnika, a reszta na krzywy ryj, bo bogacze nie zamierzali zadowalać się smażonymi kartofelkami jak lud roboczy miast i wsi.

– Świetnie. A jak twoje śledztwo?

– Ci wszyscy druzynnicy zostali skazani, a ich zeznania przeciwko bibliotekarkom podważone. Teraz czekam na odpowiedź z Gułagu.

– Dobra robota.

Bugrowski zarumienił się niczym panienka i spuścił głowę.

– Ojciec też mnie pochwalił – mruknął. – Tak jakbym dokonał czegoś nadzwyczajnego. Tymczasem wsadzenie tych idiotów za kratki to była bułka z masłem.

– Być może te bibliotekarki, o ile któraś z nich jeszcze żyje, będą miały na ten temat odmienne zdanie – stwierdziłem cierpko. – Bo może stoją teraz nago w kolejce do łaźni, w tłumie brudnych, spoconych bab i modlą się, żeby nie zainteresował się nimi jakiś czekista szukający seksualnej rozrywki. Albo spławiają drewno na chwałę sowieckiego proletariatu.

– *Komandir!*

– Przemyśl to – uciałem.

– Jak z Berią? – rzucił szeptem chłopak. – Opuścił wam czy jednak...?

– Czy jednak – odparłem sucho.

– Dacie sobie radę?

Wzruszyłem ramionami, nie widziałem sensu, by o tym mówić. Bugrowski był na tyle inteligentny, że sam rozumiał, jakie mam szanse w starciu z kierowanym przez Berię resortem, i dostatecznie dorosły, żebym nie musiał go pocieszać.

– Zobaczmy – odparłem na użytek Rusłanowej.

– Powodzenia – powiedział Dima i wstał, jakby chciał mnie objąć.

Powstrzymałem go gwałtownym gestem i wyszedłem, trzaskając drzwiami. Też mu się, kurwa, zebrało na czułe pożegnania! Jakbym miał mało kłopotów!



W gabinecie generała czekał na mnie nie tylko Poliakov, ale i człowiek Chruszczowa – Dato Petrosian. Wydawało się, że Maksimow został wtajemniczony we wszystkie niuanse. Tylko ciekawe, kto o tym zdecydował? A może sam Maksimow chciał się włączyć w walkę przeciwko genkomowi? Było oczywiste, że jeśli poprze zwycięską drużynę, po wygranej Chruszczowa jego akcje wzleczą do nieba. Jak ja, kurwa, nienawidzę polityki...

– Co robimy? – zapytał bez wstępu Poliakov. – Bo jak rozumiem, nasza rozgrywka dobiega końca?

– Owszem – przytaknąłem. – W taki czy inny sposób.

– Masz te dokumenty? – wtrącił Dato.

– Mam. Ale chciałem cię prosić, żebyś nie dawał ich Chruszczowowi, a pomógł przewieźć je do Paryża.

– Zwariowałeś! Jeśli Chruszczow je dostanie, to...

– To albo przegra konfrontację z Berią, albo przejdzie na jego stronę – przerwałem mu bezceremonialnie.

– On nienawidzi Berii!

– Dato! – warknąłem gniewnie. – Pomyśl logicznie! Twój patron ma łapy po łokcie we krwi, dokładnie jak Ławrentij Pawłowicz! Jeśli Beria podsunie Chruszczowowi dostatecznie łakomy kąsek, ten bez wahania zdradzi pozostałych spiskowców i przejdzie na stronę genkoma. A wtedy Beria wygra. Och, wynagrodzi Chruszczowa, a jakże! Tyle że prędzej czy później zlikwiduje wraz ze współpracownikami. Jedyna szansa to przesłać kompromat wszystkim jednocześnie i powiadomić o tym Berię.

Wtedy wystąpią przeciwko niemu wspólnie, a Beria odpuści sobie rozgrywki polityczne i zacznie myśleć nad wariantem siłowym.

– I co go powstrzyma przed aresztowaniem Chruszczowa?

– My – odparłem zwięźle. – Beria was lekceważy. Doskonale wie, że bezpieka wygra każdą konfrontację z wami. Tyle że nie ma pojęcia o naszych przygotowaniach. Przypuszczam, że pojawi się na posiedzeniu Biura Politycznego albo rządu w otoczeniu tabunu ochroniarzy, żeby oskarżyć was o spisek, a potem aresztować. Ale my będziemy szybsi: aresztujemy go tam, na miejscu.

– Mam ukryć przed Chruszczowem fakt, że masz dokumenty?!

– Dokładnie. Jakby co, powiesz, że cię okłamałem. Tylko ty możesz przerzucić te papiery do Paryża ze stuprocentową gwarancją powodzenia. Bo nadal kierujesz pocztą dyplomatyczną, prawda?

Dato przytaknął.

– Ja nie mogę ich mieć przy sobie, bo ludzie Berii będą mnie śledzili, i pewnie nie raz i nie dwa przeryją mój багаż – kontynuowałem.

– A co z tą konfrontacją? Założmy, że wszystko się uda, co wtedy? Beria pojawia się na posiedzeniu Biura Politycznego albo Rady Ministrów w otoczeniu dwudziestu ochroniarzy i chce aresztować wrogów. Jeden jego telefon i budynek zostanie otoczony przez bezpieczeńkę!

– Nie zdąży zatelefonować – odparłem pewnie. – I nie martw się o bezpieczeńkę, on nie może wtajemniczyć w swoje plany więcej niż garstkę najbardziej zaufanych ludzi. Jeśli go aresztujemy, bezpieczeniacy nie odważą się na żadne działania, po prostu przeczekają kryzys i zobaczą, kto wygra. A to my zwyciężymy.

– Na kiedy będziecie gotowi?

– Nikołaj – zwróciłem się do Poliakowa – za dwa tygodnie ściągniesz z całego kraju naszych ludzi pod pretekstem ćwiczeń. Ile mamy aktualnie grup bojowych?

– Trzydzieści siedem – odparł natychmiast Poliakow. – Każda po piętnastu chłopów.

Chrząknąłem z aprobatą: od kilku lat szykowaliśmy kadry do konfrontacji z Berią, tworząc wydziały śledcze mające zajmować się ściganiem najbardziej niebezpiecznych przestępców.

– Wystarczy aż nadto – skonstatowałem. – O ile nie popełnimy błędu. – Spojrzałem wymownie na Petrosiana.

– Dlaczego Paryż? – spytał Dato.

– Bo tam jest centrala organizacji, która może przekazać kompromat wszystkim wrogom Berii.

– Biali? – Dato wydał lekceważąco wargi. – Chyba żartujesz!

– Niezupełnie biali.

– Tak?

– To nie jest grupka nostalgicznie nastawionych starych przyków, jak

w przypadku większości tego typu organizacji. Nie chcą powrotu cara ani zmiany ustroju, rozumieją, że to niemożliwe.

– To po cholere? mieszają się w tę awanturę?

– Bo jest coś, za co oni wszyscy oddaliby życie.

– Co takiego?

– Zemsta. Jeśli oddam im te materiały, los Berii będzie przesądzony.

Dato wzdrygnął się wyraźnie, z namysłem potarł podbródek.

– Ręczysz za nich?

– Własnym życiem – odparłem bez wahania. – Pamiętaj, że jakby co, będę pierwszy w kolejce do odstrzału.

– No dobrze, jak przekazasz mi dokumenty? Założę się, że безпеka nie spuści cię z oka, przynajmniej dopóki nie znajdziesz się za granicą.

– Mam je u siebie, w chałupie. Możecie je przejąć z ulicy?

– Trzymasz je w mieszkaniu?!

– Niezupełnie. Powiedzmy, że w kamienicy. Wracając do mojego pytania: czy wasz człowiek może je przejąć od kuriera na ulicy, zaraz pod domem?

– Oczywiście. Jak chcesz to zorganizować?

– Muszę je przekazać przez kogoś, kto nie wzbudzi podejrzeń bezpieczeństwa. Na parterze mieszka taka suczka, Ira Worobiowa. Baba nasmarowała na mnie dziesiątki donosów, bezpieczniacy świetnie ją znają. Dam jej papiery i poproszę, żeby zniosła do samochodu zaparkowanego naprzeciwko. Jeżeli to zrobi, odbierzecie je od niej i zapłacicie sto dolarów. Ona nie ma u siebie telefonu, zresztą będę ją obserwował, więc tak czy owak, będzie musiała wyjść na ulicę. Jeśli ruszy w inną stronę, zorganizujecie jej mały wypadek i zabierzecie papiery, a potem zmyjecie się, zanim ktokolwiek zdąży zareagować. Tylko pamiętaj: ona nie ma prawa przeżyć!

Maksimow spojrział na mnie z przestrawieniem, ale nie zareagowałem. Tak to już jest, Boria, pomyślałem, każdy, kto pcha się w wielką politykę, musi zaakceptować cenę. Jeśli uważasz, że koszty są za wysokie, zajmij się zbieraniem znaczków...

– Możesz uznać to za załatwione – obiecał Dato. – Kiedy to zrobimy?

Spojrziałem na zegarek, dochodziła dwunasta.

– O siedemnastej. Muszę poczekać, aż ona wróci z pracy, a i ludzi będzie mniej na ulicach. Zdążysz wszystko zorganizować?

– Dam radę – zapewnił.

Wymieniliśmy uściski dłoni, być może nieco silniejsze niż zwykle, i wyszedłem z gabinetu. Każdy z nas wiedział, że jeśli coś pójdzie nie tak, spotkamy się na Łubiance.



Zapukałem energicznie prawą ręką, drugą trzymałem w kieszeni płaszcza, zaciśniętą na zawleczce granatu. Nie wziąłem ze sobą pistoletu, jeśli czekałsi czekali na mnie w mieszkaniu Iry, zabicie jednego czy dwóch nic mi nie da. Tak czy owak, nie miałem gdzie uciekać.

Zgrzytnął zamek i w progu stanęła Worobiowa. Przez moment wyglądała na wystraszoną, ale w chwilę później na jej twarzy pojawił się ostrożny uśmiech.

– Wejdźcie – zaprosiła.

Cóż było robić? Wszedłem. Nie wyjmując lewej dłoni z kieszeni.

– Herbaty?

– Nie, dziękuję. Chciałbym was poprosić o przysługę – powiedziałem szybko. – Widzicie ten samochód po drugiej stronie ulicy? Zanieście, proszę, tam ten pakiet.

– Jaki pakiet?

Sięgnąłem w zanadrze i podałem kobiecie niewielką, owiniętą w brezent płaską paczkę. Oczywiście można było zrobić kopie dokumentów, ale każdy z wrogów Ławrentija Pawłowicza musiał dostać choć kilka stron z podpisami Berii i pieczęciami MGB. Inaczej mógłby nie uwierzyć w ich autentyczność. Dlatego wolałem je zabezpieczyć tak, żeby niczym się nie pochłapały. Na przykład krwią Worobiowej.

– Ale dlaczego? Przecież możecie sami...

– Gdybym mógł, nie prosiłbym was o pomoc – wszedłem jej w słowo.

– Wiecie, gdzie pracuję, te dokumenty muszą dostać się w ręce moich ludzi tak, żeby nikt tego nie zauważył, a ja jestem śledzony. Dom obserwuje kilku bandytów i jeśli zobaczą, że coś komuś przekazuję, spalę całą akcję.

– Bandytów?

– Wam nic nie grozi, oni nie zwrócą na was uwagi.

Worobiowa zmarszczyła brwi, już myślałem, że odmówi, ale sięgnęła po buty i narzuciła na siebie palto.

– Dobrze – powiedziała jakby nigdy nic.

Podąłem jej pakiet i podszedłem do okna. Ciekawe, w którą stronę pobiegnie? Nie miałem specjalnej nadziei, że spełni moją prośbę, ale liczyło się tylko przekazanie papierów. Cóż, każdy z nas prędzej czy później dokonuje wyboru, który zaważy na jego życiu, bywa, że dosłownie. Ira Worobiowa miała go dokonać tu i teraz.

Ku mojemu zdumieniu sąsiadka, nie oglądając się na boki, podbiegła do czarnej pobiedy i podała dokumenty przez uchylone okno. Samochód natychmiast odjechał. Otarłem pot z czoła i usiadłem na krześle. Najważniejsza rzecz załatwiona. Przez jakiś czas nasłuchiwałem nerwowo, czy nie rozlegną się krzyki albo strzały, ale zza okna dobiegał tylko codzienny uliczny gwar.

Skrzypnęły drzwi i do mieszkania wróciła Worobiowa.

– Oni dali mi dolary – powiedziała niepewnie. – Proszę. – Podała mi zwitek zielonych banknotów.

– To dla was – odparłem. – My zawsze nagradzamy ludzi, którzy nam pomagają.

– Milicja? – spytała z akcentem wątpliwości.

– Niezupełnie – mruknąłem z udanym zażenowaniem. – *Wojennaja razwiedka*. Wybaczcie, że nie powiedziałem wam wszystkiego, ale sami rozumiecie: tajemnica. A dolary są wasze, zasłużyliście.

– Dostanę jakieś pokwitowanie?

– Niestety nie, ta akcja jest tajna, ale gdyby ktoś robił wam jakieś kłopoty, po prostu zgłóście się do mnie. A teraz wybaczcie, muszę iść. I jeszcze raz dziękuję.

Zostawiłem sąsiadkę wpatrzoną w plik banknotów, których wartość przekraczała jej roczne zarobki.



Podąłem gościom herbatę, żadne z nich nie chciało alkoholu. Przed Lidią Zosimowną postawiłem ciasteczka, Tima Kotuszew nie jadł słodyczy.

– Po co nas wezwaleś? – spytała Siwers.

Z trudem opanowałem gniew, zaciskając pięści, podszedłem do okna. Tak jak się spodziewałem, po ulicy promenowało kilku nieznanym. Niczym nie wyróżniali się z tłumu, a jednak otaczała ich jakaś ledwo uchwytna aura obcości. Swoi, a jednak nietutejsi.

– Zgadnijcie! – warknąłem.

Lidia Zosimowna odsunęła talerzyk z wyraźnym rozdrażnieniem, wtedy Tima powstrzymał ją ruchem dłoni.

– Mówiłem, że się domyśli – powiedział z odcieniem dumy. – Nie ma sensu niczego ukrywać. Czego chcecie, *komandir*? – zapytał.

– Kontakt z tą waszą organizacją. I proszę, nie knujcie więcej za moimi plecami! – zawołałem, widząc minę Lidii Zosimowny. – Bo wystarczy drobiazg i wszystkie wasze plany wezmą łeb. Tuż przed metą.

– Czego chcesz? – powtórzyła za chłopakiem.

– Kontakt. Na wypadek gdyby coś poszło nie tak i ci wasi konspiratorzy nie dali rady odebrać ode mnie dokumentów.

– To straszne ryzyko – zaczęła. – Ja...

– Lidio Zosimowna – ponownie powstrzymał ją Tima – dajcie mu, czego chce, bo jeszcze chwila i zrzuci nas ze schodów. Poza wszystkim innym *komandir* ma rację: wasi ludzie w Paryżu nie sięgają mu do pięt. Jeśli któryś wpadnie, zawali całą akcję.

– A jeśli on wpadnie? – rzuciła gorzko. – Ile czasu wytrzyma, zanim wyda bezpiecze mojego łącznika?

– Na pewno dłużej niż ci tam. – Nonszalanckim gestem wskazał ulicę. – Musicie mu zaufać!

Lidia Zosimowna sięgnęła po filiżankę, najwyraźniej starając się zyskać na czasie. Czekałem cierpliwie, choć krew tętniła mi w skroniach.

– No dobrze – powiedziała wreszcie. – Teatr de la Huchette, rekwizytorka Marie Lanchard.

– A gdyby jej nie było?

– To znaczy?

– Jeśli złamię nogę albo wpadnie pod samochód – wyjaśniłem, tłumiąc zniecierpliwienie. – Co wtedy? Muszę mieć zapasowy plan.

Oczekiwałem protestów, ale Siwers jedynie westchnęła z rezygnacją.

– Katedra Notre Dame, to niedaleko rue de la Huchette. Pytaj o księdza Martina. Coś jeszcze?

– Jak zamieszana jest w to *wojennaja razwiedka*?

– W żaden sposób – odpowiedział Tima. – Inaczej nie potrzebowalibyśmy tych... emigrantów.

– Wiedzą, że coś kombinujecie?

– Co za pomysł?! – zawołała z oburzeniem Lidia Zosimowna.

Popatrzyłem na nią z politowaniem, skinąłem na Timę. Lidia Zosimowna Siwers była boginią archiwów, ale nie miała wielkiego doświadczenia w pracy operacyjnej.

– Prawdopodobnie – stwierdził z wahaniem chłopak. – Choć chwilowo nas ignorują. Myślę, że to nie więcej niż życzliwa neutralność, jeśli plan nie wypali, zaczną czystkę.

No tak, jeżeli Beria wygra, *wojennaja razwiedka* będzie mogła przetrwać tylko w jeden sposób: usuwając wszystkie osoby zamieszane w spiszek przeciwko genkomowi.

– Wiecie, że bezpieka założyła w sąsiedniej kamienicy posterunek obserwacyjny? – spytał.

– Wiem.

– Na pewno nas sfotografowali.

– Owszem, ale to nawet lepiej. Beria pomyśli, że wykorzystuję swoje kontakty w GRU, żeby wykonać jego polecenie.

– Jeśli przegramy...

– To i tak wszyscy zginiemy – dokończyłem.

Chłopak spokojnie przytaknął, przynajmniej on wiedział, jakie są stawki w tej grze.

– I nie prowadzajcie się więcej z tymi obcokrajowcami – poprosiłem.

– Są zbyt widoczni. W bezpiecze pracują nie tylko tępaki.

– Mówiłem – mruknął Kotuszew.

– To było konieczne ryzyko – odpowiedziała Lidia Zosimowna. – Nie

mogłam pozwolić, żeby jakiś chuligan wepchnął mnie pod pociąg. Teraz wszystko w twoich rękach, Razumowski.

– Jak ich oceniasz, Tima? Tę całą konspirację?

– Są nieźle zorganizowani i wyszkoleni, mają niesamowite kontakty, ale rozpaczliwie brakuje im doświadczenia. Wszyscy noszą przy sobie truciznę – dodał po chwili.

Skrzywiłem się niechętnie. Każdy głupek potrafi rozdać ludziom truciznę, ale wyegzekwować jej użycie mogą tylko organizacje o najwyższym poziomie dyscypliny. Często daje to efekt przeciwny do zamierzonego, bo ludzie, którzy są przygotowani, aby odebrać sobie życie, niemal zawsze przykładają mniejszą wagę do przestrzegania zasad bezpieczeństwa. A w decydującej chwili bywa różnie, wystarczy moment zawahania i przeciwnik ma cię w rękę – co więcej, od początku wie, że jesteś kimś ważnym, skoro znalazł przy tobie kapsułkę z cyjankiem.

– Mniejsza z tym – mruknąłem. – Nie moje małpy, nie mój cyrk. Tylko od tej pory trzymajcie się ode mnie z daleka.

– Kiedy wracasz? – spytała Lidia Zosimowna.

– Jak wszystko załatwię – odparłem pośpiesznie.

Nie wiedziałem, czy całą sprawę uda się utrzymać w tajemnicy. Jeśli Beria dowie się, że kompromat dotarł do jego przeciwników, pierwsze, co zrobi, to zabije zakładników. Nie chciałem analizować uczuć, jakie żywiłem do Nataszy czy Lońki, nie mogłem sobie na to pozwolić, lecz cały czas gdzieś w mojej podświadomości czaił się lęk o bliskich mi ludzi. Bo przecież nie musiało się skończyć na Pokrowskich. Beria był jak bóg ze starożytnych mitów i umierając, mógł pociągnąć w otchłań wielu innych.

– Potrzeba ci czegoś jeszcze?

Pokręciłem przecząco głową.

– W takim razie będę się zbierać – westchnęła. – Tima?

– Dogonię was – odparł chłopak.

Starannie zamknąłem drzwi za Lidią Zosimowną i wróciłem do salonu.

– Potrzebujecie wsparcia? – spytał Kotuszew. – Bo wszystko rozstrzygnie się w Paryżu.

Pokusa, żeby mieć za plecami człowieka, który na pewno nie ucieknie, nie zdradzi, podzieli ze mną samotność w obcym, wrogim świecie, niemal mnie pokonała, ale w końcu zaprzeczyłem, siląc się na stanowczość. Jeśli Beria zorientuje się, że gram na dwa fronty, nikt i nic mnie nie uratuje. A w przypadku starcia Tima co najwyżej podaruje mi kilkanaście czy kilkadziesiąt dodatkowych sekund życia. A potem zginie, jak i ja. Nie było sensu go w to wciągać. Inna rzecz, że i tak miał niewielkie szanse na doczekanie spokojnej starości. Nie ta branża.

– Możesz pomóc mi w inny sposób – powiedziałem. – Potrzebne mi adresy z czerwonej teczki. Te niemieckie. Na jutro.

– Możecie to uznać za zrobione – obiecał.

Niemal każdy agent *wojennej rozwiadki* ma jakieś niezłatwione bądź nie do końca załatwione sprawy. Wówczas umieszcza dane żyjących figurantów w specjalnej teczce, a odpowiedni wydział śledzi na bieżąco losy takich osób. Czasem trwa to aż do ich naturalnej śmierci, czasami – z różnych względów – trzeba wykorzystać tych ludzi, a bywa, że ostatecznie zakończyć sprawę. Ja też miałem taką teczkę.

– Po czorta bierzesz w tym udział? – spytałem. – Zawsze trzymałeś się z daleka od polityki.

– Chcę coś zmienić. Na lepsze. Chociaż odrobinę.

– Ale dlaczego?

Chłopak rozłożył bezradnie ręce, na jego twarzy odbiła się niepewność.

– Nie wiem – przyznał. – Chyba czuję, że to właściwe.

– Czujesz? – podchwyciłem.

Od czasu, kiedy podałem mu w szpitalu swoją krew, Tima nie doświadczał emocji.

– Coś się zmienia – powiedział z wahaniem. – To nie są takie uczucia jak dawniej: krwiste i wyraziste. Raczej cienie, muśnięcia czegoś znanego, a jednak nowego. Trudno to opisać. – Wzruszył ramionami. – Tak jakby jakiś mechaniczny, nieludzki umysł spróbował wcielić się w człowieka czy też go naśladować. Na swój sposób.

Położyłem Kotuszewowi rękę na ramieniu, a kiedy wyszedł, długo wsłuchiwałem się w kroki na schodach.

Zaparzyłem świeżej herbaty, ale nie miałem ochoty na jedzenie, choć pora była kolacyjna. Postawiłem krzesło przy oknie i patrzyłem, jak zamiera uliczny ruch i gasną światła w pałacyku Bołkońskich. Ciekawe, czy i tam Biały Kreml ma swoją enklawę? Być może nadal ktoś czasem tańczy w salach, gdzie za czasów mojej prababki pary wirowały w rytmie walca?

Położyłem się do łóżka dopiero wtedy, gdy zimny blask księżyca w pełni zaczął konkurować z mętną poświatą ulicznych latarni. Sen nadszedł nad ranem, niepostrzeżenie, zostawił po sobie słodko-gorzki posmak podszyty niepokojem. Śniła mi się Moskwa: monumentalne, wyniosłe stalinki, złociste kopuły cerkwi i brukowane ulice Arbatu. To wszystko oglądałem z oddali, ze świadomością, że mogę tu nie wrócić.



Dopilem kawę i sięgnąłem po zapieczętowaną kopertę, odbita w laku pieczęć przedstawiała sowę. Mało kto wiedział, że to rewers ateńskiego obola z piątego wieku przed naszą erą. Ot, jeszcze jeden żart w stylu *wojennej rozwiędki*: jeśli przesyłka nie była przeznaczona dla ciebie, a otworzysz kopertę, szykuj ofiarę dla Charona, przyda ci się w drodze na tamten świat.

Na zwykłej, wydartej z zeszytu kartce – najwyraźniej Tima się spieszył – zapisano trzy adresy. Jeden wiedeński, dwa z terenów zachodnich Niemiec. Odetchnąłem, gdyby któryś z nich mieszkał w NRD, musiałbym sobie darować wszelkie próby kontaktu. Nie miałem wątpliwości, że będę śledzony przez ludzi Berii, na terenie wschodnich Niemiec doszłaby do tego jeszcze Stasi.

Umyłem naczynia i po raz ostatni zlustrowałem mieszkanie, sprawdziłem skrytki, ale w chałupie nie było niczego kompromitującego, jedynie kilka sztuk broni i kilkadziesiąt złotych imperiałów. Nic, co mogłoby zaniepokoić bezpieczeństwo.

Zakląłem, usłyszawszy dzwonek. Nikogo się dziś nie spodziewałem, wszyscy znajomi wiedzieli, że wyjeżdżam. A może to Beria przemyślała sprawę? Wyjąłem z szuflady granat i podszedłem do drzwi, spojrzełem przez wizjer. Na korytarzy stał Sun. A ten co tutaj robi? Przecież dotrzymałem słowa, zniszczyłem laboratorium. Po chwili zimny pot oblał mi czoło – a profesor Umer? W tym całym zamieszaniu zapomniałem zabić naukowca, który był w stanie odtworzyć truciznę. Szlag!

Otworzyłem drzwi i gestem zaprosiłem Chińczyka do środka, lewą rękę cały czas trzymałem w kieszeni, choć wiedziałem, że jakby co, granat mi nie pomoże. Raz widziałem Suna w akcji i nie miałem ochoty na powtórkę.

– Wybierasz się gdzieś? – spytał Chińczyk.

– I owszem – odburknąłem. – Za dwie godziny mam samolot.

Sun skinął głową, nie wyglądał ani na zaskoczonego, ani rozżłoszczonego moim wyjazdem.

– To dobrze, że zdążyłem – skostatował. – Proszę. – Położył na stole dużą złotą pigułkę.

Przełknąłem ślinę i rozluźniłem zaciśnięte na zawlecze palce. A więc to tylko druga rata zapłaty za likwidację laboratorium. Ech, nerwy już nie te...

– Mogę to popić kawą?

– Możesz popić czymkolwiek.

Przełknąłem pigułkę, tym razem miałem wrażenie, jakby przez moje mięśnie i nerwy przepuszczono prąd elektryczny, choć uczucie było bardziej niespodziewane niż nieprzyjemne.

– Dziękuję – powiedziałem. – Jest jeszcze jedna sprawa: nie zdążyłem

zabić szefa tego całego projektu. To niejaki profesor Umer, mieszka na...

– Wiem, gdzie mieszka Umer – przerwał mi Sun. – To znaczy mieszkał – poprawił pedantycznie. – Tydzień temu wpadł pod pociąg. Sekcja wykazała zawał serca, a że akurat stał na skraju peronu... – Wzruszył wymownie ramionami.

– Więc jesteście kwita?

– Tak, dotrzymałeś słowa. Nauką *qinggong* zajmiemy się, kiedy wrócisz. O ile wrócisz.

– A co to ma znaczyć?!

– Tylko tyle co powiedziałem. Mam swoje źródła informacji i sądzę, że twoje szanse wynoszą pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Tak czy owak, życzę ci powodzenia.

Zanim otrząsnąłem się z zaskoczenia, Sun pożegnał mnie lekkim, niemal nonszalanckim ukłonem i wyszedł.

Cóż, pora i na mnie. Włożyłem buty i płaszcz, złapałem za walizkę. Zamykając drzwi, myślałem o słowach Chińczyka: szanse pół na pół to jeszcze nie najgorzej, tylko skąd ta kalkulacja? Czyżbym nadal budził zainteresowanie Qingbao? Jakby mało mi było naszej безпеki. Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy...



Lotnisko Tempelhof przywitało mnie mżawką, ale się nie skarżyłem, bo powietrze w Berlinie Zachodnim miało smak wolności, choć jak mało kto wiedziałem, jak złudne jest to uczucie. Przy wyjściu wpadła na mnie ładniutka stewardessa, postarałem się zapamiętać jej twarz. Mogłem się założyć, że miała za zadanie sprawdzić, czy nie mam przy sobie dokumentów kompromitujących Berię, a mój bagaż na pewno został przeszukany już wcześniej.

Nie miałem nic przeciwko inwigilacji, wiedziałem, że безпеka nie spuści mnie z oczu. Inna sprawa, że to, co chciałem załatwić w Berlinie i Wiedniu, nie miało nic wspólnego z kwestiami, które interesowały Berię. Z trudem opanowałem rozbawienie, wyobrażając sobie meldunki, jakie będą pisali bezpieczniacy, donosząc genkomowi o moich poczynaniach. Co by się nie działo, do momentu powrotu do Rosji byłem bezpieczny. Prawdopodobnie.

– Hotel Adlon – rzuciłem taksówkarzowi.

Całą drogę przejechaliśmy w milczeniu, trafił mi się negadatliwy kierowca.

Na miejscu czekał już na mnie zarezerwowany apartament i koperta w recepcji. Uśmiechnąłem się, kiedy zobaczyłem kilka zdań skreślonych

znajomym pismem. A jednak przyjechali. Miałem nadzieję, że sprowadziła ich tu nie tylko ciekawość – cały mój plan opierał się na ludziach, których kiedyś poznałem w Breslau.

Zamówiłem obiad do pokoju i zjadłem posiłek do ostatniego kęsa. Jak zwykle przed akcją zadziały odruchy: jedz, bo nie wiadomo, kiedy trafi ci się kolejny posiłek. Jedynie butelkę trzydziestoletniego rieslinga potraktowałem z pewną ostrożnością i poprzestałem na dwóch kieliszkach, choć wino mi smakowało. To nie był czas na picie.

Kiedy zszedłem do baru, nie zdziwiłem się, widząc, że zajęli miejsce w rogu sali, tak żeby móc kontrolować pomieszczenie. Widać nie tylko u mnie zadziały odruchy.

Przywitałem się z nimi jak z dawno niewidzianymi przyjaciółmi. Becker podał mi rękę bez wahania, Hartmann z niemal niedostrzegalnym opóźnieniem.

– Jak życie? – zagailem wesoło.

– Tak sobie – odparł ostrożnie Becker. – Nie wezwał nas pan, żeby zwerbować dla bolszewików, prawda?

– Prawda – przyznałem. – Chcę was zwerbować w zupełnie innym celu.

– Piwa? – zaproponował Hartmann.

– Chętnie.

Kelnerka podała pilznera, przez chwilę popijałem alkohol, taksując wzrokiem towarzyszy. Żaden z nich nie zmienił się specjalnie od czasu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, nadal wyglądali na sprawnych fizycznie i kompetentnych, choć tanie ubrania sugerowały, że im się nie przelewa.

– Słuchamy – ponaglił mnie Becker.

– Kojarzysz panią von Bredow? – spytałem.

– A jakże! – mruknął. – Dalej pan z nią kombinuje?

– Niezupełnie, lecz nie w tym rzecz. Ona ma kłopoty, poważne kłopoty. Osiągnęła spore sukcesy biznesowe na rynku szlachetnych kamieni, ale konkurencja, a konkretnie firma Jadeite Empire chce ją wykończyć, i to dosłownie. Potrzebuje wykwalifikowanej ochrony, więc pomyślałem o was.

Oczy Hartmanna rozblęły zainteresowaniem, ale Becker powstrzymał olbrzymą jednym ruchem dłoni.

– Zanim cokolwiek zdecydujemy, musimy wiedzieć dwie rzeczy – zaznaczył stanowczo.

– Tak?

– Pierwsza: na ile to niebezpieczne?

– Umiarkowanie – odparłem po zastanowieniu. – To brutalni gracze, ale nie zawodowcy. Grozili jej śmiercią dzieci, jednak do tej pory nie zrealizowali swoich pogroźek. A cała ta afery trwa już parę miesięcy.

– Druga sprawa: musimy mieć pewność, że to nie polityka. Wiemy, kim pan jest, więc pańskie intencje pozostają pod znakiem zapytania. Nie chcemy, żeby wciągnął nas pan w jakieś szpiegowskie gównno.

– Macie moje słowo.

– Proszę wybaczyć, ale to za mało. Nie jest pan Świętym Mikołajem, a od pani von Bredow dawno dostał pan, czego chciał. Skąd ta chęć pomocy? Mam uwierzyć, że ratuje pan damy w potrzebie?

Pociągnąłem łyk piwa. Musiałem podjąć decyzję, choć wybór nie był specjalnie skomplikowany, bo jeśli chciałem zapewnić sobie pomoc Fallschirmjägers, musiałem zdobyć się na szczerłość.

– Po upadku Breslau Inga von Bredow wyjechała do Austrii – powiedziałem z westchnieniem. – Sześć miesięcy później urodziła córkę. Nazwała ją Aleksandra.

Becker pokiwał głową, na jego twarzy nie zobaczyłem zdziwienia.

– Podejrzywałem coś takiego – mruknął. – Co by o panu nie powiedzieć, nie zostawia pan swoich w biedzie.

– Jakie warunki pan proponuje? – spytał Hartmann.

– Chodzi ci o finanse?

Olbrzym potwierdził gestem.

– Becker będzie dowodził, ty zostaniesz jego zastępcą. Dla dowódcy żołd generała armii amerykańskiej, dla ciebie pułkownika. Dla żołnierzy żołd majora. Potrzebuję dziesięciu, może piętnastu osób. Jedna uwaga: tamci już raz przekupili ochronę, więc każdy, kto zdradzi... No, sami rozumiecie.

– Bez obaw. Wezmę tylko naszych chłopaków z Breslau – zapewnił Becker. – Ci nie zawiodą.

– Ile czasu potrzeba, żebyś ich zebrał? Mam i inne sprawy, więc chciałbym załatwić to jak najszybciej.

– Sześciu jest tu, na miejscu, Czekają na moją decyzję, reszta dojedzie jutro. Wiadomość i pieniądze dostaliśmy dopiero wczoraj około południa, niektórzy nie zdążyli dotrzeć do Berlina.

Odetchnąłem z ulgą, cóż, jedna sprawa z głowy. Wyglądało, że żołnierze Kampfgruppe Roth nie byli w ciemę bici i większość, o ile nie wszyscy, osiedlili się w zachodniej części Niemiec.

– Co z bronią? – spytał Hartmann.

– Pistolety i pozwolenie na broń dostaniecie na miejscu, Inga załatwi to bez problemu. Jednak nie ma sensu czekać w defensywie, uważam, że panom z Jadeite Empire przydałaby się lekcja dobrych manier, więc potrzebne będą i lewe spluwy. Takie, których nie można by powiązać z wami. Oczywiście ta akcja nie będzie do końca legalna.

Na twarzy Beckera pojawił się wilczy uśmiech.

– Zupełnie mi to nie przeszkadza – oznajmił. – Hartmann? – Trącił łokciem towarzysza. – Co z lewą bronią?

– Jeśli będzie forsa, będzie i broń – flegmatycznie odpowiedział olbrzym. – Zajmowałem się trochę przemytem i mam kilku znajomych w Austrii – wyjaśnił na mój użytek. – Jeden z nich był kwatermistrzem w dywizji górskiej. Zanim jego jednostka poddała się Amerykanom, schował trochę zabawek. Może nam załatwić MP-40 i StG-44, wreszcie walthery.

– Pieniądze to nie kłopot – odparłem. – Ile ci potrzeba?

– W jakiej walucie?

– W jakiej chcesz. – Wzruszyłem ramionami. – Ale najlepiej chyba w dolarach.

– Niech będzie. Na początek wystarczą trzy tysiące.

– Załatwione, jeszcze dziś podejmę je z banku. Gdzie jest reszta naszych?

– W okolicznych hotelach. Szmal, który pan przesłał, wystarczył na podróż i zakwaterowanie.

Mruknałem potakująco; co prawda zaproszenie i pieniądze przesłał na moją prośbę Dato, ale nie wątpiłem, że potrąci sobie koszty z mojego rachunku. Cóż, biznes to biznes.

– W takim razie czekamy na spóźnialskich do jutra, potem lecimy do Wiednia. Becker, zajmiesz się rezerwacją biletów, Hartmann bronią.

Odpowiedziało mi podwójne „tak jest” i przez chwilę poczułem się jak osiem lat temu, w Breslau.



Popatrzyłem na siedzących za stołem mężczyzn, wszyscy wyglądali na sprawnych fizycznie, mimo że niektórzy dobiegali czterdziestki. Teraz pałaszowali z apetytem golonkę po bawarsku i popijali piwem, na pozór zainteresowani jedynie biesiadą. Głośni, choć nie hałaśliwi, rozluźnieni, a jednak czujni. *Grüne Teufel*, Zielone Diabły. Kompetentni, karni i doświadczeni, weterani wielu bitew, przegrani żołnierze Trzeciej Rzeszy. Czy zechcą mi służyć? Kiedyś byłem ich dowódcą, jednak rozstaliśmy się w dość szczególnych okolicznościach...

Postukałem widelcem w solidny szklany kufel i przy stole zapadła cisza. Kilkanaście par oczu skierowało się w moją stronę. W żadnym nie wyczytałem otwartej wrogości, ale moi współbiesiadnicy już dawno nauczyli się ukrywać uczucia.

– Chcę, żebyście pracowali dla Ingi von Bredow – powiedziałem bez wstępu. – Stronę finansową przedstawił wam Hartmann, więc nie będę się powtarzał. Ryzyko oceniam jako umiarkowane, niemniej jednak, jeśli ktoś zginie w czasie akcji, jego rodzina otrzyma odszkodowanie

w wysokości rocznego żołdu. Pytania?

– Kto będzie dowodził? – odezwał się wysoki, szczupły mężczyzna.

Nie pamiętałem jego nazwiska; w Breslau, czy raczej Wrocławiu, ze względu na grube, kanciaste rysy twarzy, nosił przezwisko Boris, od Borisa Karloffa.

– Dopóki nie rozprawimy się z Jadeite Empire, ja. Później Becker, a on z kolei będzie wykonywał polecenia Ingi von Bredow.

– Nie zostanie pan tutaj?

Przeplukałem usta piwem, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Wyczuwałem, że rozmowa jest rodzajem testu, i jeśli go nie zdam, zostanie tylko kilku najbardziej zainteresowanych pieniędzmi, a reszta odejdzie. Tymczasem potrzebowałem ich wszystkich.

– Nie mogę. Pozwolono mi na wyjazd, ale moi przyjaciele są zakładnikami. Jeśli nie wrócę, zostaną aresztowani albo gorzej. Niektórzy już siedzą.

– Podobno jest pan czerwonym komisarzem?

– Pracuję w milicji – przyznałem obojętnie.

– I kto może panu zagrozić? – rzucił inny z akcentem nieufności w głosie.

– Naraziłem się temu i owemu.

– A konkretnie?

– Mówi ci coś nazwisko Beria?

Mina mojego rozmówcy wskazywała, że mówi.

– Widzę, że wrogów dobiera pan sobie z rozmachem. – Becker pokręcił głową. – Spodziewa się pan wyjść z tego cało?

– Postaram się. Poinstruowałem swój bank, więc cokolwiek by się stało, będziecie otrzymywać żołd przez najbliższy rok, później zadecyduje o tym pani von Bredow.

– Mnie to odpowiada – wtrącił Hartmann. – A wam?

– Nam także – odpowiedział Boris za milczącą zgodą pozostałych.

– Co z biletami? – spytałem.

– Załatwione – zameldował Becker. – Podzieliłem nas na trzy grupy. Żeby nie zwracać uwagi, każda poleci osobnym rejssem, ale tak czy owak, wszystkie jutro znajdą się w Wiedniu. Pierwsza ma samolot za trzy godziny.

– W porządku. Gdzie mnie umieścicie?

– W pierwszej grupie razem ze mną. Lecą z nami Kohler, Brehme, Hentschel i Grabosch. Drugą grupą dowodzi Hartmann, trzecią Boris.

– Może być. Pierwsza grupa przygotowuje się do wyjazdu, spotkamy się na lotnisku. Od tej pory ostrożnie z alkoholem. Jeśli ktoś się upije... – Wymownie zawiesiłem głos.

Odpowiedziało mi karne *jawohl!* Została jeszcze jedna sprawa do załatwienia przed podróżą. Musiałem porozmawiać z Horstem, a na

razie wolałem nie wtajemniczać w swoje plany Ingi. Frau von Bredow bywała nieprzewidywalna.

Wróciłem do swojego pokoju i połączyłem się z Wiedniem w nadziei, że Horst będzie na miejscu. W ostatnim liście podał mi numer swojego telefonu.

Chłopak zgłosił się niemal od razu, tak jakby czekał, aż do niego zadzwonię.

– Jeszcze dziś przylecę do Wiednia – poinformowałem go po krótkim powitaniu. – Nie mów nic matce, sam z nią porozmawiam. Czy w waszej rezydencji znajdzie się miejsce dla kilkunastu osób?

– Miejsce? – powtórzył wyraźnie oszołomiony Horst. – Pewnie tak, pokoiów wystarczy, choć nie wiem, jak z wyposażeniem. Nie jestem też pewien, czy ci ludzie będą mogli przenocować w odpowiednio komfortowych warunkach.

– Nie martw się o komfort, oni spali i na gołej ziemi.

– Kogo pan ma na myśli?

– Twoich kumpli z Breslau.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, najwyraźniej Horst musiał przetrwać nowinę.

– To dobra wiadomość – powiedział wreszcie z wyraźną ulgą w głosie. – Bo ostatnio mieliśmy próbę włamania i dwóch naszych ochroniarzy zostało...

– Opowiesz mi później – przerwałem stanowczo. – Tymczasem przygotuj pozwolenia na broń. Dla szesnastu osób. Dasz radę na jutro?

– Tak, jestem w przyjacielskich stosunkach z miejscowym komisarzem. Nie wiem, czy na jutro, ale na pewno na pojutrze.

– Znakomicie!

– Mama zauważy, że coś się szykuje, bo służba będzie musiała przygotować pokoje.

– Graj na czas, jestem pewien, że coś wymyślisz.

– Ale...

– Dasz sobie radę – uciałem ze zniecierpliwieniem. – Muszę jechać na lotnisko, do zobaczenia! – zakończyłem rozmowę.

Nie miałem ochoty myśleć o Indze, a tym bardziej Klaudii czy Saszce. To nie był czas na sentymenty, najpierw musiałem pouczyć konkurencję von Bredowów, że nie opłaca się grozić dzieciom. Przynajmniej dopóki nie zabije się ich ojca. Cóż, zapewne szefowie Jadeite Empire uważali się za prawdziwych rekinów na rynku kamieni szlachetnych, jednak wątpiłem, czy kiedykolwiek w życiu zetknęli się osobiście z przemocą fizyczną. Tacy jak oni potrafią się urządzić nawet w czasie wojny. Miałem zamiar wyedukować ich w tej kwestii...

Rozdział ósmy



Posiadłość wyglądała imponująco, choć bez charakterystycznej dla nuworyszy ostentacji – i w sumie nic dziwnego, ponieważ przodkowie Ingi von Bredow należeli do arystokracji na długo przedtem, zanim zaczęto wydawać Almanach Gotajski. Masywna brama z kutego żelaza zabezpieczała wjazd do pałacu; widoczny za ogrodzeniem ligustrowy żywopłot zasłaniał widok na parter i pierwsze piętro rezydencji, zapewniając mieszkańcom minimum intymności. Odpowiednio ukształtowane ozdobne krzewy i posadzone w strategicznych miejscach drzewa tworzyły przyjazny dla spacerowiczów labirynt. Po pałacowym parku kłusowała szczupła dziewczuszka w stroju do jazdy konnej koloru zgaszonej zieleni.

– Udało mi się ich unikać całe popołudnie, tak że nie wiedzą o pańskim przyjeździe – powiedział Horst. – Teraz musi pan sam sobie radzić, ja zajmę się zakwaterowaniem gości.

– Gdzie jest twoja matka?

– Pewnie na drugim piętrze, w pokoju Aleksandry. Ksandra strasznie marudzi, że mama nie pozwala jej jeździć konno, więc trzeba się nią zajmować, kiedy Klaudia bierze lekcje pod kierunkiem naszego masztalerza. Oczywiście ta mała specjalnie kręci się pod oknami Diabełka.

Uśmiechnąłem się mimo woli, słysząc, jak Horst wyraża się o siostrach. Ot, rozkosze posiadania rodzeństwa...

– Dlaczego ją tak nazywasz? – spytałem.

– Chodzi panu o Diabełka? Bo ta mała paskuda niczego się nie boi. Rok temu wlaźła do boksu na wpół dzikiego ogiera. Gdyby stajenny w porę jej nie wyciągnął, mogłoby ją to drogo kosztować, bo zwierzak wpadł w panikę i połamał kilka desek, kopiając na oślep.

– No dobrze, rozłokuj ludzi, a ja zajmę się paniami von Bredow.

– Powodzenia! Będzie panu potrzebne...

Idąc w kierunku parku, odruchowo trzymałem się zarośli i drzew, tak że nie zwróciłem na siebie uwagi Klaudii. Dziewczynka ćwiczyła pilnie pod kierunkiem szpakowatego mężczyzny z palcatem w dłoni. Kiedy

znalazłem się tuż obok, trener nerwowo obejrzał się w stronę pałacu i skinął dłonią.

– Teraz! – powiedział. – Tak jak panienkę uczyłem.

Zanim zdążyłem zareagować, Klaudia poderwała konia do galopu i przeskoczyła spory klomb.

– Jeszcze raz! – zawołała. – Tylko jeden raz!

– Nie sędzę, panienko, żeby to był dobry pomysł – odparł dyplomatycznie mężczyzna.

Klaudia von Bredow wydeła buntowniczo wargi i ścisnęła boki konia łydkami, szykując się do kolejnego skoku. Błyskawicznie złapałem cugle i osadziłem zwierzę na miejscu.

– Wystarczy! – rzuciłem stanowczo.

Mężczyzna spojrział na mnie z przestachem i uniósł rękę do ciosu.

– Uciekaj, panienko! – krzyknął.

Bez trudu uniknąłem uderzenia i kopnięciem pod kolano posłałem masztalerza na murawę.

– Uspokójcie się wszyscy! – burknąłem. – A ty, Klaudia, złaż z konia!

Zanim dokończyłem zdanie, dziewczyna z piskiem sfrunęła w moje ramiona.

– Aleks! – wymamrotała przez łzy. – Wróciłeś!

– Panienko?

– Odprowadź Barbarosę do stajni – poleciała Klaudia.

– Może zawołam kogoś z ochrony? – zaproponował masztalerz niepewnie.

– Nie trzeba, to przyjaciel rodziny, hrabia Razumowsky.

– Idziemy do domu – uspokoiłem go, biorąc Klaudię za rękę.

– Przepraszam pana hrabiego, nie wiedziałem, że...

– Wszystko w porządku – wszedłem mu w słowo. – Biorąc pod uwagę sytuację, zachowałeś się bardzo odważnie, wspomnę o tym pani von Bredow.

Oczy mężczyzny rozbłysły zadowoleniem i masztalerz ustąpił nam z drogi.

– Wiesz, że oszukiwałam z tymi czekoladkami? – powiedziała cichutko Klaudia. – Kiedy minęły dwa lata od naszego ostatniego spotkania, zjadałam jedną co drugi dzień. Mama mówiła, że mogą być już niedobre, ale i tak je jadłam.

Odchrząknąłem niepewnie, bo coś ścisnęło mnie w gardle. Żegnając się, podarowałem dziewczynce ogromne pudło czekoladek. Klaudia prosiła mnie, żebym wrócił, zanim zje ostatnią pralinkę, ale nie mogłem jej tego obiecać.

– Pomieszkaż trochę z nami?

– Kilka, może kilkanaście dni.

– Przyjechałeś do Ksandry?

- I do ciebie.
- Naprawdę?
- Naprawdę – zapewniłem.

Klaudia rozpromieniła się, potem wspięła się na palce i pocałowała mnie w policzek.

- Diabełek pewnie cię nie pamięta, ale mama się ucieszy – zauważyła.
- Zobaczymy. Dobrze, jeśli mnie nie wygoni.
- Nie wygoni. Nigdy nie zdejmuje pierścionka, który dostała od ciebie, nawet do spania, wiesz?

Weszliśmy na schody, przesunąłem dłonią po gładkiej mahoniowej poręczy, zapatrzyłem się w ozdobiony plafonami sufit, ale Klaudia pociągnęła mnie niecierpliwie za rękę.

- No chodź! – ponagliła.

Najpierw usłyszałem brzęk bitego szkła, uderzenie serca później zobaczyłem Inge. Najwyraźniej mój widok tak ją zaskoczył, że wypuściła z dłoni szklankę. Idąca obok Ingi dziewczynka postąpiła krok naprzód, zasłaniając matkę. Gniewny wyraz twarzy i zaciśnięte piąstki nie pozostawiały wątpliwości co do jej intencji.

- Przestań, głupia! – zawołała Klaudia. – To Aleks!
- Nie znam go! – odpowiedziało chmurnie dziecko, nie odstępując nawet na krok.

Przykucnąłem tak, że moja głowa znalazła się na wysokości twarzy Aleksandry.

- To twój tata – kontynuowała Klaudia.
- Tata? – spytała Saszka, odwracając się do Ingi.
- Tak, to twój ojciec – potwierdziła ochrypłym głosem pani von Bredow.
- Mam go pocałować? – Dziewczynka zmarszczyła nos.
- Wypadałoby – powiedziałem.

Drobne rączki otoczyły moją szyję, poczułem na policzku muśnięcie dziecięcych ust. Pocałunek nie był zbyt entuzjastyczny.

- Kiedy przyjechałeś? Skąd...? Dlaczego Horst nic mi nie powiedział? – wydyszała ciężko Inga.

Mimo że nie straciła dawnej urody, jej twarz nosiła piętno znużenia, jak u ludzi, którzy musieli zachować czujność nawet podczas snu. Być może rzeczywiście tak było. Nieoczekiwanie zalała mnie fala wściekłości i jeszcze raz obiecałem sobie, że udzielę lekcji szefom Jadeite Empire, a jeśli będzie trzeba, rozwiążę ten problem w sposób ostateczny.

- Z Berlina. Zabroniłem mu – odparłem lakonicznie.
- Inga zacisnęła wargi, wtedy pokręciłem głową, wskazując dyskretnym gestem dziewczynki.
- Idźcie do siebie – poleciła. – A ja zajmę się Alekssem.
- Zjemy razem kolację? – ożywiła się Klaudia.

– Zjemy – obiecała ze zmęczonym uśmiechem Inga.

Zanim dokończyła, dziewczynki rzuciły się do biegu, piszcząc i przepychając wzajemnie.

– Porozmawiamy? Czy wolisz najpierw odpocząć?

– Porozmawiamy – westchnąłem.

Inga poprowadziła mnie korytarzem do niewielkiego, przytulnie urządzonego saloniku. Dopiero po chwili zorientowałem się, że jesteśmy w apartamentach pani von Bredow. Podeszedłem i przytuliłem ją bez słowa, a kiedy zaczęła płakać, wziąłem na ręce i przez kilka minut kołysałem jak dziecko.

– Wszystko będzie dobrze – obiecałem.

– Horst napisał ci...

– Napisał. Nie martw się, jesteś bezpieczna. Wszyscy jesteście bezpieczni.

Kiedy położyłem Ingę na sofie, natychmiast zamknęła oczy, nawet kiedy zasnęła, nie wypuściła z uścisku mojej dłoni. Siedziałem przy niej do kolacji.



Klaudia uniosła kieliszek i upiła łyk oranżady, po czym trąciła się z siostrą. Dziewczynki zachichotały – po raz kolejny! – po czym zaczęły mówić po angielsku. Zauważyłem, że nawet Aleksandra całkiem nieźle opanowała ten język.

Inga von Bredow z uśmiechem wysłuchiwała popisów córek, po czym wymownym gestem wskazała talerze: na kolację podano rybę, ale obie dziewczynki ograniczyły się do zamaskowania jej warzywami.

– Mamo... – Klaudia wygięła usta w podkówkę.

Ksandra nie próbowała czarować, siedziała sztywno, wpatrując się ponuro w swoją porcję.

Inga wywróciła oczyma i przesłała mi proszące spojrzenie.

– Pokarmię was – zaproponowałem.

Wnioskując po minach najmłodszych współbiedniczek, moja propozycja nie spotkała się z entuzjazmem.

– Grzeczne dziewczynki dostaną nieco wina – powiedziałem. – Będziecie mogły chwalić się koleżankom, że piłyście alkohol jak dorosłe kobiety.

Tym razem to Inga zmarszczyła brwi, za to wyraźnie zainteresowałem dziewczuski.

– To będzie prawdziwe wino? – upewniła się Klaudia.

– Z mojego kieliszka – zapewniłem.

– I jeszcze bajka. – Ksandra podbiła cenę. – Na dobranoc.

– No dobrze. To co? Zaczynamy?

– Zaczynamy!

Operując dwoma widelcami naraz (nic trudnego, o ile trenowało się walkę na noże), karmiłem jednocześnie obie dziewczynki. W kilka minut później talerze pańienek von Bredow zostały opróżnione.

– Teraz wino! – zażądała Klaudia.

Aleksandra wpatrywała się we mnie, jakby miała poważne wątpliwości, czy dotrzymam słowa.

Bez słowa nalałem każdej z dziewczynek porcję wina do oranżady, starając się, żeby widać było każdą spadającą kroplę. Inga rozchmurzyła się, widząc, że używam łyżeczki do kawy.

– Trącisz się z nami kieliszkiem? – spytała Ksandra.

– I z mamusią? – dodała natychmiast Klaudia.

– Oczywiście.

Z powagą uniosłem szkło, dziewczuszki podeszły do rzeczy z entuzjazmem, na szczęście kryształ wytrzymał.

– Teraz bajka! – przypomniała Aleksandra.

– Zaniesiesz mnie do łóżeczka? – poprosiła Klaudia.

– Ty już jesteś duża! – zaprotestowała Ksandra. – Nosi się małe dzieci!

– Zanioseł was obie – zdusiłem kłótnię w zarodku.

Wstałem od stołu i ugiąłem nogi.

– Wskakujcie! – poleciłem.

Nie musiałem dwa razy powtarzać, pańienki von Bredow ochoczo rzuciły mi się na szyję.

– Gdzie są wasze pokoje? – spytałem.

– Śpimy w jednym – poinformowała mnie Ksandra. – Trzeba wyjść na korytarz, a potem w lewo.

Kolejne pół godziny spędziłem, opowiadając bajki Kryłowa. Na szczęście nie musiałem troszczyć się o wieczorną toaletę dziewczuszek, kiedy tylko skończyłem swój występ, zajęła się tym pokojówka.

Na korytarzu czekała na mnie Inga.

– Podśluchiwałam – wyznała, kiedy zobaczyła moją zdziwioną minę.

– Ksandra jest nieco kapryśna i bałam się, czy dasz sobie radę.

– I jak? – rzuciłem z ironią.

Zamiast odpowiedzieć, pani von Bredow szturchnęła mnie gniewnie.

– Musimy porozmawiać – stwierdziła zdecydowanie, zmieniając temat. – Chcę wiedzieć, co zamierzasz zrobić z tym wszystkim. – Poparła słowa szerokim gestem.

– Nic specjalnego – odparłem obojętnie. – Nie musisz się tym martwić.

– Aleks!

– Naprawdę sądzisz, że będę omawiał z tobą plany operacyjne? – spytałem ubawiony. – Daj spokój! Zresztą pewnie nawet nie chciałabyś

ich znać.

– A ci ludzie, którzy z tobą przyjechali? Czy można im ufać? Podobno służba przygotowała kilka pokoi.

– Nie martw się, znasz ich wszystkich, przynajmniej z widzenia. To spadochroniarze z Breslau.

– Naprawdę uważasz, że uda ci się przekonać ludzi z Jadeite Empire, żeby zostawili nas w spokoju? To bandyci!

– Nie – zaprzeczyłem. – To tylko buchalterzy z ambicjami.

– Kilka dni temu nasłali na nas swoich najemników, na szczęście ochrona ich zauważyła. Wywiązała się strzelanina, dwóch naszych zostało rannych. Policja nic nie robi! Powiedzieli mi, że to włóczędzy szukający łatwego łupu! Z bronią!

– Zapewne tamci mają kogoś w komisariacie – przyznałem. – Tylko że teraz nie ma to żadnego znaczenia.

– Jak to...

Położyłem Indze palec na ustach. Umilkła.

– Idź spać – powiedziałem. – Jesteś bezpieczna, dopilnuję tego.

– A ty?

– Sprawdzę warty i pogadam z ludźmi.

– Zajdziesz do mnie?

– Jeśli chcesz.

– Chcę.

– À propos: gdzie twój szacowny małżonek?

– Horst ci nie pisał? Rozwiodłam się dwa lata temu.

– Z powodu?

– Mogłam tolerować jego... upodobania, ale nie uzależnienie od hazardu i kradzież majątku firmy.

Patrzyłem za nią, jak odchodziła, szła szybkim krokiem, wyprostowana, lecz w jej ruchach widać było jakieś nieprzystające do wieku znużenie, a może niepewność? Podejrzywałem, że nie zaprasza mnie do sypialni w celach erotycznych.



Beckera wraz z resztą ekipy znalazłem w pomieszczeniu przylegającym do kuchni. Wnioskując po rozmiarach stołu, za którym zasiedli, to tutaj właśnie biesiadowała służba. Potężnej postury kucharka i dwie pokojówki uwijały się wokół gości, donosząc kolejne potrawy i piwo. Usiadłem na wolnym miejscu, sięgnąłem po butelkę, któryś ze spadochroniarzy zerwał kapsel, używając bojowego noża. Podziękowałem gestem, pociągnąłem spory łyk. Dopiero teraz

zauważyłem Horsta, chłopak siedział między Borisem i Hartmannem, zajadając wraz z innymi golonkę z kapustą. Poprosiłem cicho o porcję, kolacja jedynie zaostrzyła mój apetyt.

– Horst, co z bronią? – zapytałem po chwili.

– Rozdałem wszystkim, ale legalna będzie dopiero jutro – odparł natychmiast chłopak.

– Co za spluwy?

Becker bez słowa podsunął mi pistolet w podramiennej kaburze i dwa dodatkowe magazynki.

Odruchowo sprawdziłem broń: dziewięcionabojowy francuski MAC z bezpiecznikiem skrzydełkowym. Może być. Zapiąłem uprząż i rozmieściłem po kieszeniach zapasowe magazynki.

– Co robimy? – rzucił Becker. – Na teraz jest nas dziewięciu, ostatnia grupa przyleci jutro o jedenastej. Moglibyśmy...

– Nie dziś – wszedłem mu w słowo. – Wzmocnisz warty, tak żeby było to widać. Jeśli coś planują, prawdopodobnie przełożą to na później. Jutro z samego rana weźmiesz dwóch ludzi i zrobicie rekonesans, do południa chcę mieć szkic budynku wraz z planem podejścia, martwymi strefami i tak dalej. Wiesz, co robić.

Becker przytaknął, nie przerywając jedzenia.

– Hartmann, ty zajmiesz się transportem ostatniej ekipy, żeby nie zgubili się w mieście. Weźmiesz ze sobą broń i rozdasz im zaraz po wyjściu z lotniska.

– *Jawohl!*

– Jest pan pewien, że to zadanie nie przekracza możliwości intelektualnych Hartmanna? – spytał kpiąco Boris.

Spadochroniarze wybuchnęli śmiechem, olbrzym pokazał im środkowy palec.

– Mam nadzieję – odparłem z powagą.

Skończyłem posiłek, dyskretnie obserwując spadochroniarzy. Było nie było, ostatni raz widzieliśmy się niemal dziesięć lat temu, jednak nie znalazłem powodu do niepokoju: wszyscy raczyli się alkoholem oszczędnie, a Becker i Hartmann w pełni panowali nad sytuacją. No i dobrze, ostatnie, czego mi potrzeba, to problemy z dyscypliną.

Skinąłem na Horsta i wyszliśmy skontrolować warty, chłopak musiał przedstawić mnie ochroniarzom.

– Kim są ci ludzie? – zapytałem.

– Kilku byłych żołnierzy, dwóch było w Legii, paru w policji – odparł, wzruszając ramionami. – Potrafią strzelać i nie uciekają przy pierwszej okazji, jak poprzednia ekipa. Mam ich zwolnić?

– Nie. Dlaczego? Przydadzą się do pilnowania rezydencji.

– A nasi z Breslau?

– Musisz stworzyć profesjonalną służbę ochrony. Jeśli wasza firma

będzie się rozrastać, prędzej czy później pojawią się kłopoty, którym nie podołają zwykli ochroniarze. Tyle że choć Becker ma głowę na karku, nie nadaje się na dowódcę. To pięść, a nie mózg. A wy potrzebujecie stratega.

– Może pan...

– Muszę wrócić do Rosji – przerwałem Horstowi w pół słowa. – Zresztą moja obecność byłaby dla was dodatkowym zagrożeniem, to nie ma sensu.

– To co pan proponuje?

– Pamiętasz tego komisarza z Breslau? Nazywał się Witte.

Horst przytaknął, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

– Odszukaj go – poleciłem. – Być może on mógłby zająć się planowaniem i dochodzeniami.

– Dochodzeniami?

– Potrzebne wam informacje – stwierdziłem krótko. – Konkurenci, sytuacja na rynku, dostawcy, potencjalne zagrożenia. Witte był dobry w te klocki.

Podeszliśmy do bramy, od wewnątrz nie wyglądała już tak imponująco.

– To trzeba zmienić – powiedziałem.

– Co takiego?

– Zabezpieczyć bramę przed staranowaniem. Teraz mogłaby to zrobić każda większa ciężarówka.

– Powie mi pan jak?

– Zostawię ci plany.

– Będę panu jeszcze potrzebny?

– A co? Wybierasz się gdzieś?

– Towarzysko. Do klubu.

– Zapomnij! Nie dziś. Najpierw musimy zneutralizować Jadeite Empire. Gdyby cię porwali, wymusiliby na Indze wszystko, co by chcieli. Dziwię się, że jeszcze na to nie wpadli.

– Byłem ostrożny! – zapewnił chłopak.

– Jasne! À propos: jak ma na imię ta twoja panienska?

– Skąd pan wie? Nawet mama...

– To oczywiste – westchnąłem. – A co mógłbyś robić w tym klubie? Grać w karty, a może jeść kolację z partnerami biznesowymi? – Roześmiałem się szczerze. – Ładna chociaż?

– Ładna – odburknął Horst.

– W ciągu tygodnia powinniśmy się uwinąć, parę dni w celibacie cię nie zabije.

– Tydzień?!

– Może mniej. Jak kocha, to poczeka, a jeśli nie, znajdziesz sobie inną. Tylko pamiętaj: nie mam czasu cię pilnować, jeżeli wymkniesz się do

miasta, narazisz matkę i siostry. Bo założę się, że tamci obserwują rezydencję i wiedzą już, że nadciągnęła kawaleria.

– Wszyscy są w cywilnych ciuchach!

– Owszem, ale wątpię, żeby ktokolwiek wziął Fallschirmjägers za mormońskich misjonarzy. Nie te bużki – odparowałem sucho. – Więc uważaj, nie jesteś już dzieckiem.

Odwróciłem się i odszedłem w ciemność. Dochodziła północ, najwyższy czas odwiedzić panią von Bredow.



Inga oczekiwała mnie w sypialni, ubrana w lekki, acz zakrywający wdzięki szlafroczek. Siedziała w łóżku oparta o poduszki, z przeciwnej strony masywnego mahoniowego łóża przygotowano podobne siedzisko. Zrzuciłem marynarkę i buty, z ulgą odpiąłem podramienną kaburę.

– Można się tu wykąpać? – spytałem.

– Drzwi na lewo – odparła jakby nigdy nic.

Przeszedłem do łazienki, rozebrałem się i wszedłem pod prysznic. Podstawiłem barki pod strumienie gorącej wody, czując, jak stopniowo opuszcza mnie napięcie. W szafce naprzeciwko lustro znalazłem kilka grubych, puchatych ręczników, wytarłem się do sucha i owinąłem w pasie jednym z nich. Kiedy wszedłem do sypialni, Inga bez słowa rzuciła mi szlafrok. Męski szlafrok. Zapewne własność byłego męża. Ubrałem się i usiadłem na przyszykowanych poduchach, dotknąłem stopą nogi Ingi. Pani von Bredow przyjęła mój gest z wyraźnym zadowoleniem, ale nic ponadto. Znaczy intymność tak, seks niekoniecznie... Cóż, dobre i to.

– Horst wszystko mi opowiedział – rzuciła z napięciem w głosie. – Pomożesz nam?

Przymknąłem oczy i wyciągnąłem się wygodnie na łóżku.

– A jak myślisz, po co tu jestem? – odpowiedziałem pytaniem. – Oczywiście, że pomogę. Nie sądziłaś chyba, że was zostawię z tym całym bałaganem?

– To straszni ludzie – odparła, przygryzając wargi.

– Nieprzyjemni – przytaknąłem.

– Nieprzyjemni?! Oni chcieli...

Powstrzymałem ją znużonym gestem.

– Chcieli – przyznałem. – Ale niczego nie zrobili, nie ma sensu się tym denerwować.

– Jest coś, czego Horst nie wie – powiedziała. – Gdyby chodziło tylko o tutejszą filię Jadeite Empire, zaryzykowałabym konfrontację.

Znalazłabym najemników i...

– A konkretnie? – przerwałem zaniepokojony zduszonym, chrapliwym głosem Ingi.

Cokolwiek by o niej powiedzieć, pani von Bredow na pewno nie była histeryczką.

– Oni mają filie na całym świecie z centralą w Azji. Oficjalnie dyrektorem generalnym jest niejaki Philip Carter, w rzeczywistości niejaki Wang Nan, „głowa smoka” jednej z najgroźniejszych chińskich triad. Wiesz, co to triady?

Skinąłem głową. Wiedziałem.

– Dlatego postanowiłam zlikwidować interes. Nie mamy z nimi szans.

– Zrobiłaś coś konkretnego?

– Na razie tylko audyt, ale tamci na pewno to zauważyli.

– Znakomicie, to nam się przyda – odparłem z roztargnieniem.

Nie pytając o pozwolenie, sięgnąłem do marynarki i zapaliłem papierosa, musiałem zastanowić się nad sytuacją. Triady należały do najgroźniejszych gangów, ale działały głównie na terenie Azji i amerykańskich chinatown, choć było oczywiste, że prędzej czy później znajdą drogę do Europy. Najwyraźniej Wang postanowił być pierwszym...

– Co zrobimy? – spytała Inga.

– Niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, jak się obawiasz – powiedziałem, wydmuchując dym w stronę sufitu. – To tylko Chińczycy. Brakuje im przygotowania do walki z profesjonalistami, bo porachunki u siebie załatwiają głównie za pomocą noży, tasaków i gołych pięści, dlatego wynajmują białych najemników. Do tego trudno im się wtopić w tłum, a mimo że czasem pracują z białymi, to im nie ufają. Oczywiście trzeba będzie nieco skorygować plany – przyznałem. – I nie miej złudzeń! Oni nie odpuszczą. Nawet jeśli zrezygnujesz z biznesu, nadal będą cię prześladować, dopóki nie zabiorą ci wszystkiego. Tak to działa.

– Więc będziemy walczyć?

– Owszem. Nie ma innego wyjścia – zapewniłem. – Chyba że chcesz uciekać do końca życia i cały czas oglądać się za siebie.

– Nie chcę!

– W takim razie wszystko ustalone. Z miejscowym oddziałem Jadeite Empire poradzimy sobie bez trudu, oni nie spodziewają się ataku, później zajmiemy się azjatycką centralą.

– Zajmiemy się? Jak?!

– Coś wymyślę – odparłem niefrasobliwie.

Nie lekceważyłem triad, jednak w porównaniu z niebezpieczeństwem, jakie groziło mi ze strony Berii, Chińczycy nie wydawali się tacy straszni. Wszystko jest kwestią proporcji.

Inga szturchnęła mnie stopą, ale nie wyglądała na zagniewaną.

– Naprawdę jesteście bezpieczni?

– Naprawdę. Teraz trzeba rozstrzygnąć ważniejszą kwestię: gdzie mam spać?

Inga milczała przez dłuższą chwilę, usiadłem więc na łóżku i sięgnąłem po koszulę. Widać albo wypadłem z łask pani von Bredow, albo nastrój nie ten.

– Możesz zostać – powiedziała wreszcie. – Ale mówię o spaniu.

Spojrzałem na Inge, ponownie zaniepokojony tonem jej głosu. Coś było nie tak.

– Boisz się? – spytałem.

Nie odpowiedziała.

– Twój były?

Powoli, apatycznie przytaknęła.

– Uderzył mnie, kiedy zrobiłam mu awanturę, a później wziął pod buty. Jest bardzo silny. Gdyby nie Aleksandra...

– Zrobił jej krzywdę?

– Nie, nie zdążył. Zaczęła krzyczeć i okładać go pięściami, zbiegła się służba, a on uciekł. Bał się Horsta. Rozwód załatwiliśmy przez adwokatów. Teraz Ksandra odwiedza mnie kilka razy każdej nocy, sprawdza, czy wszystko w porządku.

– Niech odwiedza, mała paskuda – mruknąłem. – Będziemy tylko spać. À propos, co powiedziałaś synowi?

– Że spadłam ze schodów. Ksandra nikomu nie wygadała, a służba znalazła mnie na podeście, więc rzecz wyglądała prawdopodobnie.

– Co robiłaś na schodach?

– Biegłam za nim. Z nożem w ręku.

– Masz tu jakąś piżamę?

– Tak, w tamtej szafie. Nowa, prosto ze sklepu.

Pozbyłem się szlafroka, założyłem piżamę, czując na skórze dotyk śliskiego jedwabiu, po czym wpełzłem pod kołdrę.

– Gasimy światło? – zaproponowałem, tłumiąc ziewanie.

– Gasimy – przyzwoliła.

Przez dobrą godzinę tylko trzymała mnie za rękę, później się przytuliła. Nie spałem przez pół nocy, starając się okiełznać rozpierającą mnie lodowatą furię. Ostatecznie postanowiłem, że były małżonek Ingi przeżyje. Ledwo.



Obudziłem się, czując czyjś ciężar na plecach, zimne stopy dotknęły mojej łydki. Aleksandra. Dziewczynka wśliznęła się między mnie i Inge,

niemal natychmiast jej oddech stał się cichy i regularny. Otworzyłem oczy, było już jasno. Leżałem bez ruchu, ogrzewając córkę ciepłem własnego ciała. Upewniwszy się, że śpi, wstałem ostrożnie i sięgnąłem po zegarek: dochodziła szósta. Ubrałem się po cichu i wyszedłem na palcach, miałem kilka spraw do załatwienia.

Do pokoju Horsta dotarłem po kwadransie, na szczęście służba już wstała i mogłem zapytać o drogę. Chłopak nie wyglądał na zachwyconego pobudką, ale nie przejmowałem się dobrym samopoczuciem najstarszej latorośli pani von Bredow.

– Gdzie można znaleźć twojego byłego ojczyma? – spytałem, kiedy tylko się ocknął.

Mina Horsta sugerowała, że eksmałżonek Ingi nie budzi w nim ciepłych uczuć, chłopak odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Nie wiem, gdzie mieszka.

– Nie pytałem o adres, chcę wiedzieć, gdzie go można spotkać.

– W celu?

– Nie twój zakochany interes.

Horst roześmiał się i popatrzył na mnie z wyraźnym zainteresowaniem.

– Jest taki klub dla miejscowej elity – odparł. – Nazywa się „Diogenes”. To żarcik w ich stylu, bo historyczny Diogenes głosił wyrzeczenie się dóbr materialnych, tymczasem oni...

– Wiem, kim był Diogenes – przerwałem mu, ziewając. – Do rzeczy.

– On tam dziś przyjdzie, jak każdego wieczoru. Chyba że zachoruje.

– Sam czy z przyjaciółmi?

– Zawsze sam. On nie ma przyjaciół, tylko znajomych i kochanków.

– Macie tu jakieś gangi?

– Gangi? – powtórzył chłopak bezmyślnie.

– No wiesz, bandy albo chociaż chuliganów.

– Chyba tak, jak w każdym większym mieście. – Wzruszył ramionami.

– W zasadzie jest dość spokojnie, ale czasem w ruch idą kastety i noże. Dlaczego pan pyta?

– Tak sobie. Chcę zorientować się w sytuacji.

– Rozumiem...

– Oni mają jakieś cechy charakterystyczne? Ubiory albo sposób działania? Ci chuligani?

– Podobno niektórzy noszą krótkie skórzane kurtki. Mam taką, ale na pana będzie za ciasna.

– Obejdę się – mruknąłem.

– Potrzebuje pan pomocy?

– Nie. Zajmij się matką i siostrami.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie – mruknąłem cierpko. – Jeszcze ciebie mi tam

brakowało.

– To znaczy gdzie? – zapytał chytrze.

Zamiast odpowiedzieć, stuknąłem go w głowę.

– Nie wystawiaj nosa z posiadłości! – przypomniałem.

Wyszedłem, zanim zdobył się na odpowiedź.



Odsunąłem się nieco – od Beckera załatywało piwem, lecz skoordynowane ruchy świadczyły, że były sierżant nie nadużył alkoholu.

– Siedziałem pół dnia w piwiarni, nie mogłem się wyróżnić w tłumie – odpowiedział na niezadane pytanie.

– I jak?

– Tam nie ma w ogóle żadnych zabezpieczeń, za to kręci się kilku strażników. Mają broń krótką. Na pewno nie spodziewają się napadu, pewnych rzeczy nie można udawać. Ochroniarze są rozleniwieni, choć wyglądają na byłych żołnierzy.

– Dacie radę?

– Bez problemu. O ile Hartmann załatwi broń.

– A wewnątrz?

– Woląłem nie ryzykować, na pewno nie przeszedłbym przez zewnętrzne posterunki. Tak czy owak, trzeba będzie przyjrzeć się temu budynkowi w nocy.

Przytaknąłem z roztargnieniem, być może atak na siedzibę Jadeite Empire nie będzie taki trudny, jak się obawiałem.

– Ci żołnierze – kontynuowałem – co sobą reprezentują?

– Na pewno są otrzaskani w walce, ale nie spodziewają się żadnych kłopotów.

– Gdzie służyli?

– Nie mam pojęcia, choć na pewno nie liczyli portek w magazynie. Nie, to żadna elita! – dodał natychmiast. – Sprawni, doświadczeni, z tym że to średnia półka. Dostrzegłem paru kolorowych, pewnie wojska kolonialne.

– No dobrze, drugą turę zrobisz w nocy. Tylko weź kilku ludzi na wszelki wypadek.

– Wezmę.

– Gdzie Hartmann?

– Wyjechał, załatwia broń. Ten jego znajomek mieszka na prowincji.

– Ktoś z naszych zna Wiedeń?

– Gunnar. A co?

– Który to? – rzuciłem, ignorując pytanie.
– Ten łysy, z blizną od oparzenia na szyi. Palił się kiedyś w transporterze, w czterdziestym czwartym.

Skinąłem głową, kojarzyłem niewysokiego, małomównego żołnierza.

– To imię czy ksywa?

– Przezwisko, w dawnych niedobrych czasach fascynowały go wszelkiego typu nordyckie brednie. To imię bohatera z „Sagi o Njalu”. Wie pan, czasem nie ma co robić, więc ludzie gadają o różnych pierdołach.

Uniosłem brwi z niedowierzaniem. Czego to się człowiek nie dowie, na przykład o gustach literackich swoich podwładnych...

– Za pół godziny ma czekać na mnie przy bramie – poleciłem. – I jeszcze jedno: gdzie tu można dostać kastet?

– Poza czarnym rynkiem?

– Poza. Nie mam czasu udowadniać miejscowym rekinom biznesu, że nie jestem policyjnym agentem.

– W lombardzie. Najlepiej jeśli pan powie, że potrzebny jest panu do celów kolekcjonerskich. Najlepsze są kastety z pierwszej wojny światowej. Wie pan, te do walki w okopach.

Westchnąłem i odprawiłem Beckera, nie potrzebowałem porad na temat kastetów – czas było coś zjeść i uzupełnić kolekcję. Potrzebne mi były dwa kastety i dwie skórzane kurtki.



Klub „Diogenes” znaleźliśmy w jednej z bocznych uliczek Innere Stadt. W sumie nic dziwnego, osobnicy pokroju Ruperta von Taschy nie bawiliby się na peryferiach. Podobno wewnątrz mieściła się znakomita restauracja, a także zaciszne pokoje do gry w karty, plotki mówiły też o prostytutkach płci obojga. Cóż, jeśli baron von Tascha był rzeczywiście takim hulaką, z pewnością odwiedzi ulubiony przybytek występnych rozkoszy.

Zajęliśmy stanowisko jakieś sto metrów od klubu, w niewielkiej, czynnej do północy knajpce. Idealnie czysta witryna pozwalała obserwować ulicę, tuż obok kubka kawy położyłem zdjęcie byłego męża Ingi.

Poruszyłem lekko ramionami: nowa kurtka leżała idealnie, prawą kieszeń obciążał mi mosiężny brytyjski kastet. Sprzedawca zapewniał mnie, że używano go w bitwie nad Sommą.

– Już po dziesiątej – zauważył Gunnar.

Skrzywiłem się niechętnie. Obaj byliśmy zmęczeni, kastety kupiliśmy

bez trudu, ale za kurtkami przyszło nam się nachodzić, zanim trafiliśmy na odpowiedni rozmiar.

– Jak baby to wytrzymują? – spytałem.

– Co takiego?

– Zakupy – burknąłem. – Tę całą bieganinę po sklepach.

– Emocje – wyjaśnił enigmatycznie Gunnar. – Podniecenie towarzyszące polowaniu. Świadomość, że trafiło się na coś lepszego niż inne kobiety.

Przez moment na jego wargach pojawił się cień uśmiechu, a w oczach czułość przemieszana ze smutkiem.

– Błyskotliwa analiza – pogratulowałem, odwracając wzrok.

– Żona mi kiedyś to wyjaśniła.

Dolałem sobie kawy, zakołysałem filiżanką. Gest można było wziąć równie dobrze za próbę ostudzenia napoju, co zachętę do zwierzeń.

– Hamburg, czterdziesty czwarty – odparł beznamyślnie. – Zginęła w nalocie dywanowym razem z naszą córeczką. Nie mogłem nawet pojechać na pogrzeb, bo leżałem w szpitalu.

Skinąłem głową, historia, jakich wiele. Nie skomentowałem ani nie wyraziłem współczucia, żołnierze nie przepadali za próżną gadaniną. Być może kiedyś wypijemy razem za tych, co odeszli. O ile sami przeżyjemy.

– Idzie!

Rzuciłem na stół plik banknotów, machnięciem ręki dałem sygnał, że reszty nie trzeba. Wyszliśmy pospiesznie na ulicę. W świetle pobliskiej latarni rozpoznałem twarz ze zdjęcia.

– Teraz? – upewnił się Gunnar.

– Teraz – potwierdziłem.

Poczekalem, aż Rupert von Tascha nas minie i znajdzie się poza polem widzenia gości baru, po czym dogoniłem go i chwyciłem za ramię. Odwrócił się z niewróżącym nic dobrego wyrazem twarzy, uniósł do ciosu elegancką laskę ze srebrną rączką. Zanim zdążył ją opuścić, uderzyłem go w brzuch, poprawiłem dwukrotnie w zębra.

– Długi trzeba zwracać w terminie! – warknąłem, pochylając się nad powalonym.

Nie wiedziałem, czy szlachetnie urodzony von Tascha weźmie nas za windykatorów, ale zawsze warto spróbować. Ktoś taki jak on musiał mieć sporą grupę wierzyteli, w tym także niespecjalnie sympatycznych i skorych do użycia przemocy.

Gunnar gwałtownym szarpnięciem przewrócił Ruperta na brzuch, po czym precyzyjnym uderzeniem złamał mu rękę w łokciu. Von Tascha zawył i zwiotczał. Następne dwie minuty spędziłem, objając co wrażliwsze części ciała pana barona, na koniec uderzyłem kastetem w prawe kolano, druzgocząc rzepkę nieprzytomnego na swoje szczęście

hulaki. Chyba powinno wystarczyć. W najbliższym czasie von Tascha na pewno nie uderzy żadnej kobiety. Ani nie dogoni.

– Znikamy! – rozkazałem.

Przebiegliśmy na drugą stronę ulicy, później zwolniliśmy do szybkiego kroku. Cóż, jeden dług spleacony. Zostało jeszcze Jadeite Empire.



Rozbiłem skorupkę jajka i wbiłem łyżeczkę w idealnie ściętą zawartość. W tym momencie ktoś trącił mnie w łokieć: Aleksandra.

– Czego? – burknąłem nieuprzejmie.

Ostatnią noc miałem pracowitą, wróciłem dopiero po północy, a mała trzykrotnie zachodziła do sypialni pani von Bredow, budząc mnie za każdym razem.

– Nakarm mnie – poprosiła.

– Jesteś już dużą dziewczynką, sama dasz radę.

Dziewczynka zamrugnęła, jakby usiłowała się nie rozpłakać, i posłusznie sięgnęła po jajko.

– No dobrze, pokarmię – westchnąłem.

– Tylko nie zapomnij posolić!

– Jakżeby inaczej!

Klaudia spojrzała na nas z zazdrością, najwyraźniej uznała jednak, że nie wypada jej rywalizować z młodszą siostrą.

– Gdy skończę, pójdę pojeździć do parku – poinformowała wyniośle.

Buzia Aleksandry znowu posmutniała, ale dziewczuszka nie odezwała się ani słowem. Geny, cholera, czy co? Bo raczej nikt jej nie uczył, żeby nie dawać satysfakcji dręczycielom.

– Chcesz na kolana? – spytałem.

Ksandra energicznie skinęła główką i błyskawicznie umościła się w moich objęciach.

– Sam też możesz jeść – przyzwoliła. – Co drugą łyżeczkę.

– Dziękuję bardzo łaskawej pani!

Dziewczynka zachichotała, widziałem też, że Inga z trudem powstrzymuje się od śmiechu, za to Klaudia nie wyglądała na zadowoloną. Starsza z panienek von Bredow szybko dokończyła swoją owsiankę, po czym wyszła, wzgardziwszy resztą posiłku.

Zanim zdążyłem skomentować sytuację, w drzwiach pojawił się lokaj dzierżący srebrną tacę – wysoki, siwowłosy mężczyzna w liberii, o suchej, jakby wyrzeźbionej w drewnie twarzy.

– Poranna prasa – poinformował, stając u boku Ingi.

– Dziękuję, Taumann, ale może później?

– Jest pewien artykuł w „Kurierze” – odparł służący z wahaniem w głosie. – Chyba powinna pani na niego zerknąć.

– Przecież to bulwarówka.

– Mimo wszystko.

Najwyraźniej rekomendacja nieznanego mi bliżej Taumanna miała swoją wagę, bo Inga sięgnęła po gazetę i zagłębiła się w lekturze.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła po chwili.

– Co takiego? – spytałem spokojnie.

– Napadli na Ruperta!

Poczułem, jak drobne ciało Saszki drży z emocji, więc przytuliłem córkę. O dziwo, pomogło.

– Co mu się stało?

– Jak możesz być taki spokojny?!

– Nie znam go, a z opowieści wynika, że raczej nie był kandydatem na ojca i męża roku.

Inga rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie, wskazując wzrokiem małą, w odpowiedzi jedynie wzruszyłem ramionami. Nie sądziła chyba, że będę wchodził w detale?

– Połamane żebra, zmiążdżona rzepka kolanowa, prawa ręka złamana w łokciu, kilka wybitych zębów – wyliczała. – Lekarze wątpią, czy będzie mógł normalnie chodzić.

Jeszcze by też! W końcu sam tego dopilnowałem...

– Kogo podejrzewają?

– Wiesz, on miał dziwnych znajomych. Podobno napastnicy mówili coś o pieniądzach i byli w skórzanych kurtkach. Tutaj, u nas, to niemal uniform lokalnych gangów.

– Co to znaczy? – spytała Aleksandra. – Że nie będzie mógł normalnie chodzić?

– Będzie kuśtykał o lasce – wyjaśniłem.

– Co to znaczy kuśtykał?

Posadziłem panienkę von Bredow na krzesło, wstałem i zademonstrowałem, jak się kuleje, udając, że podpieram się laseczką.

– Aleks! – krzyknęła Inga. – Jak możesz tak przy dziecku?!

– Spytała, więc odpowiedziałem.

Tylko Inga wyglądała na zbulwersowaną, Ksandra i lokaj obserwowali moje poczynania z niekłamanym zainteresowaniem.

– Nie dogoni mamusi? – upewniła się mała.

– Ani nie dogoni, ani nie uderzy, takie złamania goją się paskudnie – zapewniłem.

– Jakie złamania? – Ksandra zmarszczyła brewki.

– Daj mi rękę – poleciłem. – Widzisz? Tu jest łokieć, a tu nadgarstek. Jeśli złamiemy kość między nadgarstkiem a łokciem, ręka zagoi się

w miarę szybko i bez śladu. Jeżeli złamiemy ją w łokciu, będzie dużo gorzej. Staw łokciowy nigdy nie wróci do dawnej sprawności.

– Jak można złamać łokieć?

– Dosyć tego! – zarządziła Inga. – Aleksandra, nie kręć się i dokończ śniadanie! A z panem hrabią porozmawiam sobie później – obiecała złowrogo.

– Naprawdę jesteś hrabią? – spytała po chwili dziewczynka. – Bo jak przyjechałeś, Klaudia poszła do Taumanna i sprawdzili cię w Alma... Almaku Gotyckim.

– Almanachu Gotajskim – poprawiłem z uśmiechem.

– No! I wcale cię tam nie było.

Inga i lokaj zaczerwienili się po uszy, widać pani von Bredow wiedziała o poczynaniach córki.

– W Almanachu nie ma hrabiego Razumowskiego – stwierdziłem pobłaźliwie. – Rodzina Razumowskich jest tam notowana, ale nie ja. To tylko pseudonim artystyczny. Naprawdę nazywam się Aleksander Przeździecki.

– Co to jest pseudonim artystyczny?

– To tak, jakbyś nazwała się niszczycielką jajek – wyjaśniłem, wskazując puste skorupki.

Dziewczynka zachichotała.

– Podoba mi się! – zawołała. – Będę niszczycielką jajek! Mamusiu, mogę już iść się bawić?

– Oczywiście – przyzwoliła Inga.

Pani von Bredow wyglądała na oszołomioną.

– Odprowadzę panienkę – zaoferował się lokaj.

Roziskrzony wzrok mężczyzny wskazywał, że pierwsze, co robi, to poleci wertować Almanach Gotajski. Ech, ludzie, a podobno wyrosliśmy już ze średniowiecza...

– Idźcie – przyzwoliła Inga.

Poczęstowałem się szynką, dołałem sobie wina, czerwony jak krew burgund pozostawił na języku wyrazisty, cierpki posmak.

– Naprawdę należysz do arystokracji? – spytała, kiedy zostaliśmy sami.

– Na to wygląda – odparłem obojętnie. – Mój ojciec był hrabią, matka wnuczką księżnej Bołkońskiej, choć nie mam pojęcia, czy przysługiwał jej jakiś tytuł.

– To skomplikowana sprawa, ale znam pewnego specjalistę i mogłabym...

– Daj spokój! – przerwałem Indze stanowczo. – Jakie ma to znaczenie? Teraz w Rosji to żaden powód do chwały, raczej wręcz przeciwnie. A jeśli ktoś zacznie grzebać w papierach mojej rodziny, może zwrócić uwagę ludzi niekoniecznie zainteresowanych heraldyką czy genealogią.

– No dobrze, a teraz wytłumacz mi, co się stało Rupertowi?
– Nie czytałaś? Napadli na niego bandyci, najprawdopodobniej wysłani przez któregoś z wierzycieli pana barona.
Spięliśmy się wzrokiem, Inga pierwsza spuściła głowę.
– Ale dlaczego? – spytała cicho. – Nie jesteś rycerzem w lśniącej zbroi.
– Nie jestem – przyznałem. – Ale lubię ciebie i Ksandrę, za to nie przepadam za gnojkami bijącymi kobiety czy dzieci. Wreszcie mam patriarchalne i zapewne zupełnie nienowoczesne podejście do tematu.
– Jakiego, do licha, tematu?!
– Mojej własności. Jesteście moje, i ty, i Saszka. Ktoś, kto zechce was skrzywdzić, musi się liczyć z moją reakcją.

Spodziewałem się protestów – pani von Bredow wielokrotnie podkreślała niechęć do, jak to nazywała, „samczej dyktatury”, jednak nie wyglądało, żeby moja deklaracja ją wzburzyła. Wręcz przeciwnie, przypominała kota, który napił się śmietanki.

– A Klaudia i Horst? Oni też?

Skrzywiłem się niechętnie, kobiety uwielbiają analizować także kwestie niepoddające się analizie i dzielić włos na czworo. Nie przebierając specjalnie w słowach, poinformowałem Ingę, co może zrobić ze swoją ciekawością. W odpowiedzi pokazała mi język. Ot i arystokracja!



Becker uniósł dłoń zaciśniętą w pięść, sygnalizując, że napotkał przeszkodę, zaraz potem rozprostował dwa palce. Znaczy dwóch. W chwilę później dał znać, że trudno podejść do jednego z wartowników. Szturchnąłem Hartmanna, nakazując mu językiem gestów, żeby zlikwidował kłopotliwego ochroniarza, a sam schyliłem się i wyjrzałem zza muru. Teraz ich zobaczyłem. Jeden stał tuż przy wejściu do siedziby Jadeite Empire, drugi na środku ulicy, jakieś trzydzieści metrów od bramy. Rzeczywiście chujowa sytuacja: co by nie zrobić, zawsze jeden zdąży wystrzelić. Teoretycznie.

Ruszyłem, skradając się tuż przy murze otaczającym siedzibę Jadeite Empire, Hartmann wziął na cel wartownika z ulicy. Sprawa nie wyglądała najlepiej, mieliśmy tylko jednego walthera z tłumikiem. Co prawda olbrzym znakomicie strzelał, ale noc była bezksiężycowa, a pistolet to niespecjalnie precyzyjna broń. Jeśli zaalarmujemy ochronę, cała akcja spali na panewce, a w najgorszym wypadku zamieni się w jatkę.

Poczułem dym z papierosa, w ciemności ukazał się rozżarzony

punkcik. Bezszelestnie zbliżyłem się do bramy, wypuściłem powoli powietrze z płuc i skoczyłem przed siebie. Facet zdążył odwrócić się – stał do mnie bokiem – ale nic mu to nie pomogło. Złapałem go za nogi i poderwałem do góry. Kiedy runął na bruk, klęknąłem mu na plecach i jednym ruchem skręciłem kark. Niegłośnie „plop, plop” świadczyło, że i Hartmann włączył się do akcji. Oby skutecznie...

– Wszystko w porządku! – wydyszał mi do ucha Becker.

Żołnierze błyskawicznie uprzątnęli trupy, dwóch ubranych w stare polowe mundury zajęło miejsca przy bramie. Co prawda uniformy wartowników różniły się barwą i krojem, jednak w nocy nikt nie powinien zauważyć różnicy. Nie mieliśmy zamiaru zatrzymać się tu na długo. Jedynym zagrożeniem był przypadkowy patrol policji, te zaś rzadko tu zachodziły, to była spokojna dzielnica.

– Naprzód! – rozkazałem.

Sam zostałem nieco z tyłu, nerwowo obserwując okna. Mimo późnej nocy – dochodziła druga – w kilku nadal paliło się światło.

Hartmann przez moment zatrzymał się przy wejściu. Miałem nadzieję, że da radę otworzyć zamek, inaczej przyjdzie nam pohałasować: wszystkie okna na parterze i pierwszym piętrze były zakratowane, a obite grubą blachą drzwi otwierały się do wewnątrz. Znaczący jakby co, przyjdzie wysadzać.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność, kilkakrotnie musiałem ocierać pot z czoła, wreszcie usłyszałem lekkie skrzypnięcie i żołnierze zniknęli wewnątrz. Podwinąłem rękaw i nastawiłem alarm w zegarku. Mieliśmy nie więcej niż piętnaście minut, bo dłużej nie uda się utrzymać ciszy, w budynku znajdowali się wartownicy, a oświetlone korytarze uniemożliwiały skryte podejście.

Moim myśłem zawtórowały strzały, zerwałem się do biegu. Najważniejsze to wykończyć szefostwo, bo jeśli któryś przeżyje, może w przyszłości narobić nam kłopotów. Według Beckera zarówno dyrektor wiedeńskiego oddziału Jadeite Empire, jak i jego zastępca byli na miejscu, do tego niezidentyfikowany skośnooki, być może przedstawiciel triady.

Przeszedłem na parter, później pierwsze piętro, wszędzie nasi ludzie kontrolowali sytuację. Żadnych strat własnych, sto procent skuteczności, ideał. Najwyraźniej atak był totalnym zaskoczeniem dla personelu Jadeite Empire. Na drugim piętrze czekał na mnie Becker, u jego stóp kulił się tłusty facet z posiniaczoną twarzą.

– Dyrektor – rzucił krótko Becker.

– To pewnie ten miły człowiek, który groził śmiercią pani von Bredow i jej córkom – stwierdziłem domyślnie.

Tłusciuch coś zabelkotał i zasłonił twarz dłońmi.

– Ty tu rządzisz? – spytałem.

Nie odpowiedział, więc kopnąłem go w brzuch i szarpnięciem za włosy postawiłem na nogi.

– Odpowiadaj! – warknąłem.

– Nie ja – wymamrotał nadal zasłaniając twarz. – Chińczycy.

– Triada?

– Nie wiem, co to jest. Chińczycy. Jeden rezyduje tu na stałe, drugi przyjechał kilka dni temu.

– Czyli teraz jest ich dwóch? – upewniłem się.

– Tak, dwóch – potwierdził gorliwie. – To oni kazali mi...

– Szefie – odezwał się Becker. – Coś jest nie tak. Parę minut temu słyszałem strzały. – Wskazał na sufit. – Ale do tej pory nikt stamtąd nie wrócił.

– Kto miał oczyścić to piętro?

– Hartmann i trzech chłopaków.

– Zbieraj ludzi! – warknąłem.

Sam popędziłem do góry, biorąc po dwa stopnie. Na piętrze czuć było zapach prochu i słabszy, słodkawo mdlący. Krew. Hartmann leżał na wznak, ze wzrokiem wbitym w sufit, z na wpół otwartych ust olbrzymą sączyła się strużka krwi. Ciała dwóch innych spadochroniarzy znalazłem parę metrów dalej, obaj wyglądali, jakby zasnęli. Żadnych śladów po kulach czy nożu. Wariactwo...

Powiodłem wzrokiem wzdłuż korytarza: po każdej stronie znajdowały się cztery gabinety, ale tylko jedne drzwi były uchylone. Podszedłem bliżej, trzymając broń blisko ciała, lewą rękę wysunąłem przed siebie jak ślepiec. Jeśli ktoś mnie zaatakuje, będę miał ułamek sekundy na reakcję.

Ostrożnie przestąpiłem zwłoki ostatniego Fallschirmjägera, pchnąłem drzwi. Czyjaś twarda jak kamień dłoń uderzyła mnie w nadgarstek, zdążyłem wystrzelić, ale pocisk trafił w podłogę. W chwilę później korpulentny Chińczyk złapał mnie za przedramię, poczułem przeraźliwy ból i upuściłem pistolet. Starliśmy się w ciasnym pomieszczeniu, wymieniając ciosy i kopnięcia, w pewnym momencie udało mi się go podciąć, ale odpłacił mi potężnym kopnięciem w pierś. Co rusz któryś z nas lądował na biurku lub regale z dokumentami, łamiąc kolejne sprzęty. Z dołu dochodziły krzyki i tupot butów. Nadciągała pomoc. Dla mnie.

Mój przeciwnik zrozumiał, że nie ma wiele czasu, natarł więc desperacko, udało mu się przedrzeć przez moją gardę i kopnął mnie w głowę, ja jednocześnie zadałem mu cios w serce. Przykleknąłem zamroczony, osłaniając się skrzyżowanymi ramionami, ale Chińczyk, zamiast uderzyć, zwałił się na podłogę. Dopiero teraz ujrzałem, że w kącie gabinetu stoi jeszcze jeden. Poderwałem się do skoku, nagle poczułem uderzenie w bark, zawirowało mi w głowie, usłyszałem

strzały i brzęk bitego szkła.

– Szefie! Nic ci się nie stało?

Becker podtrzymał mnie pod ramię, kto inny zawołał o nosze. Poczulem falę mdłości, z wymiotowałem.

– Wyciągnijcie mi to cholerstwo! – wydyszałem.

Z ramienia sterczało mi ciężkie ostrze.

– Straci pan mnóstwo krwi, niech zrobią to w szpitalu!

– Jest zatrute! Wyciągajcie!

Becker złapał za rękę noża, zawyłem z bólu.

– Już! – ponagliłem.

Uniosłem wzrok i zacisnąłem zęby, żeby nie przygryźć języka, żarówka pod sufitem rozbłysła pomarańczowym światłem i zapadłem w bezdenną otchłań.



Z niebytu wyrwał mnie chrzęst miażdżonego szkła. Poderwałem się, szukając broni, ale moja dłoń natrafiła tylko na poduszkę. Zamrugalem, stojący przede mną, ubrany w biały fartuch mężczyzna miał mocno skruszoną minę. Jego twarz wydała mi się znajoma. Lischke! Doktor Lischke.

– Przepraszam – powiedział. – Upadła mi ampułka, zaraz zadzwonię na służbę, żeby to sprzątnęła. Jak pan się czuje?

Zamiast odpowiedzieć, usiadłem na łóżku. Lewy bark miałem zabandażowany, ale nie czułem bólu, a jedynie delikatne mrowienie. Znaczący nie jest tak źle.

– Jak pańskie samopoczucie? – powtórzył Lischke, podkładając mi pod plecy ogromną poduszkę.

– Nieźle – odparłem. – Jak długo byłem nieprzytomny?

– Ponad dobę.

Lekarz gestem nakazał mi rozpiąć piżamę, założył stetoskop.

– Serce w porządku – oznajmił po chwili. – Teraz jeszcze ciśnienie.

Zmarszczyłem brwi, widząc, jak kręci głową.

– Coś nie tak? – spytałem zaniepokojony.

Nie potrzebowałem kłopotów zdrowotnych. Czas naglił, musiałem zdążyć do Paryża.

– Nie, nie! Wszystko w porządku. Ciśnienie jak u dwudziestolatka, zastanawia mnie tylko pańskie tętno: sześćdziesiąt uderzeń na minutę, jak u profesjonalnego sportowca.

– Staram się ćwiczyć od czasu do czasu – oznajmiłem cierpko. – Jakie rokowania?

– Za dzień lub dwa będzie mógł pan wstać z łóżka. Nie musi pan przestrzegać żadnej konkretnej diety, ale w najbliższym czasie odradzałbym alkohol i papierosy.

– Mógłby pan poprosić kogoś z moich ludzi albo panią von Bredow?

– Oczywiście.

Miałem sporo pytań, ale nie wiedziałem, czy i do jakiego stopnia lekarz został wtajemniczony w problemy zdrowotne niejakiego Razumowskiego, nie mówiąc już o okolicznościach towarzyszących.

Doktor Lischke wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Nie minęło dziesięć sekund, gdy ktoś nacisnął klamkę. No tak: dziewczęta. Klaudia rzuciła mi się na szyję, a Aleksandra po prostu wpełzła pod kołdrę i przytuliła się do mnie, obejmując ciasno rękoma. Czułem pod dłonią jej serce, trzepotało szaleńczo niczym ptak w klatce. Chyba ktoś się przejął moim zdrowiem.

Przytuliłem ją i pogłaskałem pocieszająco po główce.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem, przewyciężając ucisk w gardle.

– Nie umrzesz?

– Nie umrę – zapewniłem.

– Na pewno?

– Na pewno, na pewno.

Dalszą konwersację przerwało nam wejście pani von Bredow, Inga oddychała ciężko, jakby biegła. Czyżby kolejna zainteresowana stanem zdrowia Razumowskiego?

– Jak się czujesz? – spytała bez tchu.

– Nieźle. Porozmawiamy później, teraz zabierz dzieci i przyślij mi Karla.

– Czeka za drzwiami.

– Znakomicie.

Pacyfikacja dziewczynek potrwała kilka minut, w końcu zostałem sam na sam z Beckerem.

– Jak sytuacja? – zagailem bez wstępu.

– Chujowa – odparł równie zwięźle. – Teoretycznie rzecz biorąc, zrealizowaliśmy plan: miejscowa filia Jadeite Empire przestała istnieć.

– Ale?

– Ale zginęło kilku ludzi, zabił ich ten Chińczyk, którego pan wykończył, a ten drugi nam spieprzył. Wyskoczył przez okno z drugiego piętra na beton i zniknął.

– Kto zginął?

– Meller, Herzog i Schaub.

– Hartmann?

– Żyje, o ile można to nazwać życiem. Ma zmiążdżone kolano, połamane żebra i uszkodzony kręgosłup. Jest sparaliżowany.

– Wyjdzie z tego – odparłem pewnym tonem, choć wcale nie byłem o tym przekonany. – Z gorszych tarapatów wychodził obronną ręką – dodałem.

– Oby – mruknął Becker. – Co robimy? Bo ten zółtek pewnie już powiadomił triadę i lada moment możemy się spodziewać wizyty doktora Fu Manchu. Najgorzej, że nijak nie możemy dowiedzieć się, co tamci planują.

– Trzeba odszukać komisarza Wittego!

– Trzeba – przytaknął. – Szukamy. Jednak to opcja na przyszłość, a nam potrzeba informacji teraz.

Zagryzłem wargi. Istniał sposób, żeby dowiedzieć się, co w trawie piszczy – cholernie ryzykowny sposób, ale w tej sytuacji nie było innego wyjścia. Musiałem spróbować.

– Zobaczymy – uciałem. – Może coś wymyślę. Ile wie ten lekarz, Lischke?

– O to musi pan pytać gospodynię, chociaż wydaje mi się, że ona mu ufa.

– No dobrze, zawołaj ją, dopilnuj tylko, żeby przyszła bez dzieciaków.

– Wie pan, że ta starsza chce nauczyć się strzelać? – poinformował z uśmiechem. – Frau von Bredow mało nie dostała zawału.

– Naucz ją.

– Ale pani...

– Panią von Bredow sam się zajmę – przerwałem Beckerowi stanowczo. – A teraz znikaj.

Wygramoliłem się z łóżka, podszedłem do okna i otworzyłem je na całą szerokość. Świeże powietrze orzeźwiło mnie i usunęło z pokoju drażniącą woń leków, najwyraźniej Lischke dokładał wszelkich starań, żeby postawić mnie na nogi. Wykonałem ostrożny skłon, lewe ramię zabolalo mnie nieco, ale wyglądało, że rana nie należy do poważnych. No i dobrze, w najbliższym czasie nie mogłem sobie pozwolić na zniżkę kondycji.

Inga weszła, akurat kiedy robiłem przysiady, jej mina wyraźnie wskazywała, że nie jest zachwycona moją aktywnością fizyczną.

– Jesteś ranny – odezwała się z wyrzutem. – Powinieneś leżeć.

– Nie mam czasu leżeć – odparłem niecierpliwie. – Co było na tym nożu? Ktoś go zbadał? Ile wie Lischke? Mam nadzieję, że nie powiadomił policji?

– Lischke będzie milczał – zapewniła. – Jakiś środek opóźniający reakcję. Nic groźnego, tyle że działa błyskawicznie. Lischke osobiście przeprowadził testy.

Nic groźnego? Akurat! Gdyby nie chłopaki, pewnie byłbym już trupem, bo z osłabionym refleksem nie miałbym żadnych szans w walce z drugim Chińczykiem.

- Co zrobimy? – spytała. – Bo słyszałam, że ktoś wam uciekł.
- Spróbuję zorientować się w sytuacji.
- Ciekawe jak?

Wróciłem do łóżka, przywołałem Inge gestem. Zamiast usiąść, położyła się obok mnie i przytuliła, poczułem zapach egzotycznych perfum. Moja ręka mimowolnie ześliznęła się na jej pierś. Pani von Bredow nie okazała, że gest jest jej niemiły, ale nie zareagowała też w żaden inny sposób. Cofnąłem dłoń.

– Przejdę się do ambasady – odpowiedziałem. – Pogadam z bezpieczniakami, może coś będą wiedzieli.

– Masz na myśli szpiegów? W ambasadzie?

– W każdej ambasadzie są szpiegzy, przeważnie na czele lokalnej rezydentury stoi attaché kulturalny. Problem w tym, że to ludzie Berii.

Inga poruszyła się niespokojnie, wcześniej znalazłem trochę czasu, żeby wyjaśnić jej, jaką misją obarczył mnie Beria.

– Ale oni i tak wiedzą, że tu jesteś i co robisz?

– Niekoniecznie. Wiedzą, że poleciałem do Wiednia i zatrzymałem się u ciebie. Na pewno mają mnie na oku, choć z daleka i dyskretnie. Nie mogą wiedzieć, że to, co robię, nie jest związane z zadaniem, jakie postawił przede mną Beria, dlatego nie będą mi przeszkadzali. Natomiast jeśli zażądam od nich informacji na temat triad, zrozumieją, że prowadzę własną grę.

– To niebezpieczne?

– Na dłuższą metę. Wątpię, żeby Beria kazał mnie zlikwidować, dopóki nie będzie całkowicie pewien, że się zbuntowałem. Stawka jest zbyt wysoka, żeby ryzykował, tym bardziej, że wcześniej wykonałem dla niego kilka misji. Z sukcesem. Prawda, że pracowałem i przeciwko niemu...

– Nie można jakoś inaczej?

– Nie.

– A twoi ludzie? *Wojennaja razwiedka*?

– W żadnym wypadku! Moi ludzie – zaakcentowałem ironicznie – wyraźnie dali mi do zrozumienia, żebym trzymał się od nich z daleka. Dopóki sprawa się nie wyjaśni. Bo jeśli Beria uzna, że to jakiś spisek, po prostu zlikwiduje wywiad wojskowy.

– Kiedy chcesz odwiedzić ambasadę?

– Jutro. Dzisiaj jeszcze poleniuchuję.

– Mogę przysłać tu dziewczynki? Strasznie marudzą, że chcą do ciebie.

Mruknąłem potakująco. Nie jestem sentymentalny, ale kto wie kiedy ponownie zobaczę się z panienkami von Bredow? I czy w ogóle się zobaczę?



Okazało się, że funkcję attaché w Wiedniu pełni niejaki Łunnicki. Borys Łunnicki. Blondyn średniego wzrostu, z wysokim czołem, w okularach, wyglądał jak prawdziwy intelektualista. Czort wie? Może naprawdę nim był? Jak nikt inny wiedziałem, że w bezpiece służą nie tylko idioci.

Mężczyzna wysłuchał mnie grzecznie, poprosił o dane na temat azjatyckiej centrali Jadeite Empire, po czym wydobył fajkę i kapciuch z tytoniem.

– Pozwolicie? – zapytał. – Paskudny nałóg, ale za nic nie mogę się odzwyczać.

– To wasz gabinet, jesteście u siebie – odparłem z lekkim zdziwieniem. – I nie mam nic przeciwko temu. Sam palę papierosy.

Łunnicki przytaknął z roztargnieniem, zapalił fajkę, przez chwilę zajmował się formowaniem kóleczek z dymu. Wychodziły mu idealnie.

– Widzicie, towarzyszu, to nie takie proste – powiedział. – Istotnie, kierując rezydenturą w Wiedniu i teoretycznie rzecz biorąc, mógłbym spełnić waszą prośbę.

– Teoretycznie?

– Owszem. Myślę, że te chińskie gangi stwarzają dużo większe zagrożenie, niż przypuszcza miejscowa policja. Ba! Nie tylko miejscowa, w państwach, gdzie istnieją chinatowns, triady przejmują powoli kontrolę nad handlem narkotykami, bronią i ludźmi. To tylko kwestia czasu, zanim staną się ogólnoeuropejskim, o ile nie ogólnoświatowym problemem. Dlatego chętnie bym wam pomógł, niestety, w tej sytuacji...

– Rozłożył wymownie ręce.

– W jakiej, do licha, sytuacji?!

– Problem w tym, że nie mogę przekazać wam żadnej informacji bez zgody towarzysza Berii.

– Towarzysza Berii tu nie ma!

– Owszem. Za to przysłał koordynatora. Podobno go znacie, nazywa się Tagilin.

Zakląłem wściekle, nie przejmując się obecnością Łunnickiego. Chuj by to strzelił! Tagilin! Przeżył gadzina?! Jakby brakowało mi kłopotów.

– Macie pewność, że przysłał go Beria?

– Absolutną – zapewnił. – Dostałem szyfrogram z Moskwy. W razie gdybyście zwrócili się do mnie o pomoc, Tagilin musi zaakceptować każdy mój ruch. Chcecie się z nim zobaczyć?

Zmarszczyłem brwi – jeśli Tagilina wysłała Moskwa, Łunnicki nie powinien o nic pytać, a natychmiast donieść Tagilinowi o mojej obecności w ambasadzie.

– Niespecjalnie – przyznałem.

– Tak chyba będzie najlepiej – oznajmił neutralnym tonem Łunnicki.
– Nie wiem, jakie pełnomocnictwa ma Tagilin. W razie czego musiałbym mu się podporządkować.

Poczułem, jak wzdłuż kręgosłupa spływają mi krople potu, mój rozmówca w oczywisty sposób chciał mnie ostrzec przed Tagilinem. Całkiem możliwe, że ten przyjechał do Wiednia, aby ocenić, czy pułkownik Razumowski zajmuje się zadaniem powierzonym mu przez genkoma, czy wręcz przeciwnie. Jeśli upoważnił go do tego sam Beria, Tagilin mógł kazać mnie po prostu zabić albo, co gorsza, ewakuować do Rosji. Szlag!

– Wolałbym się z nim nie spotkać – powiedziałem.

– Nie ma obawy. Towarzysz Tagilin przebywa obecnie w hotelu „Imperial” w towarzystwie trzech pań. Jedna z nich to moja współpracownica.

Rozluźniłem napięte mięśnie, otarłem pot z czoła. Najwyraźniej wiedeński rezydent nowego superresortu powstałego z połączenia MGB i MWD chciał mi albo pomóc, albo przynajmniej utrzymać neutralność. Tylko dlaczego? Bezpieka od zawsze walczyła z wywiadem wojskowym, a i ja sam nie miałem zbyt dobrych notowań u bezpieczniaków.

Pozornie przypadkowym gestem dotknąłem ucha, tak jakbym przykładał do niego słuchawkę telefoniczną.

Łunnicki leniwie pokręcił głową.

– Nie ma żadnego podsłuchu – zapewnił. – Mój gabinet sprawdzany jest dwa razy dziennie, możemy swobodnie rozmawiać.

– W czym rzecz? – spytałem bez ogródek.

– Nadchodzi czas przemian – odparł. – Niektórzy z nas mają nieco bardziej liberalne poglądy niż towarzysz Beria i „Gruzini”. Jesteśmy też gotowi współpracować z *wojennej rozwiędki*. Oczywiście zawsze będziemy rywalizować – przyznał z uśmiechem. – Tyle że bez rozlewu krwi. To, co robię, to drobna, przyjacielska przysługa. Mam nadzieję, że w przyszłości będziemy mogli porozmawiać o konkretach.

Westchnąłem ciężko, sprawa była jasna: jeśli Beria padnie, władzę w organach bezpieczeństwa przejmą tacy ludzie jak Łunnicki. Jeśli Beria wygra, ten sam Łunnicki będzie mu pomagał eksterminować agentów wojskowego wywiadu, nie wyłączając pułkownika Razumowskiego. Ech, jak ja nienawidzę polityki!

Kiedy wyszedłem na ulicę, Becker natychmiast podjechał do krawężnika pożyczonym od Ingi mercedesem. Schyliłem się, żeby otworzyć drzwi, gdy nagle ujrzałem w szybie odbicie czyjeś twarzy, a drobna, ale twarda niczym skała pięść gruchnęła mnie w skroń. Kurwa mać! Chińczycy...

Rozdział dziewiąty



Ból rozlewał się falami po moim ciele, skręcał mięśnie w postronki, palił nerwy niczym kwas, ogłupiał umysł. Rzuciłem się do przodu, zabrzęczały łańcuchy. Podwieszono mnie na wbitym w sufit haku, z rękoma wyciągniętymi nad głowę, na nadgarstkach i kostkach miałem stalowe obręcze, nagi tors mokry od własnej śliny i krwi z przegryzionych warg.

Krzyczałem.

Ktoś podszedł do mnie i usunął kilka cienkich jak włos stalowych igieł z barków i stawów. Ból zelżał. Dopiero po dłuższej chwili oczy przestały mi łzawić i ujrzałem swojego oprawcę. Krępy, rozebrany do pasa Chińczyk na lewym ramieniu nosił symbol w kształcie drapieżnego ptaka. Znak wypalono rozżarzonym żelazem.

Kiedy dostrzegłem, że odzyskałem przytomność, rzucił kilka zdań ostrym, przywykłym do rozkazywania tonem. Z całej tyrady zrozumiałem tylko zwrot oznaczający Nocne Jastrzębie, cóż, mój chiński nie był najwyższej próby.

– Nie rozumiem – odparłem po chińsku, starannie artykułując głoski. Powtórzyłem to po angielsku, niemiecku i rosyjsku.

Chińczyk odpowiedział uderzeniem pięści. Ku swojemu zdumieniu poczułem, jakby cios zadano przez grubą poduszkę. W oczach mężczyzny pojawiła się ostrożność, złapał mnie za przedramiona. Początkowo myślałem, że chce mi połamać ręce, ale jedynie zbadał puls, po czym odskoczył ode mnie jak oparzony.

I znowu zaświergotał w dialekcie mandaryńskim; z tego, co zrozumiałem, chciał wiedzieć, kto jest moim mistrzem. Miałem pustkę w głowie – o jakiego mistrza mogło mu chodzić?

Ponownie użył igieł, ból eksplodował mi w skroniach, z nosa i ust bluznęła fala krwi.

– Kto cię uczy? – powtórzył Chińczyk.

Nogi uginały się pode mną, a w głowie huczało, jakby tuż przy mnie eksplodował ładunek wybuchowy, ale słowo „uczyć” skojarzyło mi się z Sunem. W końcu to on pokazał mi kilka ćwiczeń i obiecał zdradzić sekrety sztuki lekkości.

– Sun! – wykrzyknąłem. – Generał Sun Li!

Oczy Chińczyka powiększyły się do rozmiarów spodków, a z twarzy odpłynęła krew.

– Sun Li? – powtórzył z niedowierzaniem. – Jesteś uczniem generała Sun Li?

– Tak! – potwierdziłem stanowczo.

Mężczyzna wykrzyknął coś wysokim głosem i zerwał się do biegu, głośno trzasnęły drzwi, później usłyszałem zgrzyt zasuwy. Wyjście musiało znajdować się za moimi plecami. Dopiero teraz się rozejrzałem: betonowe ściany i brak okien wskazywały, że mogę znajdować się pod ziemią, a hak pod sufitem i stalowa klamra wpuszczona w podłogę świadczyły, że pomieszczenia używano w ściśle określonych celach. Nie próbowałem krzyczeć, byłem pewien, że katownia ma znakomitą izolację dźwiękową, no i nie miałem ochoty na kolejny seans akupunktury.

Napiąłem mięśnie i spróbowałem przybrać wygodniejszą pozycję – nie wyszło. Kimkolwiek był człowiek, który podwiesił mnie na haku, znał się na rzeczy. Stopy miałem przykute łańcuchem do klamry, co uniemożliwiało wszelkiego typu akrobacje. Szlag!

Następne godziny spędziłem, kontrolując oddychanie, starając się nie nadwerężyć naciągniętych do granic możliwości ścięgien. Co prawda stałem na podłodze, ale w łańcuchu, na którym wisiałem, nie było ani centymetra luzu. W końcu usłyszałem skrzypnięcie drzwi. Dwóch zamaskowanych mężczyzn podtrzymało mnie pod ramiona, trzeci zdjął z haka, po chwili mogłem już usiąść, prawda, że powoli niczym staruszek, zeszywniałe mięśnie ledwo poddawały się woli. Chińczycy bez słowa postawili przede mną miseczkę z jakąś potrawą i zniknęli za solidnymi, obitymi blachą drzwiami. Żaden z nich nie nosił rękawiczek, tak więc mogłem stwierdzić nie tylko, do jakiej rasy należeli, ale i zauważyć potężne narośle na kostkach pięści. To byli wojownicy, ludzie, którzy trenowali znacznie dłużej niż ja.

Sięgnąłem po porcelanową czarkę z czymś w rodzaju gulaszu, potrawa była smaczna, choć nie potrafiłem stwierdzić, co to za mięso. Cóż, na pewno nie ludzina, ten smak bym rozpoznał..

W godzinę później kolejny zamaskowany Chińczyk zabrał miseczkę, zostawiając w zamian ocynkowane wiadro. Z ulgą opróżniłem pęcherz i zacząłem rozważać, co się stało? Bo nie ulegało wątpliwości, że moi porywacze zmienili zdanie. Czyżby wystarczyła wzmianka, że znam Suna? W takim razie kim był Sun? Kim były Nocne Jastrzębie? Kogo zabiłem w siedzibie Jadeite Empire? Chińskiego bandytę, czy może jednak któregoś z Nocnych Jastrzębi? Bo moi porywacze nie wyglądali na członków triady. Nie byłem ekspertem w dziedzinie azjatyckiej przestępczości, ale od kiedy Poliakow wyjaśnił mi znaczenie bandyckich

tatauży, interesowałem się tym tematem. Znajomość symboli stosowanych przez *blatnych* nie raz i nie dwa pomogła mi w dochodzeniu. Z tego, co udało mi się wyczytać z raportów przedwojennej szanghajskiej policji, chińskie gangi stosowały tatuaże związane z historią lub mitologią Chin. Tymczasem mężczyzna, który mnie torturował, nie miał na torsie ani jednego tatuażu! Żadnego smoka, tygrysa, wiązki bambusów czy ideogramu. Nic. Tylko wypalony kontur drapieżnego ptaka. Wniosek? Być może Nocne Jastrzębie miały jakiś związek z triadą zarządzającą Jadeite Empire, ale raczej nie były częścią jej struktury. Biorąc pod uwagę ich sprawność bojową, Nocne Jastrzębie mogły oferować usługi w charakterze najemników. Teoretycznie rzecz była możliwa, lecz coś mi tu nie pasowało. Bo skąd znalazłby Suna? On na pewno nie miał nic wspólnego z chińskimi gangami. Dlaczego dopytywali o mojego mistrza, tuż po tym jak jeden z nich zbadał mój puls? Skąd u bandyty taka wiedza medyczna? I nie tylko medyczna: akupunktura znana była w Azji od tysięcy lat, wątpię jednak, żeby lekarzy uczono zastosowania igieł do wymuszania zeznań. Możliwe, że znowu podpadłem Qingbao, ale ci woleli stosować bardziej bezpośrednie metody, przekonałem się o tym na własnej skórze, wreszcie Sun zapewnił mnie, że z ich strony nic mi nie grozi. A nie rzucał słów na wiatr.

Rozmyślenia przerwał mi znowu zgrzyt zasuw, tym razem odwiedziło mnie dwóch Chińczyków. Jeden wyniósł wiadro, drugi podał posiłek. Wystawny posiłek. Na eleganckim stoliku z laki ustawił kilkanaście misek z różnymi potrawami, czajniczek z herbatą i butelkę wina. Najwyraźniej moje akcje szły w górę...

Potrawy mi smakowały, choć rozpoznałem tylko zupę z rekina i kaczkę po pekińsku. Kiedy skończyłem, usiadłem ze skrzyżowanymi nogami – poluźnione łańcuchy na to pozwalały – i zająłem się ćwiczeniami oddechowymi. To była jedyna dostępna mi forma aktywności fizycznej, a cokolwiek by się działo, lepiej dbać o kondycję. Zasnąłem, siedząc, niczym buddyjski mnich.



Ze snu wybił mnie dźwięk otwieranych drzwi, ale trwało dobrą chwilę, zanim podniosłem głowę, cóż, nie zwykłem spać na siedząco.

Uwolniono mnie z łańcuchów, a niewielki, spocony ze strachu człowieczek, który przedstawił się jako Samuel, zapewnił mnie, kłaniając się wielokrotnie, że nic mi nie grozi. Wnioskując po kolorze skóry, facet był mieszanicem, a biorąc pod uwagę widoczne w każdym

geście przerażenie, raczej nie miał nic wspólnego ani z triadą, ani z Nocnymi Jastrzębiami.

Poprowadził mnie do drugiego pomieszczenia, a potem schodami w górę. Zmrużyłem oczy, kiedy znaleźliśmy się w obszernym, urządzonym na wschodni sposób salonie.

– Nocne Jastrzębie przepraszają za nieporozumienie – powiedział konus silnie akcentowaną niemczyzną. – Teraz oferują kąpiel, po kąpeli rozmowę.

Zanim zdobyłem się na odpowiedź, niewysoki Chińczyk wskazał mi z ukłonem drzwi. Ledwo przestąpiłem próg, kilka skąpo ubranych kobiet pokłoniło mi się w pas, jedna z nich poprowadziła do wanny z parującą wodą. Skorzystałem z kąpeli, odrzucając uprzejmie inne przyjemności wyraźnie oferowane przez chińskie ślicznotki.

W godzinę później w dużo lepszym nastroju ponownie znalazłem się w salonie. Wymasowany i ogolony, ubrany w garnitur od dobrego krawca. Widać było, że moi gospodarze chcą zatrzeć złe wrażenie. Tylko dlaczego? Bo przecież nie ze strachu przede mną.

Na środku pomieszczenia ustawiono fotel, mały facecik wskazał mi mebel wymownym gestem. Ledwo usiadłem, wszyscy obecni w salonie Chińczycy, nie wyłączając tego, który mnie torturował, opadli na kolana i skłonili się przede mną, dotykając głowami podłogi.

– Nocne Jastrzębie przepraszają, że wtrąciły się w sprawy Nieśmiertelnych – powiedział Samuel, nerwowo zerkając na Chińczyków. – Przyjmą każdą karę. Szczególnie przeprasza brat Wei. Nocne Jastrzębie mówią, że jego życie należy do szanownego ucznia mistrza Suna.

Mój oprawca krzyknął coś wysokim, napiętym głosem i położył przed sobą wyciągnięty z zanadrza nóż. Oczy wszystkich Chińczyków skierowały się na mnie.

Zacisnąłem zęby, miałem wielką ochotę podejść do „brata Weia” i poderżnąć mu gardło za wcześniejsze męczarnie, ale opanowałem żądzę zemsty. To nie był czas na uleganie emocjom.

– Spytaj, co ich łączy z Jadeite Empire i triadą, która stoi za tą firmą – poleciłem.

Samuel przekazał moje pytanie, odpowiedzi udzielił wysoki, wygolony do gołej skóry mężczyzna. Jego pokryte naroślami dłonie przypominały stalowe młoty.

– Interesy.

– Czy to coś ważnego?

– Nic specjalnego – zapewnił wysoki Chińczyk za pośrednictwem tłumacza. – Zerwaliśmy już wszelkie kontakty z Jadeite Empire.

Ciekawiło mnie, czego chcieli od firmy skupującej szlachetne kamienie, ale wolałem nie przeciągać struny.

– Czy człowiek, który był ze mną, kiedy mnie porwali, żyje?
– Tak, ogłuszyli go tylko – odparł Samuel po krótkiej wymianie zdań.
– Powiedz im, że puszcę to nieporozumienie w niepamięć pod jednym warunkiem.

Samuel przetłumaczył, na twarzy Weia nie drgnął ani jeden mięsień, choć po jego skroniach spływały grube krople potu.

– Brat Lin pyta, czego żądasz?

– Chcę, żeby azjatycka centrala Jadeite Empire i wspierająca ją triada przestały istnieć.

Wysoki Chińczyk bez namysłu skinął głową. Tym razem nie potrzebowałem tłumacza, Nocne Jastrzębie przyjęły mój warunek. Odetchnąłem. Nie dość, że uszedłem z życiem, to przy okazji zlikwidowałem problem z Jadeite Empire. Definitywnie zlikwidowałem, bo nie ulegało wątpliwości, że moi rozmówcy rozwiążą go w sposób ostateczny. Cóż, kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

Byłem oszołomiony rozwojem wypadków, na usta cisnęły się pytania o Nieśmiertelnych, Suna i Nocne Jastrzębie, wołałem jednak, żeby Chińczycy nie poznali rozmiarów mojej ignorancji. Do tego nie byłem pewien, czy miałem prawo podawać się za ucznia Suna. Jeśli nie, Nocne Jastrzębie będą moim najmniejszym problemem.

– Poproś, żeby mnie odwieźli do rezydencji rodziny von Bredow – powiedziałem do Samuela.

Czas było wracać, miałem i inne sprawy.



Lokaj uzupełnił zawartość mojego kieliszka, drugi podał perfekcyjnie przyrządzony omlet. Chyba mógłbym się do tego przyzwyczaić. Obie panienki von Bredow zachowywały się wzorowo, tym razem przy posiłku nie było żadnych żartów czy kłótni. Byłem pewien, że Inga nic nie powiedziała córkom, ale zachowanie dziewczynek sugerowało, że coś wyczuły. Cóż, dzieciaki czasem tak mają.

Horst bez słowa uniósł szkło, odpowiedziałem podobnym gestem, w chwilę później dołączyła do nas Inga.

– Tatusiu, a ja? – spytała Aleksandra.

Bez słowa odmierzyłem łyżeczkę wina do szklanki z lemoniadą, spojrzałem pytająco na Klaudię.

– Mnie też – powiedziała.

Smakowałem alkohol małymi łykami, czując na języku posmak czekolady i leśnych owoców.

– Jutro odwiedzi nas komisarz Witte – poinformował Horst. –

Porozmawia pan z nim?

Mruknąłem potakująco.

– Kiedy chce pan jechać? – spytał chłopak z pozorną obojętnością w głosie.

– Zostanę dzień czy dwa, nie dłużej. Najpóźniej w sobotę muszę być w Paryżu.

– Potrzebuje pan czegoś?

Pokręciłem przecząco głową.

– Na pewno wydał pan sporo pieniędzy, czuję się w obowiązku...

– Klaudia, walnij go – poprosiłem.

Starsza panienska von Bredow z dużą przyjemnością spełniła moje życzenie.

– Ale...

– Jeśli nie masz nic mądrego do powiedzenia, to milcz – zgasiłem stanowczo chłopaka.

Horst westchnął z rezygnacją, lecz powstrzymał się od dalszej dyskusji.

– Twój wkład przyniósł spory zysk – zauważyła Inga. – Mam dalej zarządzać tymi pieniędzmi?

– Oczywiście.

– Jesteś bogaty, tatusiu? – wtrąciła Ksandra.

Nie sposób było nie zauważyć, że akcje hrabiego Przeździeckiego szły zdecydowanie w górę, od pewnego czasu córka sama szukała mojego towarzystwa, byłem też obcałowywany z różnych okazji i bez okazji.

– Zamożny – odparłem po namyśle.

– Na tyle, żeby kupić mi kucyka? – spytała chytrze.

Z trudem opanowałem rozbawienie, najwyraźniej i młodsza z pańienek von Bredow dobrze wiedziała, czego chce od życia.

– Porozmawiam o tym z mamą – obiecałem.

– Kucyk to nie to samo co koń – poinformowała Klaudia z wyniosłą miną.

– Zazdrościsz, bo nigdy nie miałaś kucyka! – zripostowała natychmiast Ksandra.

Przez dobry kwadrans dziewczynki przerzucały się złośliwościami, dopóki ich nie upomniałem. Posłuchały natychmiast, za to zaczęły domagać się bajek. Cóż było robić? Następną godzinę spędziłem w dziecięcej sypialni.



Sierżant Becker wyglądał na zakłopotanego, choć potężny siniak na

skroni świadczył, że w chwili kiedy mnie porwano, i on był nieprzytomny.

– Przepraszam, szefie – wymamrotał. – Zaskoczyli mnie. Ten skośnooki kurdupel pojawił się znikąd. Cały czas obserwowałem otoczenie!

– Byli naprawdę dobrzy – przyznałem. – Nie mam do ciebie pretensji, sam dałem się podejść.

– Jak pan im uciekł?

– Nie uciekłem, dogadałem się z nimi.

Becker spojrział na mnie sceptycznie, najwyraźniej czekając na wyjaśnienia.

– To najemnicy – wyjaśniłem niechętnie. – Powiedzmy, że przebiłem ofertę konkurencji.

– Skąd pewność, że ktoś nie przebije i pańskiej oferty? Bo jak zrozumiałem, niedługo pan wyjedzie, a wolałbym mieć pewność co do triady.

– Triadą możesz się nie martwić.

– Naprawdę?

– Naprawdę! – odparłem z przekąsem.

– Mam wrażenie, że nie mówi mi pan wszystkiego.

– I słusznie, bo nie mówię. Nie musisz znać wszystkich szczegółów. Istotne jest jedno: Jadeite Empire i triada nie stanowią już żadnego zagrożenia.

– Czyli nie mamy tu nic więcej do roboty?

Uśmiechnąłem się, słysząc w głosie rozmówcy lekkie zaniepokojenie, najwyraźniej Beckerowi odpowiadała praca dla rodziny von Bredow.

– Ależ skąd! Mimo że kryzys został zażegnany, nadal będziecie potrzebni. Chcę, żebyście zajęli się ochroną von Bredowów poza granicami rezydencji, a jeśli trzeba, pomogli komisarzowi Wittemu. Bo niewykluczone, że będzie potrzebował wsparcia.

– Rozumiem. Jak pan widzi strukturę dowodzenia?

– Będziesz wykonywał rozkazy Ingi, podobnie jak Witte. Ona nie jest głupia, wysłucha, co masz do powiedzenia, weźmie też pod uwagę zdanie komisarza i Horsta, ale decyzje będzie podejmowała jednoosobowo.

– A młody?

– Horst? Trudno powiedzieć, to zależy, na ile jest bystry. Przypuszczam, że Inga powoli wprowadzi go w rodzinny biznes. À propos: sprawdzaj wszystkie jego panienki, bo o ile się orientuję, chłopak prowadzi dość rozrywkowy tryb życia. Konkurencja może to wykorzystać.

Becker przytaknął z uśmiechem.

– Musi się wyszumieć – stwierdził wyrozumiale. – Zajmę się tym.

– Zajmij, ale dyskretnie. Lepiej, żeby młody o tym nie wiedział, chyba że trafisz na coś konkretnego.

– Tak będzie chyba najlepiej – zgodził się Becker.

Uniosłem brwi, słysząc w jego głosie dziwne zakłopotanie.

– Co znowu? – burknąłem. – Nie chcesz śledzić przyszłego pryncypała?

– Nie o to chodzi – odparł, odwracając wzrok. – Po prostu coś mi się przypomniało. A raczej ktoś.

– Słucham.

Sierzant przez chwilę milczał, wreszcie bezradnie wzruszył ramionami.

– Amelia Fichte – powiedział. – Pamięta ją pan?

– Ta z Breslau?

– Owszem.

– Co z nią?

– Mieszka w Monachium, sprawdzałem. Zastanawiałem się, czy... – Wykonał nieokreślony gest.

– Chcesz ją tu sprowadzić?

– Sam nie wiem – odparł. – No i nie wiadomo, jak podeszłaby do tego pani von Bredow. One raczej nie przepadały za sobą. Wtedy, w Breslau.

– Nie przepadały – przytaknąłem. – Ale teraz nie ma to znaczenia. Jeśli chcesz, porozmawiam z Ingą.

– O czym ze mną porozmawiasz?

Inga von Bredow pojawiła się niczym dżinn z butelki. Zajęty rozmową, nie usłyszałem jej kroków.

– Chodzi o drobiazg: Becker chce tu sprowadzić swoją dawną sympatię – wyjaśniłem.

– Sympatię? Ach, tę...

– Tę – potwierdziłem z rozbawieniem.

– To ja już pójdę – powiedział szybko Becker. – Sprawdź posturunki.

Myślałem, że Inga będzie chciała porozmawiać o paniencie Amelii, ale nieoczekiwanie spytała mnie, czy mam czas.

– Do jutra – odparłem ostrożnie. – Dlaczego pytasz?

– Jeśli chcesz kupić małej tego kucyka, musielibyśmy pojechać do klubu tenisowego. Teraz. Bo rasowe kuce w Wiedniu sprzedaje tylko Cecylia Griez von Ronse.

– W klubie tenisowym?

– To arystokratka, nie sądzisz chyba, że stoi za ladą? W Wiedniu wiele interesów, w tym te największe, załatwia się właśnie w klubach.

– No dobrze – westchnąłem. – Chodźmy.

– Najpierw musisz się odpowiednio odziać, ale to nie problem, bo mam całe szafy nieużywanych męskich ubrań. Rupert jest dandysem, kupował więcej ciuchów niż ja, a jesteście tego samego wzrostu i macie

podobną sylwetkę – dodała wyjaśniająco.

Wzruszyłem ramionami, raz czy dwa założyłem mundur zdarty z trupa, mogłem włożyć i garnitur wielmożnego Ruperta. Biorąc pod uwagę, że połamałem mu kości, można to było potraktować jako łup wojenny.



Pani von Ronse ubrana była w jedwabną bluzeczkę z głębokim wycięciem, odsłaniającym znaczną część biustu, i spódniczkę za kolano. Jej piersi rozpierały cienki materiał niczym dwie piegowate gruszki, a kształtne łydki świadczyły o korzystnym wpływie tenisa na kobiecą urodę. Wąska twarz o drapieżnym profilu zastygła w uprzejmym uśmiechu, ale brązowe oczy kobiety były twarde niczym dwa krzemienie.

Inga przedstawiła nas sobie, po czym zasiedliśmy w klubowym atrium, pod szklanym dachem.

– Więc chce pan kupić kucyka dla Aleksandry? – spytała po chwili. – Najwyższy czas! Myślałam, że zrobi to ojczym – dorzuciła złośliwie.

– A ja myślałem, że dla kupca liczy się tylko cena, a nie osoba klienta – odparowałem, zanim Inga zdobyła się na ripostę.

Moja rozmówczyni zareagowała ognistym rumieńcem, najwyraźniej przypomnienie, że występuje w funkcji sprzedawcy, niespecjalnie się jej spodobało.

– A pan nie robi interesów, hrabio? – spytała z ironią.

– Ależ robię – przyznałem ochoczo. – Głównie inwestuję.

– Czyżby w firmę Ingi?

– Między innymi.

– Słyszałam, że macie jakieś kłopoty? – zwróciła się do pani von Bredow.

– Mieliśmy – sprostowała Inga. – Aleks to załatwił.

Cecylia Griez von Ronse obrzuciła mnie taksującym spojrzeniem, jej wzrok zatrzymał się na moich dłoniach i wystającym spod mankietu koszuli zegarku.

– Nosi pan lotniczy zegarek – zauważyła. – Jak żołnierz. I ma pan rękę żołnierza.

– Prawie zgadłaś – powiedziała Inga, przytulając się do mojego ramienia. – Aleks był żołnierzem.

– Wracając do twoich problemów, nie boisz się, że Jadeite Empire zabierze ci wszystko? Słyszałam, że zaczęłaś sprzedawać aktywa.

– Nie zaczęłam. Przeprowadziłam audyt, to wszystko.

– Wiedeńska filia Jadeite Empire spłonęła. Wie pan coś o tym, hrabio?

Uśmiechnąłem się nieznacznie: planując atak na Jadeite Empire kazałem Beckerowi spalić wszystko w cholerę. Ponieważ ogień podłożono fachowo, po firmie zostały jedynie okopcone ruiny i kilka zwęglonych ciał. Zwłoki naszych ludzi i zastrzelonych ochroniarzy Becker zabrał ze sobą. Być może dokładna sekcja wykazałaby, że ten czy ów nieboszczyk ma skręcony kark albo zginął od ciosu noża, jednak nikt nie był tym zainteresowany. Policjanci opłacani przez Jadeite Empire nie śmieli nalegać, aby przeprowadzono dodatkowe badania, tym bardziej, że Horst poprzez swoje kontakty zasugerował, iż jest skłonny przejąć rolę płatnika. Dlatego oficjalna wersja wspominała o niesprawnej instalacji elektrycznej.

– Czyżby miała pani akcje tej firmy? – odpowiedziałem pytaniem. – Jeśli tak, radziłbym się pozbyć ich jak najszybciej.

Pani von Ronse zachowała pokerowy wyraz twarzy, lecz zaciśnięte na kieliszku palce sugerowały, że trafiłem.

– A to dlaczego? Jadeite Empire ma oddziały na całym świecie i dominuje na rynku azjatyckim. Byłoby głupotą, gdybym wycofała swoje udziały z powodu przypadkowego pożaru.

– Rzeczywiście, przypadkowe pożary zdarzają się wszędzie – przyznałem, kładąc akcent na słowo „przypadkowe”.

Moja rozmówczyni nie była idiotką i natychmiast zorientowała się, o co chodzi.

– To może pojedziemy obejrzyć te kucyki? – zaproponowała. – Dwa dni temu dotarła do mnie partia szetlandów, w tym dwa wspaniałe kuce pod wierzch.

– Jedźcie sami – powiedziała niespodziewanie Inga von Bredow. – Ja mam jeszcze sprawy do załatwienia.

Pani von Ronse nie trzeba było powtarzać dwa razy, po chwili maszerowaliśmy już do wyjścia, czułem zapach perfum „Coeur Joie” i ciepło kobiecego ciała – jak należało, podałem jej ramię. Nie zdziwiłem się, widząc, że na parkingu prowadzi mnie do czerwonego ferrari. Marka do niej pasowała.

– Może zaczniemy mówić sobie po imieniu? – zaproponowała. – Męczy mnie przestrzeganie norm towarzyskich.

Swobodna poza mojej rozmówczyni – jakimś cudem jej spódniczka podjechała w górę, odsłaniając zgrabne uda – sugerowała, że nie tylko towarzyskich.

– Będzie mi bardzo miło – zapewniłem.

W nagrodę otrzymałem buziaka. Nie liczyłem na nic więcej, Cecylia prowadziła.

– Z Jadeite Empire to prawda? – spytała. – Mówiłeś poważnie?

– Śmiertelnie.

– Ale jest przecież zarząd, kierownictwo, w zgłiszczach znaleziono tylko ciała strażników. Co z tego, że spalił się jakiś budynek, jeśli wrócą...

– Nie wrócą – przerwałem jej bezceremonialnie.

– A centrala w Singapurze?

– Tamtejszy zarząd także nie będzie w stanie kierować firmą.

– Nie słyszałam, żeby mieli jakieś kłopoty.

– Bo nie mają. Jeszcze nie. Za kilka dni akcje Jadeite Empire zaczną spadać na łeb na szyję. Za dwa tygodnie staną się bezwartościowe.

– Zainwestowałam tam sporą sumę.

– Zrobisz, jak zechcesz – odparłem, wzruszając ramionami.

Zdawało się, że moja obojętność zaniepokoiła ją bardziej niż wcześniejsze rewelacje. Przyspieszyła i resztę drogi przebyliśmy w milczeniu.

Posiadłość Cecylii von Ronse znajdowała się na peryferiach miasta, co było logiczne, biorąc pod uwagę, że prowadziła hodowlę kucyków. Całość przypominała wiejską farmę, jedyny dysonans stanowili uzbrojeni wartownicy przy bramie. Najwyraźniej Wiedeń nie był aż tak bezpieczny, jak powszechnie uważano.

– Nie masz pojęcia, ile kosztują niektóre kucyki – skomentowała Cecylia, przechwytyjąc moje spojrzenie.

– Przypuszczam, że niedługo się dowiem – odparłem cierpko.

– Podobno jesteś bogaty.

– Niebiedny – przyznałem. – À propos, skąd ta informacja? Przebywam w Wiedniu dopiero kilka dni.

Moja towarzyszka zaparkowała niedaleko stajni i ze śmiechem wyskoczyła z samochodu.

– Wiedeń to duża wioska, tu nie ma tajemnic. Od blisko tygodnia jesteś tematem plotek we wszystkich damskich klubach.

– To chyba dość nudny temat? – zauważyłem.

– W żadnym wypadku! Niektórzy nawet powiązali twoje przybycie z wypadkiem Ruperta von Taschy. Wiesz, on nie cieszy się dobrą opinią.

– I jaki ma to związek ze mną?

– Cóż, wszyscy się zastanawiają, kim jesteś dla Ingi. Jeżeli jedynie partnerem biznesowym, wątpliwe, żeby Rupert cię obchodził. Jeśli kimś więcej, pewna reprimenda byłaby na miejscu.

– Reprimenda?

– Och, daj spokój! Wszyscy wiedzą, że von Tascha to cham i brutal, kilka razy stawał przed sądem oskarżony o pobicie. Nie sądzę, żeby wobec Ingi był bardziej szarmancki – rzuciła szorstko. – My wszyscy rywalizujemy ze sobą, czasem robimy sobie drobne świństwka, bywamy złośliwi, ale są pewne granice, których się nie przekracza. Rupert naruszył większość z nich.

Ująłem Cecylię pod brodę, spojrzałem w oczy, wyglądało, że mówi

prawdę.

– I jak go ukaraliście? – spytałem sarkastycznie.

– Nikt z nim nie robi interesów, mało kto przyjmuje w domu, są tylko dwa kluby, które go tolerują – odparła rzeczowo. – Gdyby rozeszła się wieść, że ostatni incydent miał związek z jego zachowaniem wobec Ingi, szanowny von Tascha stałby się pariasem. Inga jest lubiana.

– Tak bardzo, że jej przyjaciółki finansują konkurencję za jej plecami?

– To tylko drobne świństwo – powiedziała Cecylia z zimną krwią. – Co innego oskubać ją finansowo, przecież nie grozi jej bankructwo! a co innego tolerować wyczyny von Taschy. Więc?

Weszliśmy do stajni, poczułem zapach koni i siana, wewnątrz uwijało się kilku mężczyzn, pomieszczenie utrzymywano w idealnej czystości. Pracownicy musieli rozpoznać Cecylię, ale nikt nie zwracał na nas uwagi.

– Jeśli spróbujesz wykorzystać to przeciwko Indze...

– Nie zrobię tego, przysięgam! Chodź! – Pociągnęła mnie do pustego boksu. – Tu porozmawiamy spokojnie.

Pogładziłem ją po szyi, dotknąłem tętnicy. Nie bronila się, jej puls wyraźnie przyspieszył.

– On ją skatował – powiedziałem. – I o mało nie pobił Aleksandry, bo ta stanęła w obronie matki. Nie wiem, jakie granice przekroczy jeszcze von Tascha, ale na pewno nikogo nie dogoni i nie uderzy. Nie będzie w stanie.

– Kim jesteś dla Ingi? – spytała szybko.

– A to już nie twoja sprawa – uciąłem stanowczo.

– Mogłaby być moja – zripostowała, przysuwając się do mnie.

– Nie na pierwszej randce – powiedziałem z udaną obojętnością.

Cóż, Bogiem a prawdą od dawna nie miałem kobiety, a Cecylia była warta grzechu. Sam nie wiem, co mnie powstrzymało – może obawa, że stanę się pionkiem w rozgrywce między szlachetnie urodzonymi damami? A może moje, było nie było, arystokratyczne pochodzenie? Szlag by to trafił! Czasem lepiej być prostym żołdatem.

– Nie wiesz, co tracisz! – parsknęła gniewnie pani von Ronse.

– Nie wiem – przyznałem zgodliwie. – To co, pokażesz mi te kucyki?

– Za mną, kapitanie! – poleciała, wychodząc z boksu.

– Pułkowniku – sprostowałem łagodnie.

– Ta tutaj nazywa się Marchewka. – Wskazała niewielkiego wzrostu klaczkę. – Za marchewkę zrobi wszystko. Poza tym jest łagodna i lubi dzieci. Ten obok to Bayard. Szybki, energiczny, lecz wymaga twardej ręki. A to mój ostatni nabytek, Pączek. Inteligentny, cierpliwy, ale niezależny.

– Chcę je zobaczyć w ruchu – powiedziałem. – Marchewkę i Pączka.

Za Bayarda podziękuję.

– A to dlaczego?

– Moja córka ma zbyt miękkie serce, żeby karcieć chuligana – odparłem spokojnie.

– Twoja...

– Córka – powtórzyłem.

Pani von Ronse pobladła i uniosła dłoń, jakby chciała zasłonić się przed ciosem w twarz.

– Uspokój się – mruknąłem. – Nie jestem von Taschą. Chcę tylko kupić kucyka. No i nie mam przecież powodu, żeby cię karcieć, prawda?

Cecylia przełknęła ślinę i energicznie skinęła głową.

– Prawda – potwierdziła. – Chodźmy na padok.

Moja towarzyszka wydała kilka poleceń i stajenni wyprowadzili oba kucyki.

– Zwróć uwagę, jak się poruszają i reagują na komendy.

– Nie znam się na koniach, ale spróbuję.

– Nie znasz się na koniach? – spytała ze zdziwieniem. – Inga wspominała, że poznaliście się w Breslau. Niemiecki oficer, arystokrata mógł służyć tylko w SS-Reiteri, a to był przecież klub jeździecki.

Westchnąłem z rezygnacją, najwyraźniej pani von Bredow nie potrafiła utrzymać języka za zębami.

– Byłem wyjątkiem.

Tymczasem niski, pękaty mężczyzna zaczął oprowadzać na lonży Marchewkę, ta dzielnie kłusowała, wykonując wszystkie polecenia stajennego. Po chwili podobnie zaprezentował się Pączek. Oba koniki wyglądały na zdrowe, sprawne i chętne do zabawy.

– Który ci się bardziej podoba? – spytała Cecylia.

– Bo ja wiem? – powiedziałem niezdecydowanie. – Obydwa są sympatyczne.

– Może kupisz oba? – zaproponowała z błyskiem w oku. – Nie będą się czuły samotne.

Z trudem zachowałem powagę, ot, kupieckie podejście! A mówią, że arystokracja nie zna się na interesach.

– Niech będą oba – powiedziałem. – W stajni jest dużo miejsca.

– Naprawdę?

– Tak. Ile mnie to będzie kosztowało?

Cecylia podała kwotę, która wystarczyłaby na zakup kilku traktorów. Bez słowa wypisałem jej czek, hrabiemu Przeździeckiemu nie wypadało się targować.

– Dorzucę do tego cały ekwipunek łącznie z siodłami dla dzieci. Ksandra będzie mogła od razu rozpocząć lekcje.

Podziękowałem uśmiechem, zerknąłem na zegarek.

– Muszę się zbierać – powiedziałem.

– Naprawdę? – Pani von Ronse rzuciła mi powłóczyście spojrzenie. – Mógłbyś zostać na obiad.

Skłoniłem się i ucałowałem jej dłoń, z doświadczenia wiedziałem, że kobiety najbardziej nienawidzą obojętności.

– Kuszająca propozycja – przyznałem. – Jednak jutro wyjeżdżam, a chciałbym pobyc jak najdłużej z córką.

– Kiedy wrócisz?

Wzdrygnąłem się, niewinne przecież pytanie podziało na mnie jak cios w żołądek. Musiałem zmienić się na twarzy, bo Cecylia spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Nie wiem – odparłem chrapliwie.

– Mówiłeś, że Jadeite Empire...

– Z Jadeite Empire wszystko jest, jak powiedziałem – wszedłem jej w słowo. – Niestety, mam i inne problemy. Ja osobiście, a nie Inga – podkreśliłem.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytała.

Uniosłem brwi, w głosie Cecylii rozbrzmiewał prawdziwy niepokój, tak jakby się bała, że odpowiem twierdząco, ale mimo to nie spuściła wzroku.

Chciałem pocałować ją w policzek, wtedy niespodziewanie poruszyła się i trafiłem na jędrne, soczyste usta. Kiedy oderwaliśmy się od siebie, Cecylia nie mogła złapać tchu, a i ja potrzebowałem chwili, żeby się opanować. Udało mi się to szybciej niż towarzysze, cóż, miałem pewną wprawę: niemal zawsze w sytuacji zagrożenia odczuwałem wzmożone zainteresowanie płcią przeciwną. Zdążyłem się przyzwyczaić. Instynkt zachowania gatunku, kurwa jego mać!

Pożegnałem się krótko, niemal oschle, i wezwałem taksówkę. Czas było wracać, chciałem zobaczyć minę Ksandry, kiedy dostanie kucyki, potowarzyszyć jej w zabawie. Póki jeszcze mogę.



Wyrzałem przez okno: masztalerz wyprowadził już oba kucyki do parku, zarówno Pączek, jak i Marchewka były osiodłane, każde z ogromną, różową kokardą na szyi.

– Zamknij oczy – poprosiłem.

Aleksandra popatrzyła na mnie niepewnie, po czym powoli, z wahaniem zasłoniła rękoma oczy. Zacisnąłem zęby, widząc na buzi córki obawę, nieledwie strach. Chyba za szybko skończyłem z von Taszą, trzeba mu było złamać i drugą rękę.

Podniosłem ją i szybko zbiegłem ze schodów, w parku zebrali się

wszyscy członkowie rodziny von Bredow i kilku spadochroniarzy.

– Już, możesz obejrzeć swoją niespodziankę – powiedziałem, stawiając Saszkę na ziemi.

Dziewczynka otworzyła usta na widok dwóch szetlandów.

– To dla mnie? – spytała bez tchu. – Który jest mój?

– Oba – odparłem z uśmiechem.

– Dziękuję, tatusiu! Dziękuję!

W chwilę później najmłodsza z pań von Bredow pokrywała moją twarz buziakami.

– Kiedy będę mogła na nich jeździć?

– Zaraz. Ale na razie tylko na lonży – uprzedziłem.

– Są śliczne! Jak się nazywają?

– To jest Pączek, a to Marchewka – przedstawiłem oba kucyki.

Skinąłem dłonią i masztalerz podał mi koszyk z marchewką. Podeszedłem do klaczki i podsunąłem jej przysmak na otwartej dłoni. Nie da się ukryć, że z pewną nieśmiałością – mojej stosunki z końmi nie układały się najlepiej – ale najwyraźniej nie dotyczyło to kucyków. Poczułem tylko muśnięcie miękkich warg i Marchewka chrupała już swój smakołyk.

– Tatusiu, jak też tak mogę?

– Oczywiście – przyzwoliłem. – Jeśli ją ugryziesz, przerobię cię na kabanosy – zwróciłem się szeptem do klaczki.

Marchewka spojrzała na mnie z łagodnym wyrzutem, po czym podeszła do Ksandry i równie delikatnie jak przed chwilą odebrała ulubiony specjał. Saszka zapiszczała radośnie i objęła kucyka za szyję.

– A teraz wskakuj – powiedziałem. – Klaudia pokaże ci, jak to się robi.

Starsza z pań von Bredow podeszła do Pączka z nonszalancką miną i jednym skokiem znalazła się na grzbiecie kucyka.

– Tak wsiadają zaawansowani – oznajmiła wyniośle. – Ale ty jesteś jeszcze za mała, więc pokażę ci sposób dla dzieci.

Aleksandra była tak zafascynowana Marchewką, że nie zwróciła uwagi na złośliwości siostry. Wkrótce obie dziewczynki kłusowały po parku.

– Rozpuścisz ją jak dziadowski bicz – oznajmiła szeptem Inga. – Dwa kucyki to naprawdę przesada.

– Mogę już iść? – spytał znudzonym tonem Horst. – Wskoczyłbym do miasta – powiedział.

– Idź – zgodziłem się. – Tylko pamiętaj o poradach doktora Fuchsa.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu i ruszył biegiem.

– Co za doktor Fuchs? – rzuciła gniewnie Inga. – I dlaczego mam wrażenie, że nikt nie pytał mnie o zdanie?

– Bo i nie pytał – wyjaśniłem, łagodząc słowa pocałunkiem. – To kwestia bezpieczeństwa, wcześniej zabroniłem mu wychodzić do

miasta.

– O co chodzi z tym doktorem? – powtórzyła.

– W Breslau wygłaszał pogadanki na temat chorób wenerycznych. Nie sądzisz chyba, że twój syn spieszy się do biblioteki? – dodałem, widząc niezrozumienie na twarzy Ingi.

– Nie chcę nawet o tym myśleć – wymamrotała. – To wszystko przez ciebie! Teraz będę sobie wyobrażała, jak kotłuje się w tanim motelu z jakąś lafiryndą!

– Nie martw się, kazałem Beckerowi sprawdzić panienkę Horsta. Na wszelki wypadek.

Pani von Bredow szturchnęła mnie łokciem, ale nie była naprawdę zła.

– Jak ci poszło z Cecylią? – spytała, nie kryjąc sarkazmu. – Zaproponowała jakiś bonus do transakcji? Jest z tego znana, mam nadzieję, że i ty pamiętałeś o naukach doktora Fuchsa, bo jej ostatni klient miał dziwną wysypkę.

– Na szczęście mam dostęp do penicyliny – odciąłem się złośliwie.

Inga w odpowiedzi pokazała mi język.



Już w Breslau Witte przypominał starego, pomarszczonego jamnika, teraz to podobieństwo jeszcze bardziej się uwydatniło. Inga zasypała go dokumentami dotyczącymi handlu kamieniami szlachetnymi i były komisarz siedział nad nimi całe popołudnie. Kiedy wreszcie mogłem z nim pomówić – ponieważ większość dnia spędziłem na zabawie z dziewczynkami i załatwianiu spraw związanych z wyjazdem – wyglądał, jakby nie spał przez tydzień, ale podpuchnięte, załzawione oczy nadal patrzyły uważnie, dostrzegając każdy szczegół.

– I jak tam? Co pan sądzi na temat rynku kamieni szlachetnych? – spytałem.

– Widzę spore perspektywy – odparł ostrożnie. – Przygotowałem wstępny raport.

Usiadłem przy biurku i zająłem się sprawozdaniem. Szkic był lapidarny, liczył około dziesięciu stron, ale zawierał prognozę na najbliższe lata, wymieniał najbardziej prawdopodobne zagrożenia i środki bezpieczeństwa, jakie trzeba podjąć, aby ich uniknąć.

– Tego nam było trzeba – mruknąłem.

– Nam? – natychmiast podchwycił Witte. – Ma pan udziały w firmie pani von Bredow?

– Można tak powiedzieć – odparłem z roztargnieniem.

– I jak pan ocenia moją analizę? – rzucił niespokojnie.

– Jest znakomita, choć dość ogólna. Poza tym nie znał pan wszystkich faktów.

– A mianowicie?

Nie namyślając się długo, zapoznałem Wittego z nieco okrojona wersją wydarzeń, pomijając wątki osobiste i kwestie związane z Nocnymi Jastrzębiami.

– Działal pan poza granicami prawa – skonkludował.

– Owszem. Niestety, nie można całkowicie wykluczyć takich akcji w dającej się przewidzieć przyszłości, choć sądzę, że przez rok czy dwa będziemy mieli spokój. A teraz do rzeczy: czy jest pan gotów pracować w firmie Ingi jako ekspert od spraw bezpieczeństwa? Działaniami siłowymi zajmie się kto inny, ale to pan będzie strategiem.

– Tak – odparł natychmiast.

Skinąłem głową z zadowoleniem, najwyraźniej od czasów Breslau ekspolicjant zmienił poglądy na życie, dawniej za nic nie złamałby przepisów.

– Jak się miewa panna Monika? – spytałem.

– Pochowałem ją dwa lata temu – odparł głucho. – Rak. Nie, nie chodziło o pieniądze – dodał, widząc moje spojrzenie. – Stać mnie było na leczenie, ale choroba postępowała zbyt szybko. Ona była dzielna, do samego końca.

Położyłem mu rękę na ramieniu, na moment przywołałem z pamięci dziewczynę o figlarnych brązowych oczach i okrągłej, obsypanej piegami buzi. Cóż, wszyscy kiedyś umrzemy, w taki czy inny sposób, choć osobiście wolałbym kulę w sercu niż powolne konanie w pościeli przesiąkniętej odorem lekarstw i środków dezynfekcyjnych. Tyle że nie mnie o tym decydować. Nie mnie...

– Chodźmy na kolację – powiedziałem, zmieniając temat. – Już czas.

– Jestem tylko pracownikiem pani von Bredow, nie wypada, żebym siadał za stołem z rodziną – zauważył nerwowo Witte.

– Bzdura! Niech pan się przyzwyczaja, zapewne część spraw będziecie omawiać przy posiłkach. Oczywiście po wyekspediowaniu z jadalni panienek.

– À propos panienek, Klaudię pamiętam z Breslau, ale Aleksandra... – Spojrzał na mnie wymownie.

– To moja córka – przyznałem. – Informacja wyłącznie do pańskiej wiadomości.

– Pan niczego nie mówi ot, tak sobie – odparł z namysłem.

– Chcę, żeby pan wiedział, iż moja troska o rodzinę von Bredow wynika nie tylko z udziałów w ich firmie.

– Niech pan się nie martwi, nie zawiodę ich.

Otworzyłem drzwi i przywołałem gestem byłego policjanta.

– Czas coś zjeść – ponagliłem.

Przeszliśmy korytarzem do jadalni, za stołem siedziała już cała rodzina von Bredow.

– Komisarz Witte – przedstawiłem gościa.

– Emerytowany komisarz – poprawił pedantycznie.

Inga i Horst przywitali się z ekspolicjantem, jakby widzieli się wczoraj, dziewczynki grzecznie dygnęły.

– Łapie pan bandytów? – spytała Ksandra.

– Łapie, łapie – potwierdziłem, zanim Witte zdobył się na odpowiedź.

– Takich, co podkradają cukierki, też? – kontynuowała z wyraźnym niepokojem.

– Prawdziwych bandytów, ty głupia! – oświeciła siostrę Klaudia. – Takich, co biją i strzelają!

– Klaudia! – upomniała córkę Inga von Bredow.

– Podkradanie słodyczy to tylko drobne wykroczenie – powiedział Witte, z trudem hamując wesołość.

Bez słowa podsunąłem mu półmisek z płatami wędzonego łososia, przez dłuższą chwilę wszyscy biesiadnicy solidarnie posilali się przy akompaniamencie brzęku sztućców i dźwięku trącanego szkła. Z kulinarnego transu wyrwało mnie chrząknięcie: w drzwiach stanął lokaj.

– Taumann? – odezwała się pytająco Inga.

– Pan Becker do pana hrabiego – oznajmił służący.

Mimo beznamiętnego tonu w jakiś sposób udało mu się przemyścić bezmiar niesmaku przy anonsowaniu Beckera. Najwyraźniej famulus uznał go za niegodnego przebywania w towarzystwie lepiej urodzonych.

– Dodatkowe nakrycie, krzesło! – zakomenderowałem ostro.

Nawet Inga wzdrygnęła się na mój ton, a Taumann pobladł jak świeżo pobielona ściana.

– Natychmiast! – wyjąkał i rzucił się do biegu.

– Nie chciałbym przeszkadzać – zawahał się Becker. – Może przyjdę później? Bo musimy porozmawiać. Pilnie.

– Siadaj! – burknąłem – I częstuj się. Od tej pory będziesz jadł ze wszystkimi. Jest wiele spraw, które lepiej będzie omawiać w obecności wszystkich zainteresowanych.

Tymczasem służba zatroszczyła się o Beckera i ten usiadł między mną a komisarzem.

– Opowiesz mi bajkę? – spytała lekko sennym głosem Ksandra.

– Opowiem – obiecałem. – Za pół godziny. Akurat zdążysz się wykapać i przebrać w piżamkę.

– Ja też chcę bajkę! – zaznaczyła z naciskiem Klaudia.

– Za pół godziny – powtórzyłem.

Obie panienki von Bredow szybko dokończyły swoje porcje, po czym

przepychając się i piszcząc, wybiegły z jadalni. Becker otworzył usta, powstrzymałem go niecierpliwym gestem.

– Od dzisiaj panowie Witte i Becker będą posilać się razem z wami – oznajmiłem Indze. – To twój sztab. Codziennie będziecie omawiali bieżące sprawy, w ten sposób unikniecie poważniejszych błędów. Witte odpowiada za zbieranie informacji i strategię, Becker za taktykę i operacje siłowe. Wszystko jasne?

Pani von Bredow przytaknęła, choć po jej minie było widać, że gdyby okoliczności były inne, musiałbym się długo tłumaczyć ze swojego tonu. Becker i Witte odpowiedzieli karnym *jawohl!*

– A ja? – odezwał się Horst. – Co ja mam robić? Jestem już dorosły!

– Co masz robić? To, co ci każą – odparłem obojętnie. – Czasem zadanie wyznaczy ci matka, czasem Becker bądź komisarz. Musisz uczyć się, jak prowadzić firmę, ale nie zaszkodzi, jeśli zapoznasz się z obowiązkami spoza tego obszaru.

– Kto ma o tym decydować? – spytała Inga ostro. – Oceniać ryzyko takiej akcji?

– Ty, a któż by inny? Ty tu decydujesz. Nie chcę ingerować w twoje kompetencje, po prostu staram się stworzyć schemat, który pozwoli ci kierować firmą także w razie kłopotów.

Wzrok Ingi złagodniał, wygładziła fałdkę na obrusie.

– Nie będziesz mógł nam pomóc jakby co?

– Nawet jeśli zrealizuję swoje plany w stu procentach, szczególnie kiedy je zrealizuję, miną lata, może dziesięciolecia, zanim pozwolą mi wyjechać z Rosji. Za dużo wiem.

– À propos planów – wtrącił Becker. – Śledzą pana Ruscy. Ba! Żeby tylko! Odkąd wrócił pan z miasta, obserwują posiadłość, a niedaleko czeka ośmioosobowa grupa w trzech samochodach. Nie chcę krakać, ale to mi wygląda na ekipę likwidacyjną.

Zakląłem, nie krępując się obecnością Ingi. Tak się skupiłem na wdziękach pani von Ronse, że nie zauważyłem ogona. Nerwowo zabębniłem palcami w stół. Ekipa likwidacyjna? Toż niedawno towarzysz Łunnicki zapewniał mnie o swojej przyjaźni! Chyba że to nie Łunnicki, a Tagilin. Zimny pot wystąpił mi na czoło, Tagilin był pieskiem Berii i mógł mnie zabić tylko wówczas, gdyby genkom mu na to pozwolił. Znaczący Beria jest przekonany, że go zdradziłem, i spisał mnie na straty. Logiczne, biorąc pod uwagę, że bez jego wiedzy wyjechałem do Wiednia. Kurważ jego mać!

– Co robimy? – przerwał moje rozmyślenia Becker.

– Jutro mam samolot do Paryża. Jeśli nie zrobimy czegoś z tą ekipą, nie dojadę do lotniska.

– Możemy to załatwić – powiedział Becker. – Tylko że prędzej czy później Ruscy zorientują się, kto panu pomógł.

– To nie ma znaczenia – mruknąłem. – Jeśli Beria przejmie schedę po Stalinie, i tak was wszystkich zabije.

Inga zakrztusiła się winem, a Witte zacisnął usta, jedynie Horst i Becker nie zareagowali.

– Jutro rano pojedę na lotnisko, tamci na pewno już wiedzą, o której mam samolot, więc się nie zdziwią – kontynuowałem. – Kiedy mnie zatrzymają, wkroczycie do akcji i załatwicie sprawę.

– Którędy chce pan jechać? – spytał Becker. – Bo jeśli chcemy się na nich zasadzić, musimy znać trasę.

– Przynieś jakąś mapę – poleciłem Horstowi. – Znajdziemy jakąś ustronną uliczkę.

– Pójdę do dziewczynek – oznajmiła Inga.

– Ja też chcę w tym brać udział – powiedział twardo Horst, kiedy wrócił z mapą.

– Zobaczymy – odburknąłem.

Tymczasem Becker zrobił miejsce na stole i rozłożył mapę Wiednia. Wyjąłem z kieszeni ołówki i nakreśliłem przykładową trasę.

– Nie da rady – pokręcił głową Horst. – Nie tędy. Toż to dwie przecznice od Herrengasse, tam niedaleko jest posterunek policji.

– Co proponujesz?

Chłopak zaznaczył trasę omijającą centrum miasta, tuż obok jednego z pomniejszych parków.

– Tu można urządzić zasadzkę – rzucił.

Spojrzałem pytająco na Beckera, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Chłopak zna miasto – powiedział. – My nie.

– W porządku, jedziesz z nami – zdecydowałem. – Ale tylko jako przewodnik. A teraz zbieraj się, musisz pokazać ludziom to miejsce, tak żeby jutro wszyscy wiedzieli, co robić. I jeszcze jedno: ani słowa matce!

– Tak jest! – wyszczerzył zęby Horst.

Westchnąłem w duchu; jeśli coś pójdzie nie tak, będę marzył, żeby dorwał mnie Beria, a nie Inga...



Przyszła do mnie zaraz po północy, nie spałem, jak zwykle przed akcją, zatopiłem się więc w lekturze. Cienka jak pajęczyna koszulka nocna nie ukrywała jej wdzięków. Światło lampki ukazywało pełne, krągłe piersi, sterczące sutki, ciemniejszy trójkąt u złączenia ud. Zanim położyła się przy mnie, zamknęła drzwi na klucz.

– Nic nie mów – wyszeptała. – Po prostu mnie kochaj.

Wtuliłem głowę między jej piersi, całowałem je długo, drażniłem

językiem, potem jednym ruchem ułożyłem Inge na plecach, wszedłem między uda. Skóra Ingi była ciepła i gładka jak jedwab, wargi nabrzmiałe i nienasycone. Ani na chwilę nie zamknęła oczu, bez przerwy powtarzała moje imię, pojękiwała i darła paznokciami moje plecy. Pozwalała na wszystko, oddając mi się z dzikim zapamiętaniem. Kiedy skończyliśmy, zegar w holu wybił drugą w nocy.

– Przeżyjemy? – spytała głosem bezradnym jak u kilkuletniego dziecka.

– Przeżyjecie – odpowiedziałem stanowczo.

– A ty?

– I ja przeżyję.

Niespodziewanie poczułem absurdalną, niczym nieuzasadnioną pewność, że tak będzie. Tylko przez moment, lecz to wystarczyło, żeby mój głos zabrzmiał przekonująco.

– Wszyscy przeżyjemy, a Beria będzie gryzł piach.

Łzy Ingi zmoczyły mi bark, spłynęły na nagi tors.

– Dlaczego nie mogę... z tobą? Razem?

Scałowałem wilgoć z jej twarzy, pogłaskałem po głowie.

– Taki los – odparłem ciężko. – Karma.

Niemal do rana tuliłem ją w ramionach i pocieszałem, opowiadając, jak dziewczynki będą dorastały, bezpieczne, żyjąc w bajkowym pałacu, niczym dwie małe księżniczki. Jak w końcu zapełnią dom własnymi dziećmi, a Inga będzie rozpieszczała wnuki, pozostawiając zarządzanie firmą Horstowi. O sobie nie powiedziałem ani słowa, oboje wiedzieliśmy, że nie ma dla mnie miejsca w życiu rodziny von Bredow. Nawet jeśli Beria zginie, będę miał zbyt wielu wrogów, żeby kontaktować się otwarcie z tymi, na których mi zależy. Taki los.



Wcisnąłem pedał gazu, nie pomogło. Mój mercedes był szybki, ale dwa czarne citroeny zbliżały się, nieubłagane skracając dystans. Zahamowałem gwałtownie, poczułem w ustach smak krwi z przygryzionej wargi.

– Teraz! – zawołałem.

Gunnar podniósł się z tylnego siedzenia, rozbił szybę uderzeniem kolby i długą serią zatrzymał jeden ze ścigających nas wozów. Spod maski „cytryny” zaczął wydobywać się dym. No, ci już nigdzie nie pojedą.

Z obu aut wysypali się bezpieczniacy, zajęli stanowiska za samochodami i w pobliskich bramach, odpowiedzieli ogniem. Na

szczęście mieli tylko broń krótką, najwyraźniej nie spodziewali się z mojej strony żadnego oporu. Zresztą przy takiej przewadze liczebnej nie miało to większego znaczenia. Bezpieka nie liczyła się ze stratami, *u nas ludziem* mnogo.

– Trafiłem dwóch! – wydyszał Gunnar. – Zostało jeszcze sześciu.

– Spokojnie, nie wychylaj się! – rozkazałem.

Sam przycupnąłem na przednim siedzeniu, ściskając w dłoni pistolet. Nie miałem zamiaru walczyć z ekipą Tagilina, tym miał zająć się Becker i jego chłopcy.

– Obchodzą nas z prawej! – ostrzegł Gunnar.

Zakląłem pod nosem i wyprysnąłem z wozu szczupakiem, przetoczyłem się po bruku i wystrzeliłem kilka razy w stronę kryjącego się w bramie mężczyzny. Krótki, stłumiony jęk świadczył, że trafiłem.

– Gdzie oni są?! – wrzasnąłem.

Gwałtowny ogień zmusił mnie do zmiany pozycji, po raz kolejny przetoczyłem się, brudząc elegancki do niedawna garnitur.

– Może trafili na korek? – zażartował Gunnar.

Spadochroniarz zdążył zmienić magazynek i teraz utrzymywał bezpieczniaków na dystans.

– Poddaj się, Razumowski! – wrzasnął znajomy głos. – Nie masz szans! I tak cię zabijemy! Ciebie i tę twoją szwabską suczkę!

No proszę, po moją duszę pofatygował się sam towarzysz Tagilin.

– Wreszcie przyjechali – oznajmił z zadowoleniem Gunnar.

Jeden z bezpieczniaków wybiegł zza citroena, zamierzając zająć nas z boku, ale Fallschirmjäger skosił go krótką, precyzyjną serią. Niemal natychmiast zawtórowały mu kolejne, nareszcie Becker włączył się do akcji. W minutę później było już po wszystkim.

Tagilina znalazłem za drugim citroenem, najwyraźniej zamierzał uciec, tyle że nie zdążył: ktoś przestrzelił mu oba kolana.

– Nie ośmielisz się, Razumowski! – wysyczał. – Działam z rozkazu samego towarzysza Berii!

– Beria raczej ci nie pomoże – wycedziłem przez zęby. – A ja strasznie nie lubię, gdy ktoś grozi moim bliskim.

– Nie możecie! – zawył Tagilin. – Jestem radzieckim oficerem!

Nieduże składane ostrze z okładziną z kości słoniowej nie było przeznaczone do walki, ot, nożyk do garnituru, ale tak czy owak wystarczyło: rozprułem Tagilina od krocza po mostek. Wiedziałem, że prędzej czy później sprawa wypłynie, ludzi plotkują, nawet w bezpiece. To było przesłanie dla wszystkich, którzy chcieliby mnie dorwać przez Ingę albo dzieciaki. Nie warto, towarzysze, nie warto...

Wokół rozszedł się żelazisty zapach krwi, przemieszany ze smrodem ludzkiego gówna. Cóż, rozcięte jelita nie pachną zbyt ładnie.

– Zbierajmy się, szefie! – ponaglił mnie Becker.

Wytarłem zakrwawione dłonie, brudną chusteczkę rzuciłem na ziemię, po raz ostatni spojrzałem na Tagilina. Ten jeszcze żył, w kącikach jego ust zebrała się krwawa piana, słychać było chrapliwy, rżący oddech. Nie krzyczał. Nie mógł.

– Musiał pan go tak? – spytał Horst.

Chłopak wyglądał, jakby miał wymiotować.

– Groził twojej matce – odparłem obojętnie. – A ja tego nie lubię.

Mruknąłem z zadowoleniem, widząc, jak jeden z ludzi Beckera odjeżdża mercedesem. Ślady na karoserii i wybite szyby nie pozostawiały złudzeń co do charakteru uszkodzeń auta.

– Dobrze, że wziąłem zapasowe ubranie – odezwał się Becker. – Bo wygląda pan, jakby brał udział w świniobiciu.

Przebrałem się w samochodzie, przejrzałem w lusterku, wytarłem krew z twarzy. Ktoś podał mi wodę kolońską, spryskałem obficie dłonie i szyję. Wiedziałem, że będę cuchnął jak męska dziwka, ale lepsze to niż smród krwi i prochu.

Zajechaliśmy na lotnisko, Becker podał mi walizkę.

– Powodzenia – powiedział poważnie.

Pożegnałem się lekkim skinieniem i ruszyłem do hali odlotów. Czekał na mnie Paryż.

Rozdział dziesiąty



Teatr de la Huchette nie wyglądał imponująco i gdyby nie napis, mógłbym przegapić wejście. Z afiszów wynikało, że wystawiają „Kubusia Fatalistę”, ale premiera odbędzie się dopiero jutro. Nie wchodziłem do środka, uznałem to za zbyt ryzykowne, wolałem poczekać, aż Marie Lanchard skończy pracę. Usadowiłem się w pobliskim bistro i sącząc martini z lodem, przyglądałem się wchodzącym i wychodzącym. Nie wiedziałem, jak wygląda rekwizytorka, ale zapamiętałem, kto wcześniej wszedł do teatru, i korzystając z wyeksponowanych przy wejściu fotografii, wykluczyłem wszystkie aktorki i rzecz jasna mężczyzn. Pozostały trzy kobiety, jak przypuszczałem, dwie garderobiane i rekwizytorka. De la Huchette raczej nie cierpiał na nadmiar personelu.

Mruknąłem z zadowoleniem, widząc, jak aktorzy opuszczają teatr; nobliwie wyglądający siwy mężczyzna odłączył się od grupy, reszta, śmiejąc się i przekomarzając, podążyła w stronę rue Saint-Séverin. Jak przypuszczałem, postanowili uczcić zakończenie próby w pobliskiej knajpie.

Podszedłem do telefonu, połączyłem się z teatrem i zażądałem rozmowy z panią Lanchard. Podeszła do aparatu po dobrej chwili, najwyraźniej była czymś zajęta. Postarałem się zapamiętać lekko ochryply głos, kobieta twardo wymawiała „r”, co wskazywało, że raczej pochodzi z Prowansji niż z Paryża. Oceniłem, że ma pomiędzy trzydzieści a pięćdziesiąt lat.

Pierwsza wyszła dwudziestoparoletnia blondynka; zawahałem się, czy jej nie zaczepić, ale ostatecznie postanowiłem polegać na swoim instynkcie. Czort wie kto poza mną obserwował teatr, lepiej nie wzbudzać podejrzeń.

W kwadrans później teatr opuściła przysadzista kobieta pod pięćdziesiątkę. Wpadłem na nią, udając pijanego. Skłęła mnie z czysto paryskim akcentem. Znacząc madame Lanchard to ognista brunetka pod trzydziestkę – jedyna pozostała z moich typowań. Chyba żeby nie...

Czekałem ponad godzinę, później, zachowując stosowny dystans, śledziłem kobietę aż do Reuilly. Mieszkała na trzecim piętrze zadbanej

dziewiętnastowiecznej kamienicy.

Przyłożyłem ucho do drzwi, poczekałem, dopóki nie rozległ się szum prysznica, po czym przyjrzałem się zamkowi. Na pierwszy rzut oka nic nadzwyczajnego, tyle że nigdy nie miałem talentów włamywacza. Co prawda uczono mnie, jak otwierać zamknięte drzwi, ale zawsze najlepiej wychodziło mi to przy pomocy trotylu.

Odczekałem kilka minut, a kiedy ponownie usłyszałem kroki, nacisnąłem guzik dzwonka.

– Przesyłka z Marsylii – odpowiedziałem na zadane przez drzwi pytanie.

Otworzyła mi ubrana w szlafrok i różowe kapcie z pomponami, nie pomyślała nawet, żeby zabezpieczyć drzwi łańcuchem. Ech, kobiety...

Uderzyłem Lanchard w gardło, lekko, żeby tylko odebrać głos, i wśliznąłem się do mieszkania. Rzuciła się w stronę torebki, zapewne miała tam broń albo ampułkę z trucizną. Przytrzymałem ją za rękę i zatkałem usta.

– Nie krzycz! – uprzedziłem ostro. – Jestem Razumowski, miałem się z tobą skontaktować.

– Nasi ludzie oczekiwali pana na lotnisku!

– Pewnie! Jak i agenci bezpieki. Ledwo się im wymknąłem.

Puściłem ją i usiadłem na fotelu blisko drzwi. Sięgnęła po torebkę, ale po krótkim namyśle odstawiła ją na stół.

– Kiedy możesz zorganizować mi spotkanie? – spytałem. – Chcę jak najszybciej przekazać dokumenty.

– Ma pan je przy sobie?

Westchnąłem w duchu, ot, i doświadczona konspiratorka.

– Nie. Na razie są w bezpiecznym miejscu, wyciągnę je dopiero, kiedy się umówimy, komu i gdzie mam je przekazać.

– Musiałabym skontaktować się z przełożonymi.

– Kontaktuj się. Tylko pamiętaj, że Beria wydał rozkaz, żeby mnie zabić. Z waszymi ludźmi też nie będą się certolić.

– Damy sobie radę – zapewniła.

– Oby – mruknąłem.

– Kiedy i gdzie się spotkamy?

– Ja sam cię poszukam. Masz telefon?

– Tak.

– Podaj mi numer.

Wyrecytowała go powoli.

– Codziennie od dwunastej do drugiej po południu bądź w pobliżu aparatu – powiedziałem. – Zwolnij się z pracy, zachoruj albo co. Jeśli wyjdiesz z chałupy, łatwo będzie cię porwać. Jeżeli coś będzie nie tak, wpleciesz w rozmowę słowo „oczywiście”. Na przykład kiedy spytam, czy rozmawiam z panią Lanchard, odpowiesz „oczywiście”. Wtedy

umówię się z tobą w restauracji na wieży Eiffla. Tam musi cały czas czuć grupa bojowa, podobnie jak w pobliżu twojego mieszkania!

Marie Lanchard potwierdziła zrezygnowanym gestem, zrozumiała właśnie, że jeśli znajdzie się w rękach ludzi Berii, takie spotkanie będzie jej szansą na ocalenie życia. Ostatnią szansą.

– Odezwę się za kilka dni – zakończyłem.

Natychmiast po wyjściu na ulicę wmieszałem się w tłum, wydawało się, że nikt mnie nie śledzi, lecz zanim dotarłem do wynajętego lokum, trzy razy zmieniałem taksówki. Na wszelki wypadek.

Później długo siedziałem przy oknie, obserwując przez firankę wieczorne życie Paryża. Zatrzymałem się niedaleko rue Mouffetard; przewalające się wokół tłumy studentów i szukających rozrywki mieszczuchów gwarantowały anonimowość i utrudniały jakiegokolwiek akcje siłowe. Nie zauważyłem niczego podejrzanego, zaledwie kilka prostytutek i paru panów o alternatywnych upodobaniach seksualnych. Nic nadzwyczajnego w tym miejscu i czasie. Zanim położyłem się do łóżka, umieściłem przy drzwiach pułapkę z granatem. Spałem jak zabity do samego rana.



Zjadłem śniadanie w pobliskiej knajpce, niestety, było typowo francuskie: croissant, konfitury i filiżanka kawy. Kiedy wyszedłem na ulicę, nadal burczało mi w brzuchu, ale nie chciałem zwracać na siebie uwagi, zamawiając potrójną porcję. Cóż, do obiadu jakoś wytrzymam...

Przez dwie godziny jeździłem metrem i tramwajami, wypatrując wśród przechodniów znajomych twarzy. Mam niezłą pamięć wzrokową, jednak trudno samemu zauważyć, czy jest się śledzonym. Przynajmniej jeśli robią to zawodowcy. Tak czy owak, musiałem dotrzeć do ludzi Dato, miałem nadzieję, że ci przewieźli już dokumenty do Paryża.

Na Montmartre nie było tłoku, dopiero wieczorem ulice zapełniły się bywalcami kabaretów i domów publicznych, więc mogłem mieć pewność, że nikt za mną nie idzie. No, względną pewność. Nie wiedziałem, co dzieje się w ojczyźnie, całkiem możliwe, że ambitny Nikita Chruszczow wisiał już na haku w jednej z bezpieczniejszych katowni i spowiadał się ze wszystkich grzechów. Podobnie jak jego współpracownicy. Wówczas ludzie Berii mogli na mnie czekać w lokalu kontaktowym.

Wszedłem w bramę, trzymając obie ręce w kieszeniach, prawą zaciskałem na rękojeści tokariewa, lewą na granacie. Zaraz po przyjeździe do Paryża skorzystałem z jednej ze starych skrytek *wojennej*

razwiedki, mając nadzieję, że nie będzie pusta. Nie była.

Wąskie drewniane schody wiły się po spirali, gdyby nie poręcz, mógłby z nich korzystać tylko akrobata. Kamienica najpewniej pochodziła z czasów, kiedy większe meble wciągano przez okna. Ciekawe, czy to przypadek, czy specjalnie wybrano budynek uniemożliwiający szybki pościg?

Wreszcie znalazłem drzwi opatrzone nazwiskiem Guyot i użyłem dzwonka. Ten też nie był nowy: zamiast przycisku musiałem obrócić bakelitowy uchwyt. Na szczęście zadziałał, po chwili usłyszałem zgrzytliwy dźwięk.

Ciężkie, powolne kroki sugerowały, że gospodarz nie jest pierwszej młodości, zgrzytnęła zasuwą, potem zamek. Mężczyzna, który pojawił się w drzwiach, mógł mieć pod osiemdziesiątkę.

– Czego wam? – burknął niechętnie po rosyjsku.

– Ja do Artioma – wypowiedziałem hasło.

Starzec cofnął się bez słowa, pozwalając mi wejść. Mieszkanko było niewielkie i nieprawdopodobnie zagracone, na pierwszy rzut oka stało się jasne, że nie ma tu żadnego dodatkowego wyjścia, więc w razie najścia bezpieki gospodarz nie miał gdzie uciekać. No i ten jego wiek! Albo Dato całkiem zgłupiał, albo było w tym coś więcej. Musiałem mieć niewyraźną minę, bo staruch roześmiał się chrapliwie.

– Zastanawiacie się pewnie, dlaczego Dato wybrał do tej misji takiego komandosa? – spytał.

Zakląłem w myśli, czyżby Dato kontaktował się z nim bez żadnych pośredników? Ożeż kurwa...

– Nie martwcie się, towarzyszu, jestem najcenniejszym aktywem w zagranicznej sieci Dato. – Starzec spoważniał. – On was nie lekceważy, wręcz przeciwnie.

– Doprawdy? – wycodziłem przez zęby.

– Owszem – potwierdził. – Zobaczcie.

Powoli, z wysiłkiem zdjął koszulę, jego ciało było blade, poznaczone bliznami od oparzeń, w kilku miejscach dostrzegłem ślady po szwach. Wreszcie staruch wyciągnął język, ten był jednym kłębkim blizn.

– Cierpię na rzadką chorobę – stwierdził rzeczowo. – Nie czuję bólu. W ogóle. Kilka razy dziennie muszę rozbierać się do naga przed lustrem i sprawdzać, czy wszystko w porządku. Nie boję się bezpieki, oni nie mogą nic mi zrobić. Dlatego zostałem waszym łącznikiem.

Odetchnąłem z ulgą. Dato naprawdę nie zwariował.

– Macie te dokumenty?

– Tak, w bezpiecznym miejscu. Mogę je wam przekazać w każdej chwili, powiedzcie tylko kiedy.

Przysiadłem na kulawym krzeselku, rozluźniłem obolałe z napięcia mięśnie. Gdyby Dato nie przemycił dokumentów, pozostałoby mi tylko

strzelić sobie w łeb. Teraz miałem szansę. Nie żeby wielką.

– Macie telefon?

– Nie. Nie używam. Zbyt łatwo podłączyć się do sieci i podsłuchiwać. Podejdźcie do parapetu – poleciał. – Widzicie te kwiatki? To pierwsze piętro, wszystkie widać wyraźnie z podwórka, bo zielsko jest okazałe. Jeśli nie ma zagrożenia, każdego dnia zmieniam kolejność, w jakiej są ustawione. Klucz jest prosty: w poniedziałek stoją od największego do najmniejszego, patrząc od lewej, od strony podwórka. We wtorek zamieniam największy kwiat z najmniejszym i tak dalej, aż do niedzieli. Wszystko, co musicie zrobić, to wejść na podwórze i spojrzeć w moje okno.

– Umówmy się za trzy dni – zaproponowałem. – Przyjdę do was odebrać te papiery.

– Dobrze, będę je miał. W specjalnym pudełku z ładunkiem zapalającym – dodał. – Wystarczy jeden ruch i zostanie z nich popiół, i bez obaw, to tylko jedna z kopii, plus parę stron z oryginału.

Nie skomentowałem, choć było oczywiste, że jeśli ludzie Berii znajdą mojego rozmówcę, nie będę miał drugiej szansy. Niewykluczone jednak, że ktoś inny spróbuje wykończyć Ławrentija Pawłowicza przy użyciu tych samych dokumentów.

Wyszedłem na ulicę i okrążyłem budynek, aby wejść bramą od podwórka, bo chciałem sprawdzić, czy dojrzę stamtąd kwiaty w oknie starucha. Już po przejściu kilku metrów poczułem na karku czyjś wzrok. Takie wrażenia bywają mylące, ale każdy, kto choć raz znajdował się na granicy życia i śmierci, wie, że w sytuacji zagrożenia nasze zmysły działają dużo sprawniej niż zazwyczaj. Znika gdzieś będąca skutkiem cywilizacji oślepiałość i nagle odbieramy wszystkie bodźce jak nasi przodkowie tysiące lat temu, kiedy każdy dźwięk lub zapach mógł zwiastować niebezpieczeństwo.

Zamiast wejść na podwórko, pomaszerowałem wzdłuż ulicy. Po przejściu kilkuset metrów natrafiłem na sklep z kapeluszami. Wewnątrz znajdowało się duże lustro skierowane w stronę witryny, akurat tego mi było trzeba.

Przymierzając elegancką panamę, zerknąłem na odbicie witryny – była tam. Na oko jakieś dwadzieścia pięć lat, elegancko ubrana, z niepowtarzalnym paryskim wdziękiem. Teoretycznie mogła być agentką bezpieczeństwa, mimo to jakoś mi nie wyglądała na jedną z pań Berii. Och, i w bezpiece pracowały piękne kobiety, ale żeby wyglądać i poruszać się jak paryżanka, trzeba przynajmniej kilka lat spędzić w Paryżu. No i mieć spore fundusze.

Kupiłem kapelusz, zapakowano mi go w wytworne okrągłe pudełko, i wyszedłem, wymachując nim nonszalancko. Po paru minutach skręciłem; tak jak się spodziewałem, poszła za mną. Ulica była mała

uczęszczana, ludzie jeszcze nie wrócili z pracy i zbliżała się pora obiadowa. Przystanąłem przed bramą, nagle skracając dystans, uderzyłem dziewczynę pudełkiem.

– Przepraszam najmocniej! – wykrzyknąłem z udanym przestraczem.

Jeszcze krok i krótkim, niesygnalizowanym ciosem przyłożyłem jej w splot słoneczny. Kiedy zgięła się w pół, wykręciłem rękę i zaciągnąłem w bramę.

– Kim jesteś? – spytałem szorstko. – Kto cię przysłał?

Nie odpowiedziała, próbowała złapać oddech. Chwyciłem ją za włosy, przyparłem do ściany.

– Kto cię przysłał?! – powtórzyłem.

Poruszyła wargami, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk, jednocześnie poczułem zmianę napięcia mięśni: panienka powolnym ruchem sięgała do prawego uda. No proszę, znaczy nie taka do niczego.

Odsunąłem się i uderzyłem ją w ramię tuż powyżej łokcia. Krzyknęła, coś upadło z metalicznym odgłosem na bruk. Schyliłem się, zanim doszła do siebie, podniosłem nóż sprężynowy. Kolejny argument za tym, że panienka nie jest z безпеiki, agentka *goshiezopasnosti* miałaby przy sobie pistolet albo strzykawkę z trucizną.

Ostrze wysunęło się z trzaskiem, dotknąłem jego czubkiem twarzy prześladowczyni tuż pod okiem, nacisnąłem. Kropla krwi spłynęła po policzku dziewczyny. Tym razem była naprawdę przerażona, jej źrenice rozszerzyły się gwałtownie, zaczęła oddychać przez usta.

– Mam pana chronić – wyszeptła po rosyjsku z ledwo uchwytnym obcym akcentem.

No tak – biali emigranci. Jeszcze tych mi brakowało.

– Dziękuję – powiedziałem z przekąsem. – Co ja bym bez ciebie zrobił? A teraz za mną! – poleciłem tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Porozmawiamy u mnie w chałupie.

Niepewnym gestem wzięła mnie pod rękę, aprobująco skinąłem głową. Idąc razem, zwracaliśmy mniejszą uwagę, niż gdyby promenowała samotnie. Ot, facet w średnim wieku, który poderwał młodą ślicznotkę.

W drodze do wynajętego mieszkania zwracałem uwagę, czy nikt nas nie śledzi, ale wyglądało, że chwilowo interesują się mną tylko biali.



Wszedłem z łazienki owinięty w biodrach ręcznikiem, dopiero w salonie przypomniałem sobie, że mam gościa. Ech, starość nie radość. A może po prostu nie przywiązywałem wagi do obecności emisariuszki

tajemniczej organizacji? Cóż, to dużo bardziej cyniczne i pewnie bardziej zgodne z prawdą wyjaśnienie. Jakkolwiek sympatycznie by wyglądała, panienska była tylko pionkiem. Jak to się u nas mówi: *raschodnyj material...*

Dziewczyna otaksowała mnie wzrokiem, w jej spojrzeniu dostrzegłem fascynację przemieszana z niepokojem, może nawet z odrazą. Nic dziwnego, moje blizny nie wyglądały zbyt pięknie.

– Ma pan coś do jedzenia? – spytała. – Zgłodniałam.

– Konserwy – skłamałem. – Posiedzimy tu do zmroku, więc dobrze by było zrobić zakupy. Masz pieniądze?

– Tylko drobne.

Podszedłem do marynarki i odliczyłem tysiąc franków.

– Wystarczy?

– W zupełności. Co mam kupić?

– Co chcesz – rzuciłem obojętnie. – Ale bez alkoholu, musimy być trzeźwi.

– Pijam wino do obiadu – odparła takim tonem, jakby tłumaczyła coś wyjątkowo nierozgarniętemu dziecku.

– Jak chcesz. – Wzruszyłem ramionami.

Okręciła się na pięcie i wyszła bez słowa. Natychmiast przestawiłem krzesło pod okno i zacząłem obserwować ulicę. Nie przypuszczałem, żeby ktoś mnie śledził, byłem wyjątkowo ostrożny, ale wątpiłem, czy to samo można powiedzieć o moim gościu. Dziewczyna była bardzo ładna i doskonale o tym wiedziała, a biorąc pod uwagę jej niewielkie doświadczenie życiowe, nie mówiąc już o operacyjnym, pewnie wydawało się jej, że większość problemów można rozwiązać, trzepocząc rękami i kołysząc kusząco biodrami. Kiedy zetknie się z prawdziwymi, nie wyimaginowanymi przeciwnikami, zrozumie, że jej uroda nie ma żadnego znaczenia, ot, co najwyżej ktoś ją zgwałci, zanim poderżnie gardło.

Panienska wyszła na ulicę i nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę najbliższego sklepu. Dobrze i to, bo mogła sprawdzać, czy ktoś jej nie śledzi, udając, że pudruje nosek, albo stosując jakiś inny żalony trik z arsenału tych, jakich uczą początkujących agentów, co zwróciłoby uwagę każdego zawodowca w okolicy.

Dziewucha przyciągnęła kilka męskich spojrzeń, ale nie wydawało się, żeby zainteresowanie miejscowych samców wychodziło poza skalę. Kiedy zniknęła mi z oczu, ubrałem się i starannie sprawdziłem broń. Jeśli ktoś ją inwigiluje, może wystarczyć mu ustalenie, gdzie się zatrzymała, ale możliwe, że do akcji od razu wkroczy grupa szturmowa, mając nadzieję, że znajdzie w mieszkaniu mnie albo kompromitujące Berię dokumenty. Lepiej się przygotować. Ze skrytki GRU wyjąłem pistolet, dwa granaty i zapasowy magazynek. Niby nie tak wiele, biorąc

pod uwagę, z kim być może przyjdzie mi się zmierzyć; z drugiej strony, jeśli ktoś nie jest w stanie rozwiązać swoich kłopotów za pomocą pistoletu i paru granatów, potrzebny mu będzie pluton piechoty.

Usadowiłem się wygodnie w krześle i zająłem obserwacją okolicy. Kto wie kiedy wróci moja paryżanka? Daj babie trochę pieniędzy i puść do sklepów, a zobaczysz ją, dopiero kiedy forsa się jej skończy albo zedrze stopy do krwi. Nie żebym miał coś przeciwko: jeśli dziewczyna jest pod obserwacją, nieźle przegoni agentów bezpieki. Nie ma nic bardziej irytującego niż śledzenie kobiety na zakupach.



Z pólśnu wyrwał mnie szcęk naczyń i dochodzące z kuchni smakowite zapachy, najwyraźniej wysłanniczka białych potrafiła gotować. Podszedłem do okna i zerknąłem na ulicę, ale nie zauważyłem niczego, co odbiegałoby od normy. Kiedy się odwróciłem, dziewczyna nakrywała do stołu.

– Jak masz na imię? – spytałem.

– Sophie – odparła, wydymając gniewnie wargi. – Sophie Muchin. Tutaj wymawiają to jak „Muszin”. Mój ojciec był majorem w armii Denikina. I co się stało, że nagle zainteresował się pan moją osobą?

– Może najpierw zjedzmy? – zaproponowałem. – Potem porozmawiamy.

– Niech będzie – odparła niechętnie.

Posilaliśmy się bez pośpiechu, zupa cebulowa okazała się bardzo smaczna, do pieczystego otworzyłem wino. Po drugim kieliszku mojej współbiednicze zaróżowiły się uszy, więc zabrałem ze stołu butelkę.

– Wystarczy – oznajmiłem stanowczo. – Musimy pogadać.

– Słucham, pułkowniku. A może powinnam mówić „panie hrabio”?

– Jak chcesz – odparłem obojętnie. – A teraz do rzeczy: kiedy wracałaś z zakupów, śledziło cię dwóch agentów bezpieki, a przynajmniej tylu się doliczyłem. Dlatego musimy...

– Niemożliwe! Zauważyłabym!

Popatrzyłem na Sophie bez słowa, po chwili spuściła wzrok.

– Oni musieli śledzić cię już wcześniej, dlatego na pewno widzieli nas razem i wiedzą, że jesteśmy tu oboje – kontynuowałem. – Zła wiadomość jest taka, że to profesjonaliści, bo i ja ich wcześniej nie zauważyłem, a przecież musieli za nami iść. Dobra, że musi być ich niewielu, bo w przeciwnym wypadku dawno zaatakowałiby mieszkanie. Myślę, że ta ekipa liczy nie więcej niż trzech, góra czterech agentów. Osobiście stawiałbym na trzech.

– Myśli pan, że się nas boją?
– Raczej kazano im wziąć mnie żywcem, do takiej akcji trzy osoby to zdecydowanie zbyt mało.

– Pana? A co ze mną?

– Nie jesteś im do niczego potrzebna – odparłem szorstko. – Na pewno skontaktowali się z ambasadą i wezwali posiłki, ale wątpię, żeby te przybyły wcześniej niż za parę godzin. Dlatego musimy uciekać, gdy tylko się ściemni, bo pewnie nad ranem zaatakują.

Dziewczyna zbladła, pewnie dopiero teraz zorientowała się, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji.

– Ma pan broń?

– Owszem. A teraz uważaj, bo powiem to tylko raz: w zasadzie powinienem rzucić cię im na pożarcie, ale nie lubię tańczyć do cudzej muzyki, więc dam ci szansę wyjścia z tego cało.

– Jakiej muzyki?! O czym pan mówi?

– Twoi ludzie postanowili cię poświęcić – wyjaśniłem sucho. – Dlatego wysłali cię do mnie. Ciebie jedną zamiast całej ekipy. Bo założę się, że choć wasza organizacja nie jest nawet w połowie tak dobra, jak wam się wydaje, macie i lepszych agentów operacyjnych, i grupę siłowego wsparcia. A oni wysłali tylko ciebie.

– To nie może być prawda! Ja... ja w to nie wierzę.

– Wierz, w co chcesz, ale miej na uwadze, że dla ratowania twojej skóry nie narażę misji. Kiedy spróbujemy się wyrwać bezpiecznie, masz wykonywać wszystkie moje rozkazy. Bezdyskusyjnie i natychmiast. Jeśli zawahasz się choć na sekundę, zostawię cię samą – uprzedziłem. – Twoje imię pochodzi od greckiego słowa „mądrość”, więc bądź mądra, Sophie. Jeśli podejmiesz błędną decyzję, zapłacisz za to wszystkim, co masz. I wierz mi, że śmierć nie jest najgorszym, co może cię spotkać.

Teraz pobierały jej nawet wargi, przez moment wyglądała, jakby miała zwiymiotować.

– Postaram się – wyszeptwała. – Co pan zamierza? Co zrobimy?

– Poczekamy do zmroku i spróbujemy się wymknąć. Ich jest zbyt mało, żeby wdawać się w otwartą konfrontację, zresztą wówczas ryzykowaliby, że zwrócić na siebie uwagę, więc pewnie coś dla nas przygotowują.

– Zasadzkę?

– Coś w tym rodzaju – przytaknąłem. – Chyba że ściągną posiłki wcześniej, niż się spodziewamy.

– Co wtedy?

– Wtedy umrzemy – odparłem szorstko.

– Możemy się bronić!

– Jasne! Dopóki nie wrzucą granatu gazowego albo nie podpalą chałupy! Daj spokój, lepiej się prześpij.

– Spać w takiej chwili? Nie zmrzyłabym oka!

– W takim razie ja zajmę kanapę, a tobie wystarczy fotel.

Dziewczyna spojrzała na mnie jak na wariata, lecz nie zaprotestowała.

– Jeszcze jedno: po drugiej stronie ulicy jest magazyn odzieżowy. Musisz kupić sobie wygodne buty, bo w tych szpilekach daleko nie pobiegiesz. Do tego spodnie i jakiś sweter. Wszystko w ciemnych kolorach.

– A jeśli mnie dopadną?

– Nie sądzę, nie jesteś ich głównym celem, no i będziesz na widoku, raczej nie zaatakują cię w tłumie.

– A pan?

– Ja zostanę w mieszkaniu – oznajmiłem twardo.

Mina mojej rozmówczynie wskazywała, że zastanawia się, czy nie wypróbować na mnie jakiejś sztuczki z kobiecego arsenału, ale ostatecznie westchnęła tylko i poszła po płaszcz. Może nie jest taka głupia, jak się wydawało?

Skoczyłem do okna, kiedy tylko wyszła. Sophie rzeczywiście musiała kupić sobie buty i niekrępujący ruchów strój, ale przede wszystkim miała przetestować ekipę z безпеکی. Jeśli ją dorwą, dostanę swoją szansę, bo będą musieli natychmiast ewakuować dziewczynę, do czego potrzeba minimum dwóch ludzi. Nawet jeśli przybyły posiłki, w kordonie powstanie dziura. Być może. Ale lepsze to niż nic.

Mijały długie jak wieczność minuty, serce tłukło mi się w piersi, jakbym biegł w maratonie, wreszcie ujrzałem, że wraca. Szła szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie. Mądra decyzja, bo i co by jej to dało? Tak czy owak, w konfrontacji z zawodowcami nie miałyby żadnych szans. A ci byli niedaleko, wśród przechodniów ujrzałem znajomą twarz.

Usłyszałem jej kroki na schodach, szła sama. Otworzyłem drzwi, trzymając palec na spuście pistoletu.

– Nikogo nie zauważyłam – zameldowała, ciężko dysząc.

– Śledzili cię – poinformowałem. – Ten sam mężczyzna, co przed południem. Pozostali pewnie go ubezpieczali, na wypadek gdybyś postanowiła się urwać z haczyka.

– Uciec bez porozumienia z panem? – spytała z oburzeniem. – Nigdy bym tego nie zrobiła!

– Nieważne – mruknąłem. – Jak powiedziałem, to zawodowcy, gdyby mieli taką możliwość, wysłaliby za tobą kogoś innego. Skoro śledził cię ten sam człowiek, znaczy nie dostali jeszcze wzmocnienia. To dobra wiadomość – podkreśliłem, widząc dezorientację w oczach Sophie. – A teraz przebieraj się!

Dziewczyna zniknęła w łazience, po chwili pojawiła się w spodniach

i butach na płaskim obcasie.

– Ten żakiet nie będzie za ciasny? – rzuciłem sceptycznie. – Mówiłem, żebyś kupiła jakiś sweter.

– Nie było niczego odpowiedniego – odparła obronnym tonem.

– No dobrze. – Wzruszyłem ramionami. – Twoja sprawa, w czym będziesz biegać.

Jeszcze raz podszedłem do okna, zaczynało się ściemniać. Zerknąłem na zegarek, dochodziła ósma.

– Ruszamy za dwie godziny – oznajmiłem.

Sophie usiadła w fotelu i przymknęła oczy. Mądra dziewczynka! Sam wyłożyłem się na kanapie. Cóż, niedługo okaże się kto przeżyje, a kto nie...



Schodziłem po stopniach przy zgaszonym świetle, trzymając broń przy biodrze, drugą rękę wyciągnąłem przed siebie niczym szukający drogi ślepiec. Za plecami słyszałem szybki oddech Sophie.

Nie wiedziałem, gdzie ukryli się bezpieczniacy, ale byłem pewien, że co najmniej jeden z nich obserwuje wejście do kamienicy. Teren nie należał do najłatwiejszych, wokół znajdowała się płatanina uliczek i zaułków, a także przechodnich podwórek. Jeśli zdołamy wyjść spod obserwacji, bez trudu zgubimy ewentualną pogoń. Teoretycznie. Bo jeśli w czasie naszego odpoczynku przybyły posiłki, ludzie Berii po prostu obsadzą najbardziej prawdopodobne trasy ucieczki i wezmą nas po drodze.

Na szczęście brama była szeroko otwarta, zamykano ją dopiero o dwunastej w nocy, więc opadłem na czworaka i ostrożnie wystawiłem głowę, aby się rozejrzeć. Nie zauważyłem niczego podejrzanego, ale uliczne lampy i neony paru pobliskich sklepów nie dawały zbyt wiele światła.

– Za mną! – poleciłem, rzucając się do biegu.

Instynktownie czekałem na krzyki, może strzały, jednak bez problemu udało nam się przebiec ulicę i zanurkować w cień.

– Udało się! – wysapała Sophie.

Uciszyłem ją gniewnym syknięciem, skręciłem w zaułek prowadzący do pobliskiego skweru. Całe szczęście, że wcześniej poznałem okolicę.

Ostrzegł mnie tylko zapach perfum i szelest ubrania, odruchowo udało mi się zbić dzikie pchnięcie, w ułamek sekundy później ostrze przejechało po moim przedramieniu. Dwukrotnie strzeliłem z przyłożenia, łomot padającego ciała potwierdził, że celnie.

– Biegiem! – warknąłem.

Tym razem ktoś krzyknął, tupotowi nóg zawtórowały strzały. Pościg był zatrważająco blisko. Oddałem serię strzałów z przykłąku i przetoczyłem się po bruku, zmieniając pozycję.

Słumione wycie i seria gniewnych przekleństw po rosyjsku świadczyły, że nie zmarnowałem naboju.

– Sophie? – zawołałem cicho.

– Tutaj! – odpowiedział mi ochryply szept.

– Idziemy!

Zmieniłem magazynek, po paru minutach biegu zatrzymaliśmy się przy kępie drzew.

– Co dalej? – spytała dziewczyna, ciężko dysząc.

– Obwiąż mi czymś ranę – poprosiłem. – Bo krwawię jak zarzynana świnia.

Podwinąłem rękaw, odsłaniając głębokie cięcie, na szczęście nóż nie uszkodził ścięgien ani tętnic.

– Już! – wysapała Sophie.

Dziewczyna zrzuciła z siebie żakiet i pocięła nożem.

– Tylko mocno! Nie możemy zwracać na siebie uwagi!

– Gdzie pójdziemy?

– Niedaleko jest hotelik na godziny. Wynajmiesz nam pokój, lepiej, żeby nikt mi się bliżej nie przyglądał.

Przecięty rękaw marynarki i zakrwawione ubranie mogły budzić podejrzenia, choć personel przybytków występnej rozkoszy raczej nie przepadał za policją.

– Jeszcze jedno.

– Tak?

– Zdejmij biustonosz i rozepnij ze trzy guziki. Musisz wyglądać na... profesjonalistkę. One często korzystają z takich hoteli.

Sophie bez słowa wykonała polecenie. Wyjąłem jej z dłoni koronkowy stanik i schowałem do kieszeni.

– Może się jeszcze przydać – powiedziałem wesoło.

Jak zwykle w takiej sytuacji ogarnęła mnie pobitewna euforia. Oby nie za wcześnie, bo nie wystarczy uciec, trzeba jeszcze znaleźć kryjówkę.

Podświetlona tablica informowała, że hotelik czynny jest całą dobę, a neonowa reklama przedstawiająca skąpo odzianą kobietę nie pozostawiała wątpliwości co do charakteru świadczonych usług.

Rozespany recepcjonista prześliznął się wzrokiem po biuście Sophie i starannie przeliczył banknoty, po czym podsunął dziewczynie klucz.

– Macie czas do południa – poinformował z lubieżnym uśmiechem. – Miłej zabawy!

Objąłem dziewczynę zdrowym ramieniem i pociągnąłem na górę – pokoje znajdowały się na piętrze. Jakaś mocno roznegliżowana kokota

obrzuciła nas spojrzeniem pełnym oburzenia i ruszyła w naszą stronę, ale zanim zdołała coś powiedzieć albo zrobić, zatrzasnąłem jej drzwi przed nosem. Nie dobijała się, najwyraźniej nawet w takim hotelu obowiązywały pewne zasady. No i dobrze, byłem śmiertelnie zmęczony, jak zwykle po walce, kiedy nadnercza przestają pompować adrenalinę.

– Jestem głodna – poskarżyła się Sophie. – Może bym poszukała jakiegoś nocnego sklepu?

– Zwariowałaś? Gania za nami banda wkurwionych bezpieczniaków, ani się waż! Do tego, o ile się nie mylę, będziemy mieli problemy z lokalnym związkiem zawodowym.

– Jakim, do diaska, związkiem? Zwariował pan?!

No proszę, jak dziewczucha się ośmieliła! To też efekt wspólnej akcji, jak tak dalej pójdzie, zaczniesz mnie rozstawiać po kątach. Jednak nie miałem ochoty jej dyscyplinować, nie moje małpy, nie mój cyrk. Za kilka dni się rozstaniemy i nigdy więcej nie zobaczymy. O ile przeżyjemy.

– Wszedłeś na cudzy teren – wyjaśniłem, ziewając. – Kojarzysz tę panienkę z korytarza?

– Owszem, i co? Zaraz! Twierdzi pan, że ona...

– Dokładnie tak! Widać lokalne dziwki pilnują swojego terytorium, a ty jesteś tu obca. Na rano pewnie ściągną swojego alfonsa i postarają się ciebie przekonać, żebyś nie kłusowała na cudzym terytorium. Gdybym nie zamknął drzwi, baba dorwałaby cię tu i teraz.

– Chce mi się siusiu – powiedziała niespodziewanie. – Muszę do toalety.

– Kibel jest na korytarzu i twoje... koleżanki na pewno czekają, aż wyjdiesz – uprzedziłem.

– Dam sobie radę.

– W porządku, ale oddaj mi nóż. W tych sferach podobne nieporozumienia załatwia się, wydzierając sobie kłaki, a nie prując brzuchy.

– W porządku.

Uśmiechnąłem się, kiedy wyszła, bo nie miałem nic przeciwko małej damskiej bójce. Niezależnie od wyniku cała rzecz tylko uwiarygodni naszą legendę, o ile nie będzie zbyt głośna, bo wtedy pewnie interweniowałby portier. Dziewuszka zaczęła mi się podobać.

Sophie wróciła po kilku minutach, miała rozczochrane włosy i rozciętą wargę, ale jak się wydawało, nie odniosła większych obrażeń.

– I jak tam? – spytałem.

– Załatwione! – oznajmiła z satysfakcją. – Przekonałam koleżanki, że od czasu do czasu potrzebna jest świeża krew. Szczególnie w tym zawodzie.

– To idziemy spać – zadysponowałem.

– Mamy tylko jedno łóżko...

– Zrobię ci miejsce. A jeśli się boisz, załóż stanik, jest w kieszeni marynarki.

Sophie rozejrzała się po pokoju, ale poza łóżkiem stały tu tylko dwa drewniane krzesła i kulawy stolik. Lokal był przeznaczony do konkretnego celu i właściciel nie widział powodu, aby zagracać przestrzeń mieszkalną niepotrzebnymi meblami.

– No dobrze – mruknęła.

Rozebrałem się do bielizny i położyłem od strony ściany, chroniąc zranioną rękę. Rana rwała jak diabli, ale na tego typu ból byłem dość odporny, bałem się tylko tego dentystycznego.

Dziewczyna zdjęła jedynie buty, słyszałem jej przyspieszony oddech.

– Uspokój się – powiedziałem ze znużeniem. – Nie mam zamiaru cię napastować. Jeśli chcesz, to śpij w ubraniu, ale będzie ci niewygodnie, a jutro musimy być wypoczęci, od tego będzie zależało nasze życie.

Zgasła światło, usłyszałem szelest ściąganej odzieży, materac się ugiął, kiedy weszła do łóżka. Dotknęła ostrożnie moich pleców i cofnęła dłoń jak oparzona.

– Co znowu? – mruknąłem sennie.

– Mogę się przytulić? – spytała cichutko. – Zimno mi. I boję się – dodała po chwili.

– Możesz – przyzwoliłem. – I śpij wreszcie.

Sam zasnąłem, ledwo dokończyłem zdanie.



Przebudzenie miałem przyjemne: czułem na plecach jędrne piersi, kark owiewał mi spokojny oddech śpiącej Sophie. Gdybym był młodszy i głębszy, pewnie jakoś bym to wykorzystał. Tyle że nie było sensu, ot, chwilowy wyrzut hormonów, nic nadzwyczajnego w podobnej sytuacji.

Podniosłem się ostrożnie, ubrałem i podszedłem do okna, było wpół do ósmej rano i na ulicy panował spory ruch. Nie zauważyłem niczego podejrzanego, ale nawet jeśli bezpieka mnie jeszcze nie wytropiła, było oczywiste, że to kwestia czasu. Sam, w obcym mieście, bez jakiegokolwiek wsparcia nie miałem wielkich szans. Trzeba coś wymyślić.

Podszedłem do upstrzonego przez muchy lustro i skontrolowałem wygląd – zniszczony rękaw marynarki i plamy krwi na koszuli nie pozostawiały złudzeń co do reakcji otoczenia. Jeśli nie załatwię sobie nowych ciuchów, zatrzyma mnie pierwszy lepszy patrol policji. Tylko jak to zrobić?

Wyszedłem na korytarz, cicho zamykając za sobą drzwi. Tak jak się

spodziewałem, komitet powitalny już na mnie czekał. Trzy dziwki w średnim wieku i niewysoki, chudy facecik w koszuli z krótkim rękawem. Na lewym przedramieniu mężczyzny zauważyłem tatuaż w kształcie ni to płomienia, ni to kwiatu lili, i napis *Legio Patria Nostra*. Więc tak jak się spodziewałem, panienki poskarżyły się alfonsowi.

– Pogadamy? – zaproponowałem, zanim ktokolwiek z nich zdążył się odezwać.

– Nie mamy o czym! – warknęła potężnej postury blondynka z imponującym biustem. – Nie z tobą! Mamy sprawę do tej pindy, która wczoraj pobiła Mimi.

– Przecież nie ona zaczęła – odparłem łagodnie.

– I co z tego?! Jest na naszym terenie!

Westchnąłem ciężko, dziewczuchy były wyraźnie w bojowym nastroju, chudzielec zachowywał się spokojnie.

– Pogadamy? – powtórzyłem, tym razem wyraźnie pod adresem mężczyzny.

Chudy skinął głową i wszedł do pokoju naprzeciwko mojego, jednocześnie zapraszając mnie gestem. Przepuściłem kobiety przodem, bynajmniej nie z uprzejmości, wołałem upewnić się, że żadna nie wbije mi noża w plecy.

– Po co z nim gadać, Bertrand?! – odezwała się agresywnym tonem szczupła szatynka. – Ja...

– Dość! – przerwał jej spokojnym, modulowanym głosem.

Posłuchała natychmiast. Najwyraźniej chudzielec utrzymywał dyscyplinę wśród swoich pracowników.

– Nie ma sensu się kłócić – powiedziałem. – Jestem skłonny zrekompensować wczorajsze nieporozumienie.

Położyłem na stole zwitek banknotów, jedna z dziwek natychmiast je porwała i przeliczyła.

– Pięć tysięcy – oznajmiła. – Mało. Tak się nie dogadamy.

Cóż, po wojnie wartość franka spadała nieustannie, a ja nie miałem przy sobie milionów. Większość forsy wydałem wczoraj na ubranie dla Sophie.

– Dam i więcej. Dużo więcej, ale potrzebuję pomocy.

– Nie ty tu dyktujesz warunki! – zripostowała.

– Lepiej, żebyśmy się dogadali – powiedziałem, odchylając leniwym gestem połą marynarki.

Dziewuchy odskoczyły w tył, alfons ani drgnął na widok pistoletu. Cały czas obserwowałem go kątem oka, przeważnie mali faceci są groźniejsi niż ci o pokaźnych gabarytach, bo nie mogą budzić respektu posturą, więc muszą umieć się bić. W dodatku tatuaż sugerował, że facet odsłużył swoje w *Légion étrangère*, a więc potrafi prawidłowo ocenić zagrożenie i nie będzie się rzucał. Nie powinien.

– O jakiej pomocy mowa? – spytał. – I z kim zadarłeś? Bo to na twoim ubraniu to krew, prawda?

Panienki dopiero teraz zwróciły uwagę na to, jak wyglądam, i jeszcze bardziej zwiększyły dystans.

– Z ruską bezpieką – odparłem szczerze.

Jeśli alfons miał mi pomóc, musiał wiedzieć, o jakie stawki idzie gra.

– To poważni zawodnicy – zauważył.

– Poważni – przyznałem.

– Czyli ta twoja dziewczyna tak naprawdę nie pracuje w branży?

– Nie.

– Co mam zrobić i za ile?

– Potrzebuję nowych ciuchów dla siebie i dla niej, no i transportu. Najpierw do banku, żebym mógł wam zapłacić, potem pod wskazany adres. Lepiej, żebym nie spacerował po mieście.

– Za ile?

– Sam wyznaczysz stawkę. W granicach rozsądku rzecz jasna. Tylko jedna uwaga: jeśli spróbujesz coś kombinować... – Zawiesiłem wymownie głos.

– Nie zacznę – zapewnił. – Nie lubię glin. Ani naszych, ani ruskich.

– Pomijając wszystko inne, oni działają tu nielegalnie, więc po wszystkim musieliby pozbyć się świadków – dodałem bardziej pod adresem pańienek niż Bertranda.

Facet przytaknął bez emocji, dziwki niemal wkleiły się w ścianę.

– No to do roboty! – powiedział. – Julia, zorganizuj im jakieś śniadanie do pokoju, pewnie są głodni. Wy dwie pójdziecie na zakupy, ja zajmę się samochodem.

– Jaki rozmiar ma twoja dziewczuszka? – wtrąciła jedna z kobiet. – I co mam jej kupić? Bo tobie wystarczą spodnie i marynarka, no i widzę, jak duże.

– Zapytajmy ją – zaproponowałem.

Gwałtownym ruchem otworzyłem drzwi i Sophie wpadła do pokoju. Gdybym jej nie podtrzymał, pewnie wyłożyłaby się jak długa. Z rozbawieniem zauważyłem, że trzyma w dłoni nóż sprężynowy.

– Schowaj to – mruknąłem. – Jesteśmy wśród przyjaciół.

Dziewczyna chrząknęła z niedowierzaniem, ale wykonała polecenie.

– Dalej dogadacie się sami, ja idę się umyć – oznajmiłem wesoło. – Tylko bez ekscesów. – Pogroziłem Sophie palcem.

W łazience znalazłem jedynie pordzewiały, kiepsko funkcjonujący prysznic, ale i to wystarczyło, żeby zmyć z siebie pot i krew. Kiedy wróciłem do pokoju, na stole czekała już parująca zupa rybna i kilka chrupiących bagietek, najwyraźniej nieznana mi bliżej Julia uwinęła się błyskawicznie.

– Matka konsjerża dla nich gotuje – wyjaśniła Sophie. – To ich stałe

miejsce pracy, dlatego Mimi wczoraj tak zareagowała. Myślała, że chcemy przejąć hotel. Oni mają jakieś kłopoty z apaszami z sąsiedniej dzielnicy.

Zanuciłem z rozbawieniem:

*Apaszem Stasiek był, w krąg znały go ulice,
w spelunkach tam, gdzie podłe życie wre,
kochanką jego była zwykła ulicznica,
co gdzieś na rogu sprzedaje ciało swe.*

- Po jakimu to? – spytała z ciekawością dziewczyna.
 - Po polsku – wyjaśniłem.
 - Niech pan je, bo wystygnie – powiedziała. – Ile języków pan zna?
 - Tajemnica – odpowiedziałem, częstując się zupą. – I możesz mi mówić po imieniu, w końcu spaliśmy ze sobą.
 - Nawet nie wiem, jak pan... jak masz na imię – odparła, czerwieniąc się.
 - Nie powiedzieli ci? Aleksander.
 - Naprawdę jesteś hrabią?
 - Chyba tak. A przynajmniej hrabią był mój ojciec.
 - W takim razie ty też – stwierdziła stanowczo.
- Wzruszyłem ramionami i odłamałem kawałek bułki, i zupa, i pieczywo były znakomite.
- Myślisz, że nas nie oszukają?
 - Skąd mam wiedzieć? Mamy szanse pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Co prawda facet wygląda na rozgarniętego i chyba rozumie, że dzięki nam może zgarnąć grubszą forszę, ale czort wie jakie ma układy z policją czy miejscowymi żułami.
 - Co zrobimy, jeśli nas wydadzą policji albo bolszewikom?
 - Z policją sobie poradzimy, co do bezpieczeństwa, nie sądzę. Nasz drogi Bertrand to zwykły podrzędny alfons, nie ma odpowiednich kontaktów, no i rozumie, że tamci by go sprzątnęli po wszystkim.
 - Więc co mamy robić?
 - Czekać.

Zebrałem bagietką resztkę zupy z talerza i podszedłem do okna. Jak wszystko w hoteliku, było zaniedbane i wypaczone, ale dawało się otworzyć. Jeśli dojdzie do najgorszego, bez problemu wyskoczę z pierwszego piętra, Sophie... Cóż, może będzie miała fart. W naszym zawodzie bez odrobiny szczęścia ani rusz.



Otworzyłem oczy, słysząc skrzypnięcie krzesła – to Sophie poruszyła się niespokojnie.

– Idą – powiedziała. – Na pierwszy rzut oka wszystko w porządku, Bertrand zaparkował samochód po drugiej stronie ulicy, a dziewczyny niosą jakieś paczki. Pewnie z naszymi ubraniami. Nie jestem pewna, ale Bertrand chyba ma broń. Kiedy wysiadł, włożył rękę pod marynarkę, tak jakby poprawiał ułożenie pistoletu za paskiem.

– Dobrze!

– Co w tym dobrego?

– To dowodzi, że nas nie sprzedał, a jedynie chce się zabezpieczyć przed przewalem z naszej strony. Kiedy dochodzi do płatności, sytuacja często wymyka się spod kontroli. Facet po prostu chce dostać swoje pieniądze.

– Pewnie niedługo wyjedziesz... Jeśli wszystko dobrze pójdzie.

Potwierdziłem nieartykułowanym pomrukiem.

– Szkoda, że nie będziesz mógł mnie dalej szkolić.

– Kto mówi o szkoleniu?

– No przecież cały czas mnie instruujesz – odparła ze zdziwieniem.

Skrzywiłem się niechętnie, dziewczucha miała rację, tyle że stawiało mnie to w niewygodnej sytuacji, bo jeszcze trochę i przestanę ją traktować jak *raschodnyj material*.

– Otwórz okno, ale nie na oścież, i zostaw krzesło pod parapetem. Jakby co, będziemy tędy uciekać. Ja pierwszy, ty za mną.

Sophia pobladła, jednak zanim zdążyła skomentować polecenie, rozległo się pukanie do drzwi.

– Otwórz – powiedziałem.

Najpierw weszły dwie dziewczyny, za nimi Bertrand. Facet od razu stanął w kącie przy drzwiach, skąd mógł kontrolować całe pomieszczenie, nie wyłączając okna. Szlag! Zanim dobiegnę, zastrzeli mnie trzy razy.

– Przywieźliśmy co trzeba – oznajmił. – Przebierajcie się i jedziemy do banku.

Bez namysłu włożyłem nowe ubranie, nie troszcząc się specjalnie o skromność, Sophie odwróciła się tyłem, co wywołało uśmiech na ustach ekslegionisty.

– Gotowi? – spytał po chwili. – To w drogę. Goście przodem.

Wyszedłem pierwszy bez słowa sprzeciwu, Sophie pomaszerowała za mną.

Bertrand usiadł za kierownicą niemal nowego fiata, mnie przypadło miejsce przy kierowcy, dziewczyny usiadły z tyłu, biorąc Sophie między siebie.

– Gdzie jedziemy?

– Banque de France – odparłem zwięźle.

Droga zajęła nam niemal dwie godziny. Kiedy dojechaliśmy, Bertrand wysiadł ze mną, nakazując kobietom pozostać w samochodzie.

– Lepiej, jeśli załatwimy to sami – zaproponował.

– Jak chcesz – odparłem obojętnie.

Pracownik banku okazał się bardzo pomocny, od razu zostałem potraktowany jak uprzywilejowany klient – najwyraźniej ludzie Dato wykonali solidną robotę. Dostałem nawet skórzaną teczkę, aby pomieścić imponujący stos banknotów. Wymieniłem jeszcze trochę franków na dolary i pożegnawszy się z uprzejmym urzędnikiem, ruszyłem do wyjścia. Bertrand podązał za mną jak cień.

– To twoje – powiedziałem, kiedy wróciliśmy do wozu.

Otworzył sakwojaż i przełknął ślinę, wpatrując się w pliki banknotów, dziwki zapiszczały radośnie.

– Co teraz? – spytał Bertrand.

– Panie wysiadają – zarządziłem. – Jeśli chcesz, niech wezmą ze sobą forszę – dodałem, zauważywszy nieufne spojrzenie alfonsa.

Bertrand zastanowił się przez chwilę, po czym oddał walizkę jednej z dziewczyn.

– Pilnuj tego, Babette – powiedział z groźbą w głosie. – Odpowiadasz za to głową.

Wyraźnie wystraszona prostytutka skinęła głową i wysiadła z samochodu wraz z koleżanką.

– Gdzie jedziemy? – rzucił Bertrand, kiedy zostaliśmy sami.

– Sophie? – Scedowałem odpowiedź na dziewczynę.

– Sama nie wiem – odparła z wahaniem.

– Musicie mieć jakąś metę na wypadek, gdyby przyszło przeczekać – ponagliłem.

– Znam tylko jeden adres, to jednopokojowa nora w robotniczej kamienicy.

– Świetnie! Tam nie będą nas szukać.

Bertrand ruszył bez rozkazu.

– La Goutte d’Or – poleciła dziewczyna.

Alfons uniósł brwi, ale nie zaprotestował. Cóż, Złota Kropla nie cieszyła się dobrą sławą, to była dzielnica robotników, imigrantów i wszelkiej maści bandytów. Nawet stali mieszkańcy nie czuli się tam bezpiecznie, jednak można było mieć pewność, że nie ma tam zbyt wielu policyjnych patroli, a agenci Berii będą się wyróżniać niczym fioletowa żyrafa na promenadzie. Plus dla nas. A problemy z miejscowymi można rozwiązać. Tak albo inaczej: miałem jeszcze jeden pełny magazynek. Zresztą nie planowałem tam siedzieć bez końca, musiałem tylko coś zrobić ze ścigającymi mnie czekistami, bo jeśli ich zaprowadzę do człowieka Dato, moja kariera skończy się w jakimś paryskim rynsztoku. Podobnie jak życie.

– Gdybyśmy cię jeszcze potrzebowali – zwróciłem się do Bertranda – gdzie cię szukać?

– Niedaleko hoteliku, w którym się spotkaliśmy, jest taka knajpa, „Coq Rouge”. Możecie też mnie złapać pod tym telefonem. – Podał wizytówkę.

Zapamiętałem numer, podarłem starannie kartonik i wyrzuciłem przez okno. Alfons skwitował to aprobującym gestem.

– Lepiej zachować ostrożność – powiedział. – À propos: ci czerwoni komisarze mocno ci przeszkadzają?

– Są jak wrzód na dupie – odparłem zwięźle.

– Chyba mógłbym ci pomóc rozwiązać ten kłopot. Rzecz jasna, nie za darmo – zastrzegł natychmiast. – Nadal jesteś wypłacalny?

– Owszem. Co masz na myśli?

– No to słuchaj...



Mieszkanie było dokładnie takie, jak opisywała Sophie: ciasna nora z łóżkiem pamiętającym pewnie bitwę pod Verdun, kulawym stolikiem i fotelem, z którego wyłaziły sprężyny. Jednak gazowa kuchenka działała, a w łazience była woda, prawda, że tylko zimna.

– Mam nadzieję, że nasi szybko zareagują – powiedziała Sophie, wodząc wokół zniesmaczonym spojrzeniem. – Nie wyobrażam sobie, że mogłabym tu spędzić dzisiejszą noc.

– To już nie zależy od nas – odpowiedziałem spokojnie.

Wyłożyłem się na łóżku, nie zdejmując butów, kto wie kiedy trafi mi się okazja, aby odpocząć? Pistolet trzymałem w zasięgu ręki.

– Jesteś pewien, że nic cię nie oblezie? – spytała.

– Nie widziałem pluskiew, wszy potrzebują żywiciela, a ta chałupa stoi pusta. Nie są to carskie komnaty, ale nocowałem już w gorszych warunkach.

– Miałeś kiedyś wszy?

– Raz, w czterdziestym drugim. Nie zmieniałem munduru ani bielizny przez dwa miesiące, nie było okazji, zresztą wtedy na froncie prawie wszyscy mieli wszy.

– Na froncie?

– Pod Leningradem.

– Byłeś tam?

Potwierdziłem niechętnym pomrukiem.

– Opowiesz?

– Nie.

– Dlaczego? – Wydęła kapryśnie usta.

– Bo to nie są przyjemne wspomnienia, a ja nie zamierzam robić na tobie wrażenia, smarkulo – odparłem zwięźle.

Przez dobry kwadrans siedziała w obrażonym milczeniu, wreszcie poruszyła się niespokojnie.

– Myślisz, że przyjdą jeszcze dzisiaj?

– Nie znam waszych procedur, skąd mam wiedzieć? Poza tym może być różnie.

– Nie rozumiem?

– Twoi ludzie spisali cię na straty, pamiętasz? – przypomniałem złośliwie. – Czort wie jakie pomysły przyjdą im jeszcze im do głowy? A nuż dojdą do wniosku, że najlepiej załatwić sprawę bez pośredników?

– Jakich, do cholery, pośredników? Nie myślisz chyba, że chcieliby cię...

– Byłoby to głupie z ich strony, ale kto wie?

– Co wtedy? – wydusiła po chwili.

– A co ma być? Ktoś przeżyje, ktoś zginie.

– Jak możesz być tak obojętny?!

– Oszczędzam energię – wyjaśniłem sucho. – To nie czas na emocje.

Za oknem zawarczała ciężarówka, rozległy się okrzyki. Sophie w gnieniu oka znalazła się przy oknie.

– Co tam? – rzuciłem ostro.

– Przeprowadzka – stwierdziła z ulgą. – Tragarze ładują meble na pakę. Zresztą tylko nasi wiedzą, gdzie jesteśmy. Dzwoniłam z publicznego automatu, więc wątpię, żeby ktoś nas podsłuchiwał.

– Pewnie nie – przyznałem. – Chociaż nadal pozostaje pytanie, skąd ludzie Berii wiedzieli, że to właśnie ty możesz ich do mnie doprowadzić, no i że jesteś w białej konspiracji?

– Pewnie byłam nieostrożna – westchnęła. – W zeszłym roku uczestniczyłam w mszy z okazji rocznicy śmierci cara i jego rodziny. Możliwe, że czekałsi zainteresowali się panichidą.

– Możliwe? – parsknąłem. – Na pewno. Tylko że było was tam pewnie parę tysięcy, prawda?

– Owszem. I co z tego?

– Ano to, że cała sowiecka agentura w Paryżu to pewnie dwadzieścia, dwadzieścia kilka osób. Plus kilkunastu miejscowych kapusiów. Nie wystarczyłoby im sił i środków, żeby śledzić każdego sympatyka caratu. Musiałaś jakoś zwrócić ich uwagę. Możliwe, że obserwowali jeden z waszych konspiracyjnych lokali albo miejsce spotkań, ale równie dobrze ktoś z twoich mógł im pokazać cię palcem.

Na twarzy Sophie odbił się niepokój, potem dziewczyna stanowczo pokręciła głową.

– Nie wierzę – powiedziała.

– Cóż, zobaczymy. Prędzej czy później sprawa się wyjaśni. Być może

wasz łącznik będzie coś wiedział.

– Albo i nie.

– Szczerze mówiąc, niespecjalnie mnie to interesuje, to wasze wewnętrzne problemy, jednak na twoim miejscu, kiedy skończy się ta cała zawierucha, pogadałbym z kimś z kierownictwa. Niech sprawdzą, czy nie sygnął cię ktoś z waszych. Bo drugi raz możesz nie mieć tyle szczęścia.

– Po co tyle zachodu? To całe polowanie na nas. Na ciebie – poprawiła się natychmiast.

– Co wiesz o mojej misji? – odpowiedziałem pytaniem.

– Tylko tyle, że masz nam przekazać coś ważnego.

– To akurat się zgadza – mruknąłem.

– Możesz mi o tym powiedzieć?

– Dlaczego nie? Teraz to żadna tajemnica. A przynajmniej zrozumiesz, o co chodzi. Mówiąc krótko, to dokumenty, które mogą zniszczyć Berię. Jeśli Beria przejmie władzę, najpierw wykończy prawdziwych i wyimaginowanych wrogów, po czym powrócą rządy terroru, jak za najgorszych czasów Stalina. Och, pewnie wykona kilka ruchów mających pokazać, jaki z niego humanitarysta i demokrat, ale koniec końców krajem zaczną rządzić służby specjalne pod światłym kierownictwem Ławrentija Pawłowicza. A to nie wróży dobrze ani Rosji, ani jej mieszkańcom. Czegoś takiego nie było nawet w najkrwawszych latach rewolucji, zawsze partia kontrolowała czekistów, teraz takiej kontroli nie będzie.

– A co, jeśli Beria przegra? Rosja stanie się demokratycznym państwem? Bo na powrót monarchii chyba nie ma szans?

Uniosłem się na łokciu: dziewczyna pytała bez cienia ironii. Ech, te dzieciaki...

– Zapomnij o demokracji, Rosja nigdy nie była i nigdy nie będzie demokratyczna, co najwyżej jakiś sprytniejszy rząd stworzy pozory demokracji. My, Rosjanie, czujemy się dobrze tylko przy silnej władzy, a ściślej mówiąc, silnym władcy. To, czy nazwiemy go carem, pierwszym sekretarzem lub prezydentem, nie ma żadnego znaczenia.

– To jaki jest sens obalania Berii? – spytała z goryczą. – Skoro i tak nic się nie zmieni?

– Ależ zmieni się! Stalin posiadał władzę absolutną, do tego samego dąży Beria. Jego konkurenci nie mają na to szans. Oczywiście, jeden z nich wygra, za to pozostali będą trzymać go w szachu i nigdy nie dopuszczą, żeby w sposób totalny kontrolował państwo. Będą mu patrzeć na ręce, a przy najbliższej okazji odeślą w polityczny niebyt. Będzie jak niedźwiedź osaczony przez watahę wilków, niepewny, czy dożyje kolejnego ranka.

– A co to da zwykłym ludziom? Bezpieka przestanie ich

prześladować? Władza dopuści do głosu?

– Bezpieka nie przestanie ich prześladować, ale zamiast wysłać do łagrów miliony, ograniczy się do setek tysięcy. I śledczy będzie mógł wybić zęby podejrzanemu, ale nie zgwałci jego córki ani nie wbije mu kopniakiem butelki w odbyt. Już nie. Władza nie dopuści do głosu nikogo poza swoimi, postara się jednak od czasu do czasu rzucić ludziom jakiś ochłap: pobuduje trochę mieszkań, zniesie najbardziej restrykcyjne przepisy, przestanie wykorzystywać więźniów jak niewolników. Tylko tyle, i aż tyle.

Sophie przełknęła głośno ślinę, przerażony wzrok świadczył, że przedstawiona przeze mnie wizja nie wprawiała jej w zachwyt.

– Oni tak naprawdę? Mogli robić takie rzeczy?

– A jakże! I wiele innych. Po śmierci Berii to się zmieni. A przynajmniej powinno – dodałem ciszej.

– Więc dlatego ryzykujesz? Dlatego nie chcesz go dopuścić do władzy?

– Nie tylko dlatego. Nie jestem paladynem, po prostu walczę o życie. Kilkakrotnie podpadłem Berii i jeśli ten gnojek dojdzie do władzy, będę jednym z pierwszych na liście do likwidacji. Wreszcie nie ja obalę Berię, to nie mój poziom, co najwyżej pomogę w tym jego konkurentom. W tę akcję zaangażowali się naprawdę poważni ludzie i instytucje, ja jestem jedynie małym trybikiem w całej maszynerii.

– Niezbędnym trybikiem.

– Powiedzmy, że dość istotnym – przyznałem niechętnie. – A teraz...

– Idą! – przerwała mi Sophie. – Widzę naszych!

Doskoczyłem do okna, na ulicy zaroilo się nagle od młodych, muskularnych mężczyzn w prochowcach. Kanciaste kształty pod płaszczami sugerowały, że ekipa jest uzbrojona po zęby.

– Wreszcie – mruknąłem.

Mimo że dziewczyna potwierdziła tożsamość naszych gości, nie zdejmowałem palca ze spustu. Kto wie co przyszło do głowy białym? Czy mi zaufają? Dla większości monarchistów każdy funkcjonariusz sowieckiego państwa był czerwonym komisarzem, a to przecież biała kość, śmietanka emigranckiego Paryża.

Rozmyślenia przerwało mi energiczne pukanie. Kiedy Sophie otworzyła drzwi, starszy, szpakowaty mężczyzna skwitował jej obecność jedynie skinieniem.

– Pułkownik Razumowski? – spytał niecierpliwie.

– We własnej osobie.

– Idziemy! – polecił szorstko. – W okolicy zauważono bolszewickich agentów, a wolałbym uniknąć strzelaniny.

Zbiegliśmy po schodach, tuż przy wyjściu z kamienicy czekał już na nas szary opel kapitan. Zauważyłem, że w ślad za nami ruszyły dwa

inne wozy. Cóż, wyglądało, że jeszcze trochę pożyję. Zawsze to coś...



Przywódca białej organizacji miał dobrze pod siedemdziesiątkę i posiadał – jakżeby inaczej! – tytuł barona. Podobno był bliskim współpracownikiem Stołypina. Na pierwszy rzut oka nie sprawiał imponującego wrażenia, ot, miły, starszy pan w okularach, lecz jego ton świadczył, że przywykł do rozkazywania i tego, że jego rozkazy wypełniane są natychmiast i bez dyskusji.

– Zapewnimy panu ochronę – powtórzył po raz kolejny. – Nie ma sensu prowokować jakiejś wojny na ulicach Paryża. Po prostu odbierze pan dokumenty i przekaże je mnie.

Westchnąłem w duchu, rozumiejąc, że nie obejdzie się bez konfrontacji. Jeśli jednak przesadzę, zrobię sobie kolejnego wroga. Szlag!

– Mógłby pan poprosić tutaj swoich dwóch najlepszych ludzi? – spytałem.

– Najlepszych? W jakim sensie?

– Najsprawniejszych agentów operacyjnych, bojowców czy jak ich tam zwać – burknąłem zniecierpliwiony. – Z tych, których ma pan pod ręką.

– W jakim celu?

– Chcę panu coś pokazać.

W jego oczach ukazał się kpiący błysk, ale podniósł słuchawkę telefonu.

– Dawidowa i Fomenkę do mnie! – polecił.

Nie czekaliśmy długo, po minucie w gabinecie barona Richtera zameldowało się dwóch osiłków.

– Niech pan każe im mnie zabić – rzuciłem półgłosem.

– Wykluczone! – oświadczył. – Jest pan dla nas zbyt cenny, hrabio. Ale co innego mały trening. Obezwładnijcie go! – rozkazał.

Blondwłosy siłacz zaatakował mnie serią uderzeń i kopnięć, podczas gdy jego towarzysz usiłował założyć mi podwójnego nelsona.

Wywinąłem się z uchwytu, zablokowałem kilka ciosów, po czym uderzyłem pięścią w pięść blondyna. Zawył i zwałił się na dywan. No i nic dziwnego, musiałem skruszyć mu kilka kości.

Tymczasem drugi z napastników złapał mnie za szyję i zaczął dusić, momentalnie pociemniało mi w oczach, trzeba przyznać, że facet miał parę w garści. Zmyliłem go pozorowanym kopnięciem, kiedy się uchylił, zerwałem chwyt, łamiąc mu małe palce. Po chwili dołączył do swego towarzysza.

Baron gniewnym gestem oddalił swoich akolitów, po czym zapalił papierosa, nie proponując mi poczęstunku.

– Cemu to miało służyć? – odezwał się ochrypłym z irytacji głosem.

– Demonstracji. Pańscy ludzie nie są nawet w połowie tak dobrzy, jak wam się wydaje – odparłem bez ogródek. – A to nie najlepszy moment, żeby potwierdzić to w praktyce. Jeśli już teraz pójde odebrać dokumenty kompromitujące Berię, na pewno dojdzie do starcia. A wy je przegracie. Co gorsza, Beria zawłaszczy schedę po Stalinie i zniszczy wszystkich konkurentów. To będzie koniec naszych planów. W ostateczności zniszczy i waszą organizację, bo nie zapomni, kto mu się przeciwstawił.

– Co pan zatem proponuje? – Richter westchnął z rezygnacją.

– Zróbmy to po mojemu.

– W porządku – przyzwolił. – Niech pan robi, co chce.

Odetchnąłem z ulgą, moje szanse wzrosły. Odrobinę.



Dostrzegłem ją z daleka – biegła. I nic dziwnego, ulice opustoszały, dochodziła północ, a w tej dzielnicy prędzej można było natknąć się na krasnoludka niż policjanta. Za nią podążało dwóch mężczyzn. Niespiesznie, z widoczną w ruchach nonszalancją. Założyłbym się, że obstawili już cały plac, byliśmy w pułapce. I ja, i Sophie.

Dziewczyna przypadła do mnie, ciężko dysząc, w świetle ulicznej latarni zauważyłem krew na sukience.

– Co się stało?

– Mnie nic – wydyszała. – To jeden z nich podszedł za blisko.

Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem do bramy obdrapanej kamienicy.

– Sprawdź, czy otwarte! – syknąłem.

Wyjąłem broń, trzymając pistolet w swobodnie opuszczonej ręce. Jeśli Bertrand nie dotrzymał słowa, spluwa w niczym mi nie pomoże.

– Zamknijcie! – zameldowała Sophie.

Zakląłem, obserwując zbliżających się mężczyzn.

– Spróbuj jeszcze raz! – poleciłem.

– Nie wygłupiaj się, Razumowski! – krzyknął jeden z bezpieczeniaków.
– Nie masz szans. Ani ty, ani twoja baba.

– Dlaczego drzwi są zamknięte? – spytała Sophie.

Dziewczyna starała się mówić spokojnie, lecz w jej tonie słychać było nutę paniki.

– Bo oni nas tu specjalnie zapędzili. Na tym placu są tylko dwie kamienice i w każdej mają swojego człowieka, który zamknął bramę od

wewnątrz. Żeby mieć pewność, że im nie uciekniemy przez podwórka.

– Więc...

Zanim dokończyła zdanie, usłyszałem, jak coś ciężkiego osuwa się na ziemię, i szczęknął zamek.

– Szybko! – ponaglił głos z ciemności.

Szarpnięciem wciągnąłem dziewczynę do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Koszulę na plecach miałem przemoczoną, pot zalewał mi oczy. Za stary już jestem na takie numery. Zdecydowanie za stary...

Tymczasem na placu rozległy się strzały. Początkowo pojedyncze, później coraz częstsze, z każdą chwilą kanonada nabierała tempa, wreszcie wszystko zagłuszyło ujadanie karabinu maszynowego. Najwyraźniej kumple Bertranda nie patyczkowali się z bezpiecznikami. Tego pewnie nie spodziewaliście się, towarzysze? Co innego zaciukać albo porwać Razumowskiego, a co innego zmierzyć się z bandą uzbrojonych po zęby byłych legionistów.

Wyjąłem latarkę, poświeciłem pod nogi, mężczyznę zabito precyzyjnym ciosem w serce. Przeszukałem zwłoki, zabrałem tokariewa i legitymację. Nieboszczyk nazywał się Tolkmicki, Dymitr Tolkmicki.

Ostrożnie uchyliłem grube drewniane drzwi, ale tajemniczy opiekun szarpnął mnie gniewnie za ramię i odciągnął w tył.

– Proszę się nie wychylać! – warknął. – Kto nam wypłaci pieniądze, jeśli pan zginie?

Uśmiechnąłem się mimo woli, dobrze, że na podwórku było ciemno.

– Poczekajcie! – polecił. – Sprawdzę, czy już po wszystkim.

Sophie wzdrygnęła się nerwowo, słysząc kolejny wystrzał.

– Myślałam, że to już koniec – powiedziała.

– Bo to koniec. Po prostu ktoś dobił rannego – wyjaśniłem.

– Ja wiem, że to komuniści, ale może nie trzeba było? – wymamrotała.

– Nie możemy zostawiać świadków – odparłem rzeczowo. – Taki warunek postawili ludzie Bertranda, nie uśmiecha im się walka z czekistami.

– Chyba nie rozumiem.

– Niebawem zrozumiesz – obiecałem.

– Możecie wyjść! – zawołał Bertrand.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Mężczyznę czuć było prochem i krwią, ale nie wyglądało, żeby został ranny.

– W najlepszym – zapewnił. – Położyliśmy trupem ze dwanaście osób, widać naprawdę chcieli cię dorwać.

– A twoi?

W oczach Bertranda zabłysło zdziwienie, bo i cóż mogły mnie obchodzić straty wśród najemników? Ot, bezsensowny odruch z czasów dawno zapomnianych bitew.

– Dwóch rannych – zameldował posłusznie.
– Jeden – poprawił lakonicznie wysoki, łysy drab. – Jules właśnie skonał.

– Miał jakąś rodzinę?

– Dziewczynę – odpowiedział łysy. – A co?

– Dostanie działkę waszego kumpla – obiecałem.

– Znakomicie – skwitował Bertrand z lekkim roztargnieniem. – Ale zanim się stąd zbierzemy, trzeba zająć się czymś jeszcze.

– Tak?

– Nią.

Skinął dłonią i łysy pchnął w moją stronę kobietę ze związanymi na plecach rękoma. Mogła mieć ze trzydzieści lat, niebieskie oczy zastygły w wyrazie przemieszanej z niepokojem rezygnacji, widać wiedziała, co ją czeka.

– Imię, nazwisko, przydział? – rzuciłem ostro.

– Masza Krugłowa, „Dwójka” – odparła natychmiast.

Miała miły głos, wprost stworzony do opowiadania bajek małym dzieciom, cóż, kiedy wybrała karierę w bezpieczeństwie.

– Ilu was było?

– W grupie czternastu.

Co oznaczało, że jeden uciekł. Nic dziwnego w tych ciemnościach.

– A w ambasadzie?

– Dziś rano było nas dwadzieścioro troje. Mam na myśli agentów operacyjnych – dookreśliła.

Świetnie! Dziesięciu ludzi to zdecydowanie za mało, żeby zastawić sensowną pułapkę, nie wiedząc, gdzie i od kogo mam odebrać papiery. Co prawda uciekinier narobi paniki i Beria wyśle kolejną ekipę, ale ta nie przyleci wcześniej niż pojutrze. A doba to aż nadto, żeby przekazać dokumenty białym.

Łysy wyciągnął pistolet, powstrzymałem go gestem.

– Zróbcie to sami, pułkownik Razumowski – poprosiła. – Bez nienawiści.

Przyłożyłem jej lufę do skroni i pociągnąłem za spust. Bez nienawiści, łapiąc ostatnie spojrzenie gasnących oczu.

– Gdzie ten wasz człowiek? – spytałem.

– Na miejscu – zapewnił Bertrand. – Zbieramy się, przeczekamy resztę nocy w jakiejś knajpie, a rano do banku.

Pomaszerowałem do samochodu otoczony przez ekslegionistów, do jednego z wozów zabrano rannego i zwłoki nieznanego mi bliżej Jules'a. Wiedziałem, że dopóki nie rozliczę się z kumplami Bertranda, będę zakładnikiem, lecz nie martwiło mnie to specjalnie, w końcu nie zamierzałem ich oszukać.



Artiom Guyot podał mi obwiązane sznurkiem niewielkie pudełko. Zważyłem je w dłoniach, po czym umieściłem w eleganckim neseserze, nastawiłem zamek szyfrowy. W walizeczce znajdowało się pół kilograma trotylu i każdy, kto spróbowałby otworzyć ją siłą albo użył niewłaściwego kodu, natychmiast przeniósłby się do wieczności. Pudełko zabezpieczone było ładunkiem pirotechnicznym, który w ciągu sekundy mógł spopielić dokumenty.

– Nie dajcie sobie tego odebrać – poprosił starzec. – Beria wie, że te papiery mogą mu zaszkodzić, ale ani on, ani nikt z jego ludzi nie widział ich na oczy. Jeśli kompromat dostanie się w jego ręce, bez problemu ustali źródło przecieku. A wówczas...

– Nie martwcie się, dopilnuję wszystkiego – obiecałem.

Pożegnałem starca skinieniem głowy i zbiegłem po schodach, po czym, nie rozglądając się na boki, ruszyłem wzdłuż ulicy. Jeśli ktoś mnie śledzi, zdejmą go ludzie Richtera.

Uśmiechnąłem się, przechodząc mimo kiosku z gazetami, zdjęcia na pierwszych stronach paryskich brukowców przedstawiały rozrzucone w malowniczych pozach ciała. Tytuły krzyczały o wojnie gangów i oskarżały o zainicjowanie walk mafię korsykańską. Teorię tę miał potwierdzać fakt, że wśród zabitych znaleziono zwłoki poszukiwanego przez policję korsykańskiego bandyty.

Nie wiedziałem, czym Korsykanie narazili się Bertrandowi, ale pomysł był przedni: Rosjanie podejrzewali, że ich grupa szturmowa zginęła w starciu z bandytami, a francuska policja i służby specjalne śledziły wszystkich wychodzących z ambasady ZSRR, wiedząc świetnie, że zabiłi byli sowieckimi agentami. Ci ostatni bali się opuszczać ambasadę, rozumiejąc, że są obserwowani przez Francuzów, i nie mając pewności, czy w jakiś sposób nie narazili się Korsykanom. Wiedziałem, że taki stan rzeczy nie potrwa długo, ale wystarczyło, że dostarczę dokumenty Richterowi, o resztę zatroszczy się pan baron i jego organizacja.

Skręciłem w stronę najbliższego przystanku metra, tuż przy przejściu podziemnym czekała na mnie Sophie.

– Wszystko w porządku – powiedziała półgłosem. – Możesz mi przekazać dokumenty.

– Masz jakąś ochronę? – spytałem.

– Tak. Dziesięciu ludzi – oznajmiła rzeczowo. – Dwóch za plecami, reszta czeka na peronie.

Spojrzałem Sophie w oczy, wyglądało, że mówi prawdę. Żadnego wahania, nerwowych tików, zmian w tonie głosu. Czyżby to koniec

mojej misji? Czy naprawdę wywinąłem się ludziom Berii i mogę przekazać materiały, które zniszczą wszechwładnego genkoma?

– Odprowadzę cię – zaproponowałem.

Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi i wzięła mnie pod rękę.

– Ja też nie mogę uwierzyć, że to koniec – powiedziała, jakby czytała mi w myślach. – Ale wszystko jest pod kontrolą, nasi zameldowali, że jedyną osobą, jaka wyszła dziś z ambasady, jest sekretarka attaché kulturalnego.

Kiedy usłyszałem dźwięk nadjeżdżającego pociągu, oddałem Sophie neseser.

– *Bon voyage* – szepnąłem, muskając wargami jej policzek.

Odwzajemniła się żywiołowym i zupełnie nieplatonycznym pocałunkiem, po czym zniknęła w wagonie, przez okno widziałem, jak grupa mężczyzn formuje wokół niej ochronny krąg. W kilka minut później siedziałem już w samochodzie wiozącym mnie na lotnisko, za godzinę odlatywał do Moskwy samolot z pocztą dyplomatyczną. Miałem nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy, że po tym, co zrobiłem, odważę się wrócić do kraju. No, a przynajmniej nie przyjdzie to do głowy bezpieczniekom. Wiedziałem, że nawet jeśli wszystko się powiedzie, pozostanie najtrudniejszy etap planu: aresztowanie Berii.

Rozdział jedenasty



Kierowca, jeden z moich ludzi, podwiózł mnie pod otoczoną drzewami (i rzecz jasna płotem) willę. Enigmatyczny napis głosił, że budynek jest własnością Instytutu Sadownictwa Akademii Nauk ZSRR.

Wysiadłem pospiesznie, otworzyłem furtkę otrzymanym wcześniej kluczem i energicznym krokiem pomaszerowałem starannie zagrabioną alejką. Jeszcze chwila – w drzwiach były trzy zamki – i znalazłem się w przestronnym westybulu. Co prawda Beria nie ścigał mnie oficjalnie, jednak wiedziałem, że wszyscy jego ludzie prowadzą intensywne poszukiwania niejakiego pułkownika Razumowskiego. Lepiej dmuchać na zimne.

Wystrój wewnątrz był zdecydowanie przedrewolucyjny: obite skórą meble z cennych gatunków drewna, jedwabne tapety, znalazłem nawet pokój z portretami cara i jego rodziny. Ki czort?

Pociągnąłem nosem, w pomieszczeniu czuć było lekki zapach kadzidła. Zamarłem, widząc ni to notes, ni to broszurkę w twardych, ale wyświechtanych od częstego użytku niebieskich okładkach. Kojarzyła mi się z kimś znajomym, jednak zmęczony wydarzeniami ostatnich dni mózg pracował powoli i niechętnie.

Ostrożnie przerzuciłem kilka kartek, tekst zawierał buddyjską sutrę zwaną Sanghata Dharmaparjaja.

Uniosłem z niedowierzaniem brwi, teraz przypominałem sobie, do kogo należała książeczka: kiedy spotykaliśmy się w czasie oblężenia Wrocławia, Lidia Zosimowna nawet na moment nie rozstawała się z, jak sądziłem wówczas, notatnikiem.

Z zamyślenia wyrwał mnie trzask otwieranych drzwi, błyskawicznie dobyteм broni.

– Schowaj to, Razumowski – poprosiła zmęczonym głosem Lidia Zosimowna. – Jesteś tu bezpieczny.

Przymknąłem oczy, wyęzając słuch, ale jedynym dźwiękiem, jaki wyłowilem, był szmer naszych oddechów.

– Chodź do kuchni – powiedziała. – Napijemy się herbaty i pogadamy.

– Jesteście buddystką? – spytałem z niedowierzaniem. – A te portrety

Romanowów? Gdyby ktoś je zauważył...

– To nic by się nie stało – weszła mi w słowo. – Nie zastanawiałaś się nigdy, dlaczego trwam na swoim stanowisku mimo tych wszystkich czystek? Dlaczego zginęło tylu dowódców *wojennej rozwiadki*, a mnie nikt nawet nie tknął palcem? Piatakow, Aussem, Lencman, Berzin, Nikonow, Orłow, Proskurow – wyliczała.

Milczałam, bo i co tu było mówić? Rzeczywiście zastanawiające.

– Nie, nie donosiłam na nikogo. – Roześmiała się niewesoło. – Gorzej. Dużo gorzej.

– Gorzej?

– O tak, Saszka. Gorzej. Wzięłam udział w obaleniu caratu, stąd te portrety. Żebym nie zapomniała – dodała ciszej.

– Myślałam, że carat obalił rząd tymczasowy – odparłam niepewnie.

– Obalił?! – parsknęła Lidia Zosimowna. – Co najwyżej rozpoczął ten proces! Zmusił Mikołaja Drugiego do zrzeczenia się tronu, ot i wszystko. To my, bolszewicy, postawiliśmy kropkę nad i. Czytałeś akt abdykacji?

Pokręciłam przecząco głową.

– On tam bynajmniej nie ogłosił końca caratu. Owszem, zrzekł się tronu w imieniu swoim i syna, ale jednocześnie przekazał władzę swojemu bratu, wielkiemu księciu Michałowi Aleksandrowiczowi. Ten co prawda odmówił przyjęcia tronu od brata, jednak zaznaczył, że może go przyjąć z rąk Konstytuanty. Podsumowując, akt abdykacji Mikołaja Drugiego niczego nie rozstrzygał, niepewnym było nie tylko, czy carat jako taki przestanie istnieć, ale nawet czy władzę straci rodzina Romanowów. Panowała atmosfera niepewności i strachu, ludzie chcieli poczucia bezpieczeństwa i łatwo mogło się zdarzyć, że zwrócą oczy na kogoś z carskiej rodziny. Bolszewicy zdawali sobie sprawę, że sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie i jedyną gwarancją likwidacji caratu jest śmierć Romanowów. Wiedzieli, że jeśli przejmą władzę i sytuacja się pogorszy, Rosjanie prędko zapomną o wojnie, w jaką wciągnął ich car, i zaczną wspominać „dawne dobre czasy”.

– Nawet jeśli tak, to przecież nie wy wydaliście rozkaz zabicia cara, nie wy strzelaliście!

– Pewnie! Za to sprawiłam, że Urałsoviet podjął decyzję o rozstrzelaniu Romanowów.

– Jak... W jaki...?

– Byłam młoda i głupia. – Westchnęła. – Zakochałam się. Jeszcze przed wojną. Moim wybrankiem został przystojny bolszewik. Wprowadził mnie do partii mimo mojego pochodzenia, sprawił, że zaczęto darzyć zaufaniem. Wiele razy wyciągałam go z aresztu albo więzienia, płaciłam kaucje, używałam swoich wpływów, aby złagodzić wyrok. Teraz wiem, że mnie wykorzystywał, ale wtedy... – Nie dokończyła. – Złapali go w trakcie próby zabójstwa moskiewskiego

generał-gubernatora, zdążył zastrzelić służącą i dwóch ochroniarzy. Skazali na śmierć. Apelowalam o łaskę do cara, lecz ten odrzucił prośbę. Byłam jak oszalała, poprzysięgłam mu śmierć. W kilka lat później nadarzyła się okazja.

– Co zrobiliście?

– Wszystko, co tylko mógłbyś sobie wyobrazić, i wiele rzeczy, o których nawet byś nie pomyślał. Och, byłam sprytna, nie agitowałam wprost! Tu rzuciłam aluzję, tam zjadliwą uwagę. To ja zasugerowałam Biełobrodowowi, żeby wysłał do cara list po francusku z informacją, że istnieje grupa oddanych monarchii oficerów, którzy chcą go wyswobodzić. Fakt istnienia rzekomego spisku posłużył za pretekst do wydania wyroku śmierci. To ja podszczuwałam eserowców i anarchistów, aby wypominali bolszewikom niezdecydowanie, a nawet odchył na prawo, tak żeby ci musieli prześcignąć konkurentów w radykalizmie. Byłam płomieniem rewolucji, no i w końcu postawiłam na swoim. Nie wiedziałam, że razem z carem rozstrzelają dzieci. Nie wiedziałam – powtórzyła głucho.

– Co było potem?

– Po egzekucji? W Urałowie krzyżowały się wpływy różnych sił politycznych, intryga goniła intrygę, więc Lenin rozkazał przeprowadzić drobiazgowo śledztwo. Moja rola wyszła na jaw, wyniki dochodzenia przekazano najwyższym władzom. Dlatego przeżyłam wszystkie czystki, nikt nie odważył się aresztować bohaterki rewolucji.

– Więc stąd ta buddyjska sutra?

– Tak, Saszka, gromadzę dobrą karmę. – Uśmiechnęła się wyrozumiale, widząc moją minę.

– Ale chyba nie tylko?

– Nie tylko – przytaknęła. – Nie jestem w stanie zmienić tego, co się stało, ale mogę to i owo naprawić, a przynajmniej wybrać mniejsze zło.

– Co teraz? – spytałem.

– Poczekamy. Dzięki tobie kompromitujące Berię dokumenty trafiły tam, gdzie trzeba, pozostał tylko ostatni akt.

– Zdajecie sobie sprawę, że Beria jest otoczony tabunami ochroniarzy i nieudana próba aresztowania może przerodzić się w największą czystkę, jaką widział świat?

– Owszem, ale wierzę, że dasz sobie radę.

Sapnąłem gniewnie, wolałbym, żeby inni nie ufali mi tak bezwarunkowo. Olimpijski (a może buddyjski?) spokój Lidii Zosimowny działał mi na nerwy.

– Chcesz herbaty?

– Poproszę – burknąłem.

W końcu co mi zostało? Trzeba było czymś się zająć, zanim nadejdzie czas, aby rozliczyć się z Berią.



Chrząknąłem aprobując na widok swojego odbicia w lustrze. Już w Paryżu przestałem się golić, niemal dwutygodniowa broda i wąsy zmieniły mnie nie do poznania. Za pomocą farby zmieniłem kolor włosów i zarostu na stalowoszary, a okulary ze zwykłymi szklami dodawały mi lat. Wyglądałem niczym księgowy na emeryturze.

– Myślisz, że to wystarczy? – odezwała się z powątpiewaniem Lidia Zosimowna.

– Powinno. Większość ludzi, którzy mnie szukają, widziała moją twarz tylko na fotografii. Nie mogę tu siedzieć wiecznie, mam sprawy do załatwienia.

– Najważniejsza jest likwidacja Berii – przypomniała.

– Rozumiem, ale przecież muszę sprawdzić, czy ludzie są w gotowości, mają broń, opracować plan akcji. Muszę wreszcie wiedzieć, gdzie i kiedy zatrzymać albo zabić Bierię, a tu nie obejdzie się bez konsultacji z Dato.

– Lepiej, żeby i on nie wiedział, gdzie się zatrzymałeś – powiedziała z namysłem.

Przytaknąłem.

– Kiedy wrócisz?

– Nie mam pojęcia – odparłem szczerze. – Postaram się przed północą.

Włożyłem elegancką, dobraną do spodni marynarkę w kolorze morskiego piasku, po namyśle zrezygnowałem ze słomkowego kapelusza. Czerwcowe słońce nie grzało jeszcze zbyt mocno, a nakrycie głowy można było wziąć za element kamuflażu.

– Wyglądasz znakomicie – pochwaliła Lidia Zosimowna. – Tylko nie podrywaj dziewczyn!

Zbyłem jej słowa roztargnionym pomrukiem: właśnie usiłowałem schować gdzieś granat. Nie wychodziło, w kieszeni odznaczał się charakterystyczny obły kształt. Jeśli napotkam jakiegoś bezpieczniaka, ten raczej nie pomyli F1 z mandarynką. Szlag!

– Będzie musiał wystarczyć ci pistolet.

– Na to wygląda – mruknąłem. – A co wy będziecie robić?

– Oficjalnie jestem na chorobowym, lepiej chyba, jak posiedzę w domu. Może wezmę się za pisanie?

– Pisanie?

– Niedawno dostałam propozycję, żeby spisać swoje wspomnienia. Planują je wydać w serii autobiografii weteranów rewolucji.

– Chcecie to zrobić?

– Chyba tak. Tylko że jednocześnie mam ochotę opisać swoje

prawdziwe życie.

– Zwariowaliście!

– Och, to nie na teraz. Może za pięćdziesiąt lat? Albo za sto? Rozumiesz, kiedy ustrój się zmieni, a zmieni się na pewno, nie chciałabym, żeby brano mnie za jeszcze jedną ciotkę rewolucji, bezmózgą, sfrustrowaną starą babę, rekompensującą sobie niepowodzenia życiowe ściganiem nieprawomyślnych.

– Jeśli tak, to nie widzę problemu.

– Nie umiem pisać na maszynie, a sam rozumiesz, że do czegoś takiego nie mogę wynająć kogo bądź.

Poskrobałem się po głowie, nieoczekiwanie przyszła mi na myśl Elena Szewieliewa. Dziewucha na pewno przeszła kurs maszynopisania, choć nie miałem pojęcia, na ile jest w tym dobra.

– Miałbym dla was kandydatkę – powiedziałem. – Ale nie za darmo, bo ona przymiera głodem. Rozumiecie: artystka – dodałem z przekąsem.

– Kto to?

– Moja dawna podwładna, Elena Szewieliewa. Może ją kojarzycie?

– To ona studiowała w Akademii Sztuk Pięknych?

– Tak, ta sama. Mogłaby nawet zilustrować wasze wspomnienia.

W oczach Lidii Zosimowny dojrzałem iskierkę zainteresowania, najwyraźniej pomysł się jej spodobał.

– Umówisz nas?

– Oczywiście.

Jeszcze raz skontrolowałem wygląd w lustrze i ruszyłem do drzwi.

– Uważaj na siebie, Saszka!

Skwitowałem ostrzeżenie skinieniem głowy, sam wiedziałem, że chodzę po ostrzu brzytwy.



Panienka Tatiana roztargnionym gestem podała mi menu, nie to dla specjalnych gości, a zwykłe, wypisane na kawałku zatłuszczonego papieru, dla przypadkowych klientów, którzy czasami trafiali do „Anastazji”. Wtajemniczeni posilali się w zacisznych gabinetach w głębi lokalu.

Zerknąłem na artystycznie upačkaną kartkę, uśmiechnąłem się mimo woli, w spisie była tylko wódka, kiepskie piwo i suszona ryba. Nic dziwnego, że restauracja świeciła pustkami.

– Dima już przyszedł? – spytałem.

Dziewczyna zatrzymała się w pół ruchu i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- To wy?
- We własnej osobie. Co z Dimą?
- Czeką na was od pół godziny.

Bez słowa przeszedłem do gabinetu, poeta Bugrowski właśnie kończył *crème brûlée* z truskawkami, mina chłopaka i puste talerze świadczyły, że nie nudził się, czekając na mnie. Tatiana zamknęła drzwi, odgłos oddalających się kroków dowodził, że nie podsłuchiwała. Mądra dziewczynka!

- Gadaj! - rzuciłem bez wstępu.
- Skazali Kotkę - poinformował przyciszonym głosem. - Dostała dwadzieścia pięć lat. Cichy trzy razy dopytywał, czy dotrzymacie słowa.
- Kiedy wyrusza?
- Już wyruszyła. Przedwczoraj. Dlatego Cichy tak się denerwuje.
- Powiedz mu, że wszystko jest pod kontrolą, spytaj, czy załatwił jej lewe papiery, i przypomnij, że dziewczyna pod żadnym pozorem nie może wrócić do Moskwy.

Bugrowski posłusznie przytaknął. Kiedy się poruszył, poczułem zapach wody kolońskiej. Drogiej wody kolońskiej. Chłopak wyglądał jak zadowolone kocisko, a w każdym jego geście widać było pierwotną, samczą satysfakcję. Biorąc pod uwagę, że żył z Tatianą już kilka lat, najprawdopodobniej w jego życiu pojawiła się nowa miłość. Zakląłem w myśli, jeszcze tego mi brakowało.

- A co poza tym? - spytałem.
- Nic. Absolutnie nic - zapewnił, obdarzając mnie niewinnym spojrzeniem.

Złapałem go za ucho i pociągnąłem, bynajmniej nie delikatnie. Dima syknął z bólu, ale nie próbował się uwolnić.

- To, czy bzykasz dwie, czy trzy panienki naraz, to twoja prywatna sprawa - oznajmiłem mu szeptem. - Chyba że robiąc to, narażasz mnie na niebezpieczeństwo i zagrażasz operacji, od której zależy nasze życie. Zrozumiałeś mnie dobrze?

- Tak, *komandir!* Zrozumiałem!
- Wyobrażasz sobie, co może zrobić Tatiana, jeśli się o tym dowie?
- Bugrowski spuścił głowę i skrzywił się boleśnie.
- Wyobrażam - przyznał. - Ale ona jest taka śliczna. I miła.
- Wiesz chociaż, kim ona jest i czy nie nasłał jej Beria?
- *Komandir!* Nie jestem idiotą! No, a przynajmniej nie do tego stopnia - poprawił się, widząc mój wzrok. - Pamiętacie aferę z drużynnikami? Niedawno wypuścili z łagru te bibliotekarki, Nina to jedna z nich.

Przymknąłem z rezygnacją oczy, najwyraźniej jakiś wyższy byt postanowił ciężko doświadczyć pułkownika Razumowskiego. Nigdy nie wtrącałem się w życie uczuciowe podwładnych, o ile nie zagrażało to bezpieczeństwu mojemu lub grupy, ale były pewne granice. Przyjdzie

wziąć się do działalności wychowawczej.

– Zerwiesz z panią Niną jeszcze dzisiaj i obiecasz, że nie spotkasz się z nią więcej.

– Ale dlaczego?!

– Pomyśl, matołku, kim dla niej jesteś.

– No, kim?

– Ona wie, że to ty wyciągnąłeś ją z łagru, prawda?

– Wie, i co z tego? Nie chwaliłem się, ale widziała papiery, wie, że to ja podważyłem wyrok tego lipnego śledztwa.

– Wyobrażasz sobie, co mogła przeżyć taka dziewczyna jak ona przez ten czas? Co z nią wyprawiali strażnicy i inne więźniarki?

– Ale...

– Była bita i gwałcona, dzień po dniu – przerwałem mu bezlitośnie. – Teraz pewnie umiera ze strachu na sam widok munduru. Jesteś dla niej bogiem, panem życia i śmierci. Wiem, że jej nie skrzywdziłeś, ale to nie ma znaczenia, zrobi wszystko, co każesz, nie dlatego, że się jej podobasz, ale ze strachu. Śmiertelnego strachu, że jeśli cię nie zadowolą, wróci do łagru, gdzie będzie ją obracał każdy prymitywny kmiot, że znowu będzie stała naga, wystawiona na lubieżne spojrzenia strażników, mogących ją obmacać w każdej chwili pod pretekstem rewizji albo i bez żadnego pretekstu. Naprawdę chcesz, żeby oddawała ci się na takich warunkach?

Dima Bugrowski wyglądał, jakby chciał zwymiotować.

– Nie... nie pomyślałem o tym – wymamrotał.

– Wiem. I tylko dlatego nie nakładłem ci po mordzie.

– Ja... zrobię wszystko, co chcecie – obiecał.

– No dobrze – powiedziałem i zmieniłem temat. – Co z Dato?

– Czeka na was na Twerskiej.

– Odwieszysz mnie tam i poczekaasz, dopóki nie wyjdę – poleciłem. – Gdyby coś poszło nie tak, wiesz, co robić.

Poeta skinął głową bez przekonania. Mimo że był przygotowany do ucieczki wraz z całą rodziną, jak wszyscy moi współpracownicy, wiedział, że jeśli Beria wygra, nigdzie się nie ukryje. Bezpieka znajdzie go prędzej czy później, a sam fakt ucieczki zostanie potraktowany jak przyznanie się do winy. To był tylko sposób, aby odejść z godnością, z własnej woli, w wybranym miejscu i czasie, a nie w bezpieczniackiej katowni, oskarżając najbliższych, żeby przypodobać się oprawcy i wytargować kilka dodatkowych minut życia.

– Wiem, co robić – zapewnił posępnie.

Wstałem od stołu, dając sygnał do wyjścia. Nie było o czym mówić, nadszedł czas działania.



Dato wyglądał, jakby nie spał przez ostatni miesiąc, a na twarzy Eduarda Malicyna pojawiły się zmarszczki, których jeszcze rok temu nie było. Tylko Paszka Zwiercow był ożywiony.

– Ludzie gotowi do akcji – zameldował dziarsko Paszka.

– Broń?

– Wszyscy uzbrojeni po zęby, mamy nawet SN-46.

Mruknąłem z aprobatą, kilka lat temu wprowadzono na wyposażenie wybranych oddziałów unowocześniony *stalnoj nagrudnik*, składający się z trzech części. Napierśnik był w stanie powstrzymać pociski z większości pistoletów maszynowych, wątpiłem, żeby ochroniarze Berii mieli na wyposażeniu coś więcej. W końcu nie wybierali się na wojnę.

– Pozostaje ustalenie daty – zwróciłem się do Dato.

Petrosian drgnął nerwowo, po czym poszukał wzrokiem Malicyna.

– Dwudziesty piąty albo dwudziesty szósty czerwca – odparł po chwili. – Chruszczow zwoła wówczas posiedzenie Rady Ministrów, na którym musi pojawić się Beria.

– Na ile realny jest ten termin? – spytałem. – Bo podobno Beria wybiera się do NRD.

Od kilku dni w okupowanej przez nasze wojska części Niemiec trwały niepokoje związane z wprowadzeniem podwyższonych norm produkcji i brakami w zaopatrzeniu. Brutalna prywatyzacja i kolektywizacja nie tylko nie przybliżyły komunistycznego raj, ale – co za niespodzianka! – pogorszyły i tak kiepską sytuację.

– Do dwudziestego czwartego, góra piątego, wszystko się zakończy – powiedział pewnym tonem Malicyń. – A Beria pewnie wróci kilka dni wcześniej, gdy tylko upewni się, że nasze wojska są w stanie opanować rozruchy.

Mróz przeszedł mi po skórze. Czyżby bunt robotników w NRD został sprowokowany po to, żeby zwabić tam Berię? Cóż, wiedziałem, że moi sojusznicy nie są aniołami.

– Ty zneutralizujesz agentów Berii, my zajmiemy się resztą – kontynuował.

– Tak jak się umówiliśmy – potwierdziłem.

Przypuszczałem, że samego aresztowania dokonają wybrani przez Chruszczowa i pozostałych spiskowców oficerowie, zapewne pod światłym przywództwem „marszałka zwycięstwa”. Żukow nie przepuści okazji, żeby odpłacić Berii za dawne krzywdy. Plotka głosiła, że ten był jednym z inicjatorów „sprawy łupów wojennych”, w której udowodniono marszałkowi kradzież na wielką skalę, co poskutkowało zesłaniem go do Odeskiego Okręgu Wojskowego. Co prawda oficjalnie śledztwo prowadził Abakumow, ale wówczas mało co działo się bez wiedzy i woli Ławrentija Pawłowicza.

– W takim razie wszystko ustaliliśmy – zakonkludował Malicyń.

– Prawie wszystko – poprawiłem. – Potrzebny mi samolot, jutro wieczorem muszę być w Jakucku.

– Ty i te twoje szemrane interesy – westchnął cierpiętniczo Malicyń. – Naprawdę nie mógłbyś poczekać do przyjazdu Berii?

– Nie.

Malicyń westchnął ponownie, ale nie przekonywał mnie dłużej. I on, i Dato nauczyli się, że gram według własnych zasad.

– O dziewiętnastej na lotnisku – przejął inicjatywę Petrosian. – Potrzeba ci czegoś jeszcze?

Podziękowałem uprzejmie, wiedziałem, że nadzwyczajna troska moich partnerów podyktowana jest obawą, że beze mnie nie poradzą sobie z Berią. Kiedy ten umrze, kto wie czy prominenci nie zapomną szybciotko o pułkowniku Razumowskim? Ba! Pół biedy, jeśli tylko zapomną, gorzej, jeśli zechcą zlikwidować niewygodnego świadka.

Bugrowski zaparkował po drugiej stronie ulicy, na mój znak – udałem, że poprawiam okulary – natychmiast podjechał do krawężnika.

– Nikt was nie śledził – zameldował.

– To dobrze. Masz moje rzeczy?

Chłopak ruchem głowy wskazał podniszczony wojskowy plecak na tylnym siedzeniu. Pochwaliłem go za inicjatywę, miałem zamiar udawać sierżanta grupy pościgowej. W tej sytuacji walizka byłaby nie na miejscu.

– Gdzie wsiądziecie do pociągu? – spytał.

– W Jakucku.

Chłopak zachmurzył się, ale nie skomentował. Obaj wiedzieliśmy, że właśnie w Jakucku zaczyna się słynna, czy raczej osławiona, Droga Kości wiodąca do Magadanu, zbudowana przez więźniów Gułagu za cenę tysięcy ludzkich istnień.

– Uważacie na siebie – poprosił. – Jesteście strasznie upierdliwym szefem, ale jak wam się coś stanie, mogę dostać gorszego.

– Postaram się – mruknąłem. – A teraz zaparkuj tu, przy tym telefonie.

Nie wiedziałem, czy jakby co, towarzystwo Lidii Zosimowny uratuje panienkę Szewieliewą, ale lepiej, żeby na jakiś czas wyprowadziła się z mieszkania. Czort wie kogo z moich znajomych śledzą ludzie Berii i jakie dostali rozkazy?

Elena odebrała niemal od razu, w jej głosie usłyszałem nutkę rezygnacji. Znaczy nadal bez pracy. Ot, głupia koza!

– Punkt numer dwa, reżim bojowy – powiedziałem, pomijając powitanie. – Czas półtorej godziny.

Zareagowała po sekundzie, potwierdzając odebranie rozkazu. Nawet jeśli ktoś ją inwigiluje, wątpiłem, żeby bezpieka oddelegowała w tym celu więcej niż dwie osoby. Beria wiedział doskonale, że moje kontakty

z panienką Szewieliewą były sporadyczne. Szkoda czasu i ludzi, zasoby bezpieczeństwa też nie są nieskończone. A z jednym czy dwoma bezpieczniakami Elena sobie poradzi. Jeśli będzie trzeba, w sposób ostateczny. Reżim bojowy oznaczał konieczność likwidacji ogona wszelkimi sposobami.

– Na Patriarsze Prudy – poleciałem, wsiadając.

– Chcecie się z kimś spotkać? – rzucił domyślnie Dima.

– Owszem.

– Z kim? – indagował.

– Ze znajomą. I od razu uprzedzam: ona jest całkowicie poza twoim zasięgiem.

Błysk zainteresowania w oczach poety świadczył, że chłopak niespecjalnie przejął się moją uwagą, najwyraźniej w ostatnim czasie Dymitr Fortunatowicz cierpiał na nadprodukcję hormonów męskich, ale w końcu to nie moja sprawa. Jeśli będzie zbyt natarczywy, Elena wyciągnie mu kręgosłup przez gardło, a jeżeli wymienią płyny fizjologiczne, to także nie mój problem. Co robić? Młodość, psiamać...



W więziennym wagonie śmierdziało zastarzałym potem i moczem. Teoretycznie konwojenci powinni raz na cztery godziny wyprowadzać więźniów do toalety, ale bywało z tym różnie. Czasem trafił się ktoś, kto naruszał przepisy na korzyść zeków, dużo częściej ochrona nie przejmowała się potrzebami podopiecznych. Ci i tak nie mieli się komu poskarżyć.

W *wagonzacie* panował tłok, do cel obliczonych na sześć osób wtłoczono po kilkanaście kobiet. Tylko jedna pozostawała pusta, jak można się było domyślić, dla osobistych celów konwoju: tu nasi dzielni chłopcy pieprzyli się z więźniarkami, które oddawały im się za kromkę chleba czy szklankę wody, albo po prostu gwałcili co ładniejsze.

Z początku nie zauważyłem Kotki – leżała na najwyższej pryczy wraz z drugą drobną kobietą. W takich miejscach nikt nie przejmował się konwenansami, względy przyzwoitości schodziły na dalszy plan, priorytetem było przeżycie.

Otworzyłem drzwi, zawołałem Kotkę po nazwisku. Mimo tłoku więźniarki cofnęły się trwożnie od wejścia, wiedziały doskonale, w jakim celu mogą przyjść po nie konwojenci.

– Szybciej! – ponagliłem.

Wyszła z wyraźnym ociąganiem, złapałem ją więc za włosy i nie zważając na opór, zawlokłem do pustej celi. Za plecami słyszałem

przerazone krzyki, ale cóż mogły zrobić wiezione do łagru kobiety? Przepiłować kraty i zaatakować strażników? A może apelować do sumienia konwojentów? Wolne żarty!

Mała gadzina ugryzła mnie w rękę.

– Uspokój się! – warknąłem, odpychając dziewczynę. – To ja, Razumowski!

– To naprawdę wy? – wyjąkała.

– We własnej osobie!

Zanim się zorientowałem, panienska Bondaruk objęła mnie i wybuchnęła płaczem.

– Myślałam już, że nie przyjdziecie – wyszlochała.

Pogłaskałem ją uspokajająco po ramieniu, niespodziewanie poczułem wyrzuty sumienia: kontakt z socjalistyczną sprawiedliwością to nie byle co. Julia musiała być skrajnie wyczerpana.

– Nie zrobili ci krzywdy?

– Nie, ale uratował mnie tylko mój wzrost. Konwojenci zdążyli zgwałcić prawie wszystkie dziewczyny. No i od tygodnia nie jadłam porządnie ani nie miałam okazji się umyć. Ochrona pozwala skorzystać z łazienki tylko tym, które... no, wiecie. Chciałabym...

– Teraz to nieważne, jeszcze dziś będziesz na swobodzie – powiedziałem, przerywając zwierzenia paniunki Julii. – Niedługo przyjdzie po ciebie jeden z konwojentów. Nie broń się i nie sprzeciwiaj, kiedy zaciągnie cię do celi. To będzie ostatnia rzecz, jaką zrobi.

Kotka spojrzała na mnie z przestachem, ale posłusznie skinęła głową.

– A pozostali? – spytała. – Bo w wagonie jest ich pięciu.

– Tylko dwóch – sprostowałem. – Trzech konwojentów zachorowało dziś rano i zastąpiłem ich ja i moi ludzie.

– Jak mnie stąd wyciągniecie?

– Zabiję tę dwójkę i podłożę trzy świeże trupy w mundurach konwoju. Czekają już w skrzyniach z suchym lodem.

– Ale dochodzenie...

– Dochodzenie przeprowadzi wydział pościgowy – ponownie wszedłem jej w słowo. – Strażnicy z innych wagonów nie powinni niczego zauważyć, a jakby co, po prostu nie przeżyją śledztwa.

Julia Bondaruk pobladła, lecz nie zaprotestowała. Po tym, co przeżyła, doskonale rozumiała, że wszystko ma swoją cenę. Także jej wolność.

– Nie możecie ich teraz? Zaraz?

– Nie. Więźniarki muszą widzieć, że jeden z nich zawlókł cię tutaj. Kiedy znajdą go bez gaci, będzie oczywiste, co robił, i nikt nie zechce zagłębiać się w tę sprawę. Nie można mieć pewności, że twoją ucieczką nie zainteresuje się bezpieczeństwo czy Ministerstwo Sprawiedliwości.

W końcu nie jesteś zwykłą więźniarką, no i zostawisz za sobą pięć trupów.

– Będą mnie szukali, prawda?

– Tylko przez kilka dni. Mój wydział znajdzie cię i zlikwiduje. Mamy i trupa karlicy, identyfikacji dokonają twoi koledzy z cyrku. Rzecz jasna, odpowiednio poinstruowani.

Dziewczyna zacisnęła usta, westchnąłem więc z rezygnacją: lepiej się wytłumaczyć, zanim panienka Bondaruk dostanie spazmów.

– To morderczyni – wyjaśniłem. – Niski wzrost nie jest szczepionką na zbrodnię. Co do konwojentów, to sama rozumiesz, że nie ma co ich żałować.

– A te trzy trupy?

– Ofiary wypadków. Byli pod ręką, w dobrym stanie i bez rodzin, więc skorzystałem. – Obojętnie wzruszyłem ramionami.

– Nie obrażcie się, ale to wszystko trochę grubymi nićmi szyte. Co, jeśli czekałsi zorientują się, że coś tu nie gra? Będę musiała uciekać do końca życia?

– Zatroscyłem się o wszystkie „co, jeśli”. I owszem, mój plan nie jest szczytem finezji, ale i nie musi być, to tylko legenda na tydzień czy dwa. Ktokolwiek by się zainteresował twoją ucieczką, dostanie rozkaz, żeby o niej zapomnieć.

– Żartujecie?

– Nie. Po prostu korzystasz z okazji. Niedługo sytuacja w naszym kraju zmieni się radykalnie. Tak albo inaczej – mruknąłem cicho.

– Więc teraz odprowadzicie mnie do celi?

– Tak, ale musimy dopilnować, żeby wszystko wyglądało autentycznie.

– To znaczy?

Zamiast odpowiedzi strzeliłem Kotkę w twarz i brutalnym szarpnięciem rozerwałem bluzkę.

– Idziemy! – poleciłem.

Zamknąłem dziewczynę w celi i pomaszerowałem do przedziału konwojentów. Na stole stały dwie półlitrowki, trzy opróżnione walały się w kącie, najwyraźniej impreza nabierała tempa. Jeden z moich ludzi, Jasza Sapronin, nalał mi od serca i podsunął poobijany kubek.

– Karniaka! – zarechotał mocno już pijany sierżant o nalanej twarzy.

Znałem jego akta na pamięć, także te niejawne. Posługiwał się dokumentami na nazwisko Rubcow, ale w rzeczywistości nazywał się Iwan Minajew i ostatnią wojnę spędził, rozstrzeliwując „wrogów ludu”, choć miał papiery potwierdzające udział w walkach o Stalingrad i Berlin. Nic nowego w naszym kraju, nikt nie lubi katów, więc władza musi ich chronić.

Przepiłem do niego z uśmiechem, zakąsiłem kawałkiem kiełbasy.

– Coś ty tak długo robił? – zapytał bełkotliwie. – Spodobała ci się jakaś dziewczynka? Mamy tutaj kilka prima sort.

– Spodobała – przyznałem. – I nie zawiodłem się, jest lepsza, niż myślałem.

– Która to?

– Bura Kotka.

– Kto?

– No mówię: Bura Kotka. Julia Bondaruk – dodałem, widząc niezrozumienie w oczach pijanego sierżanta.

– Bondaruk? Ta karlica? Pieprzyłeś się z karlicą?

– Pieprzyłem karlicę – poprawiłem. – I wierz mi, było warto. Dziewucha jest normalnie zbudowana, tylko mniejsza, ale to mi nie przeszkadza. No i niektóre mięśnie ma bardziej wyrobione niż zwykłe baby. Rozumiesz: cyrkówka.

– Muszę sam sprawdzić – wymamrotałem, podnosząc się ociężale.

Jego kompan także wstał z za stołu, wtedy Jaszka momentalnie go spacyfikował, udając, że obejmuje za szyję. Kiedy Rubcow wyszedł na korytarz, opuściłem nieznacznie powieki i kręgosłup konwojenta trzasnął niczym sucha gałązka.

– Do roboty! – rzuciłem szorstko. – Mamy dwadzieścia minut!

Jaszka westchnął cierpiętniczo: ubieranie trupów to żmudna robota, ale po chwili skrzynie oznaczone jako specprzesyłka numer sto dwadzieścia jeden były otwarte. Widząc, że wszystko jest na dobrej drodze, pospieszyłem za Rubcowem. Przechodząc obok cel, udałem, że poprawiam czapkę, ale żadna z więźniarek i tak mi się nie przyglądała, wszystkie wiedziały, po co konwojent wyciągnął Kotkę, i jedynym ich zmartwieniem było, żeby nie podzielić jej losu.

Kiedy nadszedłem, Julia stała już naga. Nie pomyliłem się – rzeczywiście była ładnie zbudowana. Rubcow odwrócił się, słysząc skrzypnięcie dawno nieoliwionych drzwi. Podwójne uderzenie otwartymi dłońmi w uszy oszołomiło go, dokończyłem, miażdżąc mu krtań.

– Ubieraj się – poleciłem.

Panienka Julia ze złością kopnęła leżącego konwojenta, nie przypuszczałem, żeby zrobiło mu to wielką różnicę, i tak umierał, dławiąc się własną krwią.

– Szybciej! – ponagliłem.

– A dziewczyny? – spytała. – Moglibyście otworzyć drzwi cel i ...

– I miałbym na głowie kupę rozhisteryzowanych bab – przerwałem jej z przekąsem. – Nie zajmuję się ratowaniem dam w potrzebie, zresztą większość z nich to kryminalistki. Żeby uciec, potrzebują ubrań, żarcia i pieniędzy. Chcesz, żeby zabiły kogoś dla kurtki i pary butów? Wybij to sobie z głowy! Gotowa?

– Tak. I dziękuję wam! Dziękuję!

Wyszedłem na korytarz i otworzyłem drzwi do wagonu, pęd powietrza rozwichrzył mi włosy.

– Co robicie?!

– Zaraz pociąg zwolni, gdy dam znak, wyskoczysz.

– Zabiję się!

– Bzdura! Jesteś akrobatką, pamiętasz?

Maszynista zgodnie z przepisami podał sygnał, że zwalnia, aby uregulować szybkość pociągu, jednak ja wiedziałem, że przyhamuje bardziej, niż to konieczne.

– Skacz! – krzyknąłem.

Kotka przeżegnała się i skoczyła, ja w ślad za nią. Żadne z nas nie utrzymało się na nogach, upadek pozbawił mnie tchu, ale kiedy zatrzymałem się w końcu na jakimś krzaku, byłem tylko podrapany. Odetchnąłem z ulgą, widząc, że dziewczyna podnosi się z ziemi. O chłopaków się nie martwiłem, byli młodszy ode mnie i w lepszej kondycji. Jedna sprawa z głowy, teraz pozostawało tylko aresztować Berię. Choć Bogiem a prawdą, słowo „tylko” niespecjalnie pasowało do sytuacji.



Elena dołała mi herbaty, podziękowałem i sięgnąłem po kolejne ciasteczko. Dochodziła północ, Lidia Zosimowna już dawno poszła spać, ale ja nie mogłem zasnąć, wiedząc, że wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższych dni. Wnioskując po minie pani Szwieliewej, dziewczyna także była niespokojna.

– No, co tam? – burknąłem. – Praca ci nie odpowiada?

– Odpowiada – zapewniła. – Wynagrodzenie jest więcej niż hojne, a opowieści Lidii Zosimowny fascynujące. Nie sądziłam, że historia jest tak interesująca.

– To o co chodzi?

– Pozwólcie mi sobie pomóc, *komandir*. Przecież was znam i widzę, że szykuje się coś grubszego. A wy się martwicie, co znaczy, że operacja jest ryzykowna. Więc pomyślałam, że przydałby wam się jeszcze jeden zaufany człowiek – dorzuciła chytrze.

Uśmiechnąłem się smętnie. Zaufany człowiek? Pewnie, że by się przydał! Nie chciałem narażać Eleny, ta nie raz i nie dwa ryzykowała dla mnie, jednak wiedziałem, że jeśli przegramy, i ona nie pożyje zbyt długo, bo Beria unicestwi wszystkich moich przyjaciół i bliskich.

– No dobrze – odparłem. – Ale na moich zasadach.

– Na waszych zasadach – przytaknęła natychmiast, unosząc dłoń jak do przysięgi.

Nie przebierając w słowach, wyjaśniłem Elenie, w czym rzecz. Dziewczyna słuchała w milczeniu, tylko z jej twarzy odpłynęła krew.

– Dla...dlaczego to robicie? – spytała. – Chcecie więcej pieniędzy i władzy? Przecież moglibyście uciec za granicę! Z waszymi umiejętnościami bezpieka nigdy by was nie znalazła!

– Nie znalazła? – Roześmiałem się bezradośnie. – Jeszcze jak by znalazła! Jeśli nie teraz, to za pięć czy dziesięć lat. Bo wiesz, że oni by nie odpuścili, prawda? A ty, Tima i inni moi znajomi? Myślisz, że Beria łaskawie wam przebaczy?

– Przecież nic nie zrobiłam!

– Ależ zrobiłaś: przyjaźnisz się z pułkownikiem Razumowskim. Wiesz, że to wystarczy. Myślisz, że człowiek, który ma na sumieniu krew milionów ludzi, zawaha się przed zabiciem kilku osób? Wolne żarty!

Zaschło mi w gardle, dopiłem herbatę i Elena ponownie sięgnęła po czajnik. Mimo wzburzenia rękę miała pewną, widać lata treningów nie poszły na marne. Jeśli przyjdzie co do czego, z taką samą precyzją wyceluje i naciśnie spust.

– Co mam zrobić? – spytała krótko.

– Będiesz moją asekuracją – powiedziałem. – Asem w rękawie. Gdyby wszystko poszło nie tak. Znalazłem ci dobre stanowisko strzeleckie, odległość spora, ale dasz radę.

– Mam zastrzelić Berię?

– Skąd! Jeśli Beria wygra, wyjdzie z budynku podziemnym przejściem, obawiając się snajperów. Nawet mnie nie udało się ustalić, gdzie są wyloty tych tuneli, bo nasza władza ma świadomość, że nikt jej za bardzo nie kocha, i jest przygotowana na najgorsze. Pod każdym rządowym gmachem są takie kazamaty. To mnie masz zabić. Wątpię, żeby ktoś zawracał sobie głowę ewakuacją spiskowców podziemnymi tunelami, po prostu zawiozą nas na Łubiankę.

Zaciśnięte na filizance palce Eleny pobiełały, przez chwilę myślałem, że skruszy porcelanę, w końcu skinęła głową.

– Nie będziesz mogła wypróbować broni, ale znasz przecież mosina, a karabin jest przestrelany, dopilnowałem tego.

– Będę mogła obejrzeć swoją pozycję?

– Nie, za duże ryzyko. Jeden z moich ludzi zawiezie cię tam na godzinę przed akcją.

– A co potem? Jeśli...

– Potem nie będzie żadnego „jeśli” – przerwałem jej znużonym tonem. – Wiesz, gdzie są pieniądze, jakby co. – Zakryłem usta, powstrzymując ziewanie.

Świadomość, że nawet w najgorszym wypadku nie dostanę się żywy

w ręce Berii, uspokoiła mnie i nagle poczułem zmęczenie.

– Idę spać – powiedziałem.

– Dobranoc – mruknęła.

Sen mnie dopadł, ledwo dotknąłem głową poduszki, lecz koszmary prześladowały do rana, widziałem roześmianą twarz Berii i kraty celi na Łubiance.



Zakręciłem kurek i sięgnąłem po ręcznik. Eksperci *wojennej rozwiadki* już dawno stwierdzili, że lodowaty prysznic z rana nie tylko pobudza organizm, ale też normalizuje produkcję adrenaliny do końca dnia. To niezły sposób na stres, o ile ktoś nie boi się zimnej wody. Ja nie narzekałem, ostatnie dni spędziłem, czytając książki i pracując w ogródku, w oczekiwaniu na sygnał od Dato. A ten nie nadchodził. Beria wrócił już z Niemiec, jednak na razie nikt nie zwołał posiedzenia Rady Ministrów czy Biura Politycznego.

Zanim zdążyłem się wytrzeć, ktoś zastukał do drzwi łazienki, ostro, nie żałując pięści. W ułamku sekundy miałem już w ręku pistolet.

– Co tam?! – rzuciłem oschle.

– Pospiesz się! – powiedziała Lidia Zosimowna. – Przyszedł Paszka Zwiercow.

Zakląłem pod nosem. To właśnie Paszka miał pilnować ludzi i prowadzić obserwację Berii. Z oczywistych względów kontaktować się mieliśmy tylko w razie absolutnej konieczności. Coś musiało się stać.

Zawiązałem niedbale szlafrok i jeszcze mokry poszedłem do salonu. Paszka siedział z kamienną twarzą za stołem, jakby nigdy nic zajadając ciasteczka, widziałem jednak, że jest zdenerwowany.

– Panie wychodzą! – zakomenderowałem.

Elena i Lidia Zosimowna wyszły bez słowa sprzeciwu.

– Co jest? Melduj!

– Beria zmienił szefa ochrony – powiedział Paszka przyciszonym głosem. – Dotychczasowy, niejaki Czernow, był skuteczny, ale nic ponadto. Przeciętniak. Nikt, z kim nie moglibyśmy sobie poradzić. Nowy, Borys Łunnicki, to ekstraklasa. Zdążył już zmienić grafik dyżurów i wszystkie trasy przejazdu.

– Wnioski?

– Ławrentij Pawłowicz dowiedział się o zamachu. Może nie w detalach, ale najwyraźniej wyczuł zagrożenie.

Przytaknąłem. Dobrze by było wiedzieć, czy to jakiś przeciek z naszej strony, doniesienia agentów Berii, czy może zwierzęcy instynkt, ale nie

było czasu na sprawdzanie detali. Jeśli genkom zaczął coś podejrzewać, prędzej czy później doda dwa do dwóch i zlikwiduje spisek wraz ze spiskowcami. Nie było drogi odwrotu.

– Mam jeszcze jedną informację: posiedzenie Rady Ministrów odbędzie się pojutrze, dwudziestego szóstego czerwca. Dato i Malicyń chcą się z tobą spotkać, ale raczej nie w kasynie.

– Rozsądnie. Czort wie, czy bezpieka nie ma lokalu na oku. Więc gdzie?

Zwiercow bezradnie rozłożył ręce.

– Zaraz – powiedziałem. – Mam chyba pewien pomysł, choć to i tak ryzykowne.

– Tak?

Podaliśmy mu adres i odprawiliśmy, a sam poszedłem dokończyć ablucje. Wyglądało, że znowu będę musiał narazić postronną osobę, lecz nie widziałem innego wyjścia.

Zjadłem pospiesznie śniadanie – kto wie kiedy trafi mi się kolejny posiłek? – i zabrałem samochód Lidii Zosimowny. Jadąc, rozpatrywałem wszystkie możliwe opcje. Oczywiście przypadki się zdarzają, wątpiłem jednak, żeby w bezpiece służyły dwie osoby o identycznym imieniu i nazwisku oraz podobnym statusie. Bo przecież Beria nie zrobiłby szefem ochrony byle kogo. Czyli obecnie za bezpieczeństwo genkoma odpowiada mój wiedeński znajomy. Zgadzałem się z Paską, Łunnicki zrobił na mnie wrażenie profesjonalisty najwyższej klasy. Ktoś taki może sprawić, że utoniemy u brzegu. Szlag!



Margarita de Virion podała herbatę, po czym wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi. Ani Dato, ani Malicyń nie wyglądali na zachwyconych, że wplątałem w spisek dodatkowego świadka, choć pewnie z innych względów niż ja. Obaj bali się tylko dekonspiracji, los naszej gospodyni raczej nie spędzał im snu z powiek.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, Malicyń odezwał się pierwszy.

– Co robimy? – spytał. – I czy w ogóle możemy jeszcze cokolwiek zrobić? Dałem dzisiaj żonie truciznę, dla niej i dla syna – dorzucił głucho.

Łyknąłem herbaty, nie czując smaku napoju, i ja nosiłem ampułkę cyjanku zaszytą w kołnierzyk koszuli.

– Spokojnie – powiedział Dato. – Na razie jeszcze nikogo nie aresztowano, a mój kontakt donosi, że nie szykuje się żadna większa

akcja. Moim zdaniem mamy czas przynajmniej do dwudziestego szóstego.

– Saszka? – ponaglił mnie Malicyn. – Co o tym myślisz?

– Mamy czas – potwierdziłem. – Do dwudziestego szóstego, nie dłużej. Jeśli nie wyeliminujemy wówczas Berii, któryś z waszych partyjnych kumpli sygnie, żeby wkupić się w łaski Ławrentija Pawłowicza. A to będzie nasz koniec.

– Co proponujesz?

– Nie mamy wyjścia, musimy atakować. Jednak jeśli Berię będzie chronił Łunnicki i dojdzie do konfrontacji, mamy jedną szansę na dziesięć. Bo Łunnicki rozważy wszystkie warianty, to strateg. On ma ułatwione zadanie: nie musi opanować gmachu, odciąć dróg ucieczki, wystarczy, że wyciągnie z tej zawieruchy żywego Berię. A nikt mu nie zabroni zgrupować w okolicy choćby i kilkuset agentów pod pretekstem ćwiczeń czy chuj wie czego.

– Moglibyśmy i my zmobilizować więcej ludzi – zauważył Dato.

– W żadnym wypadku! Tego nie da się utrzymać w tajemnicy. I tak balansujemy na skraju przepaści. Pamiętajcie, że to my spiskujemy, Beria nie musi się kryć. Tylko od niego zależy, czy weźmie ze sobą dziesięciu ochroniarzy, czy stu.

– Na posiedzenie Rady Ministrów?!

– A dlaczego nie? Wymyśli jakieś fikcyjne zagrożenie ze strony wrogów rewolucji i już. Kto ośmieli się zarzucić mu kłamstwo? W sytuacji, kiedy przewaga będzie wyraźnie po jego stronie?

– Zaraz, zaraz – powiedział z namysłem Malicyn. – Czy dobrze cię zrozumiałem? Istnieje możliwość, żeby nie doszło do konfrontacji?

– Niewielka – powiedziałem bez ogródek.

– Mów!

– Poznałem Łunnickiego w Wiedniu. To zawodowiec, ale nie fanatyk. No i chyba niespecjalnie lubi Ławrentija Pawłowicza. Co nie znaczy, że go zdradzi – zastrzegłem. – Mógłbym z nim porozmawiać.

– Tylko tyle? Porozmawiać?!

– Lepsze to niż niemal pewna przegrana.

– Co musielibyśmy mu obiecać? – spytał rzeczowo Dato.

– Być może byłby zainteresowany kierowaniem jednym z wydziałów bezpieczeństwa. Z naciskiem na „być może”.

– Masz carte blanche – powiedział natychmiast Malicyn. – Jeszcze dziś omówię to z Nikitą Siergiejewiczem.

Przytaknąłem, obaj wiedzieliśmy, że słowa danego Łunnickiemu trzeba będzie dotrzymać, bo tacy jak on potrafią się zabezpieczyć.

Pożegnaliśmy się krótko i obaj moi rozmówcy z wyraźną ulgą opuścili mieszkanie Margarity de Virion. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, do pokoju weszła gospodyni.

– Wybacz mi to najście – powiedziałem – ale naprawdę nie miałem wyboru.

Ku mojemu zdziwieniu kobieta zbyła przeprosiny niedbałym gestem i usiadła w fotelu naprzeciwko mnie.

– Niedawno był u mnie ten Chińczyk – oznajmiła z roziskrzonym wzrokiem.

– Jaki Chińczyk? Sun?

– Tak.

– Jakim cudem cię znalazł i dlaczego?

– W Moskwie jest niewielu ludzi znających chiński, a badaczy można policzyć na palcach jednej ręki. Domyślił się, że poprosisz o pomoc kogoś takiego.

– Czego chciał?

– Po pierwsze, przekazać zaproszenie, a raczej rozkaz.

– Jaki, do licha, rozkaz?!

– Co wiesz o stosunkach społecznych w feudalnych Chinach? – odpowiedziała pytaniem.

– Niewiele. I dlaczego w feudalnych? Tych dawno już nie ma.

– Sun jest jakby z innej epoki, a i dzisiaj w niektórych kwestiach niewiele się zmieniło. On był bardzo niezadowolony z faktu, że podałeś się za jego ucznia.

– Nie miałem wyjścia! Zresztą w pewnym sensie nim byłem.

– Sun ma na ten temat inne zdanie, ale z tego, co zrozumiałam, chce dać ci szansę, to znaczy sformalizować wasz układ. Stąd to zaproszenie.

– Podała mi ozdobną kopertę.

Moja znajomość chińskiego pozostawia wiele do życzenia, lecz pismo nie było zbyt skomplikowane – miałem spotkać się z Sunem dwudziestego ósmego czerwca. Cóż, dobrze, że nie dwudziestego szóstego, ten dzień miałem zajęty.

– To po pierwsze. A po drugie?

– Odniosłam wrażenie, że mam cię poinstruować – powiedziała ostrożnie.

– W jakim sensie?

– Wyjaśnić ci zasady gry.

– Słucham.

– Jeśli chodzi o stosunki między mistrzem a uczniem, nic się nie zmieniło od tysięcy lat: mistrz decyduje o wszystkim, nawet o życiu ucznia. To nie jest metafora – ostrzegła. – Jeśli złamiesz zasady szkoły albo dopuścisz się zdrady, on cię zabije.

– Szkoły?

– No przecież Sun będzie cię uczył – zauważyła. – Sztuk walki, może alchemii wewnętrznej albo czegoś jeszcze bardziej ezoterycznego.

– Skąd wiesz?

– Pokazał mi to i owo.

Musiałem wyglądać na zdziwionego, bo Margarita roześmiała się, widząc moją minę.

– Nie, nie popisywał się, wyjaśnił mi pewną kwestię.

– A co konkretnie?

– Napisałam kiedyś artykuł o chińskiej sztuce fechtowania, kiedyś mnie to fascynowało, przez jakiś czas nawet brałam lekcje walki mieczem.

– I co?

– Dawno temu istniała słynna szkoła Miecza Przecinającego Obłoki. Z tamtych czasów pozostało jedynie kilka ilustracji, bo mistrzowie wyginęli w różnych wojnach. Próbowałam odtworzyć techniki tej szkoły, więc pokazałam Sunowi kilka ruchów. Wyjaśnił mi, w czym się myliłam, i pokazał prawidłowe techniki. Rozumiesz? Zademonstrował mistrzowskie opanowanie szkoły miecza, która zniknęła półtora tysiąca lat temu!

– Może jednak przeżył ktoś z ekspertów?

– Możliwe – odparła bez przekonania. – Choć fakt, że używał archaicznych nazw, jest nieco zastanawiający. Podobnie jak to, że świadomie ukrywał bransoletę, tak jakby obawiał się, że ją zobaczę i powie mi ona więcej niż tobie.

– No dobrze, więc co z tymi instrukcjami?

– Prawdopodobnie przejdiesz ceremonię przyjęcia na osobistego ucznia Suna. Będziesz musiał trzykrotnie się pokłonić, na kolanach, a potem wypić herbatę, którą poczęstuje cię Sun. I obiecać, że będziesz bronił jego i szkoły nawet za cenę życia. I to także nie jest przerośnięta.

– Na kolanach?!

– Na kolanach – potwierdziła.

– A jeśli się nie zgodzę?

– To zginięsz – powiedziała z prostotą. – W czasie swojego pobytu w Chinach widziałam wielu ekspertów sztuk walki, ale żaden z nich nie byłby w stanie stawić Sunowi czoła dłużej niż przez kilka sekund.

– Żartujesz?

Zamiast odpowiedzieć, wyszła do drugiego pokoju i zaraz wróciła z chińskim mieczem. W ułamku sekundy obnażyła ostrze i wykonała kilka ruchów z osłepiającą, niemal nadnaturalną szybkością.

– Czasem trochę ćwiczę – wyjaśniła bez śladów zadyszki. – I wierz mi, potrafię rozpoznać prawdziwego mistrza. Umiejętności Suna porażają, gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, uznałabym, że ćwiczył je nie dziesiątki, a setki lat.

Przełknęłam ślinę, wyglądało, że to wcale nie Beria jest dla mnie największym zagrożeniem. Ktoś tam w górze musiał bardzo nie lubić pułkownika Razumowskiego. I śmiać się do rozpuku.

– Jak wyglądają te pokłony? – spytałem.

– Uklęknij. O tak, dobrze. A teraz skłoń się tak, jakbyś chciał dotknąć czołem posadzki.

Wykonałem polecenie, bo i co mi pozostało? Jeśli nie zabije mnie Beria, zrobi to Sun. Chyba że nauczę się walić czołem o podłogę...



Borys Łunnicki przyszedł punktualnie i równo z wybiciem dwunastej – w knajpie był ścienny zegar – stanął przy moim stoliku. Wstałem bez słowa, a potem poprowadziłem mężczyznę do jednego z gabinetów. Jeśli zdziwił go wystrój, nie dał tego po sobie poznać, choć stół z kaukaskiego orzecha, wygodne wyściełane krzesła i jedwabne tapety nie były bynajmniej standardem nawet w luksusowych restauracjach.

Panienka Tatiana podała menu, tym razem bez żadnych białogwardyjskich sztuczek, zamówiliśmy wino i zakąski. Byłem tak zdenerwowany, że nie miałem apetytu, Łunnicki także nie wyglądał na zainteresowanego jedzeniem.

– Co proponujecie? – zapytał, kiedy zostaliśmy sami.

– Zmiany – odparłem. – Daleko idące zmiany.

Łunnicki skinął głową, sam fakt, że przyszedł rozmawiać, zamiast wydać mnie Berii, napawał optymizmem.

– Czego ode mnie oczekujecie?

– Że nie będziecie przesadzać z ochroną towarzysza Berii – rąbnąłem prosto z mostu.

Tym razem musiałem dłużej czekać na odpowiedź, mój rozmówca udawał, że delektuje się winem. Ja w ogóle nie czułem smaku trunku.

– Nawet gdybym to zrobił, Berii będzie towarzyszyć kilku osobistych strażników. Ci podlegają tylko jego rozkazom – powiedział wreszcie.

Przymknąłem oczy z nagłej ulgi. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby Łunnicki odmówił.

– To rzecz do załatwienia – zapewniłem.

– Komu na tym zależy? Rozumiecie, muszę mieć choćby ogólne pojęcie, na ile to realne.

Zabębniłem palcami w stół, wątpiłem, żeby Łunnicki zadowolił się ogólnikami, z drugiej strony nie mogłem zdradzić uczestników spisku. Jeśli zaś tego nie zrobię, dalszego ciągu nie będzie, mój rozmówca po prostu grzecznie podziękuje za poczęstunek i wyjdzie. Jednym słowem, pat.

– Praktycznie wszystkim.

– Jak mi to udowodnicie?

– Znacie sfery odpowiedzialności poszczególnych towarzyszy, prawda?

– Owszem.

Wyjąłem z kieszeni kartkę i pióro, podsunąłem Łunnickiemu.

– Wypiszcie tu swoje życzenia – poprosiłem. – Dwa warunki: muszą być zupełnie niewinne i niezwiązane ze sprawą, a także możliwe do załatwienia w ciągu godzin, nie dni. Zależy nam na czasie.

Łunnicki wyraził gestem uznanie i zaczął pisać. W ten sposób przekona się, kto uczestniczy spisku, nie narażając jego uczestników na bezpośrednią konfrontację z Berią. Nie żeby to w czymś pomogło, ponieważ jeśli okaże się, że pracuje dla Ławrentija Pawłowicza, temu wystarczą same nazwiska, a o dowody zatroszczą się śledczy na Łubiance.

– Proszę. – Oddał kartkę.

Przejrzałem spis. Tak jak prosiłem, życzenia były niewinne: zatrzymać na dwie godziny pociąg relacji Moskwa–Władywostok, wypłacić premię piłkarzom Spartaka w podzięcie za wygrany mecz, zapowiedzieć wystawę malarstwa impresjonistycznego z udziałem eksponatów z Ermitażu, wreszcie podjąć rozmowy handlowe z USA, ogłaszając to w radiu. Niby nic wielkiego, ale w czasie liczonym na godziny mogli to zorganizować jedynie ludzie z najwyższych kręgów władzy. Punkt dla towarzysza Łunnickiego.

– Czego chcecie w zamian? – spytałem.

– Odrobiny normalności – odparł ze smutnym uśmiechem. – I oczywiście awansu. Rozsądnego awansu, nie mam zamiaru pchać się do Biura Politycznego ani rządu.

– To drugie macie załatwione, pierwszego nie gwarantuję.

– A wy? Dlaczego wy to robicie?

– Czy to ważne?

– Dla mnie tak.

– Przecież mogę skłamać.

– Nie mnie, nie teraz. Och, nie wątpię, że potrafilibyście to zrobić, ale chyba nie jesteście w nastroju – zauważył. – W ogóle odniosłem wrażenie, że kłamiecie tylko w razie absolutnej konieczności, tak, jakby sprawiało wam to dyskomfort.

– Walczę o życie – odparłem niechętnie. – Nie tylko swoje.

– To oczywiste. Coś jeszcze?

– Możliwe – odburknąłem niegrzecznie. – I koniec wiwisekcji – zaznaczyłem.

Napięcie zniknęło z twarzy Łunnickiego, tak jakby w sobie tylko wiadomy sposób upewnił się o mojej szczerości. Czyżbym był aż tak przewidywalny?

Mój rozmówca wymownym gestem wznosił kieliszek, przyłączyłem

się do milczącego toastu. Tym razem moje zmysły zadziałały prawidłowo, poczułem na języku smak alkoholu, w nozdrza uderzył aromat miodu gryczanego i lukrecji.

Łunnicki przysunął krzesło i rozpiął kołnierzyk koszuli.

– Jak myślisz, po tym wszystkim będzie lepiej? – zapytał, skracając dystans dosłownie i w przenośni.

– Mam nadzieję – mruknąłem. – À propos poprawy sytuacji, miałbym małą prośbę.

– Tak?

– Mógłbyś wyciągnąć z łagru lekarzy naszego resortowego szpitala? A obecnych wysłać na Kołymę?

– Spodziewałem się, że zapytasz raczej o byłą kochankę i jej syna – zauważyłem.

– Co z nimi?

– Przeżyją, choć chłopak ledwo, ledwo. Kiedy zniknąłeś, nasi przeszukali twoją i jej chałupę. U ciebie nie znaleźli niczego specjalnego poza paroma kilogramami złota, za to u niej monarchistyczne teksty. Było oczywiste, że to raczej nie pani Pokrowska fascynuje się przedrewolucyjną musztrą, więc zapytali o to jej syna.

Zacisnąłem zęby, klnąc się w myślach od ostatnich. Powinienem kazać Łońce wywalić w cholerę te kretyńskie broszurki. Tyle że zapomniałem w tym całym rozgardiaszu. Powinienem...

– W jakim jest stanie? – wycodziłem ze złością.

– Połamali mu palce i żebra – odparł, patrząc mi prosto w oczy. – To się stało, zanim Beria ściągnął mnie do Moskwy. Nie mogłem nic zrobić.

– A zrobiłbyś? – spytałem z gorącością.

– Postarałbym się – powiedział.

O dziwo, uwierzyłem mu od razu.

– Nie martw się – kontynuował. – Chłopak nie wrobił ani ciebie, ani matki. Od razu przyznał się do wszystkiego i twierdził uparcie, że nie macie z tym nic wspólnego. Być może w trakcie bardziej intensywnego przesłuchania zmieniłby zdanie, ale towarzyszy Beria chciał go zachować przy życiu jako kartę przetargową.

– Kto prowadził przesłuchania?

– Nie mam pojęcia, ale mogę się dowiedzieć.

– Dowiedz się koniecznie.

Łunnicki skinął głową, jakby uznał moją prośbę za oczywistą.

– I ja chciałbym o coś zapytać – odezwał się, mierząc mnie uważnym spojrzeniem.

– Pytaj.

– Kto wygra?

– Chruszczow – odparłem bez wahania.

Na tym etapie rozmowy nie warto było już bawić się w tajemnice.

- Na ile można wierzyć, że dotrzyma danego mi słowa?
 - Nie jestem wróżką, ale wydaje mi się, że przez rok, może dwa, obaj będziemy mu potrzebni. Później może być różnie.
 - Skąd ten wniosek?
 - Wątpię, żeby zabili Berię od razu, pewnie przez jakiś czas będą trwały przepychanki między różnymi frakcjami. A nawet jak go wykończą, trzeba będzie oczyścić wszystkie struktury z popleczników Ławrentija Pawłowicza. Jest oczywiste, że powierzą to ludziom, którzy brali udział w spisku, nie zaufają nikomu innemu.
 - Miejmy nadzieję, że postawiliśmy na właściwego konia – westchnął, wstając od stołu.
- Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni, jeszcze nie przyjaciele, ale więcej niż znajomi.



Spojrzałem na zegarek, wskazówka sekundnika przesuwiała się powoli, jakby ją zaczarowano. Po karku i plecach spływały mi krople potu, choć wcale nie było gorąco. Jak we wszystkich rządowych budynkach, także i tutaj działała klimatyzacja.

Kiedy zza załomu korytarza wyszedł Borys Łunnicki, tylko siłą woli powstrzymałem się od sięgnięcia po broń. Za nim maszerowało ponad dwudziestu ochroniarzy. Czuję, jak wali mi serce, w skroniach tętniła krew. Jeśli wyjdą, przeżyję, a świat – być może! – zmieni się na lepsze. Jeśli nie...

Opuściłem głowę, tak że od rogu kołnierzyka, w którym miałem zaszyty cyjanek, dzieliły mnie tylko centymetry.

Łunnicki minął mnie bez słowa, a po chwili w drzwiach wejściowych stanął Paszka Zwiercow i dał umówiony znak. Z pomieszczeń gospodarczych wysypali się moi ludzie, wszyscy uzbrojeni po zęby, niektórzy z wytłumioną bronią. Gestem dałem sygnał „naprzód!”. Ruszyliśmy.

Urzędnicy uskakiwali na boki, któryś ruszył do telefonu, ale Paszka przeciął kabel nożem i przykuł mężczyznę kajdankami do kaloryfera.

Przy drzwiach sali obrad stało czterech bezpieczniaków, początkowo nie zareagowali, biorąc nas za kolejny kontyngent agentów Berii. Z odległości kilku metrów któryś mnie rozpoznał i sięgnął po pistolet. Zamarł w pół ruchu, widząc, że mierzą w niego dwa tuziny luf.

- Zdać broń, ręce za głowę! – poleciłem szorstko.

Wykonali rozkaz w ponurym milczeniu, poczułem niedającą się opisać euforię.

Zapewne zwykli śmiertelnicy przestępowali próg tej sali z pełną bojaźni nieśmiałością, ale ja pchnąłem drzwi, jakbym wchodził do podrzędnej knajpy. I nic dziwnego, to ja dziś rozdawałem karty. Przez mgnienie, przez chwilę słodką jak miłosny spazm miałem na języku rozkaz *pli!* Wiedziałem, że chłopcy zrobią, co im każę, bez pytania, bez wahań, z morderczą, wyćwiczoną przez lata skutecznością. Przez mgnienie... Później powróciłem do rzeczywistości.

Zwróciłem się w stronę mównicy, z której przemawiał Chruszczow. Uniosłem dłoń i jeden z najpotężniejszych ludzi w państwie przerwał w pół słowa, patrząc na mnie niespokojnie.

– Towarzyszu Chruszczow – powiedziałem głośno – melduję wykonanie rozkazu.

Na odpowiedź nie musiałem długo czekać, choć nie była skierowana do mnie.

– Towarzyszu Żukow! Aresztujcie wroga ludu, Ławrentija Berię! – polecił Chruszczow.

Zakotłowało się, rozpartego w pierwszym rządzie Berię otoczyli ludzie w mundurach. Zmęczenie zwały się na mnie jak górską lawina, Paszka musiał mnie podtrzymać, żebym nie upadł. Stara epoka dobiegła końca. Nareszcie.



Potężny mężczyzna o posturze zapaśnika i dłoniach jak bochny chleba zaprowadził mnie do urządzonej w orientalnym stylu, mrocznej komnaty. Na niskim stoliku paliły się kadzidelka, poczułem zapach drzewa sandałowego i ziół. Sun siedział na podwyższeniu ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywał się w przestrzeń z kamiennym wyrazem twarzy. Opadłem na kolana, po czym głośno i wyraźnie wypowiedziałem chińską formułkę, prosząc o przyjęcie mnie na ucznia.

Oszczędny gest Chińczyka sprawił, że pokłoniłem się trzykrotnie, niemal dotykając czołem podłogi. Później odpowiadałem na pytania i obiecywałem posłuszeństwo. Margarita de Virion miała rację: chodziło o moje życie. I nie tylko. Kiedy skończyłem, Sun długo wpatrywał się we mnie beznamietnym wzrokiem, wreszcie polecił mi zdjąć koszulę. Zrobiłem to, czując za plecami obecność kilku ludzi. Zanim zrozumiałem, o co chodzi, dwóch chwyciło mnie pod ramiona, a trzeci stanął przede mną, demonstrując rozpalony do czerwoności kawał żelaza.

– Czy dobrowolnie przyjmiesz pieczęć Nieśmiertelnych? – spytał Sun.

– Przyjmę – potwierdziłem przez zęby.

Nie wyrywałem się, a mój krzyk bardziej przypominał warczenie rozwścieczonego psa niż cokolwiek innego. Zanim ochłonąłem, ktoś posmarował mi ramię maścią o intensywnym zapachu i założył opatrunek. Kiedy skończył, Sun podał mi czarkę herbaty. Była znakomita.

Przez szparę w zaciągniętych storach przedarł się promyk słońca, oświetlił wirujące w powietrzu drobinki kurzu. Nadchodził nowy dzień. Mimo szarpiącego nerwy bólu powitałem go z uśmiechem. Żyłem, a nic nie trwa wiecznie. Nawet ból.

Koniec

Zwroty i ciekawostki

Strzelba z Iżewska – Iżewskie Zakłady Mechaniczne produkowały w latach 1949–1954 popularną dubeltówkę IŻ-49.

Czużaja dusza potiomki – rosyjska sentencja oznaczająca, że cudza dusza jest nieodgadniona.

MChAT – *Moskowskij Chudożestwiennyj Akademiceskij Tieatr*, Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny, założony w 1898 roku jako *Moskowskij Chudożestwiennyj (obszczedostupnyj) Tieatr* – Moskiewski Artystyczny (ogólnodostępny) Teatr, przez Władimira Niemirowicza-Danczenkę i Konstantego Stanisławskiego. Od 1901 roku *Moskowskij Chudożestwiennyj Tieatr* (MChT), w 1919 roku do nazwy teatru dodano słowo „Akademicki”, stąd MChAT, w 1932 roku zmieniono nazwę na *Moskowskij Chudożestwiennyj Akademiceskij Tieatr SSSR im. M. Gor'kogo*.

Superresort pod kierownictwem Berii – Ławrentij Beria w 1953 roku rzeczywiście połączył Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, tworząc superresort pod swoim kierownictwem, co dawało mu ogromną przewagę nad konkurentami do schedy po Stalinie. Jego klęska w dużej mierze spowodowana była wynikającą z owej przewagi pewnością siebie. Prawdopodobnie dopiero w momencie aresztowania Beria zorientował się, że nie docenił swoich przeciwników.

Gastronom – sklep spożywczy.

Prosti, proszczaj Odessa – mama, mnie nie zabyt' twoj czudnyj wid – „Żegnaj, ach, żegnaj Odesso – mamó, ja nie zapomnę piękności twej”, fragment popularnej piosenki o Odessie. Za czasów ZSRR istniały dwa miasta „rodzicielskie”: Odessa – matka, i Rostow – ojciec. Oba będące

siedliskami przestępczości zorganizowanej.

Saksauł – krzew lub nieduże drzewko, rosnące na terenach pustynnych i półpustynnych, występujące między innymi w Azji.

Ajran – napój popularny na Bliskim Wschodzie i w Azji, w zależności od regionu wytwarzany z kwaśnego mleka lub jogurtu.

Poniatija – bandyckie zasady, których zręby ustanowiono jeszcze za czasów carskich.

Schodka – zebranie.

Prawilna – w tym kontekście „przestrzegająca bandyckich zasad”.

Kamerger – szambelan.

Wied' ja institutka, ja docz kamergera... – „Jestem institutką, córką kamergera...”, fragment piosenki. Tekst piosenki „Institutka” (tak nazywano uczennice *Institutow Błagarodnych Diewic*, Szkół dla Szlachetnie Urodzonych Panien) napisała Maria Nikołajewna Wolncewa, była uczennica takiej szkoły, bardziej znana jako Maria Wega. Wega wyemigrowała z Rosji po rewolucji październikowej wraz ojcem i ciotką. Wraz z resztkami białych wojsk znalazła się w 1920 roku na Krymie, później udało się jej przedostać do Turcji i Francji. Piosenka powstała prawdopodobnie w latach trzydziestych i była doskonale znana w rosyjskich kabaretach Paryża. Co prawda nie zawiera wątków autobiograficznych – Maria nie musiała utrzymywać się z prostytucji, ale doskonale znała sytuację rosyjskich arystokratek, które znalazły się na Zachodzie bez grosza przy duszy.

Modus operandi – sposób działania.

Rajkom – skrót od *rajonnyj komitet*, komitet rejonowy partii, komsomołu itp.

Obszczak – złodziejski fundusz, do którego musiał dokładać się każdy *prawilnyj* bandyta. *Obszczak* wykorzystywany był na łapówki dla

przedstawicielei wymiaru sprawiedliwości, opłacanie adwokatów czy paczki żywnościowe wysyłane do więzień i łagrów.

Kompromat – kompromitujący materiał/dokument.

Obkom – skrót od *oblastnoj komitet*, komitet obwodowy (partii).

Warszawski Instytut Aleksandryjsko-Maryjski – w carskiej Rosji istniało kilkadziesiąt Instytutów dla Szlachetnie Urodzonych Panien, w tym i warszawski, nazywany Aleksandryjsko-Maryjskim. Placówka ta (przeniesiona do Warszawy z Puław) niemal natychmiast doczekała się zainteresowania rządu, który w 1862 roku wydał „Instrukcję ogólną dla Instytutu Aleksandryjsko-Maryjskiego Wychowania Panien”. Pod dokumentem podpisał się między innymi ówczesny naczelnik rządu cywilnego, hrabia Wielopolski. W placówce tej uczyły się zarówno Rosjanki, jak i Polki, były wśród nich dziewczęta z bogatych domów, jak i niezamożne (tym ostatnim szkoła organizowała kursy nauczycielskie, aby mogły zarabiać na życie po ukończeniu *instituta*). Nauczyciele zwracali uwagę, żeby nie wyróżniać nikogo ze względu na stan majątku ani religię (w szkole panowała pełna swoboda religijna). Wychowanki *Institutow Błagarodnych Diewic* były jak na owe czasy znakomicie wykształcone, a ponieważ wychowywano je w duchu wierności monarchii i posłuszeństwa mężowi, rozchwytywano je na małżeńskim rynku.

Exitus – zejście, zgon.

Va banque – gra o wszystko, postawienie wszystkiego na jedną kartę.

Stalinka – budynek z czasów Stalina, najczęściej określano tak *stalinskije wysotki* (stalinowskie wieżowce). W Moskwie było to tak zwane Siedem Sióstr, siedem wysokościowców inspirowanych amerykańskimi drapaczami chmur w stylu art déco lub neogotyckim, jednak wpisujących się w nurt socrealizmu. Trzy z nich były domami mieszkalnymi, w których lokowano rodziny partyjnych bonzów, w tym budynek na Nabrzeżu Kotielniczeskim. W Polsce przykładem takiego budownictwa jest Pałac Kultury i Nauki w Warszawie.

Kommunalka – mieszkanie zajmowane przez kilka rodzin lub osób ze wspólną toaletą i kuchnią.

Genkom – skrót od słów *gienieralnyj komissar gosudarstwiennoj biezopasnosti* (komisarz generalny bezpieczeństwa państwowego), jeden z tytułów Berii.

Licom k stienie! – Twarzą do ściany!

Kampfgruppe Roth – Grupa Bojowa Roth (od nazwiska dowódcy), tu aluzja do pobytu Razumowskiego w Breslau.

MP40 – niemiecki pistolet maszynowy, powszechnie (choć błędnie) nazywany schmeisserem.

StG44 – Sturmgewehr 44, niemiecki karabinek automatyczny z okresu II wojny światowej.

SS-Reiterei – rajtaria SS, oficjalna nazwa *Die SS-Reiterstandarten*, jednostka powstała w 1931 roku, od początku jej istnienia służyli w niej niemal wyłącznie arystokraci. Ze względu na wysoki status, jakim cieszyli się jej członkowie, *SS-Reiterei* była praktycznie niezależna od NSDAP i nie brała udziału w walce. Przez cały okres wojny stanowiła w praktyce ekskluzywny klub jeździecki. Jako jedyna formacja SS nie została uznana za zbrodniczą przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze.

Famulus – sługa.

U nas ludiej mnogo – ludzi nam nie brakuje.

Raschodnyj matieriał – coś jednorazowego użytku, co można spisać na straty.

Legio Patria Nostra – Legia Moją Ojczyzną.

Légion étrangère – Legia Cudzoziemska.

Apaszem Stasiek był... – fragment przedwojennej ulicznej ballady.

Coq Rouge – Czerwony Kogut.

Panichida – nabożeństwo żałobne w kościele wschodnim, odprowadzane między innymi w rocznicę śmierci.

Bon voyage – Dobrej podróży.

Sanghata Dharmaparjaja – buddyjska sutra, której przypisuje się szczególne właściwości. Samo jej czytanie lub słuchanie ma likwidować złą karmę, gromadzić ogromną zasługę i przybliżyć ku oświeceniu.

Uralsowiet – Uralska Obwodowa Rada.

Biełobrodow – Aleksandr Biełobrodow przewodniczący Uralskiego Komitetu Obwodowego Rosyjskiej Partii Komunistycznej i Uralskiej Obwodowej Rady. 12 lipca 1918 roku podpisał decyzję o zamordowaniu cara Mikołaja II wraz z rodziną. Po śmierci Lenina poparł Trockiego. Mimo że przeżył pierwsze czystki, w 1936 został aresztowany, a w dwa lata później rozstrzelany.

Wagonzak – specjalny wagon do przewozu więźniów.

Pli! – Pal!, ognia!

COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2020

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-549-7

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Mariusz Kozik

ILUSTRACJE Paweł Zaręba

PROJEKT OKŁADKI Konrad Kućmiński | Grafficon

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 525 19 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)



– Nie zginę – zapewniłem. –
 Znasz ten psalm? „Chociaż
 idę doliną cienia i śmierci,
 niczego się nie boję...” Ame-
 rykańscy żołnierze zmienili
 zakończenie: „bo to właśnie ja je-
 stem najgorszym skurwysynem w tej
 dolinie”.


Pułkownikowi Razumowskiemu nie będzie dane spokojnie powrócić do zdrowia po zamachu Abakumowa i spotkaniu z Qingbao.

NAGŁA CHOROBA STALINA rozpoczyna bezlitosną rozgrywkę, w której Razumowski odegra kompletnie niechcianą, choć znaczącą rolę. Pułkownik musi poradzić sobie z czekistami, Berią, zwolennikami monarchii z Białego Kremla, błatnymi, triadami, przeszłością własnej rodziny i nieśmiertelnymi z sekty Doskonałych. Prawdopodobnie najrozsądniej zrobiłby, przykładając do skroni lufę tokariewa i pociągając za spust.

Ale nie ma na to czasu –

STALIN UMIERA.



 /fabryka

 /fabrykaslow



fabryka słów
 WYDAWNICTWO

fabrykaslow.com.pl